

ALFRED SIATECKI

Szajbous

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW

Szajbous

ALFRED SIATECKI

Szajbus

Copyright © by Alfred Siatecki 2012
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2012

Projekt okładki
Leszek Hermanowicz
Redakcja
Zofia Żymiłko
Korekta
Stanisława Witkowska
Łamanie
Krzysztof Kokosiński

ISBN 978-83-932422-4-5

Zielona Góra – Nowa Sól 2012

Manufaktura Tekstów
www.manufakturatekstow.pl

Druk i oprawa
e-Studio, ul. Niecała 2 d, 65-245 Zielona Góra
tel. 68 320 03 09, e-mail e-studio@e.studio.com.pl
www.e-studio.com.pl

*Krzysztofowi Koziolkowi –
nie tylko za powieść „Premier musi zginąć”*

LANCIA WE MGLE

Granatowa lancia zatrzymała się przed furtką na okolone szczerbatym żywopłotem podwórze przy Mydlarskiej na stołecznym Aninie. Kierowca czuł się półżywy po siedmiu godzinach jazdy z Berlina do Warszawy, wysiadł z auta pierwszy, jak to robił od czasów, gdy woził ministrów rządu Rakowskiego, podniósł pokrywę bagażnika i wyjął z niego prezenty dla żony i córki zastępcy prokuratora generalnego.

– Chyba nie muszę wam przypominać o obowiązku odstawienia samochodu do bazy – rzucił Wilczek obcesowo.

Tadej skrzywił usta i syknął ze złością.

– Rozumiecie?

– Taa – odpowiedział kierowca przez zaciśnięte zęby.

– Rano leciecie z szefem do Zielonejgóry – już zza furtki rzucił zastępca prokuratora.

– Kurwać, jasny olej – zaklął po swojemu kierowca. – Znowu nie pośpię. To trzecia noc z rzędu.

– Coś wam się nie podoba czy się przesłyszałem?

Wal się, glizdo pierdolona, powiedział w myślach Tadej i pokręciwszy głową, uśmiechnął się wymuszenie. Poczekał, aż Wilczek zniknie za drzwiami willi. Poprzedniej nocy drzemałem w fotelu na korytarzu w ambasadzie, a ostatnią przekimałem w samochodzie. Siedem godzin za kierownicą z piętnastominutową przerwą na kawę w zajezdzie U Marcina pod Poznaniem. Teraz jazda do bazy. O szóstej znowu muszę być na nogach. Nie mam dwudziestu lat, żeby być jak dawniej. Przysnę w drodze i...?

Wjazd do garaży rządowych jest od strony placu Unii Lubelskiej. Aby najkrótszą drogą dostać się z Anina do centrum Warszawy, trzeba przejechać szesnaście kilometrów. Potem jeszcze godzinę zajmie Tadejowi powrót autobusem na Ty-

kocińską, chyba że kierownik zmiany nocnej każe go odwieźć samochodem dyżurnym do domu.

– O siódmej musisz być na Klonowej. Z profesorkiem gnasz do Zielonejgóry – zbytnie oznajmił Tadejowi kierownik zmiany i ostrzegł go: – Nie zaśpij.

– Jak kiedyś przysnę na drodze...

– Nie narzekaj, to nic nie da. Proś Boga, żeby ruchowcy nie wygrali wyborów, bo dopiero będzie się działo. Wypieprzą cię pierwszej nocy. Mnie też.

– Przed zatankowaniem niech któryś obejrzy hamulce i...

– Coś nie w porządku? – przerwał mu kierownik zmiany.

– Wszystko jest *all right*.

– Dotąd w lanciach nie zdarzały się awarie. To auta nie do zderzenia, akuratne na nasze drogi, ale jeśli sygnalizujesz... każe sprawdzić hamulce.

★

Punktualnie o siódmej Tadej zatrzymał lancę przed hotelowcem, w którym samotnie mieszkał profesor Kotkowiak. Długo nie czekał na swojego szefa. Profesor należy do deficytowej kategorii urzędników, którzy z jednakowym szacunkiem odnoszą się do premiera, jak i do kierowcy.

– Jest mi przykro, że wyznaczyłem tak wczesną porę – tłumaczył się Kotkowiak. – W samo południe muszę rozpocząć naradę prokuratorów z apelacji poznańskiej.

– Zdąży się, panie profesorze – zapewnił go Tadej. – Jak będziemy na szosie sochaczewskiej, dam po garach, a potem autostrada prawie do Zielonejgóry.

– Jeszcze musimy zabrać doktora Grucę i panią Reykowską-Motył. – Kotkowiak usiadł za plecami kierowcy. – Obok pana posadzimy rzeczniczkę i prokurator w jednej osobie. Ma zgrabne nogi, to nie będzie się pan nudził. I ustalimy, że podczas jazdy nikt nie pali.

– Pani rzecznik nie wytrzyma bez dymka.

– Musi. Prawo oznacza porządek i nie ma nic wspólnego z indywidualnie pojmowaną sprawiedliwością.

Spośród wszystkich urzędników Prokuratury Generalnej Tadej najbardziej lubił jej szefa. Wiele razy się zastanawiał, dlaczego ludzie mądrzy zachowują się zwyczajnie, a tacy, którzy znaleźli się w prokuraturze przypadkowo, mają pretensję do całego świata o to, że nikt ich nie podziwia.

– Jeszcze pan profesor będzie uprzejmy zapiąć pas bezpieczeństwa – kierowca przypomniał Kotkowiakowi.

– Pewnie na niewiele się zda takie zabezpieczenie. W razie wypadku ratownicy będą mieli dodatkowe utrudnienie.

Doktor Gruca, mężczyzna trzydziestokilkuletni, przywitał się tylko z profesorem, usiadł obok niego i natychmiast zapiął pas. Był jednym z tych, którzy przestrzegają zasad porządku, choćby uprzykrzały im życie.

Może z dziesięć minut czekali na Reykowską-Motyl przed jej domem.

– Przepraszam panów za spóźnienie – uśmiechnęła się rzeczniczka i wicedyrektorka departamentu w jednej osobie, ukazując zęby jakby obleczone w dobrze wykrochmalone płótno. Zębów Tadej jej zazdrościł. – Musiałam przygotować kolację moim panom.

W ciasnym centrum Warszawy największy ruch samochodów jest między siódmą a ósmą. Tadej co chwilę zatrzymywał lancję to przed przejściami dla pieszych, to przy skrzyżowaniach, to na polecenie policjanta w białej czapce. Nikogo to nie denerwowało, z wyjątkiem Kotkowiaka, który kilka razy zerknął ukradkiem na zegarek. Profesor obliczył, że jeśli pojedą z prędkością dopuszczalną na polskich drogach, w Zielonej Górze będą najwcześniej za pięć godzin. Ale przecież za Sochaczewem Tadej wdusi pedał gazu aż do podłogi i lancia będzie rwała z szybkością przekraczającą sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a na autostradzie jeszcze prędzej.

– Czy pan profesor już czuje się warszawiakiem? – Reykowska-Motyl odezwała się pierwsza.

– Czy ja...? – Kotkowiak nigdy nad tym się nie zastanawiał. – Nie wiem, jakie cechy ma warszawiak. Za krótko żyję w stolicy, żeby głębiej poznać cechy jej mieszkańców.

– Pół roku to dość długo, aby się przyzwyczaić. Ja, kiedy stażowałam w University of Pennsylvania, a byłam tam dokładnie sześć miesięcy, czułam się jak mieszkanka Filadelfii od urodzenia. Podobne wrażenie miałam podczas stypendium na uniwersytecie w Heidelbergu. Bodaj tylko w Kijowie nijak nie mogłam dostosować się do tamtejszych nawyków. Za to w Pradze, czeskiej, czułam się tak, jakbym była w Warszawie.

– Ja, proszę pani, urodziłem się i wychowałem w Poznaniu. W rodzinie od pokoleń wielkopolskiej. Z domu do uniwersytetu miałem dwadzieścia pięć minut swobodnego marszu. Tu – wskazał głową szare domy wzdłuż ulicy Wolskiej – wszędzie daleko.

– Stolica, panie profesorze, geograficzne centrum Europy, wielkie i rozległe miasto – powiedziała z dumą Reykowska-Motyl.

– Sądzę, że nigdy nie będę warszawiakiem. Nie chodzi tylko o odległości. Jest jeszcze coś innego, czego nie pojmuję.

– Przyzwyczai się pan profesor. Człowiek wszystko zniesie, może z wyjątkiem obelgi.

– Gdy przestanę zajmować gabinet prokuratora generalnego, z radością wrócę do Poznania. Przyznam się państwu – zerknął na milczącego Grucę – że nigdy nie lubiłem Warszawy. Nie mam na myśli jej mieszkańców, lecz...

– Proszę nie umniejszać swego znaczenia – niby go skarciła Reykowska-Motyl. – Mój ojciec liczy na to, że po wyborach zwolni fotel ministra sprawiedliwości, wtedy pan zajmie jego gabinet. W najgorszym razie zostanie pan am-

basadorem w Paryżu, Rzymie, Wiedniu, ale nie na końcu świata.

Kotkowiak parsknął wymuszonym śmiechem.

Zramolały mieszczuch poznański, pomyślał o nim Gruca.

★

Tadej był senny, włączył więc radio. Rano, gdy długie i natarczywe dzwonienie budzika wypędziło go z łóżka, obiecywał sobie, że po powrocie z Zielonejgóry poprosi o tydzień urlopu tylko po to, aby spać do woli.

Kotkowiak ledwie siódmy miesiąc był prokuratorem generalnym, a już liderzy niektórych partii wymawiali jego nazwisko szeptem i ze strachem. Rzecz zaczęła się od tajemniczej śmierci urzędnika Najwyższej Izby Kontroli, który wiele lat temu poinformował dziennikarzy o aferze w Banku Obsługi Długów Zagranicznych. Kotkowiak polecił Grucy, aby jego zespół zbadał sprawę od ręki, a szefarządu zapewnił, że wyniki dochodzenia przedstawi parlamentowi.

Wielu prominentnych urzędników, właścicieli willi z basenami i garażami na fotokomórki, młodych polityków i zwykłych karierowiczów domyślało się, że raport Kotkowiaka będzie zaledwie wstępem do ujawnienia czegoś większego. Od kilku lat gazety pisały o aferach alkoholowych, tytoniowych, paliwowych, samochodowych, cementowych, warzywnych, mlecznych, mięsnych, węglowych...

Specjalnie powołana komisja sejmowa badała niektóre szwindle, lecz nie była w stanie wskazać, kto jest winny zaniedbań. Jej członkowie nie mieli dostępu do wszystkich dokumentów, ponieważ, jak się domyślał Kotkowiak, niektórzy parlamentarzyści również byli zamieszani w te afery. Taki na przykład senator Woźniak nie prowadzi firmy, nie jest emerytem, nie ma oszczędności na koncie, siebie utrzymuje z diety, a żonę i syna z ryczału zawodowego, za co kupił komfortową

willę w Kwirynowie, dwa ople i lexusa? Niedługo po obaleniu starego systemu wiceszef Porozumienia Obywatelskiego postawił rezydencję w Konstancinie-Jeziornej, a potem pałacyki córki i syna na osiedlu Pod Lasem za Jachranką. Dla czego poseł Pilnik wszystkie urlopy od lat spędza w Finlandii i na czyj koszt?

– Takie są konsekwencje reformy ustroju społecznego i przyspieszonej demokracji – przekonywali go najbardziej żarliwi członkowie komisji i zaraz dodawali, jakby się tłumaczyli, że coraz częściej naród będzie się dowiadywał o aferach gospodarczych z udziałem znanych Polaków. – Ludzie nie wszystko rozumieją, więc zazdroszczą.

Mimo to Kotkowiak oświadczył, że jako prokurator generalny będzie stał na straży prawa. Jego poprzednicy mówili identycznie, lecz żaden nie dotrzymał słowa.

– Mam ochotę na filiżankę mocnej kawy – odezwała się rzeczniczka, gdy wzdłuż autostrady zaczęły się pokazywać plansze z adresami firm poznańskich.

– Za dwie godziny będziemy na miejscu. Jestem przekonany, że prokurator Staszak poczęstuje nas pyszną kawą ze śmietanką. To mój dobry kolega ze studiów – pochwalił się Kotkowiak, ale rzeczniczka nie ustępowała, dodał więc niby surowo: – Nie mamy czasu, koleżanko prokurator.

Odwróciła głowę do niego, znowu szczerząc te naprawdę ładne zęby, rękę położyła na ramieniu kierowcy i powiedziała:

– Za Poznaniem pan Marek zamieni się w Roberta Kubicę.

– A policja wlepi mu mandat. I jeszcze się wyda, że na polecenie prokuratora generalnego kierowca popełnił występki.

– Żaden policjant nie odważy się zatrzymać ciemnogrątwowej lancierki z rejestracją rządową – przypomniała.

Kotkowiak z rezygnacją machnął ręką, ale zaraz pochwalił się, że jeszcze jako student dużo wędrował po Wielkopolsce i najchętniej popasał w wiejskich gospodach.

– Na kawę zatrzymamy się U Marcina – zdecydował.

Ledwie zegar elektroniczny, zawieszony nad kontuarem, wyświetlił dziesiątą czternaście, profesor przywołał kelnera, zapłacił za trzy filiżanki niezłej kawy i za szklankę lipowej herbaty, o którą poprosił Gruca.

– Za Poznaniem, niestety, będzie pan musiał przyspieszyć. A mandat zapłaci pani rzecznik. – Kotkowiak najpierw mru-gnął znacząco do kierowcy, później spojrzął na prokuratorkę.

– Nie mam wyboru – z powagą oświadczyła Reykowska-Motyl. – Zapłacę i poproszę pana prokuratora o podwyżkę.

Przejazd wzdłuż Poznania zajął im najwyżej kwadrans. Przy wylocie na nową autostradę Tadej mocniej nadusił na pedał gazu, a obok Nowego Tomysła lancia mknęła z prędkością przekraczającą sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, ale pasażerowie tego nie odczuwali. Zajęci wychwalaniem Sadowskiego, cichego kandydata na kolejnego premiera, nawet nie spostrzegli, że o wpół dwunastej pojawiła się mgła, kierowca zwolnił i zjechał z autostrady na drogę krajową. Od skrzyżowania z „trójką” do rogatek Zielonejgóry było nie-spełna pięćdziesiąt kilometrów.

Wtedy to się stało.

*

Przybyli osiem minut później dwaj policjanci ze Świebo-dzina nie chcieli wierzyć własnym oczom. Na poboczu drogi tkwiły strzępy zielonego volkswagena, spod blachy wysta-wały okrwawione ręce i nogi. W polu leżała wywrócona na dach lancia, kierowca i rzeczniczka, bez niczyjej pomocy wy-swobodzeni z pasów bezpieczeństwa, palili papierosy, Kot-kowiak i Gruca nie żyli. Zdaniem policjantów powinno być odwrotnie.

- Raptem straciłem panowanie nad kierownicą, jasny olej. Wyglądało tak, kurwać, jakbym leciał nad polem - tłumaczył później Tadej.

- Co było wcześniej? - spytał policjant.

- Poczułem uderzenie w prawy bok i auto zostało wyje... wyrzucone na drugą stronę jezdni pod volkswagena pędzącego z Zielonejgóry.

- Przed próbą wyprzedzenia ciężarówki naszym samochodem nagle zatrzęśło - przypomniała sobie Reykowska-Motył. - Lancia została uderzona czymś wielkim i tępym.

- Od Poznania siedziała nam na plecach identyczna jak moja, to znaczy też granatowa lancia, numeru rejestracyjnego dobrze nie widziałem, bo była mgła, ale mogła mieć FZI31EU. Ja dodawałem gazu, tamten kierowca też, kurwać. Przy zjeździe na drogę krajową przyhamowałem, on też - wyjaśniał Tadej bardzo spokojnie. - Na moment przed wypadkiem spojrzałem w lusterko: tamta lancia zatrzymała się przy wyjeździe na „krajówkę”.

Biegli nie dostrzegli najmniejszych śladów uderzenia na prawym boku lancii. Uważali, że urzędowy samochód zawadził kołami o coś na poboczu i dlatego został wyrzucony na przeciwległy pas ruchu, a stamtąd przeकोziołkował na pole. Całkowicie wykluczyli policyjną wersję o niesprawności technicznej lancii. Kierownik zmiany nocnej w garażach rządowych dowodził, że mechanicy dokładnie obejrzel samochód, sprawdzili hamulce, nie tylko uregulowali gaźnik, lecz i wymienili świece. W momencie zderzenia lancii z volkswagenem tylne fotele, na których siedzieli przypięci pasami Kotkowiak i Gruca, zostały wyrwane i przesunięte do przodu o dwadzieścia cztery centymetry. Oparcie wraz z zaczepami pasów bezpieczeństwa pozostało na swoim miejscu. Ekspert z zakładu budowy i eksploatacji pojazdów Uniwersytetu Zielonogórskiego uważał, że w takiej sytuacji pasy mogły być

przyczyną śmierci obu prokuratorów, ponieważ nie zadziały prawidłowo. Jego tezę miało potwierdzić to, że Tadej i Reykowska-Motyl, którzy również byli przypięci pasami, wyszli ze zderzenia bez szwanku, nie licząc zadrapań.

- Kto wiedział o wyjeździe prokuratora do Zielonejgóry?
- spytał oficer śledczy ABW, nie wnikając w szczegóły konstrukcyjne lancii.

Rzeczniczka prokuratury wzruszyła ramionami, a Tadej odparł, załamując palce:

- Kierownik zmiany w naszych garażach, niektórzy mechanicy, nocny stróż, pierwszy zastępca prokuratora generalnego, pan Wilczek. No i nasze rodziny.

- Z wyłączeniem mojego męża. Nigdy nie informuję go, dokąd jadę i czym się zajmuję. To są sprawy służbowe, panie Marku - bardziej pouczyła kierowcę niż stwierdziła rzeczniczka.

Ekspert Komendy Głównej Policji po rozmowie z Reykowską-Motyl i Tadejem sugerował, że lancia mogła zostać rozerwana na skutek eksplozji ładunku wybuchowego. Skonstruował więc mikrobombę i umieścił ją w pobliżu tylnego zawieszenia samochodu. Doświadczalny wybuch spowodował identyczne efekty jak te, opisywane przez kierowcę i pasażerkę.

W kilka dni po pogrzebie stary Gruca ogłosił w telewizji, że jego syn zginął dlatego, że dużo wiedział o powiązaniach wśród polityków rządzących partii. Gdyby prokurator generalny nie zapowiedział swego wystąpienia w parlamencie, dowodził, obaj prawnicy dojechaliby żywi do Zielonejgóry.

- Bezpodstawne oskarżenie - rzekł z ironicznym uśmiechem minister sprawiedliwości do starego Grucy, przyjaciela z lat młodości.

- Domagam się rozpoczęcia śledztwa!

- Jak sobie życzysz. Sprawca tego wypadku nigdy nie stanie przed sądem. Tego jestem pewien. W polityce są sprawy,

o których lepiej nie wiedzieć - minister powiedział to tak,
jakby groził staremu Grucy.

Helsinki, os. Pispala, 28 września, południe

Zegar w salonie obok jadalni wybił jedenastą. Sadowski od dwudziestu minut jadł śniadanie. Gdy rozległ się zduszony brzęczyk telefonu, kamerdyner energicznym krokiem podszedł do sekretarzyki i podniósł słuchawkę.

- Rezydencja pana Antiego Hywarinena - powiedział po fińsku, kątem oka obserwując Sadowskiego. - Za chwilę poproszę. - Starannie dobierając słowa, Fin odezwał się po angielsku: - Proszę podejść do aparatu i przeprowadzić rozmowę. - Sadowski, wyrwany z zamyślenia, nie wszystko zrozumiał, kamerdyner więc powtórzył, tym razem jeszcze staranniej wymawiając każde słowo.

- Do mnie? - mimo to spytał Sadowski ze zdziwieniem. Od tygodnia łowił ryby i cieszył wzrok wymyślnie ukształtowaną architekturą podmiejskich osiedli. Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie odpoczywa. Nawet córce nie zostawił adresu. - Ktoś do mnie?

- Tak, proszę pana - usłużnie, ale nie służalczo powiedział kamerdyner.

- A kto dzwoni? - Sadowski poprawił włosy zsuwające się na czoło, lecz nie wstał, tylko odwrócił głowę, jakby nie dowierzał Finowi.

- Jeśli dobrze usłyszałem nazwisko, proszę mi wybaczyć ewentualną pomyłkę, to rozmówca nazywa się Jack Birnbaum.

- Nie znam nikogo o takim nazwisku. Pewnie pomyłka. - Dopiero po południu spodziewał się wiadomości od Krystyny.

- Zatem jakiej odpowiedzi mam udzielić? - spytał Fin, zakrywając mikrofon słuchawki dłonią.

Sadowski wytarł usta, ociężale podniósł się z krzesła, pochylony szedł z głową zwróconą w stronę okien, za którymi

harcowała wietrzna i deszczowa jesień. Taką pogodę lubił od dziecka.

– Słucham? – rzucił do słuchawki po angielsku.

– Zawalidroga została usunięta, panie premierze – usłyszał. Dałby głowę sobie uciąć, że jest to głos osoby duchownej.

– Kto mówi? Jaka zawalidroga?

– Nazywam się Jack Birmbaum. Pan mnie nie zna i nigdy się nie spotkaliśmy. Wykonuję jedynie płatne zlecenie. Powtarzam: zawalidroga została usunięta. Nic więcej nie mam do powiedzenia, panie premierze.

– Skąd pan dzwoni?

– Tyle mogę powiedzieć. Z Berlina.

– Kimże jest pański zleceniodawca? Kto panu...?

– Proszę nie dociekać. Swoje zadanie wykonałem, panie premierze. Do widzenia, być może w kraju.

– Do widzenia. – Niezadowolony Sadowski odłożył słuchawkę na widełki. – Niewiele z tego pojąłem – przyznał się kamerdynerowi, który jeszcze mniej rozumiał. – Birmbaum? Nazwisko pewnie zmyślone? Ciekawe, jak mnie odnalazł i na czyje polecenie?

– Czy już podać omlet?

Codziennie na śniadanie Sadowski jadł jajka, smażone na różne sposoby, najczęściej ze świeżymi rybami. Kamerdyner zawsze pilnował, aby Minna, szwedzka kucharka, nie usmażyła jajek za mocno. Sadowski często powtarzał, że najlepszymi kucharzami są otyli mężczyźni. A kamerdyner, nim na stałe zamieszkał w rezydencji Hywarinena, przyrządzał smaczkowite jedzenie w angielskich restauracjach hotelowych, bywał ze swoim chlebodawcą w Nowym Jorku, Buenos Aires, cztery lata spędził w kuchni ambasady fińskiej w Moskwie i Warszawie oraz pół roku w Tajpej na Tajwanie, gdzie jego pracodawca próbował dostać się do klanu właścicieli kopalń boksytów.

– Czyżby wiadomość była niepomysłna?

Sadowski zaprzeczył ruchem głowy i przygarbiony przeszedł do biblioteki, gdzie w gablotach z pancerneho szkła leżały manuskrypty Jana Sibeliusa, najznakomitszego ojca muzyki fińskiej, jak powiadał o nim Hywarinen, które kosztowały miliony dolarów. Te manuskrypty wyniosły mnie na fotel premiera, a jego uczyniły najbogatszym Finem, nie wiadomo który raz stwierdził Sadowski. Włączył telewizor, chwilę gapił się na ekran philipsa, lecz nie rozumiał ani słowa, sięgnął więc po gazety. W wydawanym w Tampere dzienniku *Aamulenhti*, w którym przy poparciu Hywarinena Krystyna zamieściła dwa jego artykuły, nie znalazł niczego interesującego. Może gdyby choć trochę znał fiński, miałby inne zdanie o piśmie Koalicji Narodowej, zaprzyjaźnionej z jego Porozumieniem Obywatelskim. Żałował, że nie prosił Lichaja, aby wysyłał mu *Gazetę Wyborczą* i *Rzeczpospolitą* pocztą kurierską, dostawałby je z dwudniowym opóźnieniem. Miał dwie możliwości: zatelefonować do Lichaja w Warszawie albo skontaktować się z ambasadą w Helsinkach. W obu sytuacjach musiałby ujawnić miejsce swego pobytu, a nie wolno mu tego zrobić. Lichaj wprawdzie wie, gdzie Sadowski odpoczywa, ale gdyby miał odpowiadać na jego pytania, mógłby powiedzieć słowo za dużo. W ambasadzie pracują osoby związane z lewicą, a z takimi Porozumienie Obywatelskie nie chce utrzymywać kontaktów. Oficjalnie, bo prywatnie jest inaczej. Przypomniął sobie, że przyjaciółka Lichaja od pierwszych dni września wykłada prawo podatkowe na Viadrinie we Frankfurcie nad Odrą. Gdyby z nią się skontaktować? Przy okazji mógłby sprawdzić, kim jest Birnbaum i w jaki sposób odnalazł go aż w Tampere. A czy nie lepiej zatelefonować do konsulatu w Malmö i poprosić sekretarza prasowego o garść wiadomości z kraju? rozwa-

żał. Przecież młody Gronostaj powinien być mi wdzięczny za posadę w Szwecji.

– Niech pan zamówi rozmowę z konsulem polskim w Malmö.

Może po pięciu minutach kamerdyner oznajmił Sadowskiemu, że przy telefonie czeka Gronostaj, lecz bardzo kiepsko mówi po angielsku. Toteż Fin próbował porozumieć się z nim najpierw po rosyjsku, później po niemiecku, niestety Gronostaj nie odpowiedział na żadne pytanie i bez przerwy powtarzał: *Pardon. Sorry.*

– Cóż ciekawego dzieje się w naszej kochanej ojczyźnie? – spytał Sadowski, wcześniej zdradziwszy Gronostajowi miejsce swego pobytu.

– Jest pan tak blisko, panie premierze, i nie daje...?

– Wyglądam książkę – przerwał mu Sadowski.

– Z dala od ukochanej ojczyzny lepiej się widzi problemy narodu.

– Owszem, panie doktorze.

– Miłosz swoje najlepsze utwory napisał na emigracji. Sołżenicyn też musiał uchodzić z ojczyzny. Brodski, gdyby pozostał w Rosji, byłby nikim. Dlatego Mrozek... Ja również zaraz po studiach powinienem być wybrać emigrację. Ze względów politycznych i moralnych. Pan też. Wtedy z zagranicy mógł pan kierować krajową opozycją i jak długo oczekiwany zbawca narodu na białym koniu wrócić do ojczyzny. Od dawna jest potrzebny nowy Piłsudski.

Ależ on głupi, pomyślał Sadowski. Dlaczego do dyplomacji pchają się jełopowate dupki? Kto ich wybiera?

– A co pan pisze, panie premierze?

– Wspomnienia. Ciągłe panuje moda na demaskowanie kuchni politycznej. Jak pan doktor się domyśla, ja również mam trochę do ujawnienia – skłamał zadowolony, że aku-

rat w tym momencie to mu przyszło do głowy. – Co słyszać w naszym kochanym kraju?

– Wieści są skąpe. Zresztą obie strony, mam na myśli koalicję rządzącą i opozycję, tylko biją pianę. Jak długo jest pan premier poza ojczyzną?

– O, już ponad miesiąc – znowu skłamał.

– A dotarło do pana, że w trudnych do wyjaśnienia okolicznościach zginął prokurator generalny? Niewiele mogę o nim powiedzieć, poza tym że nazywał się Kotkowiak. Nawet nie zapamiętałem jego imienia.

– Marcin Kotkowiak. Profesor prawa z Poznania.

– Zginął w wypadku drogowym. Podobno za kilka dni miał ujawnić coś bardzo ważnego na forum parlamentu. Czy akurat to należy łączyć z wypadkiem? Policja sądzi, że przyczyną tragedii była mgła i, co się z tym może wiązać, nieostrożność kierowcy.

Sadowski podziękował Gronostajowi za wiadomości. O Kotkowiaku jako o bezkompromisowym prokuratorze nieco słyszał, nie uważał jednak, aby solidność urzędnika państwowego mogła być jedyną przyczyną wypadku drogowego. A może jednak dostał się do źródła tajemnicy?... Długo stał wsparty o sekretarzyk i się zastanawiał, co takiego profesor zamierzał ujawnić przed posłami.

– Jadę do miasta! – zawołał do kamerdynera już ze schodów.

– Czy mam przygotować *lunch*?

– Nie, dziękuję. Coś przekąszę na uniwersytecie.

Zza kierownicy srebrzystego mitsubishi przypatrywał się drewnianym domom, jak przekupki przycupniętym wzdłuż uliczek rekreacyjnej dzielnicy Pispala. Za osiemdziesiąt lat, kiedy będę politycznym emerytem, chciałbym mieszkać w takim domku z kominkiem i drewnianym sufitem. Wstawałbym późno, sam pitrasiał śniadanko, czy-

tał, pisał i włóczył się, czasem odwiedzałbym znajomych, szedł do sauny albo nawet do knajpki, pomyślał. Wiosną sadziłbym pomidory i ogorki w ogródku, jesienią łowił sandacze i zbierał koźlaki, borowiki czy opieńki w pobliżu jezior Näsi i Pyhä, wciśniętych między prawie dziewicze lasy. Sadowski od dwudziestu lat był dziadkiem, ale często marzył jak dzieciak przed Wigilią, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze żaden jego pomysł nie doczekał się urzeczywistnienia. Mitsubishi zatrzymał na bezpłatnym parkingu przed ratuszem, skąd przez park było najbliżej do uniwersytetu.

Kiedy sześć lat temu przez miesiąc odpoczywał w Tampere, też spacerował po dziedzińcu uniwersyteckim, mimo to już zapomniał, w którym budynku jest katedra filologii zachodniosłowiańskich, zdecydował się więc szukać pomocy w sekretariacie rektora.

– Doktor Lichaj ma zajęcia dopiero po południu. Jest dwunasta czterdzieści pięć. O tej porze pani doktor powinna być w swoim mieszkaniu. Czy zna pan jej adres? – spytała po angielsku córka Hywarinena z pierwszego małżeństwa, gotowa natychmiast odwieźć go swoim autem przed dom Krystyny.

– Chyba Haameenkatu – odpowiedział niepewnie.

– Jednak zawiozę pana. – Uśmiechnęła się promiennie, a Sadowski stwierdził, że bardziej jest podobna do Hywarinena niż do jego pierwszej żony.

Helsinki, Haameenkatu, 28 września, wczesne popołudnie

Ledwie dotknął przycisku dzwonka, drzwi się otworzyły, jakby były na fotokomórkę, i stanęła w nich kobieta w kucym szlafrocisku. Z wrażenia, jakie musiał na niej wyrzucić, aż otworzyła usta i szybko zakryła je dłonią.

– Czyżbym cię zaskoczył?

– Facet na twoim stanowisku nie powinien nachodzić samotnej kobiety w jej mieszkaniu – powiedziała niby z wyrzutem.

– Znowu popełniłem *faux-pas*. I tym razem wybaczysz?

– Tobie miałabym nie wybaczyć? Nie jesteś pierwszym chłopem z ulicy, Romeczku. – Pocałowała go w oba policzki, ale nie jak dobra znajoma, z którą nie widział się kilka lat, lecz z czułością. – Niedawno wstałam – przyznała się, co miało usprawiedliwiać jej wygląd i zaprowadziła go do pokoju. – Trochę tu nieporządku, jak to bywa u Polaków pracujących za granicą.

– Ależ... – Chciał protestować, lecz ukłuty jej spojrzeniem tylko się roześmiał. – Zapomniałem o kwiatkach.

– Jeszcze żaden fatygant nie jechał za mną taki szmat drogi. Musi ci na mnie cholernie zależeć, Romeczku? Przyznaj się.

Nie odpowiedział. Z głową wciśniętą w ramiona usiadł w fotelu przy stoliku i zezował do kuchni, gdzie Krystyna stawiała wodę na kawę. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, ile ona ma lat. W łososiowym szlafrocisku przed kolana i płowych włosach sięgających ramion, wyglądała jak studentka ostatniego roku polonistyki.

– Cieszę się, że jesteś – powiedziała, przerywając milczenie. – Pewnie przywozisz wiele ciekawych dla nas dwójga wiadomości?

Znowu nie odpowiedział. Krystyna nie była przypadkową znajomą; zaprzyjaźnili się w redakcji, gdy redagował tygodnik diecezjalny. Ona pisała artykuły o sztuce sakralnej, trochę przekładała z języków skandynawskich i dorabiała w biurze tłumaczy rządowych. Później wyszła za mąż i przeniosła się do Łodzi, gdzie była asystentką na uniwersytecie. Po jej wyjeździe z Warszawy Sadowski nagle owdowiał. Dopiero w nowym tysiącleciu odwiedziła go w redakcji. Było to niespodziewane.

– Uniwersytet w Tampere poszukuje lektora języka polskiego. Jestem idealną kandydatką, bo znam, oprócz angielskiego, także rosyjski, trochę szwedzki i fiński. Roman, czy mógłbyś sprawić, abym dostała tę pracę? – spytała już w jego mieszkaniu przy Narbutta.

– Co na to Jacek?

– Zgodziłam się na separację bez orzekania winy. Może i lepiej, że właśnie tak się stało. Byłam kiepską żoną. Lubię niezależność. Jacek także. Nawet łóżko nie mogło nas połączyć.

Jego pomoc okazała się spóźniona, bo kiedy zatelefonował do ministra edukacji, poczta wiozła odpowiedź do Łodzi. Nigdy nie przyznał się Krystynie, że była jedyną kandydatką na lektorkę w Tampere.

– Zjesz ze mną śniadanie – zdecydowała za niego.

– Jestem po... Najwyżej wypiję kawę.

Usiadła w fotelu, nogę założyła na nogę, odsłaniając kolana.

– Nadal babrasz się w tej kurewskiej polityce – bardziej stwierdziła niż spytała. – Powinieneś wrócić do pisania, przypieprzyć komuś tak, żeby długo nie mógł oderwać dupy od stołka. Jesteś, Romeczku, lepszym publicystą niż politykiem. Jako publicysta możesz próbować zmieniać świat. A jako polityk jesteś w stanie jedynie zmienić swoją sekretarkę. Mylę się?

– Jakaś ty rozumna.

– Należysz do tych, którzy przed podjęciem nawet najbliższej decyzji długo zbierają wnioski. Twoje postanowienia są ostateczne, ale tylko w manufakturze tekstów, jaką jest redakcja. Polityk musi umieć kłamać jak lekarz przy łóżku chorego na raka płuc. Polityk, Romeczku, to taki gość, który gania za cudzymi żonami, poluje na żubry w ścisłym rezerwacie, chleje whisky i nigdy nie jest zalany, obiecuje, a nie dotrzymuje

słowa. To facet, który mataczy, kradnie, konspiruje i zawsze się uśmiecha. Umiera nagle. Najczęściej z powodu zawału serca. Czasem ginie w wypadku samochodowym. Uczciwy facet nie ma czego szukać w polityce. To jest zajęcie dla szajbusów. Wręcz idealnie nadaje się do polityki mój pierwszy mąż. Ciebie, Romeczku, polityka nie interesuje, ale nie masz odwagi do tego się przyznać. Ona cię katuje, drażni... Traktujesz ją niczym święty Krzysztof złodziei.

– Dostajesz wiadomości z kraju? – Uśmiechnął się. Krystyna odpowiedziała mu filuternym spojrzeniem, na które czekał. – Poza angielskim i rosyjskim nie znam żadnego innego języka.

– Gdybyś znał fiński, nie przyszedłbyś do mnie. Kupiłbyś sobie *Helsingin Sanomat* albo miejscową *Aamulehti* – powiedziała z wyrzutem. Nie umiała się gniewać, zaraz parsknęła perlistym śmiechem i jeszcze bardziej odsłoniła kolana. – Palancik z ciebie, Romeczku. Niech mnie nagła krew zaleje, że jednak jesteś trochę jak Jacek.

– Tak wyszło. Mogę pochylić głowę przed tobą i przeprosić cię, nic więcej.

– Pewnie siedzisz u tego szachraja w kieszeni?

– Hywarinen to człowiek interesu. Biznesmen i kolekcjoner dzieł sztuki. Kiedyś Finowie postawią mu okazały pomnik.

– Mnie nie przekabacisz na swoją stronę. Ale przecież mogłeś zadzwonić.

Nawet nie umiał skłamać, żeby się usprawiedliwić.

– Przyszedłem, bo z tobą można porozmawiać jak z kumplem.

– To już nie uważasz mnie za swoją najlepszą przyjaciółkę? Powinieneś jeszcze pamiętać, ile jest we mnie ognia.

Spuścił głowę na piersi, bo nie wiedział, jak się zachować.

– Radio helsińskie podało wczoraj wieczorem, że w wyborach do polskiego parlamentu uczestniczą kandydaci

dwunastu partii. Co to są za kandydaci i jakie mają szanse, na pewno wiesz lepiej niż oni. W każdym razie Finowie stawiają na Porozumienie Obywatelskie i na ciebie, Romeczku.

– Tak? – zapytał z zaskoczeniem w głosie, oczekując, że Krystyna doda jeszcze coś miłego. – Mimo fatalnej opinii klerykałów na sukces powinien również liczyć lider nowej lewicy.

– Nikt rozsądny nie odda głosu na srajmuchę.

– Nim się nie przejmuj. Twoim najpoważniejszym rywalem będzie ludowiec, bodajże Reykowski.

Machnął ręką lekceważąco.

– Cham, nic więcej.

– Powtórzyłam ci rozważania fińskich komentatorów politycznych. Ja, Krystyna Lichaj, na ten temat nie mam żadnego zdania. Poza tym jak w przeszłości, tak i teraz całą politykę mam głęboko w...

– Rozumiem, rozumiem – przerwał jej zachmurzony. Spodziewał się wariantowej oceny ze strony Finów. A dlaczego nie wymienili Pawlaka i Kaczyńskiego, a jedynie Reykowskiego? – Czy padały inne nazwiska?

– Jeśli idzie o kandydata na premiera, to... nie. Cały świat wie, Romeczku, że twoi konkurenci odpadną w eliminacjach.

Sadowski uśmiechnął się zadowolony, lubił takie komentarze. Mimo to powiedział:

– Nie jestem przekonany, że słusznie postępuję. To ogromna odpowiedzialność.

Krystyna wcisnęła klawisz odtwarzacza, flegmatyczna i trochę przytłumiona muzyka Sibeliusa wciskała się do uszu, ale Sadowski nie słyszał, jak *Tapiola* brzmi poza salą filharmonii, miał głowę zajęłą rozważaniami nad tym, co mu Krystyna powiedziała. I niczego nie widział, chociaż wzro-

kiem dotykał jej kolan, wymykających się spod rozchylonego szlafrocza.

– O wypadku na drodze między Poznaniem a Zielonągorą zapewne już wiesz. Wszystkie radiostacje, nie pomijając BBC, o niej trąbią.

– Aha. – Podniósł wzrok na jej usta. Powoli wracał ze świata rozważań, który sobie często stwarzał.

– Rządowe radio helsińskie przypuszcza, powołując się na Reutersa, że to nie był zwyczajny wypadek. Wprawdzie jechali szybko i droga tonęła we mgle, ale przecież kierowca miał przeszłość rajdową.

– O co chodzi? – Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie rozumie, o czym ona mówi.

– Nowy prokurator generalny, Marcin Kotkowiak, zginął w wypadku drogowym na autostradzie. On i jeszcze ktoś z prokuratury. Kierowca i siedząca obok niego pasażerka wyszli mocno potłuczeni. Policja nie podaje, co było przyczyną wypadku. Agencje radiowe przypominają, że prokurator miał ujawnić przed posłami coś, o czym nawet nie powinien wiedzieć. Prokurator zebrał stuprocentowe dowody winy...

– Czyjej? – przerwał jej.

– Tego nie słyszałam. W czasie przesłuchania pasażerka wymieniła nazwisko byłego mojego małżonka, a twojego przyjaciela, który podobno w kuluarach sejmowych powiedział, że prokurator generalny może i wejdzie do gmachu na Wiejskiej, ale nigdy nie stanie na mównicy.

Sadowski zbladł, natychmiast zatopił głowę w dłoniach i się pochylił.

– Gdyby całą czwórką poszli do świętego Piotra, inny prokurator musiałby sprawę umorzyć, bo nie byłby w stanie niczego wyjaśnić.

– A więc zrządenie losu – powiedział głosem miękkim. – *Dieu le veut.*

Krystyna rozłożyła się w fotelu, nie zważając na to, że jej gość jest obecny myślami gdzieś z dala od Tampere. Nigdy nie interesowała jej polityka, a polityków uważała za face-tów pozbawionych humoru, nadętych i z oznakami choroby psychicznej. Kiedy więc dwadzieścia minut temu otworzyła drzwi i zobaczyła Sadowskiego na korytarzu, pomyślała o nim wyłącznie jak o mężczyźnie, który nigdy nie był jej obojętny.

– Gdy rozmyślasz, Romeczku, jesteś jeszcze bardziej męski. – Wstała z fotela. – Chcesz kieliszek brandy?

– Dobrze mi robi. Właśnie miałem zamiar poprosić cię o coś mocnego.

Objęła go za szyję i mocno się przytuliła, aż poczuł rajski zapach jej piersi.

– Znałem Kotkowiaka – powiedział szeptem. – Wyjątkowo zacny, łatwowierny i serio traktował swoje zadania. Żaden profesor nie powinien brać się za politykę.

– Ty również uważasz się za jedyne go kandydata na zbawcę kraju. W pojedynkę niewiele można zdziałać. Dlatego ludzie sprzęgają się w pary. Pary łączą się w grupy. Grupy jednoczą się, wybierają swoich przywódców. I dopiero przywódcy walczą o władzę.

– Słusznie. – Cmoknął ją w czoło.

– Jednym, na przykład, profesorem, Pan Bóg dał mądrość i ci nie wojują o miejsce przy rządowym stole. Drugim odebrał rozum, żeby zostali politykami, a ci biją się o każdy kęs z półmiska władzy.

– Jak cię, Krysiu, nie lubić – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Położyła się na łóżku, rozpięła szlafroczek i spod lekko przymkniętych powiek patrzyła, z jaką pedantycznością Sadowski zdejmuje koszulę, spodnie, podkoszulek, skarpety i bokserki. Ani nie był dobrze zbudowany, ani stanowczy,

nawet nie potrafił opowiadać dowcipów. Od czasu rozwodu miała sporo okazji wyjść za mąż, żadnemu mężczyźnie nie odważyła się powiedzieć: tak. Gdyby Sadowski spytał, czy zostanie jego żoną, nawet sekundy nie czekałby na odpowiedź.

– Powinienes się ożenić.

– Ja? – oparł się o poręcz łóżka. – A która zechce wdowca?

– A ja – błysnęła oczami w stronę Sadowskiego.

Helsinki, os. Pispala, 28 września, pora obiadowa

Kamerdyner nakrył do stołu. Hywarinen wrócił wcześniej z centrali swoich firm, mieszczącej się w wieżowcu gdzieś w pobliżu hotelu Tammer. Gdy Sadowski wszedł do rezydencji, poczuł zapach smażonych lub pieczonych ryb.

– Któż się domyślił, że mam niebywałą ochotę na sandacza po litewsku? – zagadnął, a ujrzawszy Hywarinena w jadalni, oznajmił: – Ryby w każdej postaci mógłbym jeść codziennie.

– Dziś jest poniedziałek, proszę pana – przypomniał mu kamerdyner. – Pani Hywarinen zarządziła, że na obiad w każdy poniedziałek mają być ryby. We wtorki podajemy na stół wołowinę w sosie. W środy coś z kuchni śródziemnomorskiej. W czwartki...

– ... dania z renifera. W piątki wyłącznie duszone jarzyny. W soboty wieprzowina.

– Nie, panie premierze, w tym domu nie podaje się wieprzowiny – powiedziała pani Hywarinen, zatrzymując się w drzwiach. – Antti pewnie byłby zadowolony, gdyby na stole pojawił się kotlet schabowy, niestety, lekarz uznał ten rodzaj mięsa za szkodliwy dla jego zdrowia.

Kamerdyner wniósł wazę z zupą, najpierw podszedł do pani Sonii, później do Sadowskiego, a na końcu do gospodarza rezydencji.

– Co to jest? – zaniepokoił się Hywarinen, pociągając nosem.

– Grochówka – pośpieszył z wyjaśnieniem Sadowski. – Najbardziej lubiana polska zupa.

– Gotowana na wędzonce – stwierdziła pani Sonia wyraźnie niezadowolona. – W jakim języku udzielił pan lekcji kucharce? – spytała Sadowskiego.

Pani Sonia zaraz po studiach muzycznych rozpoczęła karierę śpiewaczą w Operetce Warszawskiej, tam ją poznał Hywarinen, gdy pracował w biurze radcy handlowego ambasady fińskiej. Dla niej rozwiódł się z bogatą Szwedką, z którą ma Marię-Lisę i syna Veikka, konsula w Gdyni. Gdy Hywarinen zrezygnował ze służby zagranicznej, wziął ślub z Sonią i zajął się handlem na własną rękę. W pobliżu granicy z imperium rosyjskim ma mieszalnię środków ochrony roślin, browar, przetwórnictwo mięsa i fabrykę czekolady, a na przedmieściach Tampere zbudował montownię sprzętu audiowizualnego i studia nagrań. Po upadku rządów komunistycznych w krajach na wschód od Łaby zaczął opłacać tę część kontynentu gęstą siecią filii swoich firm. W Warszawie umieścił centralę, bank i fundację na rzecz wspierania demokracji. Na raucie w ambasadzie fińskiej poznał Jacka Lichaja. Od *chargé d'affaires* dowiedział się, że była żona Lichaja uczy języka polskiego na Uniwersytecie Tamperańskim, on zaś jest szarą eminencją Porozumienia Obywatelskiego, któremu formalnie przewodzi Sadowski.

– Ten niechlujny człeczyna, wyglądem przypominający drwala z puszczy pod Kuusamo, ma więcej oleju w głowie niż cała partia z jej przewodniczącym na czele – powiedział o Lichaju fiński dyplomata do Hywarinena. – Jeśli pan sobie życzy, przedstawię go panu i pańskiemu ojcu.

– Miło mi – odezwał się po angielsku głosem chropawym Lichaj, aż do bólu ściskając dłoń najpierw starego Hywa-

rinena i potem jego syna. – Panowie, potrzebujemy waszego wsparcia. Nie słów. Nie otuchy. Teorii i teoretyków także mamy za wiele. Potrzebujemy... forsy. Pomożemy w prowadzeniu handlu. Wskażemy naszych doradców, wykształconych na uniwersytetach amerykańskich. Zarobicie u nas jak nigdzie na świecie, ale najpierw musicie dać nam forszę.

Gdy już było jasne, że Porozumienie Obywatelskie wystawi Sadowskiego jako swego kandydata na urząd premiera, Lichaj przypomniał sobie o starym Hywarinenie. Za pośrednictwem konsula w Gdyni zaproponował dziewięciu przedsiębiorcom fińskim utworzenie spółek w Polsce. A ponieważ jedynie Antti Hywarinen szukał nowych rynków zbytu w Europie, wyłącznie on odpowiedział na propozycję Lichaja. Od tego czasu część zysków Fina trafia do kasy Porozumienia. Tyle wiedział Sadowski. Domyślał się, że Lichaj nie o wszystkim informuje zarząd partii, a w walce o władzę jego ustawia na miejscu tarczy.

– Jak pan spędził dzionek? – odezwał się znad talerza Hywarinen.

– Zwiedzałem centrum miasta – odparł Sadowski, pierzchając wzrokiem za okno. Przez moment widział Krystynę pochyloną nad nim, zmęczoną, lecz i uśmiechniętą. Na to wspomnienie zrobiło mu się przyjemnie. Nawet nie przypuszczał, że jeszcze jest taki witalny.

Pani Sonia była uniwersytecką koleżanką Krystyny i wiedziała, że Sadowski dziś się z nią spotkał, ale nie powiedziała tego mężowi. Wobec Krystyny miała dług wdzięczności, bo gdyby nie ona, manuskrypty Sibeliusa nadal by leżały w sejfach poza Finlandią. Nie tylko rękopisy młodzieńczych kompozycji, uznane za zaginione razem ze zbiorami berlińskimi w czasie drugiej wojny światowej, ale i listy od najznakomitszych muzyków, a nawet zwyczajne notatki. Pani Sonia pod-

niosła wzrok na męża, dając mu do zrozumienia, że w obecności Sadowskiego nie o wszystkim powinni rozmawiać.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Hywarinen dał znak oczyma kamerdynerowi. Po minucie do salonu wszedł młody mężczyzna.

– Oto niespodzianka – gospodarz powiedział po angielsku i przedstawił Sadowskiemu gościa: – Inżynier Sobol z zakładów Finpol w Zielonej Górze. Dziś rano wyleciał z warszawskiego Okęcia, dwie godziny później był na helsińskiej Vaandzie, a o trzynastej z minutami ścisnąłem jego dłoń w Tampere. Zapraszam do stołu i niech pan mówi, co słychać między Odrą a Bugiem.

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, 29 września, wczesne przedpołudnie

Pochodzący z rodziny ziemiańskiej minister sprawiedliwości, wedle Wikipedii absolwent uniwersytetu w Newcastle, profesor prawa w Glasgow i Heidelbergu, zapomniał zabrać ze sobą dokumenty partyjne, które dwaj adwokaci z Berlina przygotowali na jego prośbę. Nagle wezwany do Kancelarii Prezydenta, przerwał zebranie z prezesami rad regionalnych, kazać im czekać na swój, jak się spodziewał, tryumfalny powrót. Sądził, że wreszcie porozmawia z głową państwa o tym, jak wygrać wybory z partią Sadowskiego.

– Długo jeszcze będę tu tkwił w oczekiwaniu na wyznaczoną audiencję? – spytał gniewnie mężczyznę w mundurze kapitana kompanii reprezentacyjnej, pełniącego służbę w biurze przepustek Pałacu Prezydenckiego.

– Pan minister, ośmielam się zauważyć, przybył kwadrans za wcześniej – kapitan powiedział to z niezwykłą uprzejmością i głosem przeciągłym dodał: – Proszę zatem spocząć w fotelu.

Minister nie tylko kierował resortem sprawiedliwości, lecz również był szefem największej wśród trzech partii lu-

dowych, powstałych z kilku stronnictw chłopskich zaraz po upadku poprzedniego systemu politycznego. Jego ugrupowanie, jak twierdził gdzie tylko mógł, istniejące w podziemiu od blisko pięćdziesięciu lat, jest w stanie utworzyć rząd samodzielnie albo w koalicji z obozem chrześcijańskim. Coś podobnego wygłaszali przywódcy pozostałych partii, a już najpewniej czuli się liderzy Ruchu Centrum. Ich najpoważniejszy przeciwnik, czyli Porozumienie Obywatelskie, odsunięte od rządzenia państwem po drugiej aferze walutowej, było w opozycji do wszystkich ugrupowań. Gdyby jednak prezydent powierzył lewicowcom sformułowanie nowego gabinetu, partia Sadowskiego poszłaby z nimi pierwsza za cenę kilku stanowisk ministerialnych. Żadne ugrupowanie nie miało własnego, ułożonego z sensem programu politycznego, ponieważ wszystkim chodziło o to samo: zdobyć władzę choćby na kilka miesięcy. Dlatego zawsze bezpartyjny Reykowski w tajemnicy przed bratem biskupem przystąpił do Powszechnego Stronnictwa Ludowego. Gdyby nie oszczędności żony i jego angielska emerytura, o partii byłoby cicho. Cokwartalne kolegia z prezesami rad regionalnych Reykowski organizował w sali obok swego gabinetu, koszty wydawania biuletynów partyjnych pokrywało ministerstwo, a jeden spośród jego siedmiu doradców był również sekretarzem generalnym stronnictwa. Identycznie postępował minister oświaty z Partii Liberalno-Konserwatywnej, a minister przemysłu umieścił sekretariat Partii Pracy w pokoju swego czwartego zastępcy.

– Minęła dziesiąta – rzucił buńczucznie Reykowski i pokazał głową na zegar nad drzwiami szefa Kancelarii Prezydenta.

Kapitan najpierw zerknął na swój zegarek, jakby nie do wierzał czasomierzowi oficjalnemu, potem na ekran monito-

ra pokazującego, co dzieje się za drzwiami, wstał, obciągnął mundur i dopiero wtedy powiedział:

– Pan minister będzie uprzejmy wejść. Szef Kancelarii Prezydenta czeka na pana.

– A... – Reykowski zatrzymał się w pół kroku, z otwartymi ustami stał tak chwilę i patrzył na oficera jakby nie wszystko zrozumiał. – Szef kancelarii?

– Tak, panie ministrze – powtórzył kapitan zdecydowanie.

– Miałem rozmawiać z prezydentem.

– W wykazie dostarczonym dziś rano na moje biurko, wśród osobistości, które ma przyjąć prezydent, nie ma nazwiska pana ministra – zgasił go oficer, jeszcze raz wskazując drzwi gabinetu szefa kancelarii.

Reykowski spurpurowiał, zacisnął dłonie i usta, może minutę stał z jedną nogą wysuniętą, w końcu machnął ręką zrezygnowany.

– Proszę się pospieszyć, panie ministrze. Za dziesięć minut szef kancelarii będzie towarzyszył prezydentowi w rozmowie z literatami.

Minister wszedł do gabinetu. Nie zamknąwszy za sobą drzwi, zatrzymał się przed długim stołem, dzielącym pomieszczenie na dwie nierówne części. Czekał, aż Block wstanie, wyciągnie do niego rękę i wskaże krzesło.

– No, co tam było z tym wypadkiem, ministrze? – spytał szef kancelarii, nawet nie podnosząc się zza gigantycznego biurka.

Najłagodniej jak tylko potrafił, Reykowski się odezwał:

– O który wypadek pan pyta?

– Lancia we mgle.

– Na razie wiem tyle, ile wyczytałem w gazetach – odparł sucho minister sprawiedliwości. – Czy wyłącznie w związku z tą sprawą zostałem zaproszony do pana prezydenta?

– Do prezydenta?... Pan myśli, że prezydent nie ma co robić i zajmuje się takimi głupstwami jak wypadki na drogach?

– Jeśli tak, to pozwalam sobie zauważyć, iż mógł pan minister skontaktować się ze mną przez telefon.

Block oparł się wielką głową o poręcz fotela, śmiał się przez połówkę od tytoniu zęby i jak śledczy bębnił paluchami po blacie biurka. Był to mężczyzna może czterdziestoletni tak niskiego wzrostu, że minister sprawiedliwości widział spod drzwi tylko czubek jego błyszczącej łysiny. Ludzie urodzeni w domach ziemiańskich wraz z mlekiem matki wysysają zasady kultury osobistej, pomyślał Reykowski. Jeszcze nigdy nie rozmawiałem z księciem, hrabią, lordem czy grafem, a tym bardziej z prezydenckim ministrem stanu, który by wyglądał jak kukła ugnieciona z gliny. Nawet członkowie mojego stronnictwa, a są to przecież wieśniacy z dziada pradziada, gdy pokazują się publicznie, to z największym szacunkiem wobec słuchaczy.

– Wezwałem pana, Reykowski, po to, żeby pogadać o wypadku. Prezydent jest zaniepokojony tym zdarzeniem, jak i innymi sprawkami dziejącymi się przed wyborami.

– Ja i moi współpracownicy również.

– No to ładnie. A co jużście ustalili?

– Na razie... niewiele – odrzekł minister szczerze.

– Powtórz pan, bo pewniem źle usłyszał. – W głosie Blocka była drwina, jakiej Reykowski się nie spodziewał.

– Na razie jest to zmartwienie resortu spraw wewnętrznych. Ja zajmuję stanowisko ministra sprawiedliwości. Ustawa o tym urzędzie jasno określa moje obowiązki i prawa.

– To by znaczyło, panie Reykowski, że śledztwem powinna się zająć policja pod nadzorem prokuratora generalnego. Dobrze se kombinuję?

– Pod nadzorem prokuratury.

– Jaka różnica?

– Okoliczności wypadku bada policja pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze.

Block eksplodował:

– Z byka żeś spadł, minister?! Sprawa takiej wagi w rękach prowincji?! – Z siłą kowala grzmotnął pięścią w biurko. – Zajmiesz się tym osobiście, Reykowski! I to natychmiast!

– Jestem ministrem sprawiedliwości. Z mocy ustawy nadzoruję działalność tego resortu. Nie jestem ani pierwszym prezesem Sądu Najwyższego, ani prokuratorem generalnym.

– I co z tego?

– A to, że nie mogę zajmować się sprawami, które nie należą do moich zadań konstytucyjnych.

– Jak prokurator generalny wyjeżdża, dajmy na to, do sanatorium albo na babki, kto go zastępuje?

– Pierwszy zastępca, obecnie doktor Wilczek, notabene członek kierownictwa Porozumienia Obywatelskiego, a uprzednio regionalny przywódca Ruchu Centrum w Małopolsce.

– I cóż, minister, chciał przez to powiedzieć?

Boże, jak on mnie traktuje? Minister zacisnął dłonie.

– Nie zrozumiałem pytania.

– Prawda to – zaczął innym tonem Block – że Kotkowiak zebrał dowody świadczące o nadużyciach gospodarczych w czasie rządów Sadowskiego? Pytam o to, o czym trąbią gazety – dodał i dopiero teraz pokazał Reykowskiemu krzesło.

Minister zawahał się, ale usiadł i odetchnął.

– Prokurator generalny nie ma obowiązku informowania ministra sprawiedliwości o efektach swojej pracy. Skoro pan zadał pytanie, postaram się w miarę swojej wiedzy na nie odpowiedzieć. Otóż Kotkowiak formalnie nie należał do żadnej partii. Powinności prokuratora generalnego traktował najpoważniej. Był dobrym znajomym prokuratora generalnego Niemiec, w przeszłości wykładał na uniwersytecie

w Heidelbergu, napisał bodajże osiem rozpraw o roli prokuratury w systemie demokracji parlamentarnej. Wszystko to starał się wykorzystać w służbie państwowej.

– Dobrze, dobrze, Reykowski – przerwał mu Block. – Zebrał jakieś haki czy ino straszył?

– Skoro zamierzał wystąpić w sejmie, a obaj wiemy, że miał taki plan, to chyba nie dlatego, żeby popisywać się przed posłami.

– Ciężko się z panem gada, minister. Młody sekretarz stanu wiedziałby, jakiej odpowiedzi oczekuje prezydent.

Reykowski przemilczał tę uwagę. Był poirytowany, mimo to starał się zachować spokój.

– Z tego, minister, co żem usłyszał, wyciągam taki wniosek: posłowie nie poznają raportu prokuratora generalnego. A może jego zastępca, Wilczek, zechce wystąpić w izbie?

– Nie wiem – odparł minister, dając szefowi kancelarii do zrozumienia, że go lekceważy.

Block to wyczuł.

– Przyjmie pan prezes zaproszenie Ruchu Centrum na dyskusję o nowej polityce gospodarczej państwa? Zamierzamy, a mówię to w imieniu ścisłego kierownictwa mojej partii, jeszcze przed wyborami jasno określić drogi rozwoju kraju. Żeby rząd, który po rozwiązaniu parlamentu stworzymy wspólnie z wami, i być może z kimś jeszcze, natychmiast wziął się do roboty.

– Jesteśmy przygotowani do każdej rozmowy, jednak najpierw musimy określić zasady umowy koalicyjnej na wszystkich poziomach współpracy.

– Jak chłopstwo opowie się za waszym kandydatem, a nasz zdobędzie głosy miasta, to Sadowski przepadnie, panie minister. Mamy na niego takiego haka, że gdy ogłosimy o co chodzi, pan Roman nie dostanie nawet jednego głosu.

Jesteś zbyt pewny siebie, pomyślał o nim Reykowski.

– Dłużej nie wolno czekać. Zmarnowaliśmy tyle lat. Tyle lat zmarnowaliśmy, panie prezesie – powtórzył z naciskiem Block. – Przez te lata było można, gdybyśmy sprawowali władzę w koalicji, ho... ho...

Naiwny skaucik, ocenił go w myślach Reykowski, ale powiedział co innego:

– W tej sprawie jesteśmy zgodni, chociaż, pozwalam sobie zwrócić uwagę pana na to, że ludowcy zasiadają we wszystkich rządach, poczynając od pierwszego gabinetu premiera Mazowieckiego.

– Formalnie, minister, ino for-mal-nie.

Block wstał zza biurka, założywszy ręce do tyłu, w niedopiętej marynarce ruszył w stronę Reykowskiego. Pigmej nie tylko że niski i brzuchaty, to jeszcze stawiający swoje króciutkie nogi niby kaczor w zagrodzie, ocenił go Reykowski, który uważał, że na sukces polityka ma wpływ również jego wygląd. Z konusem miałbym się wiązać? Kim był jego ojciec? Może fornałem albo parobkiem? Kiedyś zadam mu to pytanie, postanowił.

– Pierw trza się dowiedzieć, co zebrał świętej pamięci Kotkowiak. Nie uważam, aby było to poza zasięgiem urzędu ministra sprawiedliwości – stwierdził Block, wycierając nos papierową chusteczką. – Pewnie niczego nie ma, no, ale tak trza, nie, minister? Ta, no, Reykowska-Motyl, co przeżyła wypadek, gadają, że to pańska córka.

Boże, nie tylko prymityw fizyczny, lecz i pozbawiony subtelności, ocenił go w myślach Reykowski.

– Żałuję, wierz mi pan, iż Kotkowiak nie pokaże się w sejmie. Może miałoby to wpływ na kampanię i ostateczne wyniki wyborów. Także na naszą koalicję.

– A jeżeli profesor Kotkowiak uzyskał potwierdzenie o nielegalnym handlu bronią, alkoholem i czym tam jeszcze? Jeśli na jego liście znalazły się osoby zasiadające w dzisiejszych

władzach? I jeśli te osoby już dostały się do dokumentów profesora?

Block zdrętwiał.

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, 29 września, południe

Panna Iwetta, nieźle wykształcona i niepospolitej urody, wprawdzie podniosła głowę znad starego numeru *'Time'a*, gdy Block wszedł do sekretariatu, ale zrobiła to z lekceważeniem. Miała niewiele zajęć u centrystów, toteż czasem występowała w roli tłumaczki i przewodniczki szefa lub jako osoba towarzysząca delegacjom z zagranicy. Od wiosny Kleszcz jest zajęty przygotowaniami do wyborów, podróżuje rzadko i najdalej do Berlina albo do Brukseli, więc panna Iwetta, oficjalnie zatrudniona jako asystentka przewodniczącego, nudzi się, podnosząc słuchawkę telefonu lub podając gościom szefa kawę czy herbatę.

– Kwitniesz jak pomarańcza w kibucu – palnął Block, aby zwrócić na siebie uwagę Iwetty. – Będzie lepiej, ja to ci mówię.

Asystentka skrzywiła pulchne usta i z wyraźną obojętnością wzruszyła ramionami. Lgnęła do mężczyzn, lecz gardziła konusami i gejami, a nieźle się orientowała, kto jest kim wśród centrystów.

– Zastażem sekretarza generalnego?

Przytaknęła. Nikt nie lubił Kleszcza, a Block musiał go tolerować. Inny sekretarz Ruchu Centrum stawiałby warunki, może nawet zabiegał o odrobinę władzy w kraju, Kleszcz nigdy o czymś takim nie wspominał, domagał się jednego: aby jego nazwisko pojawiało się nie tylko w gazetach, radiu i internecie, lecz i w telewizji publicznej. W gruncie rzeczy na niczym się nie znał, niewiele umiał, a pracę doktorską napisał u znajomego docenta, zresztą już wyrzuconego z uniwersytetu z powodu, jak to określił dziekan wydziału prawa, nadużywania dobra wspólnego do celów prywatnych. Block przypuszczał, że Kleszcz kiedyś

się upomni o jakieś stanowisko państwowe, dlatego czym prędzej powinien się go pozbyć, bo skompromituje całą ideę centrystyczną. Jednak do niedzieli wyborczej muszą być razem, a to jeszcze ponad miesiąc.

– Wy-gra-my! – skakał i skandował jak kibic na koronie stadionu Kleszcz, gdy Block wtoczył się do jego gabinetu, pełnego afiszów, ulotek, biuletynów.

– Musimy. Po to tu jesteś, doktorku.

– Jako prawnik...

– Jakiż z ciebie prawnik, Włodziu? – drwiącym tonem przerwał mu Block.

– Mam dyplom w skórzanej oprawie z wytłoczonym złotym orzełkiem.

– Tyś taki prawnik, jak ja ortopeda. Też mam papiery z wszystkimi podpisami i pieczęciami, ale pewnie wolałbyś, żebym cię nie operował. Ty, jeśli masz gdzieś szansę zaistnieć, to wyłącznie w polityce.

Kleszcz tylko na to czekał, poczuł się dumnie i znowu opowiadał swoje pomysły o rozwoju partii, lecz tym razem Block nie był ciekawy jego wydumanych koncepcji.

– Czy już dowiedziałeś się, co Kotkowiak miał w torbie?

Doktor udał, że się zastanawia.

– E...

– Komu by pomógł, a komu zaszkodził? Gdzie są jego papiery?

– Jako prawnik... – zgaszony karcącym spojrzeniem Block urwał i zamilkł na kilkanaście sekund. – Nasi ludzie są w policji.

– Oficjalnie, Włodziu, ich tam nie ma.

– Znam tajniaków, pismaków, urzędasów, ich sekretarki.

– No to, co żeś postanowił? – rzucił Block, niczego nie oczekując od sekretarza generalnego Ruchu. Nie pierwszy raz żałował, że Kleszcz nie ma umysłu Lichaja.

– Sprawę należy rozważyć z różnych stron. Jakieś wyjście musi być. A czy trzeba mówić prawdę? Można ogłosić byle co. Na przykład, że Kotkowiak był sympatykiem lewicy i na jej prośbę zbierał haki. Nim cokolwiek się wyjaśni, będzie po wyborach.

Z kim ja muszę pracować? pomyślał Block, ale kiwnął głową, jakby popierał plan Kleszcza.

– Tym się zajmie Iwetta – rzucił sekretarz.

– Ufasz jej?

Ojciec panny Iwetty najpierw był kimś w administracji Uniwersytetu Warszawskiego, później wygrał w pokera stanowisko *chargé d'affaires* ambasady w Waszyngtonie, liczył jednak na więcej i nawet niewiele brakowało, a zostałby ambasadorem w Helsinkach. Do Finlandii jednak pojechał jego pryncypał, który tego dnia oszukiwał najzręczniejszy, chociaż, trzeba o tym wspomnieć, umiał grać w pokera jak mało kto spośród uniwersyteckich urzędników.

Po zakończeniu służby dyplomatycznej za oceanem zostawił córkę u znajomego Żyda w Chicago, gdzie Iwetta kończyła studia. Miał nadzieję, że jedynaczka dobrze wyjdzie za mąż, a on na stare lata znajdzie miejsce pod jej dachem. Zaraz po przyjęciu Polski do Unii Europejskiej Iwetta wróciła do Warszawy jako oficjalna korespondentka kilku dzienników amerykańskich. Nikomu nie przyznała się, że została wyznaczona do grania innej roli niż jej ojciec oczekiwał. Albo nie miała talentu, albo CIA wyszkoliła ją niedostatecznie, albo też nie sprzyjało jej szczęście. Pierwsza informacja panny Iwetty została przechwycona przez polski kontrwywiad. Wpływy jej ojca jednak jeszcze były znaczne i wiedział, z kim rozmawiać, aby jedynaczka nie stanęła przed sądem wojskowym. Namówiona przez swego opiekuna, którym wtedy był starszy brat Kleszcza, wyprowadziła się z domu rodzinnego, zerwała wszelkie nitki z ojcem, żywiąc do niego żal i pretensję. Stary

długo nie cieszył się swobodą emeryta, zmarł nagle w daczynie ministra sprawiedliwości. Córce zostawił ogromne mieszkanie w centrum Warszawy i opinię agenta CIA.

– Jeśli Iwetta odmówi...? – spytał Block.

– Mam na nią haka. I to takiego, szefie, że na pewno nie odmówi. Prędzej się ze mną puści.

Warszawa, al. Niepodległości, 29 września, późny wieczór

Nawet na rautach dyplomatycznych i w saunach hotelowych rozprawiano o tym, co Kotkowiak zamierzał powiedzieć do posłów. Jedni, a była ich większość, przekonywali, że prokurator nie zebrał żadnych oskarżeń, drudzy, udający opozycję parlamentarną, byli pewni, że w teczce profesora znajdowały się materiały obciążające najważniejsze osoby w państwie. Ale, pytali jedni i drudzy, gdzie jest ta teczka?

– Pan, kolego, musi sprawę wyświecić. – Reykowski wziął Wilczka pod ramię jak wdowiec starą pannę wypatrzoną na balu i wyprowadził go aż za drzwi sali bankietowej. – Prezydent się niepokoi. Kilku szefów wiodących resortów zadaje pytania, na które, niestety, ja nie potrafię udzielić jasnej odpowiedzi. Czy w takiej sytuacji naród nie powinien otrzymać autorytatywnego wyjaśnienia?

– Przykro mi bardzo, panie ministrze, ale o zawartości teczki wiem niewiele. Prawdę mówiąc, gdyby nie domysły prasy, pozostawałbym w zupełnej niewiedzy. – Wilczek uśmiechnął się nieznacznie. A jednak mam okazję zająć miejsce po Kotkowiaku, pocieszył się w myślach.

– Abewu zgromadziła jakieś oświadczenia.

– To też podały gazety.

– O ile znam bezpiekę, najważniejsze tajemnice zachowała dla siebie. Radzi mi pan odbyć spotkanie z szefem Abewu?

– Pan minister wie najlepiej, jak należy postępować w takiej sytuacji. Na mnie oczywiście może pan liczyć – odrzekł

z chytrym uśmieszkiem zastępca prokuratora generalnego, wprawiając tym Reykowskiego w zakłopotanie.

Punktualnie o dwudziestej do biblioteki wszedł sekretarz ambasady, poczekał chwilę, aż gwar przygaśnie i rzekł uniwersytecką polszczyzną:

– Państwo będą uprzejmi udać się do sali bankietowej.

Gdy wszyscy stanęli półkolem za stołem pełnym półmiseków, talerzy i talerzyków, noży i widelców, butelek i karafek, sekretarz poprosił ambasadora o wygłoszenie przemówienia.

– Nareszcie zostaniemy poinformowani, po co nas tu zaproszono – szepnął nieszczerze Wilczek do Reykowskiego.

Minister sprawiedliwości wiedział, że takie bankiety odbywają się prawie każdego wieczoru, przychodzą na nie przedstawiciele rządu, co jest normalne, i szefowie partii najczęściej z żonami, ludzie znający się od dawna z saloonów, oraz tacy, którzy dużo mówią, lecz ich myśli nikogo nie interesują z wyjątkiem tajnych agentów i kapusiów. Jednak zawsze górą są dziennikarze, może dlatego że bywali w wielkim świecie, znają angielski albo niemiecki, a politycy dopiero się uczą języków obcych i dobrych manier. Ci pierwsi w ambasadach łowią nowinki, które, logicznie zestawione, ukazują rzeczywisty obraz państwa. Postronny obserwator, a takim chce być każdy dyplomata, po przejrzeniu gazet wie wystarczająco dużo, aby spokojnie delektować się poranną kawą. Polska jest chyba jedynym krajem cywilizowanym, gdzie agenci wszelkich wywiadów niewiele mają do roboty, pod warunkiem że zawsze z samego rana czytają centralne dzienniki.

– W imieniu rządu mojego kraju pragnę na ręce pana ministra sprawiedliwości złożyć wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci prokuratora generalnego. Mój kraj jest gotów udzielić Polsce daleko idącej pomocy prawnej. Wyra-

zam przekonanie, że i bez tego okoliczności wypadku będą wyjaśnione, a jego sprawcy zostaną ukarani – powiedział ambasador i zakończył swoje przemówienie stwierdzeniem: – Terroryzm jest zmorą tych przeklętych czasów.

Iwetta brylowała wśród dziennikarzy. Odziana w sprane dzinsy i bluzkę z białej satyny, opowiadała o Blocku, że jest gejem. Lecz gdy tylko Reykowski odstąpił ambasadora, przyssała się do niego niby zgłodniała pijawka lekarska do piersi chorego na zapalenie oskrzeli.

– Będę miała wielką wdzięczność, jeśli pan minister zaprosi mnie na drinka.

– Z ogromną przyjemnością. Znałem pani ojca – pochwalił się minister.

– Ze złej czy dobrej strony?

– Wyłącznie z dobrej. Pomógł mi, kiedy byłem na stypendium w Stanach. Śmieszna rzecz: postradałem paszport służbowy.

– Czy można wiedzieć, gdzie konkretnie pan minister przebywał? – Starła się wydobyć z niego jak najwięcej wiadomości. Takie dostała polecenie. – Może również na University of Chicago?

– Jako stypendysta The Rockefeller Foundation byłem trochę na Yale University, trochę w prywatnej kancelarii mecenasa Johna Papelbauma w Pasadenie. Przyznam się pani, że mile wspominam tamte lata. Zaowocowały nie tylko doktoratem w Glasgow, lecz i niezbędnymi w mojej pracy kontaktami z prawnikami niemal całej Europy.

– Powiada się, że w mieszkaniu profesora Kotkowiaka, również przyjaciela mojego ojca, została znaleziona brązowa aktówka – palnęła na chybił trafił, patrząc Reykowskiemu prosto w oczy.

– Brązowa aktówka? – spytał osłupiały minister.

– Tak twierdzą dziennikarze. Oni – zrobiła ruch w stronę redaktorów naczelnych gazet – zawsze wiedzą najwięcej.

– Bzdura – rzucił Wilczek, który za plecami Iwetty gawędził z sekretarzem ambasady i podsłuchiwał jej rozmowę z Reykowskim.

Iwetta kiwnęła palcem, gdy kelner do niej podszedł, postawiła pusty kieliszek na tacy i spytała o pokój z telefonem.

– Przepraszam pana ministra – dygnęła jak licealistka – muszę pilnie zadzwonić.

Cwana, pomyślał poseł Pilnik, przypatrując się z boku jej pierśsiom rozsadzającym dopasowaną do ciała bluzkę. Cóż z tego, że zgrabna? Nie lubił pięknych kobiet, a Iwetta, chociaż widział ją pierwszy raz, wydawała mu się również przebiegłą, sprytna i niebezpieczna. Od kolegi Blocka dowiedział się, że asystentka sekretarza generalnego Ruchu Centrum mieszka przy ulicy Frascatti na pierwszym piętrze. Do kamienicy można się dostać przez drzwi piwniczne. Także i to że już nigdy nie przyjdzie na żaden bankiet. Zerknął jeszcze w stronę Reykowskiego, który odprowadzał wzrokiem Iwettę i to go nagle zezłościło, po czym powiedział do Herrmanna.

– Z brodą przypominasz, Zygmunt, dobrotliwego paulina, który za chwilę zamieni marynarkę na habit i zacznie nawracać jawnogrzesznice.

– Staram się nie zawieść twojego zaufania – odparł Herrmann głosem śpiewnym, złożył dłonie jak do modlitwy, a oczy skierował ku sufitowi.

– Nie tylko ja liczę na ciebie, przyjacielu – oczyma pokazał najpierw na Reykowskiego, później na Iwettę rozglądającą się po sali.

Lichaj, jak zawsze z czarną torbą przewieszoną przez ramię, żartował sobie z Kleszcza, prowadzącego dyskusję z radcą kulturalnym ambasady, którego obecni na bankiecie znali jako autora bestsellera o zachowaniach seksualnych polityków. Gdy Iwetta podeszła do Lichaja, natychmiast ogłosił, że jest najbardziej urokliwą członkinią Ruchu Centrum.

– Co rubasznego powiedział pani minister Reykowski? – zaciekał się Lichaj.

– Komplement.

– Potrafił?

– Panie sekretarzu generalny Porozumienia Obywatelskiego – zaczęła głosem przymilnym – nie jest on Delonem, ale ma w sobie coś takiego, co go wyróżnia wśród ministrów. Tym czymś może być aparycja, znajomość języków obcych albo nawet sposób udzielania odpowiedzi na niełatwe pytania.

Już nikt jej nie słuchał. Lichaj także rozglądał się nad głowami towarzystwa, odezwał się dopiero wówczas, gdy Iwetta szturchnęła go łokciem w biodro.

– Oto idzie nowy prokurator generalny.

– Wilczek? – spytał przytomnie i jakby bez zainteresowania. Odchodząc klepnął ją lekceważąco po plecach. – Z ciebie dobra *zona*.

– Na razie jestem panną.

– *Zona* to po hebrajsku. W każdym razie nie to samo co *zona*.

Warszawa, ul. Frascatti, 29 września, bardzo późny wieczór

Dwa reflektorki rzucały światło na łóżko. Na wprost wisiał zegar szafkowy. Reykowski postawił butelkę franklina na szafce, był zadowolony, nawet zapomniał o cukrzycy i tylu rozmaitych chorobach, które od lat mu dokuczają. Iwetta, wsparta na łokciu, udawała zawstydzoną panienkę, przypadkowo dotykającą opuszkami palców torsu ministra. Z tyłoma mężczyznami, nawet starszymi od Reykowskiego, była w łóżku, żaden nie budził w niej wstrętu, ale teraz musiała udawać i po mistrzowsku grać rolę, jaką jej wyznaczył Paasikiwi.

Gdy dwa razy uderzyła dłonią o dłoń jakby biła brawo, reflektorki powoli zaczęły się rozjaśniać. Mimo że była dopiero

za piętnaście jedenasta, w zegarze coś cicho zaskrzypiało, ale Reykowski nie zwrócił na to uwagi.

– Dobra z ciebie ruchawica – rzucił.

– Jesteś taki męski – powiedziała, kładąc dłoń na owłosionym brzuchu ministra. Boże, żeby już się ululał, poprosiła w myślach i sięgnęła po butelkę. – Prawdziwy mężczyzna... i ja przy jego opiekuńczym ramieniu.

– Nie pierdol, dziecinko. Od tego ja jestem.

– Udaje grubianina, a jaki męski nawet w słowach.

– W dupie mam tę całą politykę. Raz na wozie, raz pod wozem – rzucił, przyciągając Iwettę do siebie. – Mogłabyś być moją najmłodszą córką.

– Nic nie przeszkadza, żebyś miał mnie częściej, ministerku.

– Na baby jestem pies. No, co tak się gapisz?

Niby się zawstydziła, ale zaraz odparła głosem sekretnym:

– W tej sprawie nie mam większego doświadczenia.

– Głupiaś, pomioście folwarczny.

Znowu położyła dłoń na jego piersi i mierzwiła palcami posiwiałe włosy. Gadaj coś, stary byku, bo zasnę z nudów, poprosiła w myślach i postanowiła, że jeszcze poczeka z zadaniem pytania.

– Jak Kleszcz wypieprzy cię z roboty, zahaczysz się u mnie jako asystentka – powiedział i nagle się poderwał. – Jutro rano do mnie przychodzisz. Na etat doradcy do spraw nieletnich.

– A poradzę sobie? Nie mam kwalifikacji prawniczych.

– Coś ty, dziecino, taka skromna? – Reykowski odrzucił pled pod ścianę i spierzchniętymi wargami przyssał się do twardych jak orzechy laskowe brodawek jej pełnych piersi. Iwetta zwarła nogi w kolanach, westchnęła przeciągle, spuściła powieki na oczy, ale nie odepchnęła ministra, przeciwnie, wpłatała palce w jego rzadziutkie włosy. – Kwalifikacji prawniczych ci brakuje, za to dójki masz jak rasowa holenderka.

Poczuła się obrażona, już chciała strącić dłoń ministra ze swego łona, gdy przypomniawszy sobie, że identycznie odbywał się ojciec do matki, kiedy czasem nasłuchiwała, co się dzieje w sypialni rodziców. Ojciec często posługiwał się słowami, których Iwetta nie rozumiała i nie było ich w żadnym słowniku. Dopiero później pojęła, że ojciec mimo wyższego wykształcenia i kursów dla dyplomatów był mocno przywiązany do języka swoich wiejskich krewniaków.

– Ćwierkają wróbelki w parku Łazienkowskim, że Wilczek zostanie prokuratorem generalnym.

Dłoń Reykowskiego znieruchomiała na spojeniu jej nóg.

– Skąd wiesz?

– Warszawa to nie Chicago. Ludzie tu się znają.

– Warszawka tak gada, co? Może Block? Albo Lichaj młóci słomę? Odpowiedz, pomiecie folwarczny, jak pan pyta!

– Są tacy, którzy tak mówią.

– Nam jest potrzebny prokurator z jajami. Takich kutasów jak Wilczek mam pół resortu.

– Mówią też, że on wie, dlaczego zginął Kotkowiak. Podobno dzień wcześniej był w tamtych okolicach? – Pytała tylko o to, co interesuje Paasikiwiego.

– Sam ci to powiedział?

– A gdzie jest brązowa aktówka?

Minister usiadł na łóżku, nogi podciągnął pod brodę, rękoma objął głowę i mruczał, jakby o czymś sobie przypominał.

– Dlatego, kutas, tak pewnie się czuje. Otworzyłaś mi oczy! – wykrzyknął i zaraz powalił się na Iwettę. – Jesteś, dziecinco, mądrzejsza niż przypuszczałem.

Rozrzuciła nogi, rękoma objęła go za szyję i pozwoliła, aby znowu ssął jej piersi, choć nie było to przyjemne, bo minister miał nową protezę dolnej szczęki. Nie wypuszczę cię, stary byku, z łóżka, póki nie dowiem się, gdzie jest aktówka, postanowiła. A kiedy już się dowiem, zdecyduję, co robić i z kim.

Ta aktówka musi mieć ogromną wartość, w przeciwnym razie Paasikiwi nie zapłaciliby mi dolarami. Trzy tysiące zielonych za jedną noc z ramolem!

– Pieprz mnie – szepnęła.

– Po to tu jestem, dziecińko.

Stary, obleśny knur, pomyślała ze wzgardą i żeby nie czuć przykrego zapachu z jego ust, sięgnęła po gumę do żucia. Nogami opłótła kościste biodra Reykowskiego i już nic jej nie drażniło.

Warszawa, ul. Nowy Świat, 30 września, przedpołudnie

Dawno minęła dziesiąta, pora podawania kawy, a w sekretariacie była cisza i pustka. Od kilku minut Kleszcz dzierżył słuchawkę w lewej dłoni, palcami prawej ręki wystukiwał numer telefonu Iwetty, ale po drugiej stronie nikt się nie odzywał. W południe ma się spotkać z Blockiem i przedstawić mu proponowany skład delegacji centrystów na konferencję Międzynarodówki Chadeckiej. Jeśli Iwetta zaraz nie przyjdzie do biura, Kleszcz choćby Bóg wie ile myślał, sam nie poradzi z papierami. Odczekał jeszcze pół godziny i dopiero wtedy wezwał kierowcę.

– Kurwa jebana, jak bożię kocham, zwolnię! Wczoraj w ambasadzie zachowywała się jak pierwsza lepsza rura. Tylko przynosi wstyd. – Całą drogę spod siedziby centrali partii aż na Frascatti gderał do ucha kierowcy. Gdy lancia zatrzymała się przed kamienicą, w której było mieszkanie Iwetty, nieco złagodniał. – Może chora? Ja po wczorajszej bibie też czuję się tak, jakbym był podtruty arszenikiem.

Wyciągnął rękę, aby nacisnąć guziczek domofonu, gdy przypomniał sobie, że drzwi główne same się otworzą, jeśli on dotknie czytnika linii papilarnych. Winda była nieczynna, po schodach wszedł na pierwsze piętro, zapukał i zastanawiając się, co jej powie, czekał może minutę. Nikt nie

wyszedł na korytarz, jeszcze raz zapukał, donośniej i dłużej. Znowu cisza. Położył dłoń na klamce i stwierdził, że drzwi nie są zamknięte od wewnątrz.

– Pani Iwetkoo! – zawołał przeciągle, nie przekraczając progu. – Iwetkoo!

W kuchni włączyła się lodówka. Kleszcz chwilę stał w progu i nasłuchiwał. Pewnie jeszcze śpi, pomyślał o asystentce. Może zobaczę ją *flagrante delicto*? Pierwszy raz był w mieszkaniu Iwetty, toteż nie orientował się, które drzwi prowadzą do sypialni. Zajrzał do pokoju przy kuchni. Pod oknem stało biurko przykryte suknem, na którym dostrzegł starodawny kałamarz i portret mężczyzny w ramce z brązu, regały ugiwały się pod bezmiarem książek i czasopism, a na parkiecie leżał chodniczek ze skrawków skór. Wzrok zatrzymał na trzech olejnych widoczkach Grassiego, zdobiących ścianę na wprost regału. Gdybym miał tak urządzony gabinet, pomyślał zazdrośnie, nie zajmowałbym się polityką.

– Pani Iwetkoo! – zawołał tubalnie i oparł się plecami o furtynę. Słyszał tylko stękanie lodówki, nacisnął więc klamkę drzwi do pokoju. – Ja jej szukam, a ona dosypia w najlepsze. Najwyższa pora wstawać, Iwetko – rzucił niby ze złością.

Na środku pokoju stało podwójne łóżko, spod pledu wystawał czubek głowy asystentki. Kleszcz uśmiechnął się zadowolony, zrobił dwa duże kroki, pomyślał, że mógłby piorunem się rozebrać i śmignąć do łóżka. Tyle razy bywał z Iwetką w hotelach, na fetach, przedstawiał jako swoją przyjaciółkę, lecz nigdy nie odważył się zaproponować jej bruderszaftu. Gdybym teraz wturlał się pod pled, ciekawe, jakby na to zareagowała? Pewnie nic by nie powiedziała, bo to nie wie, że mi się podoba? Ale zaraz przypomniał sobie, że przed domem czeka kierowca w lancii.

– Śpionszkuu. – Opuszkami krótkich palców dotknął czoła Iwetty i raptownie cofnął rękę. Nagle oblat go lodowaty pot.

Obejrzał się. Ponownie przyłożył palce do czoła: było zimne. – Jezu, ona... – Zerwał okulary z nosa, wierzchem dłoni otarł skronie. Czuł, że nawet stopy ma mokre. – Ona chyba nie żyje?

Jeszcze nigdy nie był w takim położeniu. Nie wiedział, jak się zachować. Do kogo zadzwonić? Najpierw na policję czy do Blocka? Może powiadomić jej brata, ale gdzie on mieszka? Przeskakując po kilka stopni schodów, blady wybiegł na ulicę.

– Uduszona, szefie – usłyszał od kierowcy, gdy wezwał go do sypialni. – Do weryfikacji byłem oficerem śledczym w wydziale zabójstw komendy stołecznej.

– Gliniarz u nas? Kto cię nasłał? To jest prowokacja polityczna?! Chcecie nas zniszczyć od środka!

Zamiast odpowiadać, kierowca podszedł do telefonu i bez zbędnych słów powiadomił oficera dyżurnego policji o tym, co zastał w mieszkaniu. Później długo przyglądał się lampce nocnej, zegarowi szafkowemu, książkom na toalecie i kolekcji płyt. W pokoju panował idealny porządek, nawet laczki stały równo przy nodze łóżka.

– Szefie, sprawa wygląda na bardzo poważną – powiedziałszy to, stanął w rozkroku, ręce splótł na piersiach jak cerber przed salą sądową i pokręcił głową ze znajomością rzeczy. – Być może mamy do czynienia z zabójstwem politycznym.

– Ofiara kampanii wyborczej – ni spytał, ni stwierdził Kleszcz, ciągle podejrzewając kierowcę o to, że jest czymś agentem i powinien się go obawiać.

Warszawa, ul. Frascatti, 30 września, wczesne popołudnie

Lekarz sądowy powiedział do Brumela lustrującego sypialnię:

– Zgon około drugiej w nocy. Przez uduszenie. Złamana kość gnykowa. – Wskazał na szyję między grdyką a podbródkiem.

– Morderstwo? – spytał komisarz, chociaż wiedział, jaką usłyszy odpowiedź.

– Przy pomocy – lekarz sięgnął po jedwabny szlafroczek, który leżał na stołku obok toaletki – tego paska.

– Na pewno, doktorze?

– Póki nie zobaczę protokołu z sekcji zwłok, niczego nie jestem pewien – odparł oschłym głosem lekarz. Zawsze tak odpowiadał na pierwsze pytania policjantów, mimo że lubił mundurowych. Po studiach chciał wstąpić do wojska i mieszkać w śródleśnym garnizonie koło Żagania, lecz jego narzeczona stanęła okoniem. Nie po to uciekłam do Warszawy, żeby znowu wracać na wieś, powiedziała jasno.

Komisarz zrzucił pled na bliźniacze łóżko, obnażone ciało było wyprostowane, a dłonie przylegały do wzgórka łonowego, jakby Iwetta nawet martwa wstydziła się swojej nagości.

– Pozycja nienaturalna – stwierdził lekarz. – Najprawdopodobniej morderca zaatakował ją znienacka. Później zwłoki ułożył na łóżku. Denatka mogła być pod wpływem środka odurzającego albo alkoholu, ale przecież nawet osoba pijana walczy o życie. Zabójcą mógł być ktoś, kogo dobrze znała i komu ufała. Słowem: kogo się nie obawiała. Bez dwóch zdań, panie komisarzu, mamy do czynienia z morderstwem zaplanowanym precyzyjnie.

– Atak serca – rzucił niepewnie Brumel.

– Wykluczone. Wygląda mi to na śmierć wyłącznie przez uduszenie przy pomocy jedwabnego paska.

– Kto i dlaczego miałby ją udusić? – odezwał się spod drzwi Kleszcz z żałobną miną.

Brumel zlekceważył jego pytanie, a kierowca rzekł cicho:

– Za kilka dni, szefie, wszystko się wyjaśni. Winni na pewno zostaną ukarani. Ta sprawa – powiedział ciszej – jest nawet korzystna dla partii.

Fotograf policyjny, dobry znajomy kierowcy Kleszcza, wyjął minoltę z futerału i wyjątkowo dokładnie fotografował zwłoki Iwetty.

– Pan, zdaje się, znał denatkę? – komisarz spytał Kleszcza, a do kierowcy mrugnął porozumiewawczo.

– Od samiotkiego rana wyczekiwałem, telefonowałem, potem, wie pan, natłok pracy politycznej przed wyborami, wsiadłem do samochodu i ... Cóż za nieszczęście. Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego, że zobaczę ją martwą.

– Co łączy pana ze zmarłą?

– Ona zmarła? Doktor mówił, że została uduszona.

Brumel starał się nie wybuchnąć śmiechem. Wiele słyszał o Kleszczu, jeszcze rok temu uważał, że centryści powinni wejść do rządu, lecz po ostatnich wypowiedziach ich przywódcy na temat lustracji w policji i służbach specjalnych, zmienił zdanie i będzie głosował na demokratów albo w nie-dzielię wyborczą pojedzie do lasu.

– Jaką funkcję sprawowała zmarła w partii? – spytał, starannie tuszując swoją niechęć do centrystów.

– Jest... przepraszam – Kleszcz opuścił głowę ze wstydu albo żalu – była moją sekretarką. Kimś w rodzaju asystentki, tłumaczki, rzeczniczki prasowej, przewodniczki czasem.

– Kiedy pan ją widział po raz ostatni?

– Kiedy? – wykrzywił twarz i wskazał ręką zwłoki Iwetty na łóżku. – A pan jej nie widzi?

Komisarz spojrzał dyskretnie na kierowcę, pokręcił głową i już wiedział, że gdyby obiecywano mu Bóg wie co, to na pewno nie odda swego głosu na centrystów.

– Moje pytanie dotyczyło człowieka, panie doktorze, a nie zwłok – wyjaśnił niemal pedantycznie. – Chodzi mi o to, kiedy pan z nią rozmawiał, wydawał polecenia czy korzystał z jej pomocy.

- Wczoraj. W biurze.
- Wieczorem, szefie, byliście oboje na raucie w ambasadzie
- przypomniał mu kierowca.
- Racja! Taki wstrząs psychiczny, że nie jestem w stanie po-
składać myśli.
- Czy coś rzuciło się panu w oczy? Z kim rozmawiała?
Może sama wyszła z ambasady jeszcze przed zakończeniem
przyjęcia?
- Dziś nie potrafię odpowiedzieć precyzyjnie na żadne
pytanie – przyznał się Kleszcz, ale po chwili namysłu mó-
wił jakby nic się nie wydarzyło: – Po to się chodzi na rauty,
żeby rozmawiać. Iwetta też, oczywiście, rozmawiała, z kim,
nie pamiętam. Kiedy wyszła, nie spostrzegłem. Czy sama?
Pewnie tak. A może nie? To była bardzo porządna kobieta,
przede wszystkim skromna, uczciwa, przestrzegająca ko-
deksu zasad moralnych siostry Chryzanty. Powinien pan
też wiedzieć, że obracała się w towarzystwie osób, których
nazwiska codziennie pojawiają się na pierwszych stronach
gazet. Z całą pewnością miała luki intelektualne, lecz, tak są-
dzę, wiele skorzystała z mojej pomocy. Nie zamieniłbym jej
nigdy na inną sekretarkę, choćby ta inna była kuzynką pana
prezydenta.
- Komisarz spodziewał się innej odpowiedzi.
- A co pan wie na jej temat?
- Wczoraj wieczorem miałem wolne – odparł kierowca,
udając wobec Kleszcza, że nie zna Brumela.
- Aspirant robił notatki, gdy podniósł oczy znad notesu, le-
karz przywołał go do łóżka ruchem głowy i pokazał pojedyn-
cze włosy, rzadko rozrzucone po poduszce.
- Co najmniej dwa rodzaje. Jej włosy są koloru kasztano-
watego. A tu, widzi pan, leży włos siwy i w dodatku krótki?
Męski – stwierdził lekarz bez zastanowienia.
- Męski? Po czym pan poznaje?

– W moim wieku wiedza i przekonanie bierze się z doświadczenia.

– Mimo to będziemy musieli sprawdzić w laboratorium.

– Wszystko należy zweryfikować, także odciski palców na poręczy łóżka – zupełnie zbytecznie wtrącił komisarz.

Aspirant przytaknął.

– Jeszcze dziś. Przed południem powinienem dostać wyniki.

Aspirant znowu przytaknął. Miał już niemałe osiągnięcia w pracy kryminalistycznej, a mimo to decyzje swego szefa przyjmował bez dyskusji.

– Pobierz odciski palców obu panów – powiedział, wskazując Kleszcza i kierowcę.

– Jestem liczącym się w kraju politykiem, który... – zaczął Kleszcz i zaraz urwał, zgaszony marsowym spojrzeniem komisarza.

Kierowca mało nie strzelił śmiechem.

– Zanim nastąpił zgon, co, jak wstępnie określiłem, mogło mieć miejsce około drugiej, był tu obecny mężczyzna. W moim przekonaniu ktoś, kogo denatka traktowała jako bliskiego znajomego. – Lekarz przeniósł wzrok z łóżka na Kleszcza. Chwilę przypatrywał mu się milcząco, przekonany, że Kleszcz spuści głowę albo się zaczerwieni, lecz nic takiego nie nastąpiło. Ten człowiek jest niewinny, stwierdził w myślach. – Domyślam się jedynie, że resztki ejakulatu jeszcze będą w pochwie. To może okazać się bardzo ważnym dowodem. Tylko – zwrócił się do Brumela – kaktus mi wyrośnie, jeśli kilka siwych włosów i śladowa ilość spermy doprowadzi pana, komisarzu, do faktycznego mordercy.

– Dziękuję za uwagi, doktorze. Pan ma swoje tajemnice zawodowe, ja swoje. W tym wypadku krąg podejrzanych jest ciasny. Zajmę się kilkoma, najwyżej czterema osobami, z którymi była związana na co dzień.

Kleszcz się zląkł. Czyżbym i ja był wśród podejrzanych? – pomyślał. Już otwierał usta, aby o to spytać komisarza, gdy Brumel powiedział:

– Zapewne wróciła z przyjęcia w ambasadzie w towarzystwie poznanego tam mężczyzny. Ktoś musiał ich widzieć. Cóż, trzeba będzie wkroczyć na terytorium obcego państwa. Nie cierpię dyplomatów i ich gładkiego języka.

– Ja również – przyznał się aspirant.

– Pan, młodszy kolego, nie ma wyboru.

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, 30 września, późne popołudnie

W drodze do prezydenckiej kancelarii Kleszcz myślał o tym, co powiedział komisarz. Usiłował sobie przypomnieć, z kim i o której godzinie Iwetta wyszła z ambasady. Wczoraj wieczorem wypił najwyżej pięć kieliszków żytńiówki, skosztował pilznera, zjadł dwie kanapki z jajkiem i majonezem. Na początku rautu, gdy goście udawali zainteresowanie monologiem ambasadora, obserwował Iwetę. Był przekonany, że asystentka robi dokładnie to, co jej nakazał. Później, zajęty pogawędką z radcą handlowym ambasady, zapomniał o Iwecie. Nie pamiętał o niej nawet wówczas, gdy wsiadał do taksówki.

– Szlag jasny by to...! – Szef kancelarii z siłą herkulesa, jak to miał w zwyczaju, walił pięcią dłońią w blat biurka. Kleszcz jeszcze nigdy nie widział Blocka tak rozjuszonego. – Jełop! Zwyczajny młot!... Jak to sobie wyobrażasz? Czy prezydent ma wydać dekret albo wezwać komendanta głównego policji i polecić mu, aby ogłosił, że...? Że co?...

– Ty, szefie, zadzwoń do komendanta – podpowiedział Kleszcz pewny, że tym razem Block go posłucha. – Zdaniem kancelarii, powiesz, prasę należy odciąć od źródła informacji. Póki sprawa nie zostanie wyjaśniona, nikt nie powinien mieć

dostępu do dokumentacji. Żadnej konferencji, najmniejszego komentarza, dosłownie: gęba w kubeł.

– Mówiłżem: kopnij ją w dupę? Mało to nieszpetynych i o wiele sprytniejszych pind szuka roboty? Wiedziałżeś, że jest dziwką? Znałeś dzieje jej ojca. Musiałżeś też wiedzieć, na czyj rozkaz badała grunt.

Kleszcz zastanawiał się, czy i do Blocka dotarła pogłoska o tym, że Iwetta od chwili powrotu z Chicago, jak mówią w kontrwywiadzie, nosiła płaszcz na dwóch ramionach. Nie zdobył żadnych dowodów, ale sporo wskazywało na to, iż zbierała informacje równocześnie dla CIA i ABW. Ciche cynki mogła wyprawiać przez telefon z biura centrali partii do rezydencji wywiadu amerykańskiego.

– Gdybym czegoś podobnego się spodziewał, uwierz mi, zrobiłbym co należy, ale nie przyłapałem jej na żadnym kontakcie. Owszem, gadała przez telefon jak każda baba, nic więcej.

– Jesteś prawnik, nie? I tak banalnej sprawy, Włodziu, nie potrafisz załatwić?

– Można ogłosić, że... – Kleszcz zmarszczył czoło, lecz nic nie przychodziło mu do głowy – została uduszona przez...

– ... kieszonkowca, któren legitymował się ruskim paszportem – dokończył Block zgryźliwie.

Spytać go, czy wiedział, że Iwetta była podwójną agentką? Pewnie wiedział, dlatego w jej obecności milczał albo zachowywał się tak, jakby nie lubił kobiet. Ale Block o nic nie pytał, zabrakło mu odwagi, tylko powiedział:

– Ofiara knowań politycznych naszych wrogów.

– Znała przyczyny wypadku prokuratorskiej lancii – palnął Kleszcz.

– Pewnyś?

– Kto będzie pytał nieboszczkę? Wystarczy ogłosić, że znała i dlatego została zamordowana.

– Taki kit możesz wciskać swojej kochance.
– Złożę rezygnację – wtem oświadczył Kleszcz.
– Dopiero wtedy gazety będą snuły domysły. Siedź spokojnie za biurkiem i wzruszaj ramionami. Reszta na mojej głowie, ale pamiętaj: ostatni raz cię chronię. – Block już wiedział, w jaki sposób pozbędzie się sekretarza generalnego partii.

– Powiązanie mordu na Frascatti z wypadkiem Kotkowiaka byłoby niezłe – przekonywał go Kleszcz. – Iwetta musiała zginąć, bo coś wiedziała, nie?

Większego głąba w życiu nie spotkałem. Panie Boże, dlaczego tak srodze mnie ukarałeś? Block złożył dłonie i odwrócił się do Kleszcza, który jeszcze rozważał, czy mu powiedzieć o prawdziwej roli, jaką Iwetta spełniała w centrali partii.

Na biurku zaczęła migotać oliwkowa lampka. Block poderwał się i natychmiast podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego.

– Taa... No... Je... – wyrzucał z siebie dźwięki, kiwając wielką głową. – Dałem polecenie. Taa, załatwione, panie prezydencie. – Podciągnął krawat, przyglądał się palcami rozwichrzone nad uszami włosy, dopiął marynarkę i powiedział do Kleszcza: – Zachowuj się rozsądnie i nie składaj nawet najkrótszych oświadczeń. Najlepiej byś zrobił, jakbyś wyjechał do Białowieży albo zachorował. Ja postaram się dotrzeć do ambasadora.

– Pogrzeb!

– Czyj pogrzeb znowu?

– Iwetta nie miała żadnej rodziny. Nikogo oprócz brata, ale nie wiadomo gdzie go szukać. Chrześcijański obowiązek nakazuje zmarłych grzebać godnie.

– Zleć to firmie pogrzebowej. I żadnych nekrologów, wspomnień, wyrazów współczucia od partii. Nic.

Warszawa, ul. Rakowiecka, 1 października, samo południe

Minister sprawiedliwości nigdy nie był w gmazysku Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wiele złego słyszał o kryminale przy Rakowieckiej, w którym poprzednie władze zamykały najczęściej więźniów politycznych, ale nie wiedział, gdzie się on mieści. Gdy granatowa lancia zatrzymała się na obszernym dziedzińcu ABW, zewsząd otoczonym wysokim murem, poczuł się tak, jakby został wezwany na przesłuchanie. Dopiero tu zrozumiał, że nie on powinien jechać do szefa agencji, lecz generał do niego, ale na zmianę decyzji było za późno.

Cywilny strażnik prowadził go dobrze oświetlonym korytarzem do gmachu C, gdzie na trzecim piętrze był gabinet szefa, mający bezpośrednie połączenie telewizyjne z Kancelarią Prezydenta i ministrem obrony. Pokój 1006 wydawał się Reykowskiemu znajomy. Stał na bordowym dywanie, obejrzał się i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że identyczne meble są w gabinecie Blocka.

– Zna pan nasz gmach? – spytał szef Abewu, witając ministra chłodno.

– Dotąd nie miałem okazji poznać.

– Czyżby na pewno? – Generał wysunął głowę przed siebie, zmrużył oczy i z niedowierzaniem przypatrywał się Reykowskiemu. – Wszyscy, których zapraszam, bywają świetnie są zorientowani w topografii budynku. Pan nigdy nie był wzywany na Rakowiecką?

– Dziś pierwszy raz.

– Przepraszam za sformułowanie – uderzył się w piersi szef agencji.

– Tak się składało, że nie miałem sposobności bywać na Rakowieckiej – odparł Reykowski, nie pierwszy raz żałując tego, iż ani jednego dnia nie spędził za kratami o wodzie i suchym chlebie. Inni ministrowie przy byle okazji dzielili się wspomnieniami więziennymi, stawiając siebie na cokołach

pomników, które powinny tkwić nie na cmentarzu Powązkowskim, lecz wzdłuż Alei Ujazdowskich. On mógł jedynie opowiadać o uniwersytecie w Newcastle i krzywdzie, jakiej doznała jego rodzina po wojnie, przepędzona z mająteczku pod Sieradzem.

– Nie ma pan czego żałować.

– Posiedzieć tydzień na Rakowieckiej, to tak jakby odbyć pielgrzymkę do Częstochowy.

– Konwencjonalna ciupa, tyle że w centrum stolicy i dla politycznych.

– Czy więzienie nadal jest czynne?

– Póki będzie istniało Ministerstwo Sprawiedliwości, będą kryminały – powiedział generał. – U nas nic nadzwyczajnego. Prawdziwe pierdło są na prowincji. Proszę sobie zrobić wycieczkę do Strzelec Opolskich, stamtąd do Rawicza, później przez Krzywaniec do Goleniowa, dalej do Potulic, Sztumu, Siedlec. Pan minister pewnie zna te miejsca?

– Więcej o nich słyszałem niż je widziałem – odrzekł Reykowski. Chciało mu się pić. Zwyczajny kac, pomyślał i sięgnął po szklankę. Pamiętał, że po wyjściu z ambasady pojechał do mieszkania Iwetty, pił dużo, a mimo to czuł się tak, jakby miał najwyżej dwadzieścia lat. Uśmiechnął się pod wąsem. Powinienem do niej zatelefonować i coś miłego powiedzieć. Pewnie byłoby jej przyjemnie?

Punktualnie o dwunastej do gabinetu wszedł komendant policji. Był to młody nadinspektor po studiach w Holandii, ubrany w dobrze skrojony garnitur, strzelisty, ale już przeżyłszy i posiwiły na skroniach.

– Pan, komendancie, zapewne również pierwszy raz na Rakowieckiej? – spytał wesoło gospodarz.

– Nie.

Szef Abewu był przekonany, że wie wszystko o ministrach, komendantach, posłach, senatorach, ich rodzinach i przyja-

ciółach, kolegach ze studiów i partii. Jeszcze raz zmierzył komendanta pytającymi oczyma, lecz nie dał poznać po sobie, że jest wściekły.

Goście usiedli przy stole obciągniętym zielonym suknem, na którym leżały notatniki i ołówki. Minister i komendant zdawali sobie sprawę z tego, że wszystko co powiedzą zostanie nagrane, przepisane i przy nadarzającej się okazji przeciw nim wykorzystane.

– Proszę szanownych panów – zaczął szef Abewu oficjalnie, głosem zimnym – mamy dość szczegółowe wyniki badań laboratoryjnych w sprawie wypadku, do jakiego doszło na drodze przed Zieloną Górą. Przesłuchaliśmy kierowcę i uczestniczkę wydarzenia. Uzyskaliśmy też oświadczenia innych osób, które w tej sprawie miały coś do powiedzenia. Od razu powiem: mgła. Nic ciekawego. I to jest najgorsze. Na razie zatrzymaliśmy kierowcę ciężarówki jadącej z Monachium do Poznania. Pewnie jednak będziemy musieli go zwolnić.

– Zwalcie winę na policję – doradził Reykowski, nie wiadomo dlaczego drwiąc z nadinspektora.

– Gdybym mógł wybierać, wolałbym z tą sprawą nie mieć do czynienia – powiedział szef agencji takim głosem, jakby coś wiedział o sprawie wypadku.

– Ktoś musi – rzucił komendant policji.

– I musi być sprawca. Taki dostałem rozkaz.

– Dziwię się, że jeszcze nie macie winowajcy. – W stwierdzeniu komendanta była ukryta drwina. W żadnym kraju policja nie lubi służb specjalnych. – Dać wam człowieka, a dowody jego winy się znajdują. Dobra szkoła towarzysza Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego – roześmiał się.

Szef Abewu przemilczał ironię.

– Za bardzo szkodzi nam telewizja – poskarżył się. – Cholera, zawsze dziennikarze są przed nami.

– Weźcie ich na swoje etaty, a będziecie mieli informacje z pierwszej ręki – znowu drwił komendant policji.

– Jako kogo? – spytał generał poważnie.

– Mało macie rozmaitych kapowników? Stuków? Dziwek?

– Gdyby policja sumiennie robiła to, co do niej należy, nie wchodzilibyśmy sobie w paradę.

– Panowie generałowie – Reykowski starał się wystąpić w roli rozjemcy. – Miło się was słucha, ale czas leci.

Szef agencji wyjął z szuflady biurka dokumenty, rozłożył je na stole jak karty do pokera i po chwili namysłu powiedział z teatralną miną:

– Kierowcę lancii, obywatela Tadeja Marka, podlegli mi ludzie prześwietlili do drugiego pokolenia wstecz. Normalny, solidny, najuczciwszy facet. W przeszłości nigdy nie spowodował wypadku...

– Na pewno? – przerwał mu komendant, którego podwładni również zebrali informacje o Tadeju.

– Na pewno. Kierowca twierdzi, że w czasie wymijania ciężarówki nagle poczuł uderzenie w prawy bok lancii.

– Tyle wiemy z telewizji – wtrącił komendant.

– Policjanci również oglądają telewizję?

– Panowie, jak Boga kocham, nie czas na przytyki. – Minister naglił: – Co dalej?

– Tadej stracił panowanie nad kierownicą. Pani prokurator Reykowska-Motyl, która obok niego siedziała, to potwierdza. Mamy obowiązek zaufać pani prokurator – generał podniósł oczy na ministra – tym bardziej że jest córką tak znakomitego kierownika resortu sprawiedliwości.

– Z jaką szybkością jechała lancia?

– Kierowca oświadczył, że z prędkością dopuszczalną na polskich drogach.

– Pan mu wierzy? O ile wiem, to kierowcy rządowych aut czują się na naszych drogach pewniej niż wilki w Bieszczadach.

Przepisy łamią nagminnie, policjantów traktują jak dworską służbę, auta natomiast rozwalają z dokładnością do miesiąca.

Generał zacisnął palce na poręczach fotela i ze złością w oczach pokręcił głową, ale nie zaprzeczył.

– Przekazuję panom wyniki dotychczasowego śledztwa, nic więcej.

– Śledztwa? – spytał ironicznie nadinspektor. – Czyżby bezpieczeństwo przejęło obowiązki prokuratury? Panie ministrze Reykowski, w tajemnicy przed mną nastąpiły jakieś zmiany? Raport policyjny już nie wystarcza?

Minister nie orientował się w sytuacji, a generał coraz bardziej wściekły na komendanta policji zgrzytał zębami.

– Jest jednak coś, co podważa prawdomówność Tadeja. Biegli oglądając lancję nie znaleźli śladów uderzenia na jej boku. O czym to świadczy?

– Może kierowca zasnął na ułamek sekundy?

– Pytanie pana ministra nie jest retoryczne. Dzień przed wypadkiem Tadej był w Berlinie. Dopiero po północy wrócił do bazy garażowej. W swoim mieszkaniu był około drugiej, a o siódmej wyjechał do Zielonejgóry. Prawo wyraźnie nakazuje, aby kierowca odpoczywał co najmniej osiem godzin. Kierownik garaży zna prawo. Prokuratorzy – komendant podniósł wzrok na ministra – pewnie też.

– Nie bądźmy drobiazgowi – machnął ręką szef Abewu. – Auto zostało dokładnie sprawdzone w garażach. Mamy to na papierze. Z papierów wynika również, że i wszelkie poprzednie przeglądy techniczne lancii były przeprowadzane terminowo. Słowem: ze strony zaplecza technicznego bez uwag.

Minister już się pogubił w tych stwierdzeniach. W młodości zdobył prawo jazdy, ale gdyby musiał wymienić żarówkę w samochodzie albo sprawdzić poziom oleju silnikowego, zleciłby to mechanikowi. O swoich umiejętnościach samo-

chodziarskich mówił, że wie, gdzie jest otwór wlewu benzy-
ny i w jaki sposób podnieść pokrywę silnika.

– Pan podchodzi do wypadku zbyt formalnie. Oświadcze-
nia są istotne. Tu jednak trzeba za wszelką cenę udowodnić
winę. Komu i czyją? Właśnie tego oczekuję od pana.

– W tej sprawie jest coś szczególnego – powiedział głosem
zdecydowanym generał. – Poprzedniego dnia zastępca pro-
kuratora generalnego Wilczek był w Niemczech. Tylko on
mógł wiedzieć, że Kotkowiak wybiera się do Zielonejgóry.

– Dowód?

– Mam oświadczenie kierowcy.

– Formalista z pana – stwierdził kąśliwie nadinspektor po-
licji, nie spuszczając oczu z ministra, który niewiele rozumiał
z tego, co powiedział szef Abewu.

– Na prośbę pani Reykowskiej-Motył wszyscy zatrzymali
się na kawę w zajeździe U Marcina. Przerwa w podróży trwa-
ła najwyżej dwadzieścia minut. Dość czasu, żeby ktoś mógł
uszkodzić auto.

– Mógł uszkodzić czy uszkodził?

– Na razie hipoteza.

– Czyli bezpodstawne rzucanie podejrzeń. Nie wiadomo na-
wet na kogo – roześmiał się policjant, oczekując, że minister
go poprze. – To jest amatorszczyzna, panie generale. Lepiej by-
łoby dla państwa, gdyby Abewu nie brała się za takie sprawy.

– Dostałem polecenie i muszę je wykonać.

– Od kogo?

Generał rozłożył ręce, dając gościom do zrozumienia, że
nie wymieni nazwiska mocodawcy.

– Był to najzwyczajniejszy wypadek – orzekł komendant. – Do
takiego wniosku doszli moi eksperci i rzeczoznawcy z Uni-
wersytetu Zielonogórskiego. A że zginął prokurator general-
ny, który miał ujawnić w sejmie coś bardzo ważnego, to inny
problem.

Reykowski już tylko czekał, aby spotkanie się skończyło. Był zmęczony i senny. Położył się spać o czwartej, wstał o siódmej. Jednak wczoraj za dużo wypilem, stwierdził samokrytycznie. Gdybym zaraz po raucie wrócił do domu, wyspał się, byłbym żwawy i zainteresowany rozmową, a ja poszedłem z Iwettą do jej mieszkania. Jeszcze czuł zapach aksamitnego ciała i dotyk jej delikatnych palców. Na wspomnienie nocy uśmiechnął się zadowolony. Zaraz do niej zadzwonię, postanowił.

– A co minister sprawiedliwości o tym sądzi? – przerwał jego powrót do przeszłości generał.

– Zrozumiałem, że pan podejrzewa zastępcę prokuratora generalnego. Na jakiej podstawie, jeśli można wiedzieć?

Szef Abewu zerknął na niego z dezaprobatą.

– Nie ja, panie ministrze. Do takiego wniosku podległe mi służby jeszcze nie doszły. Na razie staramy się wykluczyć niewinnych.

– Może jednak auto było niesprawne – powiedział Reykowski, usiłując nadać swemu głosowi ton bardziej stanowczy.

– Akurat to bez większego wysiłku udało się wyjaśnić. Jest mimo wszystko kwestia poważniejsza. – Generał wziął z biurka notatki. – Gdzie Kotkowiak przechowywał aktówkę, w której mógł mieć tajne materiały i przemówienie sejmowe?

Minister uniósł pytająco brew.

– Myślę, że na udzieleniu odpowiedzi na to pytanie zależy panu najbardziej – zauważył komendant. – Są wśród nas osoby, które chciałyby znać zawartość owej aktówki.

– Kogo pan ma na myśli? – Reykowski udał oburzonego.

– Cóż, należy przyjąć wersję najbardziej zbliżoną do możliwej albo sprawę umorzyć z powodu braku dowodów winy kierowcy i pozostałych pasażerów. Chyba że oskarżymy tego Niemca z Monachium, który... coś tam... Będzie można po-

stawić go przed sądem, ale trudno ukarać. – Komendant najpierw spojrzał na ministra, jakby czekał na jego potwierdzenie, później wzrok zatrzymał na twarzy generała.

Obaj przytaknęli cicho. Reykowski nie był zadowolony z propozycji, ale i nie widział innego rozwiązania. Pragnął, żeby sprawa przycichła przed wyborami. Później, gdy jego stronnictwo wyjdzie z elekcji z twarzą zwycięzcy, jak się spodziewał, nakaże powtórzenie dochodzenia.

– Przed wyjściem na to spotkanie dostałem meldunek. Teoretycznie bez jakiegokolwiek znaczenia. O dupę go... Politycznie niezwykle ważny. Otóż w nocy została zamordowana sekretarka centrali krajowej Ruchu Centrum – oznajmił z zawodowym spokojem komendant policji.

– W biurze? – natychmiast zaciekał się szef Abewu. – Dlaczego ja jeszcze nic o tym nie wiem?

– W swoim mieszkaniu przy Frascatti.

Reykowski wstał raptownie i odwrócił się do okna. Było mu duszno. Czuł, że palą go policzki.

– Dobrze się pan czuje, ministrze?

Zielonagóra, os. Kwiatowe, 1 października, późny wieczór

Póki Cyganik był zwyczajnym nauczycielem rysunków i zajęć praktycznych w osiedlowej szkole podstawowej, jak większość młodych gnieździł się z żoną w wynajmowanym pokoiku, a sąsiedzi nie zwracali na niego uwagi. Dopiero gdy wystawił pałacyk w stylu skandynawskim, okolony ażurowym płotem, kupił dwa rottweilery, noc i dzień warujące na podwórzu, właściciele sąsiednich domów zaczęli mu się przypatrywać zawistnie. Nikt nie wierzył w to, że z pensji nauczycielskiej można odłożyć tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na dom sześciopokojowy, ciemnogrnatową lancję, letnie wyjazdy na Costa Brava i zimowe w okolice Tampere. Wiosną *Gazeta Zielonogórska* ujawniła, że Cyganik ma ponad

pięćdziesiąt hurtowni środków ochrony roślin i nawozów sztucznych, rozrzuconych po całym Środkowym Nadodrzu. Do niego należy firma Finpol, która wszystkie swoje dekodery telewizji cyfrowej sprzedaje niemal wyłącznie poza granicami Polski. Czy to możliwe, aby zwyczajny nauczyciel miał aż taki majątek? Ktoś musi mu pomagać, lecz kto i w jaki sposób? – zastanawiali się nie tylko ludzie z jego otoczenia. Nikt nie widział go podchmielonego czy wracającego do domu w towarzystwie nieznajomych. Sąsiedzi uważali, że Cyganik nie ma żadnych przyjaciół. Każdej niedzieli woził żonę, kobietę cierpiącą na stwardnienie rozsiane, do konkatedry na sumę. Zawsze w środę znikał na cały dzień, zostawiając małżonkę pod opieką syna jej zmarłej siostry, chłopaka niezbyt rozgarniętego.

Ostatniej niedzieli ani rano, ani w porze obiadowej, kiedy całe osiedle wracało z kościoła, Cyganikowa nie wyglądała przez okno, siostrzeniec nie siedział w altance ze słuchawkami na uszach, rottweilery nie biegały wokół płotu, tylko ciemnogramatowa lancia stała przed furtką. Zdziwiony tym stolarz, najbliższy sąsiad Cyganika, dopiero po zmierzchu zatelefonował na policję. Dyżurny przyjął sygnał, a ponieważ jego żona pracowała w montowni dekoderek, o której już wszyscy wiedzieli, że należy do Cyganika, obiecywał sprawę natychmiast wyjaśnić, ale parę minut później lancia wojewody wpadła w poślizg przy rondzie Władysława Korcza i jedyny w komisariacie radiowóz pojechał na miejsce zdarzenia.

Dwaj młodzi policjanci, patrolujący uliczki w willowej dzielnicy zwanej osiedlem Kwiatowym, ucieszyli się, licząc na to, że zostaną poczęstowani herbatą z rumem. Cokolwiek słyszeli o Cyganiku, jego bogactwie i schorowanej żonie oraz o ryglach elektromagnetycznych, czujnikach mikrofalowych i szwedzkich zamkach antywłamaniowych, które są na każdym pięttrze pałacyku. Ku ich zdziwieniu furtka była tylko

przymknięta, a drzwi na ganek lekko uchylone, jakby wymknął się przez nie kot. Najpierw wołali na zmianę, później jeden przyciskał guziczek dzwonka, drugi uderzał pięścią w futrynę, lecz nikt się nie odzywał.

– Najedli się relanium i śpią czy jaka cholera? – powiedział posterunkowy, obciągając mundur. – Trzeba sprawdzić.

– Bez nakazu mamy tam wejść? – zdziwił się kierowca radiowozu. – Już raz musiałem się tłumaczyć i przeproszać gościa za coś podobnego.

– Przecież nie włamujemy się, tylko sprawdzamy.

Ostrożnie weszli do przedpokoju, gdzie ściany były wyłożone drewnem mahoniowym, tak im się wydawało, lustra oprawione w rzeźbione ramy, fotele i stolik na nogach wygiętych w kabłąki, podłoga z seledynowego marmuru, w którym odbijały się drewniane główki uczipione sufitu. Takiego wystroju wnętrza domu żaden jeszcze nie widział, a obaj od dwóch lat patrolowali osiedle i, zdarzało się, byli zapraszani na herbatę z rumem nawet przez profesorów zwyczajnych.

– Hallooo! – zawołał kierowca, gdy nasycił oczy przepychem. – Hallooo!

Nikt mu nie odpowiedział.

– Zapomnieli zamknąć chałupę czy co? Trzeba dać znać na komisariat – podpowiedział posterunkowy.

Usłyszeli cichutki gong. Raptownie odskoczyli pod schody i dopiero wtedy dostrzegli zegar, wskazujący ósmą, porę składania raportów. Ale nie wyszli na uliczkę, tylko zapalili światło na półpiętrze i prawie równocześnie dojrzelі coś połyskującego przy nodze fotela. Kierowca już się pochylił, wyciągnął rękę.

– Nie ruszaj – ostrzegł go posterunkowy.

– Drobniaak, jak bożię kocham. Z prawdziwego złota.

– Zostaw.

– Znalazłem – powiedział kierowca i podniósł zdumione spojrzenie na kolegę. – Twój?

– Wchodzimy dalej – nakazał posterunkowy, czując się do wódca patrolu.

To, co zobaczyli na kremowym dywanie w salonie, przeraziło obu, a mieli za sobą po kilka lat służby w policji. Wycofali się do przedpokoju i oparci plecami o mahoniowe ściany głęboko oddychali, bo nagle zaczęło im brakować powietrza.

– Raportuj – pierwszy odezwał się kierowca.

– O czym? – spytał posterunkowy coraz bledszy na twarzy. Zbierało mu się na wymioty.

– Że trupy...

– Ile?

– Policz.

– Nie mogę. – Posterunkowy zatkał usta dłonią, zamknął oczy, nie chciał myśleć o tym, co dostrzegł na dywanie.

– Uważaj, żebyś nie obrzygał marmuru – dodawał sobie odwagi kierowca, również z duszą na ramieniu. – To idę – powiedział stanowczo, ale nie wszedł do salonu. Na ganku włączył nadajnik i jednym tchem opowiedział o tym, co zobaczył w salonie.

– Zrozumiałem – odpowiedział, gdy usłyszał zniekształcony głos dyżurnego, choć nie był tego pewien. Jeszcze może przez minutę ścisnął telefon drżącą dłonią.

Zielonagóra, os. Kwiatowe, 1 października, bardzo późny wieczór

Nadkomisarz Syski widział setki wisielców, topielców, zastrzelonych, zadźganych, lecz to, co zobaczył na puszystym dywanie w salonie, jego także przeraziło. Usta zacisnął mocno, oddychał przez nos i długo milcząc stał oparty o futrynę drzwi. Powinienem coś powiedzieć, ale co? pomyślał. Przykrył oczy, rozluźnił mięśnie karku, opuścił ręce i stał tak

ze dwie minuty, a jego podwładni czekali na rozkazy. Nie zawsze udawało mu się być bezdusznym gliną, bez odrobiny współczucia, wykonującym tylko i wyłącznie powinności służbowe. Im więcej ubywało mu włosów z głowy, tym częściej miał dość pracy w wydziale kryminalnym, a przecież powinno być odwrotnie.

– Jak żyję, w jednym miejscu nie widziałem tylu prawdziwych obrazów – przyznał się aspirant. – Tu jest jak w muzeum. – Przesuwał się wzdłuż ścian i odczytywał nazwiska malarzy: Velasquez, Hackert, Carazi, Canaletto, Graff, Grassi. Ciekawe, oryginały czy falsyfikaty?

Syski nie odezwał się, mimo iż nazwiska artystów nie były mu zupełnie obce, po prostu nie wierzył, że w takim pałacyku w Zielonejgórze jest aż tyle oryginalnych dzieł sztuki. Każdy obraz sprzed pół wieku stanowi ogromny majątek. Ileż Cyganik musiałby mieć pieniędzy, aby do jednego domu ściągnąć aż tyle arcydzieł? I skąd? Pewnie więc na ścianach wiszą kopie.

– Panie Tadeuszu, co pan wie o Cyganiku?

– Dziś pierwszy raz usłyszałem to nazwisko. – Aspirant się zawstydził. Ukończył studia kulturoznawcze, ale specjalnie nie interesował się sztuką, a tym bardziej kolekcjonerami prywatnymi. – Chyba nigdy nie byłem na Kwiatowym.

– Ja również. I nie jestem kulturoznawcą, lecz coś niecoś wiem o najbogatszych zielonogórczanach. Wystarczy dzień w dzień czytać gazety. Cyganik...? – Zmarszczył czoło, próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał to lub podobnie brzmiące nazwisko. – Za te obrazy, jeśli nawet są kopiami, można byłoby kupić rozsypujący się zamek, na przykład w Siedlisku, wyremontować go, zatrudnić służbę i żyć, leżąc całymi dniami brzuchem do góry.

– Profesor Gardocki opowiadał, że w żagańskim pałacu Bironowie mieli największą kolekcję obrazów, jaka istniała

w naszym regionie. Co się z nimi stało, tego nikt nie wie. Historycy przeszukali wszystkie muzea, galerie, kolekcje prywatne i nic. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że tu są poszukiwane arcydzieła.

Nadkomisarz zamyślił się na chwilę właśnie z powodu tego, co powiedział aspirant. Ale czy to możliwe, żeby żagańska kolekcja zmieściła się w willi Cyganika?

– Nie wygląda na to, żeby zabójcom chodziło o obrazy. Malarstwo chyba ich nie interesowało.

– Porachunek osobisty? – spytał aspirant sugestywnie.

– Jeśli tak, wykrycie morderców będzie trudne. Albo niemożliwe.

Ciała trzech osób leżały na dywanie obok siebie z głowami zwróconymi w stronę drzwi. Wszystkie miały poderżnięte gardła i regularne krzyżyki na czołach. Tego nie mógł zrobić ktoś w pojedynkę, uważał nadkomisarz. Musiało być kilku zabójców i to takich, którzy nie znają litości.

– Mnie się wydaje, że kiedyś był bokser Cyganik – niepewnie podpowiedział fotograf. – Dopóki Gwardia trzymała się w drugiej lidze, mój najstarszy brat nie opuścił żadnego meczu. Mogę się mylić, to już tyle lat, ale chyba słyszałem, że Cyganik boksował w wadze półciężkiej.

Syski pochylił się nad dywanem, mimo że miał w kieszeni rękawiczki higieniczne, opuszkami palców dotknął zakrzepniętej krwi, jakby sprawdzał, czy to na pewno krew, a nie farba.

– To musiało wydarzyć się wieczorem. – Pokazał głową na lampkę palącą się na parapecie.

– Może już w nocy – podpowiedział niepewnie aspirant.

– W nocy zazwyczaj ludzie śpią. W piżamach lub nago. Ale zawsze w łóżkach. Telewizję oglądają wieczorem, starsi często przy zapalonych lampkach.

Aspirant przytaknął, a nadkomisarz dopiero teraz powiedział to, co od chwili wejścia do pokoju budziło jego wątpliwości:

– Zabójcy byli wynajęci. Na zlecenie dokonali mordu rytualnego. Tylko dlaczego Cyganik nie walczył? Bokser przecież. Czyżby ich znał?

– Może obezwładnili go paralizatorem?

– Minęła doba. Gaz zdążył wywietrzeć – zdecydowanie stwierdził fotograf, z zawodu chemik wojskowy, i kilka razy pociągnął nosem. – Jakby coś czuć. Panu nadkomisarzowi nie łzawią spojówki?

Syski spojrzał na niego z dezaprobatą, ale również zamknął usta i ciężko oddychał przez nos.

– Obrazy jak wisiały, tak wiszą. Szuflady pozasuwane. Żadnych uszkodzeń mebli. O co im chodziło? Przecież nikt nie morduje bez powodu. – Aspirant podniósł oczy na ogromny żyrandol i zrobił krok do tyłu. Wydawało mu się, że lada chwila runie na dywan pod ciężarem kryształowego szkła. – Wygląda to mi na ciszę przed burzą.

Syski polecił mu, aby obejrzał pozostałe pokoje. Sam jeszcze raz pochylił się nad dywanem i szukał śladów butów, okruszków błota, nitek, włosów, lecz niczego nie znalazł. Już teraz chciał zebrać możliwie najwięcej dowodów, żeby w ciągu dwóch tygodni wsadzić morderców za kraty. Pod koniec miesiąca wybiera się na urlop. Gdyby z willi zginęły malowidła, na dywanie były ślady walki, pomyślał, lecz poza plamami zakrzepniętej krwi i trzema nieruchomymi ciałami Syski niczego nie widział.

– Panie nadkomisarzu! – Usłyszał z góry głos aspiranta. – Chyba coś mam!

W pokoiku na piętrze, pełnym witrynek i gablot, złociły się monstrancje, krzyże, kielichy, salaterki, kieliszki, patery. Dwie strzelby, wetknięte za haki, pilnowały majątku. Syski chwycił się za głowę oburącz, zamiast cokolwiek rzec, otworzył usta i stał osłupiały. Takiej kolekcji nie widział nawet w salonie antyków, gdzie ostatnio kupił posrebrzaną cukiernicę, którą obdarował żonę Daniela z okazji jej imienin.

– Sejf jest pusty – powiedział aspirant i naprowadził jego wzrok na otwarte drzwiczki.

Próbował dostać się do szuflady biurka, lecz była zamknięta na klucze systemu Logocad. Mógłby ją otworzyć jedynie biegły kasiarz, znawca elektroniki cyfrowej. Zajrzał do szafki stojącej przy oknie balkonowym. W woreczkach z błękitnej folii leżały setki zegarków kieszonkowych z grubymi łańcuszkami, na pierwszy rzut oka złotych, pochodzących co najmniej z początku wieku. Podobny zegarek firmy Solvil et Titus, złotym łańcuszkiem wymykający się z kieszonki kamizelki, nosił jego dziadek ze strony matki. Przed śmiercią dziadek powiedział, że jeśli zostanie policjantem kryminalnym, to da mu ten zegarek. Sięgnął do kieszeni, uśmiechnął się zadowolony i badawczym spojrzeniem dalej omiatał ściany.

– Sami tej sprawy nie rozgryziemy od ręki – rzekł do aspiranta z rezygnacją. Zanim tu wszedł, inaczej myślał. – Ktoś musi przyjść nam z odsieczą.

– Kto? Czy jest w komendzie ktoś, kto ma lepszego nosa do zabójców?

– Tu nie chodzi o zabójstwo, jakich wiele, kolego Araszkiewicz. Prawda, nie żyją trzy osoby, i to jest straszne. Rzecz jednak jest o wiele poważniejsza, jak mówią ci, którzy nic nie wiedzą. Złożona i trudna. – Zmarszczył czoło. Instynkt podpowiadał Syskiemu, że tradycyjne metody śledztwa w tym wypadku okażą się nieprzydatne. – Gdybyśmy cokolwiek więcej wiedzieli o Cyganiku, byłoby nam dużo łatwiej poruszać się w świecie kryminalistów.

– Dowiemy się – zapewnił go aspirant wyniośle.

Nadkomisarz chciał rzec, że najwięcej powiedziałby mu sam Cyganik i byłyby to wiadomości najprawdziwsze, lecz tylko machnął ręką. Zachowywał się tak zawsze, gdy nie umiał znaleźć klucza do zagadki kryminalnej. Wrócił do sa-

lonu, gdzie technicy i fotograf robili to, co do nich należało. Lekarz sądowy wypełniał formularze obdukcyjne. A policjanci patrolowi, jeszcze bladzi, siedzieli w przedpokoju i palili papierosy.

– Znaliście denatów, chłopaki? – rzucił Syski w ich stronę.

– Skarg nie było, to i... – Kierowca jakby się zawstydził. – Cyganik normalny...

– A psy? – przerwał mu nadkomisarz.

– Psy? – Dopiero teraz kierowca przypomniał sobie ostrzeżenie dyżurnego. – Nie widzieliśmy psów, a miały być rottweilery, dwa czy...

– W jaki sposób dostaliście się do domu?

– Najpierw stałem przodem do kamery i zwyczajnie naciskałem dzwonek domofonu. Nikt nie odpowiadał, to normalnie sprawdziłem, czy furtka jest zamknięta. Była otwarta, to ją popchnąłem – relacjonował kierowca, starając się wszystko dokładnie opowiedzieć. – Kolega – pokazał na posterunkowego – szedł krok za mną, zgodnie z przepisami. Na schodach zawołałem jeszcze raz: Halo, panie Cyganik! Nikt się nie odezwał. Zza firanki przebijało światło. Kolega powiedział, że pewnie oglądają telewizję i zapomnieli zamknąć drzwi.

– Sprawdźcie w ogrodzie, co się stało z psami – polecił im Syski.

Zielonagóra, ul. Bankowa, 1 października, prawie noc

Doktor Much, dyrektor Muzeum Środkowego Nadodrza, samotnie jadł późną kolację i oglądał telewizję, gdy Syski zadzwonił do drzwi. Bez żadnych wyjaśnień czy komentarzy na temat wartości sztuki policjant spytał go o nazwiska miejscowych zbieraczy antyków.

– Nigdy nie słyszałem o tutejszym kolekcjonerze, który miałby zbiory bogatsze niż moja placówka – odparł bez wa-

hania dyrektor. Był ciekawy, dlaczego policjant późnym wieczorem przyszedł do jego domu, a nie przed południem do muzeum, lecz nie miał odwagi spytać go wprost.

– A może w przeszłości mieszkał w Zielonejgórze ktoś, kto zbierał antyki, inkunabuły, bo ja wiem?... miedzioryty, płótna olejne...?

– Największa kolekcja obrazów znajdowała się w żagańskim pałacu. Tuż przed końcem wojny miała być przeniesiona do Berlina. Niemcy nie zdążyli załadować skrzyń na samochody. Podobno skarb ukryli gdzieś w pobliżu Żagania. Powiadam: podobno. Jak i podobno wywiad trafił na te skrzynie. Jedni zapewniają, że był to wywiad amerykański, drudzy że sowiecki.

– Brakuje dowodów – bardziej stwierdził niż spytał Syski.

– Co to, to nie. Podczas pobytu w Moskwie wstąpiłem do najslawniejszej galerii w tym mieście i, proszę sobie wyobrazić, natknąłem się na płótna Caraziego, które stanowiły część kolekcji żagańskiej.

– Dzielił się pan z kimś tym spostrzeżeniem?

Much pokręcił głową przecząco.

– Znajomy mówił mi, że w nowojorskim Muzeum Sztuki są obrazy, które miały być wywiezione z Żagania do Berlina, lecz, jak już powiedziałem, Niemcy nie zdążyli tego zrobić.

– Jaką drogą dostały się do Nowego Jorku?

– Ponoć istnieje dokładny spis pałacowego inwentarza, w tym wszystkich obrazów i zabytków, sporządzony przez jakiegoś historyka sztuki, niestety, nigdy go nie widziałem, aczkolwiek czyniłem ogromne starania – kontynuował dyrektor. Jeszcze nie uświadomił sobie, że akurat te informacje nie interesują Syskiego. – Być może opowieść o skrzyniach znalezionych przez wywiad, amerykański albo rosyjski, jest prawdziwa.

Właściwie wiadomość ta nie zaskoczyła Syskiego, mimo to spytał:

– Czy owe skarby mogły się dostać do prywatnych domów powojennych władz?

– Tego nie wykluczam. Wiele obrazów nasze muzeum otrzymało od ówczesnych władz, częściej wojskowych niż cywilnych. Kilka eksponatów podarowali Rosjanie tuż przed opuszczeniem Żagania – dodał kwaśno Much.

– Co panu mówi nazwisko Cyganik?

Po chwili milczenia, jakby przeglądając w pamięci długi rejestr sobie znanych osób, dyrektor odrzekł:

– Mieszkam w Zielonejgórze od prawie trzydziestu lat, w niemałym stopniu uczestniczę w życiu publicznym, ale nie przypominam sobie, aby osoba, której nazwisko pan wymienił, była powszechnie znana. – Kłamie, stwierdził w myślach policjant. Przecież jeden z wojewodów nosił to nazwisko. – Znam Cygańskiego, Cyganowicza, Cyganka... Kustosz działu sztuki dawnej nazywa się Cyganiak.

Syski wypytywał go o ceny obrazów oraz o możliwości ich sprzedaży w kraju i za granicą. Dowiedział się, że kilka osób w Zielonejgórze handluje dziełami sztuki, na co ma zezwolenie ministra kultury.

– Może ktoś spośród pracowników muzeum wyceniał lub potwierdzał autentyczność obrazów w kolekcji Cyganika?

– Wiedziałbym o tym. Muzealnicy to tacy ludzie, którzy długo nie potrafią utrzymać języka za zębami, szczególnie jeśli chodzi o cenne dzieła.

– Ponieważ są wrażliwi na piękno – dodał Syski swobodnym tonem.

Dyrektor natychmiast skinął głową.

– Prowadzimy poufną ewidencję prywatnych zbiorów, na polecenie pewnej służby, której nazwy z zasady nie wymie-

niam. Pan zapewne domyśla się, dlaczego tak postępuję? – spytał Much, nie oczekując odpowiedzi. – Mimo to nie dotarła do mnie jakakolwiek wiadomość o zielonogórzaninie, który byłby właścicielem, powiedzmy, Velasqueza czy choćby dzieła z jego szkoły. Współcześni amatorzy często próbowali robić kopie, zazwyczaj były to nieudane prace. Co się tyczy naszego muzeum, ostatnio dostaliśmy niezłą kopię ikony Uspieńskiego i dwa pejzażyki Graffa, skonfiskowane na granicy w Świecku.

– Zna pan Cyganika? – ponownie spytał Syski.

– Wiem tyle, ile każdy mieszkaniec miasta, który czyta obie nasze gazety. Podobno zamożny i nie jest zainteresowany polityką, co go odróżnia od pozostałych bogaczy.

A, mam cię, doktoru dyrektorku. Przecież przed chwilą mówiłeś, że nigdy nie słyszałeś o Cyganiku. Syski zmierzył go podejrzliwym wzrokiem, ale nie dał tego poznać po sobie.

– Gdybym pokazał panu pewne obrazy, czy gołym okiem odróżni pan oryginały od kopii?

– To zależy między innymi od talentu kopisty. Eksperci z naprawdę poważnych ośrodków akademickich często się mylą, przeto ja, dyrektor regionalnego muzeum, pan rozumie... Dziś nie jest trudno uzyskać farby do złudzenia przypominające stare barwiki.

Much ukończył historię sztuki na Uniwersytecie Karola w Pradze, praktykował w Galerii Drezdeńskiej, doktorat uzyskał pod okiem profesora Białostockiego i znał się na malarstwie jak mało kto w zachodniej części kraju. Gdyby mieszkał w Krakowie czy Warszawie, uchodziłby za wybitnego opiniodawcę, na pewno byłby profesorem uniwersytetu, a może i ekspertem UNESCO. W Zielonejgórze był raczej zbędny, jeśli nie liczyć wykorzystywania go przez celników i policjantów jako biegłego. W ciągu blisko trzydziestu lat zarządzania muzeum zgromadził kolekcję dzieł sztuki znaną szeroko poza granicami regionu. Płótna ze zbiorów zielono-

górskich były wystawiane nie tylko w galeriach Berlina i Paryża, gdzie jako kustosze pracowali koledzy dyrektora, lecz i w muzeum okręgowym w Tampere, a nawet w muzeum stanowym w Kalkucie.

– Nie sądzę, aby obrazy autorów, o których pan wspominał, były autentyczne. Póki jednak im się nie przyjrzę, niczego konkretnego nie mogę powiedzieć. Może rzeczywiście moi współpracownicy nie o wszystkim wiedzą? Albo nie o wszystkim mnie informują? – Dyrektor przymknął oczy i westchnął przeciągle. – Nie, wolę o tym nie myśleć.

– Dziękuję za konsultację – skinął głową Syski, zbierając się do wyjścia. – Wszystko, panie doktorze, o czym rozmawialiśmy, na razie proszę traktować jako tajemnicę.

– Nie jestem uczniakiem, a na tym, żeby obrazy, nawet jeśli okażą się kopiami, zostały w naszym mieście, mnie zależy najbardziej. Dobra kopia jest czasem cenniejsza niż oryginał. Oto przykład. Nasze muzeum koniecznie chciało mieć oryginał *Fortuny* Tadeusza Kuntzego. To wybitny malarz, urodzony w Grünbergu, czyli Zielonejgórze. Niestety Muzeum Narodowe, które jest właścicielem obrazu za nic w świecie nie chciało nam go dać. Zgodziło się jedynie na to, aby wskazana przez nas osoba zrobiła kopię. Wykonanie kopii zleciłem Irenie Bierwiazzonek, a ona podczas fotografowania oryginału odkryła wiele niedoróbek i błędów, które popełnili współpracownicy Kuntzego w trakcie malowania obrazu. Pewnie było tak, że mistrz namalował główne postaci, resztę oddając w ręce uczniów. Teraz kopia *Fortuny* doskonałością techniczną przewyższa oryginał.

– Gratuluję.

Przeprosiwszy nie wiadomo za co, Much odprowadził nadkomisarza do drzwi. Gdy wrócił do pokoju, natychmiast podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer centrali hotelu sejmowego.

Zielonagóra, ul. Wąska, 2 października, ranek

Kiedy o siódmej trzydzięci Syski zajrzał do *Zielonogórskiej*, którą codziennie rano kupował w kiosku przy komendzie, grzmotnął pięścią w biurko. Przecież wieczorem zabronił oficerowi dyżurnemu informowania kogokolwiek o morderstwie w dzielnicy willowej. Postanowił, że dopóki nie trafi choćby na mikroskopijny ślad zabójców, nie będzie niczego wyjaśniał dziennikarzom. Zbrodnia w willi na osiedlu Kwiatowym została odkryta dopiero po zmierzchu. Późnym wieczorem nadkomisarz wyszedł z mieszkania dyrektora muzeum. Kto, u licha, i kiedy dał sygnał gazecie? Syski mógł zatelefonować do Daniela Satecka, zadać mu to pytanie, już wyjął notes z teczki, żeby odnaleźć w nim numer centrali redakcji, gdy sobie zdał sprawę z tego, iż mimo przyjaźni w tej sprawie Daniel będzie milczał. Dobrzy dziennikarze zdobywają informacje w sposób trudny do odgadnięcia i mają intelektualną przewagę nad policjantami. Syski był przekonany, że Sateck korzysta z prywatnej pomocy prokuratorów, sędziów, policjantów i agentów Abewu, wobec których nie pozostaje dłużny. Ileż razy rywalizowali ze sobą w prowadzeniu śledztwa: Syski oficjalnie, Sateck jako dziennikarz.

Po wyjściu z mieszkania dyrektora muzeum, Syski poszedł do właściciela salonu antyków Rokoko. Pragnął dowiedzieć się cokolwiek o Cyganiku, niestety, antykwariusz nigdy nie zanotował jego nazwiska w rejestrze klientów, ale poradził, aby nadkomisarz skontaktował się z byłym prezesem klubu kolekcjonerów Pro Phorma. Elitarne stowarzyszenie zbieraczy starych przedmiotów przed rokiem zostało rozwiązane na wniosek prokuratury, mimo to jego członkowie nadal zbierali się w mieszkaniu byłego prezesa.

- Czyżby wbrew prawu szmuglowali antyki przez granicę?
- spytał podejrzliwie Syski.

– Pan rozumie, że są pewne tajemnice zawodowe, których żaden fachowiec nie zdradzi. Ja też mam się za fachowca i żyję w świecie fachowców – odrzekł wymijająco antykwariusz. – Radzę porozmawiać z celnikami i strażnikami granicznymi. Bezzwłocznie – dodał ciszej, jakby coś wiedział.

– Jaką wartość mogła mieć kolekcja żagańska? Co się z nią stało?

– Pan pewnie pyta o zbiory Bironów i Talleyrandów?

Syski skinął głową.

– Póki obraz nie jest przeznaczony na aukcję, nikt nie określa jego wartości w dolarach. Nikt też nie odpowie przed licytacją, jaką cenę osiągnie dzieło sztuki. Obraz jest tyle warty, ile zapłaci nabywca. Po odpowiedź na drugie pytanie, dotyczące losów kolekcji żagańskiej – zamilkł na chwilę, jakby coś sobie przypominał – powinien pan się wybrać do emerytowanych ubeków.

Wydawało mu się, że jeszcze ktoś prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci rodziny Cyganika. Dyrektor muzeum nie wszystko powiedział, antykwariusz także coś przed nim ukrył. Coraz bardziej był przekonany, że morderstwo w willi na osiedlu Kwiatowym naprowadzi go na trop gangu, który szantażuje historyków sztuki i ma na sumieniu wszystkie zabójstwa bogatych kolekcjonerów. Zdecydował, że jednak zadzwoni do Satecka i go spyta, w jaki sposób wydebił informację o morderstwie na Kwiatowym. Nie będzie mu wymyślał ani domagał się wyjaśnień, ale o dziewiątej Satecka jeszcze nie było w redakcji, zatelefonował więc do jego mieszkania, lecz i tam nikt nie podnosił słuchawki, a telefon komórkowy nie odpowiadał. Aby nie marnotrawić czasu, zadzwonił do urzędu celnego. Może celnicy zatrzymali na granicy kogoś, kto przemycał obrazy, antyki albo złoto i zastanawiają się, kogo o tym powiadomić? – pomyślał

– Jak Boga kocham, pan jest telepatą, nadkomisarzu! – wykrzyknął szef urzędu. – W pociągu na stacji w Kunowi-

cach przyskrzyniliśmy dwóch facetów. Francuzik wracający z Rosji miał w walizce cztery marne kopie ikon. Gdyby nie upierał się, że to oryginały, przepuścilibyśmy je przez granicę. Ponieważ stawiał się, skonfiskowaliśmy ikony, a jemu wlepiliśmy mandat. Drugi przemytnik, Murzynek z Czadu, nie zgłosił do odprawy skrzypiec, na oko wyglądają na instrument ze szkoły kremonońskiej. Jestem raczej przekonany, że Czadyjczyk pana nie interesuje.

Policjant nie przerywał dyrektorowi, rzeczywiście ani Francuz, ani Czadyjczyk go nie interesowali.

– Na przejściu granicznym w Świecku nakryliśmy jego mością, ni to Żyda, ni Cygana, z paszportem wystawionym przez wojewodę wielkopolskiego. Schował, proszę posłuchać, w prawej nogawce więcej niż kilo świecideł ze złota. Żona konsula fińskiego w Gdańsku miała przy sobie sześć futer i jakieś rysunki. Przysięgała, że nie wie, kto jej podrzucił te ilustracje. O przemytnikach papierosów, amfetaminy i innych proszków nie będę donosił, bo to raczej kompetencje pańskich kolegów z wydziału do spraw narkotyków.

– Interesuje mnie ten od złota.

– Tak też myślałem. Ostrzegam: trudna sprawa. Wiemy tyle, że gość mieszka w Warszawie, bez określonego miejsca pracy, często wojażuje do Niemiec. W paszporcie ma dwa stemple fińskiej straży granicznej z lotniska Vaanda.

– Turysta – stwierdził ironicznie Syski.

– Zbyt pewny siebie. Przesłuchamy go i zwolnimy. Na za wiele nie liczę.

– Gdzie go trzymacie?

– Jeszcze siedzi w pokoju kierownika zmiany nocnej. Na przesłuchanie pojedzie do Słubic. W południe podejmie go prokurator – roześmiał się dyrektor.

– Będę za godzinę z niewielkim okładem.

– Czy może pan zabrać ze sobą dyrektora muzeum? Przyda się przy wycenie ikon.

Syski nie miał nic przeciw prośbie celnika, choć nie lubił podróżować z osobą, która zadaje dużo pytań, a za taką uważał Mucha. Okazało się, że dyrektor muzeum miał głowę nabitą własnymi zmartwieniami i w czasie jazdy nawet się nie odezwał.

– Czytał pan w gazecie o przewalance w Sambuce? – zagadnął Syskiego kierowca policyjnego opla.

Nadkomisarz machnął ręką lekceważąco, ciągle myślał o morderstwie w willi Cyganika, lecz po chwili zaciekał się nie tyle notatką, co pracą Satecka. W jaki sposób dziennikarz regionalnej gazety dociera do poufnych informacji i dlatego zawsze jest szybszy od rzecznika policji? Kto mu donosi i za ile? Pewnie na to pytanie nigdy nie usłyszę odpowiedzi, pomyślał.

– Gość miał przy sobie coś trzysta tysięcy eurów – odezwał się aspirant, rozkładając gazetę na kolanach. – Niestety, tylko miał – dodał jakby współczująco.

Tego za wiele. Znowu Sateck okazał się lepszy ode mnie, stwierdził krytycznie nadkomisarz. O szczegółach tego co się wydarzyło w mojej branży najpierw dowiaduję się z gazety, później od współpracowników.

– Miał facet forszę i nie ma – powtórzył aspirant, starając się zwrócić na siebie uwagę dyrektora muzeum, który siedział obok niego z rękami złożonymi jak do wieczornej modlitwy.

– Po mojemu zwyczajny Rockefeller nie nosi przy sobie całego majątku. – Kierowca odwrócił głowę do aspiranta. – Ktoś musiał mieć go na cynglu. Może i ten sam, co zaciukał Cyganika?

– Patrz, jak jedziesz – skarcił go nadkomisarz.

– Dawniej tego nie było. Trzysta tysięcy – kierowca zagwizdał przeciągle – mnie by starczyło do śmierci. Córce kupiłbym

dom w Drzonkowie, synowi jakiego fiata, żonie dałbym na dentystę i jeszcze miałbym na założenie firmy ochroniarskiej.

– A ja, gdybym posiadał taki kapitał, wykupiłbym całą kolekcję obrazów z willi Cyganika, panie nadkomisarzu – powiedział dyrektor muzeum.

Syski nie odezwał się, choć miał już na końcu języka pytanie o wartość obrazów. Skąd Much wie, że Cyganikowa kolekcja kosztuje trzysta tysięcy?

Świecko, przejście graniczne, 2 października, przedpołudnie

Szef urzędu celnego czekał na policjanta w swoim gabinecie. Był to mężczyzna nieźle obeznany z historią sztuki, jednak wołał polegać na osądzie eksperta, a za takiego miał doktora Mucha, który przynajmniej dwa razy w miesiącu bywał w jego magazynie i wybierał co ciekawsze dzieła do muzealnej kolekcji. Dlatego najpierw pokazał gościom ikony, dopiero później, gdy Much powiedział, że postacie świętych zostały namalowane współczesnymi farbami firmy Talens na niedokładnie wysuszonych deskach, zaprowadził policjantów do pokoju kierownika zmiany nocnej.

– Panowie nie potrzebują świadków – powiedział szef urzędu.

Kierownik zrozumiał to dosłownie i natychmiast wyszedł z pokoju.

Szary woreczek, który szef urzędu wyjął z sejfu, prawie do połowy był napchany złotymi precjozami. Gdy Syski do niego zajrzał, zagwizdał, jakby nie wierzył oczom, później włożył rękę do środka, czegoś szukał po omacku, trwało to długo.

– W jaki sposób wszedł pan w posiadanie tej rzeczy? – spytał, kładąc na stoliku przed mężczyzną o ciemnej skórze sygnet z wrytymi literami TC.

A mężczyzna nawet nie podniósł głowy.

– Powtarzam, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tej rzeczy?

Mężczyzna miał oczy przylepione do podłogi, ręce skrzyżowane na piersiach i pociągał nosem.

– Na pańskim miejscu udzielałbym wyczerpujących odpowiedzi na wszelkie pytania. Dla własnego dobra – dodał szef urzędu.

– Tak? – Prawą nogę mężczyzna położył na lewym udzie, mocno oparł się plecami o poręcz krzesła i skrzywił usta w lekceważącym uśmiechu.

– Czy jest już znana wartość przemycanych przedmiotów?

– Najpóźniej za dwa dni oszacuje je biegły jubiler. – Celnik zerknął do protokołu spisane go aż na czterech kartkach. – Razem prawie półtora kilograma złota w wyrobach.

Nadkomisarz zagwizdał przeciągle. Nigdy nie widział takiej ilości złota. Gdyby je sprzedać nawet jako złom, pieniędzy wystarczyłoby na podróż dookoła świata, willę z basenem w ogrodzie, luksusowy samochód i beztrudne życie. Syski zawsze myślał realistycznie, sytuacje oceniał trzeźwo, a jeśli dedukował, to tak, jakby był głównym ekonomistą w banku.

– Co pan robił wczoraj od rana?

– Podróżowałem – odparł mężczyzna. – Nie wolno?

– Skąd i dokąd? – naciskał Syski, już zdając sobie sprawę z tego, że mężczyzna jest pewny siebie i niewiele mu powie. Zawodowiec, ocenił go kilka minut temu, kiedy wchodził do pokoju. Dziś, jutro, najpóźniej za dwa dni rozlegnie się specjalny telefon na biurku mojego szefa, gdy komendant na miękkich nogach podniesie słuchawkę i przedstawi się głosem wylęknionym, jakiś facet najpierw rzuci kilka fałszywych słów, a później nakaze mu, aby przesłał wszystkie papiery do centrali. Dlatego muszę się spieszyć, pomyślał. Może zdążę?

– Skąd więc i dokąd pan podróżował?

– Sądzę, że nadal jestem w podróży. Ta chwilowa przerwa zaraz się skończy. O której mam najbliższy pociąg do Ber-

lina? – Mężczyzna zwrócił się do szefa urzędu. – Poproszę o kawę ze mlekiem. Bez cukru.

Celnik zrobił zakłopotaną minę, a aspirant mało nie strze-
lił śmiechem.

- Zatrzymanie nastąpiło tuż przed północą...
- Wbrew prawu – przerwał policjantowi mężczyzna.
- Zna pan prawo? Może jest pan adwokatem?
- Znam się o tyle... o ile...
- Wystarczy, aby pan zdawał sobie sprawę z tego, że prze-
wożenie półtora kilograma złota bez zezwolenia banku cen-
tralnego i opłacenia cła jest naruszeniem prawa.

Mężczyzna przytrzymał usta w cynicznym uśmiechu, da-
jąc wszystkim do zrozumienia, że odpowie na te pytanie, na
które zechce.

– Interesuje mnie sygnet, a raczej litery TC. – Syski pokazał
długopisem na wygrawerowany w oczku monogram.

- Jak na prowincjonalnego gliniarza ma pan dobry gust.
- Pana nazwisko?
- Stoi wyraźnie w paszporcie.
- Radzę odpowiadać na pytania. – Syski przybrał groźniej-
szą minę.

– Herrmann. Zygmunt Adam Herrmann.

– Czy sygnet jest pana własnością?

– Był.

– Co to znaczy: był?

– Był, bo mi go odebraliście.

– Na razie znajduje się w depozycie urzędu celnego.

Herrmann otworzył usta, chciał coś powiedzieć, lecz napo-
tkawszy badawcze spojrzenie nadkomisarza znowu spuścił
oczy na podłogę.

– Czy był pan w Zielonejgórze? Wczoraj, przedwczoraj lub
w ostatni piątek?

– Nie – odparł natychmiast.

– Na pewno?

– Po co? Nie znam nikogo w Zielonejgórze. – Głos Herrmanna lekko drżał. – Chciałbym zapalić.

Aspirant położył przed nim paczkę westów.

– Palę camele. – Wyjął z kieszeni banknot i podał go dyrektorowi urzędu. – Niech pan przyniesie mi camele. Chyba jest tu jakiś sklepik?

Skurwiel, zaklął w myślach Syski.

– Zna pan Tomasza Cyganika? – spytał ukrywając wściekłość.

– Nie. – Żaden mięsień na twarzy Herrmanna nie zadrżał.

Zawodowiec albo aktor, pomyślał nadkomisarz. Przymrużywszy oczy, spytał go o narodowość.

– Mam obywatelstwo polskie. Reszta nie powinna pana absorbować.

– Interesują mnie imiona pańskich rodziców, miejsce i rok urodzenia.

– Salomea i Tadeusz, Warszawa, 1963.

– Na pewno nic nie łączy pana z Tomaszem Cyganikiem?

– Pan wybaczy, ale to już jest nudne. Oświadczam, że nie znam nikogo, kto zwie się Cyganik Tomasz. Wystarczy?

– W jaki sposób stał się pan właścicielem sygnetu, który należy do Tomasza Cyganika? – spytał policjant, zdając sobie sprawę z tego, że przekroczył swoje uprawnienia.

– Kupiłem.

– Złoty łańcuszek z krzyżykiem wysadzonym brylancikami również pan kupił?

– Oczywiście.

– Od kogo?

– Od znajomego.

– Gdzie? Kiedy? Jego imię i nazwisko?

– Wczoraj byłem w Poznaniu. Tam udało mi się okazyjnie nabyć te przedmioty.

– Ile pan zapłacił, powiedzmy, za sygnet? – Syski starał się zachować spokój, choć wszystko się w nim gotowało.

– Jeśli powiem, że sygnet kosztował mnie dwieście euro, uwierzy mi pan?

Dyrektor urzędu stał przy oknie i zagryzał usta z poirytowania. Aspirant zaś cały czas szukał w myślach pytania, które powinien zadać nadkomisarz, aby Herrmann skapitulował, ale nic oryginalnego nie przychodziło mu do głowy.

– Więc wszystkie przedmioty pan kupił. Od kogo, bo chyba nazwiska sprzedawcy nie usłyszałem? – Syski nie miał wątpliwości, że te krzyżyki, obrączki, pierścionki, łańcuszki i broszki jeszcze w sobotę znajdowały się w willi Cyganika. Tylko jak tego dowieść? – Co zamierzał pan z nimi zrobić? Handlowiec powinien wiedzieć, że przewóz przez granicę takiej ilości złota, w dodatku bez zezwolenia i cła, jest ryzykowny. Czy ubezpieczył pan towar?

Herrmann nie odpowiedział na żadne pytanie. Całymi stopami oparł się mocno o podłogę, ręce opuścił na kolana, wzrok przeniósł za okno. Aspirant uznał, że delikwent jest twardy, ale już traci pewność siebie.

– Grozi panu... – zaczął nadkomisarz i zaraz urwał. Jeżeli Herrmann nie jest mordercą, to nic mu nie grozi. Złoto zostanie skonfiskowane, on najwyżej zapłaci karę za wywóz cennych walorów bez zezwolenia. – Jest pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora – powiedział i dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że przesłuchiwał Herrmanna bez zgody prokuratury.

– Chciałbym się skontaktować z prokuratorem Wilczkiem.

Syski mało nie parsknął śmiechem. Wszystkie grube ryby liczą na przebiegłość adwokatów, ale jeszcze nikt go nie straszył zastępcą prokuratora generalnego.

Zielonagóra, os. Kwiatowe, 2 października, wczesne popołudnie

Bez zgody zastępcy komendanta Syski nakazał obserwację willi Cyganika z okiem sąsiednich domów, czemu początkowo sprzeciwiali się ich właściciele, lecz aspirant zagroził im oskarżeniem o umyślne utrudnianie pracy policji. Nie mieli więc wyboru i się zgodzili na wszystko. Zaraz też się okazało, że ich wiedza o Cyganiku jest znacznie bogatsza niż policjanci przypuszczali. Nikt nie był nawet na ganku willi, ale prawie wszyscy wiedzieli, gdzie jest sypialnia, jakie meble stoją w jadalni, nawet czym są wyłożone schody do piwnicy. Sąsiedzi zapamiętali kolory, a i często marki samochodów, które podjeżdżały przed willę. Emerytowany dróżnik kolejowy, całymi dniami siedzący w fotelu na poddaszu domu córki po drugiej stronie uliczki, zapisywał numery rejestracyjne aut zagranicznych, jakie zatrzymywały się przy furtce.

– Po co pan to robił? – zaniepokoił się aspirant.

Starowina nie odpowiedział, oparł się jeszcze mocniej o poręcz fotela i tylko rozciągnął ręce. Jego córka, żona księgowego w montowni dekodów, radziła, żeby notatki zignorować, bo ojciec coraz gorzej słyszy i miał operowane oczy z powodu zaćmy.

– Alem auta zagraniczne widział! – oburzył się staruszek.

Bardziej z pogłosek niż z nici prowadzących do wiedzy Syski utkał ażurową makatkę, na której Cyganik był jednak człowiekiem przebiegłym, zaradnym, utrzymującym kontakty niemal z całym światem. Mało tego, z opowieści sąsiadów wyłaniał się Cyganik zawadiaka, gracz, karciarz i pewny siebie lowelas, w dodatku pozbawiony serca i skrupułów moralnych.

– Zadawał się z takimi, co to mają długie kłaki i łązą oberwani jak największa biedota – oznajmił stolarz, zbijający tanie trumny w dobudówce za ogrodem Cyganika. – On

chciał mnie wy... tego i by mnie już... Szczęście od Boga, że go ukatrupili.

– Jak on grzmocił tego dzieciaka, Jezuniu kochany. Co dzieciak winny? Chory był i tyle.

– A żony nie ogłupił?

– Stary Rebeka pewnie jeszcze by żył. Jaki to był święty człowiek, mój Boże. Prawda, do kościoła nie chodził, bo wysoko partyjny, ale każdemu poradził, pomógł... Zięć mu się udał, nie ma co. Przez niego Rebeczycha tak wcześnie poszła do piachu.

– Uczciwą pracą jeszcze żaden nie zdobył takiego majątku.

– Diabelskie nasienie, ot co.

– On i tam – stolarz podniósł oczy ku niebu – dogada się ze świętym Piotrem.

Nikommu nic nie mówiąc, nadkomisarz ukrył w willi dwóch młodych policjantów z grupy specjalnej, dał im noktowizory, supernadajniki, miotacze gazu obezwładniającego i pistolety szybkostrzelne. Po dwóch dniach okazało się to zbędne, jak i obserwacja willi z okien stolarni. Przed domem nie zatrzymał się żaden samochód nawet w dniu pogrzebu.

Gdyby Syski wiedział, co zginęło z willi, postępowałby inaczej. Poszukiwałby czegoś konkretnego, a tak chodził jak skołowany i tylko przepytywał tych, którzy znali Cyganika od dawna. Nadkomisarz podejrzewał, że było to morderstwo na zlecenie. Włamywacze niczego nie ukradli, sejf natomiast otworzyli zupełnie przypadkowo, ponieważ szukali pieniędzy. Mordercą może być Zygmunt Herrmann, ale trzeba mu to udowodnić, a Syski nie miał pewności, czy sygnet i inne kosztowności, jakie celnicy znaleźli przy Herrmannie, kiedykolwiek należały do Cyganika.

Poglądy Araszkiwicza na ten temat były odmienne, nadkomisarz wcale nie musiał się z nimi liczyć, mimo to popro-

sił aspiranta, aby powiedział, kogo podejrzewa, tym bardziej że teraz Syski czuł się bezradny.

– Od dziecka czytam wszystko, co dotyczy religii i wierzeń. Mam chyba największą w Zielonejgórze bibliotekę kanoniczną – pochwalił się aspirant. – W zasadzie wielkie religie współczesne niewiele między sobą się różnią. Ich istota sprowadza się do wiary w abstrakcyjnego boga, którym u jednych jest Jahwe, zwany również Elohim czy Adonai, u drugich Allah, u trzecich bóg to po prostu Pan Bóg występujący w trzech osobach: Ojca, Syna i Ducha Świętego. W wierzeniach chrześcijan występuje dobro, czyli bóg, i zło zwane szatanem. Jest też religia, jeżeli tak ją można określić, gdzie wyznaczniki chrześcijaństwa mają znaczenie odmienne – dobrem jest szatan. Jej członkowie są nazywani satanistami lub czcicielami szatana. Mają swoją biblię, której autor, Antoni Lavey, był Cyganem amerykańskim. Głównym zadaniem czcicieli szatana stało się zwalczanie chrześcijaństwa. Krew, przede wszystkim ludzką, uważają za najwyższą siłę życiową.

– Sugeruje pan mord rytualny?

– Ułożenie ciał Cyganików na dywanie i wycięcie znaków krzyża na czołach wskazuje na coś, co można określić jako mord w celu rytualnym.

– A opędzłowanie sejfu i poderżnięcie gardeł na mord rabunkowy – zadrwił sobie Syski.

– Zielonogórska grupka satanistów liczy najwyżej osiemnastu młodzieńców, w większości neofitów. Dotąd niczym się nie wyróżniali, ale, wiem o tym z obyczajówki, dostali nakaz złożenia ofiary szatanowi.

– Któż im wydał taki rozkaz?

– Wewnętrzny głos, tak twierdzą szeregowi członkowie grupki.

– I na ofiary głos nakazał im wybrać Cyganików?

– Czyżby pan nigdy nie słyszał o grupie Mansona? Albo o komunie Richarda Chrystusa z Teksasu? Niedawno nasza telewizja ujawniła sektę zwaną Bractwem Wspólnej Krwi. W Nowym Mieście sataniści wieszali wyłącznie dziewczęta, swoje koleżanki ze szkoły. Wieszana musiała wskazać następną, która zostanie złożona w ofierze szatanowi.

– To był zwyczajny terroryzm. Robota pieprzonych na umyśle fagasów, nie kult religijny.

– A jeśli tacy właśnie wyróżnili Cyganików?

– Austriackie gadanie.

– Nie, szefie. Pamięta pan sprawę licealisty?

Syski nie rozumiał, co aspirant ma na myśli. Tyle razy przesłuchiwał licealistów, lecz żaden nie utkwiał mu w pamięci.

– W wieżowcu przy Skłodowskiej-Curie chłopak z siódmego liceum zaciął nożem matkę. Kiedyśmy go dorwali, nie ukrywał, że najpierw poderżnął jej gardło, a później modlił się nad zwłokami do szatana. Mówił coś takiego

– Araszkiewicz złożył ręce jak do modlitwy – Mój wielki władco, pozbawiłem życia tę kobietę, aby zniknął z powierzchni ziemi ten brzuch, z którego kiedyś wyszedłem, aby zakończyło się raz na zawsze jej panowanie nade mną. Teraz należę do ciebie.

– Kiedy to było?

– Dokładnie nie pamiętam. Kilka lat temu. Dochodzenie trwało niespełna dzień. Chłopak tłumaczył, że musiał to zrobić, bo wewnętrzny głos wydał mu polecenie.

– Chory chłopak i tyle – stwierdził nadkomisarz. – Trzeba go było oddać do czubków, a nie skazywać.

– Tak właśnie się stało, szefie.

Zielonagóra, ul. Kąpielowa, 3 października, południe

Punktualnie o dwunastej odezwała się trąbka i wybetonowanym chodnikiem między tujami ruszył kondukt. Tuż

za trzema trumnami, ustawionymi na przyczepie wysłanej purpurowym suknem, szło czterech mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy byli ubrani na czarno. Czy stanowili jakąkolwiek rodzinę Cyganików, Syski nie wiedział i teraz nie starał się tego dociekać. Fotograf policyjny, udający fotoreportera *Ekspresu Zachodniego*, zatrzymywał w kadrze wszystkie twarze. Niektóre osoby uznał za przypadkowo obecne na cmentarzu. Ludzie nadkomisarza, w stalowych i czarnych garniturach – udając pracowników cmentarnych lub żałobników – byli wszędzie, nawet wśród tych, którzy wlekli się za przyczepą. A nadkomisarz krocząc na samym końcu konduktu nie tylko obserwował tłum, bo miał przed sobą może dwieście osób, lecz i wydawał polecenia podkomendnym.

Wczoraj wieczorem Syski był w zakładzie pogrzebowym, chciał wiedzieć, kto poczuł się do obowiązku sprawienia pogrzebu. Przecież zmarli nie mieli żadnej rodziny w Zielonejgórze, wyłączając kilku chrześniaków Cyganika, do których on się nigdy nie przyznawał. Po ukończeniu studium nauczycielskiego Cyganik wynajął pokój w pobliżu szkoły, nikomu nie wyjawiał, że jest sierotą, zresztą nikt go o to nie pytał. W jego pierwszym życiorysie, który nadkomisarz przejrzał w archiwum szkoły, były okienka. Urodził się rok przed wybuchem drugiej wojny na wsi w pobliżu Lublina. Czym zajmował się ojciec, co robiła matka, czy żyją bracia i siostry, gdzie są koledzy z dzieciństwa – tego Cyganik nie opisał.

– Obowiązuje mnie pewnego rodzaju tajemnica handlowa – powiedział właściciel zakładu pogrzebowego, najpierw obrzuciwszy nieufnym spojrzeniem Syskiego, po czym rozłożył na blacie opasłego biurka jakieś plany i zaczął je wertować, lekceważąc nadkomisarza.

– Przyznaję panu rację – Syski zrozumiał, że groźbą niczego nie osiągnie. – Nie chciałbym wzywać pana na komendę,

skoro można porozmawiać szczerze również w pańskim biurze.

– Pokażesz pan kartkę od prokuratora, to w czymś pomogę. Nie ma kartki, nie ma pomocy.

Syskiemu wydawało się, że właścicielem zakładu jest były policjant z obyczajówki, zwolniony ze służby za stręczycielstwo. Czuje się pewnie, bo lizał prawo przez papierek, pomyślał.

– Jeżeli tak pan stawia sprawę – zaczął surowo – to odbędziemy rozmowę w komendzie.

– Nie mnie... – zaczął właściciel i urwał, jakby zdał sobie sprawę z tego, że nie wygra. – Zlecenie dostałem od posła.

– Którego posła?

– Przedstawił życzenia specjalne rodziny co do ceremoniału, opłacił koszty pochówku i to wszystko – jednym tchem wyrzucił z siebie właściciel zakładu, ciągle mając oczy utopione w papierach, a uszy jak antenki skierowane na policjanta. – I nie radzę straszyć, bo jak ja...

– Nazwisko posła? – przerwał mu Syski.

– Nie mam...

Syski walnął pięścią w biurko, aż stojąca na nim lampa się przewróciła.

– Ostatni raz pytam. Nazwisko posła?

– Pilnik Marek.

– Zapłacił przelewem.

– Nie. Gotówką.

– Jakie były te życzenia specjalne rodziny?

– Chodziło o trumny dębowe i żeby w czasie przewozu ich z kaplicy do grobów stały obok siebie. Miałem z tym problemy, ale posła to nie interesowało. Wynająłem więc przyczepę z firmy budowlanej i kupiłem dwanaście metrów kreponu.

– Wykorzysta go pan wiele razy – powiedział Syski jak znawca ceremoniału pogrzebowego, szykując się do wyjścia z biura.

– Było jeszcze jedno: poseł życzył sobie, abym porozmawiał z księdzem.

– Dlaczego sam nie poszedł do księdza?

– Kanonik jest moim znajomym i bez względu na to, czy ktoś chodził do kościoła, czy nie, za pieniądze pochowa każdego.

– Co pan wie o zmarłym Cyganiku?

– Tyle tylko, ile każdy mieszkaniec miasta, który prowadzi jakikolwiek interes i uczciwie płaci podatki. Na pewno był osobą majątną. Miał kilka zupełnie przyzwoitych firm. Sprowadzał z Niemiec, niektórzy twierdzą, że z Finlandii, nawozy i jakąś chemię, i dostarczał to do składów w zachodniej Polsce.

– Handlem zajmował się od kilkunastu lat. Czy w tak krótkim czasie można zarobić tyle, żeby uchodzić za bogacza?

– Wykorzystał okazję – właściciel zakładu pogrzebowego powiedział to jakby z pretensją do siebie. – On się urodził ze smykałką do robienia dobrych interesów.

Syski nie zrozumiał.

– Dlaczego wcześniej nie wykorzystywał tej smykałki?

– Ha, za dawnego systemu, żył zwyczajnie. To znaczy niczym się nie wyróżniał, chociaż próbował osiągnąć więcej niż pan na posadzie państwowej czy ja na prywatce. – W suchym głosie właściciela było jakieś rozgoryczenie. Na chwilę oderwał oczy od papierów i dodał głosem przytłumionym, jakby się kogoś obawiał: – Dobrze obeznani w interesie powiadają, że Cyganik urodził się w rodzinie żydowskiej.

Zaskoczony tym nadkomisarz zmarszczył czoło, usiłując się skupić.

– Niech pan powtórzy.

– Gdy mój pracownik szykował zwłoki do trumny, kazałem mu sprawdzić, czy nieboszczyk był obrzezany.

– Co zobaczył?

Właściciel zakładu opuścił głowę i milczał, po chwili podniósł ją, a szparki oczu miał zwężone.

– Mówże, człowieku!

– Obrzezaniec.

– A ten jego siostrzeniec czy...?

– Chłopcy żydowscy są rytualnie obrzezani w kilka tygodni po urodzeniu. Słyszałem, ale czy to prawda? że są też sekty, które kaleczą przyrodzenia swoich przeciwników.

Kondukt zatrzymał się na wzgórzu. Jesienią rósł tu marny las, zimą drwale wycięli sosny, zostawiając tylko kilka rosnących drzew, aby nuciły psalmy zmarłym. Syski nie lubił pochodów, manifestacji, zbiorowych śpiewów, a na cmentarzu ostatni raz był chyba jako licealista, gdy nagle zmarł dyrektor szkoły. Zazwyczaj podczas śledztwa korzystał ze sprawozdań aspiranta i fotografii robionych w czasie pogrzebów, ale teraz chciał osobiście sprawdzić, kto przyszedł na cmentarz, jakby się spodziewał, że nie będzie to czas zmarnowany. Splótł dłonie na piersiach i spoglądał na zasępione twarze, nikogo nie znał, wyłączając policjantów wmieszanych w mrowie ludzi.

– Podejść do grobów. – Usłyszał za sobą znajomy głos, lecz nie odwrócił głowy.

– Ty też tutaj? – spytał ze zdumieniem.

– Ja, żywy. Możesz mnie uszczypnąć – szepnął Daniel Sa-teck i dotknął jego ramienia. – Wśród żałobników jest ktoś, kto powinien cię zainteresować. – Po pauzie dziennikarz dodał z jeszcze większą tajemniczością: – Osobistość polityczna z pierwszych stron gazet centralnych.

– Kto taki?

– Wiceprzewodniczący Porozumienia Obywatelskiego i jego sekretarz generalny w jednej osobie.

W ostatnich latach zmniejszyła się liczba partii, ale nadal było ich tyle, że nazwiska przywódców przestały mieć zna-

czenie symboliczne. Toteż przez kilkanaście sekund Syski zastanawiał się, kto jest wiceprzewodniczącym demokratów.

– Lichaj?

– Z całą pewnością.

– Przewidziało ci się, kolego. Co by tu robił Lichaj?

Tego Sateck również był ciekawy.

– Podejdź do niego i spytaj.

– Przewidziało ci się, pismaczk.

– Na twoim miejscu, gliniarzu, kazałbym go trzymać w zasięgu wzroku. Dotąd nie było takiego polityka, który bez żadnego powodu przyjechałby na pogrzeb. W dodatku obcej mu osoby.

Nadkomisarz przysłonił oczy dłonią, ponieważ jeszcze mocne słońce padało prosto na jego twarz, i nie ruszając głową rozglądał się na dwie strony. Spostrzeżenie Satecka zaczął łączyć z sygnałem posterunkowego, który godzinę temu na parkingu przycmentarnym dojrzał wiśniowego peugeota z warszawskimi numerami rejestracyjnymi. Wtedy Syski przyjął tę informację bez specjalnego zainteresowania, ale teraz uznał ją za ważną i wycofał się między sosny, gdzie przez nadajnik ukryty w guziku polecił posterunkowemu, aby zanotował marki, kolory i numery wszystkich aut stojących na parkingu przed bramą cmentarza.

– Jesteś pewny, że widziałeś Lichaja? – spytał Satecka z niedowierzaniem. Cały czas usiłował sobie przypomnieć twarz zastępcy Sadowskiego.

– Który polityk ma uszy odstające od tysej pały?

– Premier – odparł bezmyślnie policjant.

Sateck pokręcił głową.

– Moim zdaniem... Bozia dała Lichajowi za duże uszy – odezwał się Syski z wahaniem.

– Będzie ci głupio, gdy jutro rano twój szef weźmie do ręki gazetę, a później spyta przez telefon, czy też widziałeś Lichaja na cmentarzu.

Ma rację, zgodził się Syski z Sateckiem. Już wyciągnął nogę, aby z bliska przyjrzeć się Lichajowi, gdy kanonik, stanąwszy przed kopczykiem piasku, zaczął śpiesznie odmawiać modlitwę za zmarłych. Ludzie złożyli dłonie, zniżyli głowy i niemi sterczeli w oczekiwaniu na słowa duchowego pożegnania. Za kwadrans ksiądz miał wyprowadzić z kaplicy cmentarnej czwartą tego dnia trumnę.

– To na pewno jest Lichaj – Sateck wskazał głową mężczyznę w granatowym prochowcu. Fotograf podążył za spojrzeniem policjanta i naprędce zrobił dwa zdjęcia. – Już masz go na cyfrze – szepnął. – Z archiwum redakcyjnego wybiorę starą fotografię Lichaja. Przyniosę ci ją wieczorem i porównasz oba zdjęcia.

Starsza kobieta w ciemnej chustce odwróciła się do niego i szeptem skarciła, że kiedy ksiądz modli się za dusze zmarłych, to żywi powinni milczeć.

Dlaczego Lichaj przyjechał na pogrzeb? Co go łączy z Cyganikiem? Tyle opowiada się o koligacjach rodzinnych, że każdy sygnał należy potraktować poważnie, pomyślał Syski. Mógł dociekać na własną rękę lub poprosić o pomoc komisarza Brumela z komendy warszawskiej policji, ale pewnie i on niewiele ustaliłby bez protekcji Abewu. Lichaj to nie pierwszy z brzegu polityk, chroni go immunitet poselski, ponadto jest doradcą ekonomicznym prezydenta i na pewno ma kolegów wśród ministrów, ambasadorów, policjantów, a to zawsze tworzy barierę trudną do pokonania.

– Gdybyś, Daniel, podszedł do niego po pogrzebie i poprosił o rozmowę. Może dziennikarzowi powie, dlaczego przyjechał na pogrzeb?

– Usługa za przysługę.

– Nie mam wyjścia – odrzekł przyparty do muru Syski.

– W Kunowicach celnicy capnęli gościa. Ile jest prawdy w tym, że złoto, które przy nim znaleźli, pochodzi z willi Cyganika?

– Kurwa mać!

– Co się stało? – spytał redaktor ogłupiały.

Ale policjant nie powiedział mu, że mężczyzna zatrzymany w pociągu na przejściu granicznym też ma wielkie, odstające uszy, ruchy słoniowate i jest bardzo podobny do wiceprzewodniczącego Porozumienia Obywatelskiego.

Zielonagóra, ul. Poznańska, 3 października, wczesne popołudnie

Nie czekając, aż Lichaj wyjdzie za bramę cmentarną, Sateck podszedł do niego, przedstawił się i pokazał legitymację prasową, co zwykle już na początku dawało mu przewagę nad rozmówcą, tym razem było to zbędne. Lichaj mocno potrząsnął dłonią dziennikarza i rzekł, że mimo niezwykłych okoliczności cieszy się ze spotkania z przedstawicielem prasy, jest gotów udzielić wywiadu, ale nie w tym miejscu.

– Może w kawiarni.

– Zaprowadź mnie, stary, do w miarę porządną knajpy.

– Lichaj wziął Satecka pod ramię i wiódł go do wiśniowego peugeot, obserwowanego przez ludzi Syskiego. – Mam apetyt na golonkę z chrzanem i setę czystej wody.

– Jedziemy do Palmiarni. W reprezentacyjnej restauracji ugoszczą pana przewodniczącego jak cygańskiego króla.

– I każdy chuj będzie mnie dźgał ślepiami.

Sateck pomyślał o Gospodzie Lubuskiej w centrum miasta, ale z najbliższego parking przy filharmonii do restauracji będzie z dziesięć minut piechotą.

– Proponuję golonkę w klubie dziennikarza.

– Zaciągnij mnie, stary, do knajpy dla nomadów.

– Nie rozumiem.

– Jeżeli przygruchasz sobie dziewczuchę na jeden wieczór, to dokąd ją holujesz?

– Do zajazdu Pod Białym Jeleniem – palnął Sateck. Kiedyż miałem dziewczuchę? – spytał sam siebie i tylko sobie odpowiedział, że chyba jeszcze przed ślubem.

Lichaj usiadł przy kierowcy, zapalił carmena, Sateck zaś oparty łokciami o narożniki obu przednich foteli wskazywał drogę na peryferie miasta, a w myślach układał pytania, które powinien zadać liderowi demokratów. Był przekonany, że redaktor naczelny bez wahania zatwierdzi wszelkie wydatki, jakie on poniesie w zajeździe. Niespodziewany wywiad z wiceprzewodniczącym największego ugrupowania politycznego trafia się raz kiedyś. Gdy rozpoczniemy rozmowę, nie mogę być potulny, muszę atakować i piorunem wyciągać wnioski z dialogu, myślał. Ale skoro dałem sobie radę z ministrem spraw wewnętrznych, a jest to polityk złośliwy i podejrzliwy, powinienem wrócić do redakcji na tarczy. Aha, o związek Lichaja z Cyganikiem spytam dopiero na końcu, niby bez specjalnego zainteresowania, postanowił.

Mimo pory obiadowej w zajeździe było bezludnie. Gdy weszli do większej sali, kelner ukłonił im się niemal do pasa, jakby wiedział, kogo będzie obsługiwał, i wskazał stolik na wprost bufetu. Daniel przypomniał sobie, że powinien siedzieć blisko okna. Jeszcze na cmentarzu człowiek Syskiego wpiął w klapę jego marynarki duży znaczek stowarzyszenia kibiców Falubazu, w którym jest nadajnik. Wszystko, o czym będzie rozmawiał z Lichajem, dotrze do odbiornika w policyjnej škodzie. I pewnie właściciel zajazdu został uprzedzony przez ludzi Syskiego, którzy z ukrycia przypatrują się Lichajowi, gotowi w każdej chwili otoczyć zajazd. Zrobiło mu się głupio, jeszcze może się wycofać z nieczystej gry, ale jeśli tak postąpi, straci okazję przeprowadzenia wywiadu z bardzo ważną osobistością. Po wyborach parlamentarnych Sadowski zostanie premierem, a Lichaj pewnie jego pierwszym zastępcą, odpowiedzialnym za sprawy wewnętrzne.

– Trzy golony, panie starszy, dwie sety, dwa żywce albo okocimy i dla kolegi – Lichaj pokazał na kierowcę – coś zimnego z bąbelkami.

Piwo z wódką? – zdumiał się Sateck. Zaleję pałę wcześniej niż Syski się tego spodziewa.

– Zostaje pan w Zielonejgórze czy zaraz wraca do Warszawy?

Lichaj podniósł kieliszek, chwilę milczał jakby się modlił i powiedział szeptem:

– Wypijmy za ich spokój na tamtym świecie. Niech im ziemia lekka będzie. *Hara szel ha haim*.

– Co pan powiedział?

– Bóg wszystko zrozumiał.

Zażerali się golonką, popijając ją chłodnym piwem. Sateck jadł i jednocześnie porządkował pytania, które zaraz po obiedzie zada wiceprzewodniczącemu. Lichaj to wzrok miał utkwiony w wyszczerbionym wazoniku, to ponad głowę kierowcy spoglądał w stronę bufetu, jakby kogoś obserwował, to zapalał carmena, pociągał kilka łyków dymu i zduszał papierosa.

– Jeszcze po secie, szefie? – przerwał ciszę kierowca. Zanim Sateck zdążył przełknąć kęs mięsa, kelner postawił na stoliku dwa kieliszki wódki. Pewnie przewidział, że goście, którzy zajadają się golonką, piją więcej.

– Lubię sobie podjąć i golnąć – pochwalił się Lichaj.

Sateckowi zrobiło się gorąco.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość w pytaniu – odezwał się przepraszająco. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego przyjechał pan na pogrzeb. Po prostu interesuje mnie odpowiedź na pytanie: co łączy pana ze zmarłymi?

– Z Tomem byłem na jednym roku.

– Pan jest ekonomistą z wykształcenia, on był nauczycielem.

– Masz mnie, stary, za pedzia? Co to, jestem mitromem?

– Mówi się... – Sateck urwał, zapuścił wzrok w głąb parkingu, dokładnie nie wiedział, w którym samochodzie są ludzie Syskiego i czy wszystko słyszą.

Lichaj spojrział na niego pytająco.

– Co się mówi?

– ... że Cyganik był pańskim kuzynem.

– Był.

– Ze strony matki czy ojca? – Sateck dostrzegł dwóch facetów siedzących w popielatej škodzie. Powtórzył pytanie.

– Był. Jego już nie ma. Zaciukali Toma.

– Kto? – spytał wyraźnie, żeby ci w škodzie słyszeli dokładnie. – Zna pan ich nazwiska?

Lichaj uderzył go oczami i odrzekł niedbale:

– Nie prowadzę śledztwa.

– Pan musiał wiedzieć, że Cyganik był właścicielem firm, niemałej kolekcji obrazów, miał trudne do oceny zapasy złota, willę wartą... może pół miliona eurów.

– Miał – bez jakiegokolwiek powątpiewania potwierdził Lichaj.

– Jestem ciekawy, kto zostanie spadkobiercą tego majątku?

– Może ja? Może stowarzyszenie Pomoc? Może parafia?

– Może Porozumienie Obywatelskie – powiedział Sateck, lecz Lichaj udał głuchego. – Aby wygrać wybory, potrzeba dużo pieniędzy. A pańska partia jak każda inna jest raczej biedna.

– Nie jest za bogata.

Po trzecim kieliszku wódki Sateck poczuł, że krew występuje mu na twarz. Jeszcze trochę i przyzna się Lichajowi, dlaczego go tak drobiazgowo przepytuje. Już więcej nie wypije, postanowił, ale gdy kelner postawił czwarty kieliszek na stole, wyciągnął rękę po wódkę.

– Co jeszcze pan wie o Cyganiku?

– To był równy chłop.

– Kto powiadomił pana, że dziś odbędzie się pogrzeb?

– Przyjaciele.

– A konkretnie?

– Radzę ci, stary, abyś odpierdolił się od tej sprawy. To nie jest zajęcie dla tak bystrego reportera śledczego, za jakiego się uważasz – powiedział ironicznie wiceprzewodniczący. – Lepiej popytaj mnie o politykę na wysokim szczelblu. *Hara szel ha haim.*

Kierowca, chłopisko przypominające zapaśnika, nie spoglądał na Lichaja nawet ukradkiem i nie wtrącał się do rozmowy, ale cały czas trzymał lewą rękę na kolanie, jakby miał w niej mikroskopijne urządzenie do nagrywania głosu.

– Jeszcze po secie i hajda w drogę! – zawołał Lichaj do kelnera.

– Ja już dziękuję – powiedział Sateck, starając się, żeby zabrzmiało to stanowczo.

– Nie przejmuj się. W picciu wody od ciebie są gorsi.

Kutas złamany, określił go w skudłanych myślach Sateck. Ma mnie za prowincjonalnego przemądrzałą. Kpi sobie w żywe oczy, a ja, regionalny Pulitzer, płaszczę się przed nim, jakby był angielskim następcą tronu.

– Odwieź redaktora do domciu – polecił kierowcy Lichaj. – Nie daj Boże, żeby policja zwinęła go sprzed ratusza i skutego odtransportowała do wytrzeźwiająki – rzucił drwiąco, szczerząc poźółkłe od nikotyny zęby.

Sateck podniósł się z trudem, ale zaraz opadł na krzesło, potrącając kieliszek i talerzyk. Zrobiło mu się niedobrze, świat dookoły wirował, a wszystko wokół było nieważne.

– Chuj pierdolony! – wrzasnął Lichaj. – Kapuś jebany! – Wyszarpnęła z kłapy marynarki Satecka znaczek stowarzyszenia kibiców Falubazu, w którym był nadajnik.

Zielonagóra, os. Kwiatowe, 3 października, późne popołudnie

Całe popołudnie Syski rozmawiał z sąsiadami zamordowanych. Jemu właściwie chodziło tylko o Cyganika, a oni, jeśli

mieli coś nowego do przekazania, to przywoływali Cyganikową albo jej niezupełnie normalnego siostrzeńca. Powtarzali, że jej mąż często wracał do willi podпиты, ale pewnie nie bił żony, bo gdyby bił jak zięć stolarza, sąsiedzi słyszeli by krzyki, wołania, jęki.

– To był dobry człowiek – tym razem stwierdziła stolarzowa. – Inny by nie woził cudzego chłopaka do doktora.

– Mówi pani o siostrzeńcu jego żony?

– Kim on był, kto to wie. Nogi tycie, a ręce, mój Boże, żeby nie skłamać, wielgaśne jak dobrze wyrośnięty chleb. Akromegalia podobno. I pan Cyganik jeździł z nim po doktorach, płacił. A na żonę pieniędzy nie wydawał? Dobry, oj dobry był człowiek.

– Prawda, dobry – zgodził się z nią stolarz i odwrócił głowę. W poniedziałek więcej mówił o Cyganiku, po pogrzebie milczał lub przytakiwał, jakby się kogoś przestraszył.

– Czy pan czegoś nie ukrywa? – spytał policjant.

– A co tu jest do ukrywania?! – Stolarzowa nastroszyła się niby kwoka. – Co my mieli do powiedzenia, powiedzieli.

Syski wyszedł przed dom, chwilę stał oparty o furtkę, zastanawiał się, skąd przybyli mieszkańcy osiedla Kwiatowego i dlaczego tak mało o sobie wiedzą. Kościół wpaja im miłość do bliźniego, telewizja przekonuje, że nie wypada być szubrawcem, gazety też perswadują i wyjaśniają różnicę między dobrem a złem. W willach ze spadzistymi i płaskimi dachami, wymalowanych najtrwalszymi farbami, opiętych winoroślami, bluszczem, różami, odciętych od ulicy płotami, parkanami i tujami żyją ludzie jakby z innego świata, głusi i ślepi na to, co ich otacza.

– Różni do niego zjeżdżali. – Usłyszał, gdy wsiadał do skody. – Może to się panu przyda. – Mężczyzna podał Syskiemu karteczkę, na której był zapisany numer rejestracyjny WXB7388.

Nadkomisarz pomyślał, że jednak nie wszyscy na Kwiatowym są obojętni.

- Może zapamiętał pan markę tego auta?
- Ciemnowiśniowy volkswagen, opel albo coś podobnego.
- Kiedy to było?
- Przed wieczorem.
- Pytam o dzień tygodnia.
- W sobotę. Kilka razy zatrzymywał się, stał z pięć minut

i powoli odjeżdżał. To mnie zastanowiło.

- Co pana zastanowiło?
- Nie wyłączył silnika.

Syski skinął głową. Nie liczył na to, że usłyszy fascynujące wiadomości, mimo to spytał:

- Kto był w samochodzie?

Mężczyzna odparł ściszym głosem:

– Ja lubię popatrzeć przez lornetkę. Gdy odchodziłem na emeryturę, od przyjaciół dostałem album do zdjęć, lornetkę i...

– W samochodzie był mężczyzna czy kobieta? – przerwał mu policjant.

- Musiał mieć ciemną cerę.

– Szczupły? Krępy? Stary, młody? Z wąsami? Może z brodą?

– Jeżeli da mi pan słowo honoru, że nie będę wzywany na komendę...

– Niech pan wsiądzie do mojego auta. – Syski otworzył szeroko tylne drzwi škody. – Robi się chłodno – dodał bez potrzeby.

Mężczyzna powiedział policjantowi, że zna każdego mieszkańca osiedla, bo był dyrektorem szkoły i przyjmował Cyganika do pracy.

– Nie miał kwalifikacji pedagogicznych, ale... to było polecenie – powiedział ciszej, jakby ujawniał jakąś tajemnicę.

– Skierowałem go do studium nauczycielskiego na kierunek

plastyczny i przysposobienia technicznego. Ponieważ uprawiał boks w Gwardii, dodatkowo prowadził lekcje wuefu. Nie to pewnie pana interesuje. On, proszę posłuchać, wychował się w zakonnym domu dziecka. Prawdopodobnie jest... Co ja mówię? Był pochodzenia żydowskiego.

To samo powiedział mu właściciel zakładu pogrzebowego.

– Znał go pan dobrze, prawda?

– Tomasz urodził się we Lwowie. W którym roku, nie wiem.

– Pan powiedział: we Lwowie?

– Tak Tomasz podawał we wszystkich ankietach personalnych.

– A nie na wsi pod Lublinem w 1937 roku?

– Moim zdaniem, był młodszy. Staralem się dociec, dlaczego został sierotą. Pytałem, ale nigdy nie odpowiedział na moje pytanie. Raz, przez pomyłkę, otworzyłem list adresowany do Tomasza. Przeczytałem pierwsze słowa i szybko zakleiłem kopertę. Miałem wyrzuty sumienia z tego powodu.

Syski udawał, że go rozumie.

– Czego pan się dowiedział? – jednak dociekał.

– Jakiś Jacek prosił go, żeby pamiętał o swoim pochodzeniu. Pisał o Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce. Później zorientowałem się, że każdej soboty Tomasz wyjeżdża do Żar. Tam mieszkał przewodniczący gminy żydowskiej. Spostrzegłem, że z nim coś jest nie tak, ale nie miałem odwagi zagadnąć go o pochodzenie. Potem się ożenił z córką nie byle kogo, bo samego Rebeci. Pan zapewne wie, kim on był. – Syski kiwnął głową, a stary ciągnął dalej: – Zjawił się w Zielonej Górze w latach pięćdziesiątych i został zastępcą szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Wcześniej podobno był prokuratorem w Szprotawie albo w Żaganiu. Ludzie mówili, że wyjątkowy łajdak. Tomasz cierpiał z tego powodu.

– Czy jego nazwisko, Cyganik, było prawdziwe?

– Nie jestem rasistą – zastrzegł się starzec – mimo to ze zwykłej ciekawości często obserwowałem gesty, ruchy, mimikę twarzy Tomasza. On rzeczywiście miał rysy żydowskie.

– Czyli jakie?

– Trudno to określić przy pomocy słów. Jestem człowiekiem starej daty, jako dziecko bawiłem się z żydziakami, więc bardziej czuję niż widzę żydostwo. W moim przekonaniu Żydów wyróżnia nie tylko karnacja skóry i specyficzne spojrzenie, lecz także przebiegłość, wyczucie sytuacji, rozważa, praktyczność. Te cechy miał zmarły. Jeszcze jedno, to może być bardzo ważne: dawniej często odwiedzał Tomasza kolega mocno zbudowany, wysoki, łysiejący. Dałbym sobie rękę uciąć, że widziałem go również na cmentarzu w czasie pogrzebu. – Zamilkł. Po namyśle dodał: – Tą osobą, którą zapamiętałem, bo miał charakterystyczną twarz, jest... Jacek Lichaj.

– Czy w samochodzie, który w sobotę widział pan przed domem Cyganika – policjant wyjął karteczkę z kieszeni, odczytał numer rejestracyjny auta – też siedział Lichaj?

– Raczej nie. Mogę być w błędzie. Obserwowałem ulicę przez lornetkę.

Syski poczuł lekki przypływ nadziei. Z doświadczenia wiedział, że starzy ludzie rzadko się mylą.

– Cyganik miał kolekcję obrazów. Wiedział pan o jej istnieniu?

Starzec się zachnął.

– Tomasza interesowała sztuka chyba od kołyski. Z tej przyczyny, pomijając nakaz, zatrudniłem go w szkole, mimo, jak już zaznaczyłem, braku kwalifikacji pedagogicznych. Dwóch moich wychowanków, których również uczył Tomasz, skończyło akademię sztuk pięknych. Chciałby pan znać ich nazwiska?

Policjant machnął ręką lekceważąco.

– Wróćmy do mężczyzny w samochodzie. Może jeszcze coś zwróciło pana uwagę?

– Poza tym, o czym już mówiłem, nic szczególnego. Z zamiłowania jestem ornitologiem, w zasadzie mieszkam w leśniczówce mojego przyjaciela. Ostatnio zięć dużo jeździł za granicę, więc pomagałem córce. Na poddaszu mam swój pokój.

– Bywał pan w domu Cyganika?

– Tomasz nigdy nie złożył mi takiej propozycji. Miałem mu za złe, że zamyka się w sobie. Kiedy przestał być nauczycielem, nasze kontakty ograniczyły się do wymiany ukłonów.

Policjant podał starcowi swoją wizytówkę.

– Gdyby jeszcze coś się panu przypomniało, liczę na informację.

– Proszę mnie odwiedzić do skrzyżowania – powiedział stary. – Tu nawet wieczorem sąsiedzi obserwują ulicę. Dlatego wszystkie okna są zasłonięte okiennicami lub żaluzjami.

Słubice, ul. Kazimierza Wielkiego, 3 października, wczesny wieczór

Syski natychmiast pojechał do Słubic. Wściekły walił pięścią w biurko i klął jak bezrobotny szewc. Okazało się, że zatrzymany przez celników Zygmunt Herrmann w południe został zwolniony z aresztu. Niczego nie wyjaśnił, a wszystko, co miał przy sobie, zostało w policyjnym skarbcu.

– Takie dostałem polecenie – tłumaczył mu zastępca komendanta powiatowego policji. – Protestowałem. Bez skutku. Niestety, polecenie prokuratora jest dla mnie tym, czym rozkaz przełożonego w wojsku.

– Pewnie zdążył pan spisać dane z paszportu Herrmanna?

Policjant przytaknął i uśmiechnął się chytrze.

– Oficjalnie ta sprawa nie istnieje. Prywatnie... – urwał i położył przed Syskim kilka odbitek kserograficznych różnych dokumentów.

Również prokurator nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Wystąpił do sądu o zwolnienie Herrmanna z aresztu, bo tak mu kazał zastępca prokuratora generalnego.

– To nie jest wyjątek. To zwyczaj, jaki stosują również przełożeni szczebla okręgowego – dodał kąśliwie.

– Co pan napisze w protokole zatrzymania?

Prokurator skrzywił usta, po namyśle odrzekł:

– Jak każdy na służbie, panie nadkomisarzu, mam nad sobą zwierchnictwo. Robię więc tyle, ile to zwierchnictwo ode mnie oczekuje i za co mi płaci. W moim fachu prymusi są źle widziani.

– Niewiele pan robi – powiedział Syski z wyraźną ironią.

– Nie do pana należy ocena mojej działalności.

– Jeśli uważa pan moją ocenę za mylną, wycofuje ją. Przepraszam – Policjant schylił głowę. – Czy mógłbym raz spojrzeć na te krzyżyki, pierścionki i co tam jeszcze zatrzymaliście?

– Nie.

– A to dlaczego?

– Cały bagaż został zaplombowany komisyjnie, ale – prokurator włożył rękę do szuflady – zdążyliśmy sfotografować cenniejsze egzemplarze. Jeden komplet zdjęć zatrzymałem dla pana, z tym że nie mogą one się dostać w ręce, powiedzmy, osób trzecich. Jak pan widzi, coś jednak robię.

– Jeszcze raz przepraszam. – Syski rozłożył na biurku kolorowe zdjęcia. Pękate litery TC na sygnecie, którym przypatrywał się dłużej, były tak chytrze skomponowane, że przypominały mu głowę Tomasza Cyganika. – Na szczęście ja jeszcze nie dostałem zakazu zajmowania się tą sprawą – powiedział niemal przyjacielskim tonem do prokuratora.

Warszawa, ul. Frascatti, 4 października, wczesne przedpołudnie

Gdyby Iwetta pracowała jako zwyczajna sekretarka dyrektora departamentu, sprawą jej zagadkowej śmierci zająłby się jakiś początkujący policjant z komendy dzielnicowej. W codziennych kronikach kryminalnych gazety by odnotowały jeszcze jedno morderstwo, a pogrzeb odbyłby się na koszt rodziny. Ale ona przecież nie była pospolitą urzędniczką, lecz miała do czynienia z osobami zajmującymi się polityką na wysokim szczeblu, które uważają się za wybrane do decydowania o przeobrażeniach kraju i losie prawie czterdziestu milionów ludzi. Kleszcz odważył się prosić komendanta stołecznego policji o to, żeby nie nadawał rozgłosu sprawie, przynajmniej do zakończenia kampanii parlamentarnej. Broń Boże, aby o morderstwie przy Frascatti dowiedzieli się reporterzy *Gazety Wyborczej*, uważanej przez czytelników za najbardziej opiniotwórczą, zaś przez polityków z wszystkich obozów - za nieprzyjazną i plotkarską.

– Róbcie, panowie, swoje – rzucił Kleszcz z wyższością w głosie. – I bądźcie pewni, że po jesiennych wyborach my zdecydujemy o tym, w czyje ręce przejdzie policja. Jasne?

– Rozumiem. – Komendant aż się zatrzęsł ze złości. Byle łachudra wtyka nos w nieswoje sprawy. Niby wiele się zmieniło w kraju, w rzeczywistości jednych lawirantów zastąpili drudzy, również tępi, niekompetentni karierowicze i jeszcze bardziej aroganccy. Ale nie powiedział tego do słuchawki. – Co pan sekretarz generalny sugeruje? – odezwał się służąco.

– Ja?... A nie, nic. Pan jest szefem policji i pan powinien wiedzieć, z czyjej ręki je ten smaczny chlebuś – rzucił Kleszcz. – Moim zdaniem, powinien pan awansować. Powiada się, że po wyborach minister będzie szukał kandydata na nowego zastępcę komendanta głównego albo i nawet na samego ko-

mendanta. Zdaje się, że pan, nadinspektorze, ma odpowiednie kwalifikacje.

Szkodliwy gracz, ocenił go w myślach komendant.

– Gdybym uzyskał w miarę prawdopodobne informacje o zabójstwie, jak się z panem sekretarzem kontaktować?

– Kontaktować? Przed wyborami? A po co?

Warszawa, ul. Rakowiecka, 4 października, wczesne przedpołudnie

W tym samym czasie Block przekonywał szefa Abewu, aby jego najsprytniejszy oficer przeprowadził poufne dochodzenie w sprawie zabójstwa Iwetty.

– To jest robota policji, ministrze – bronił się generał.

– Nie da się zaprzeczyć. Jak znam policję, a, wierz mi pan, znam ją dobrze, to gliny będą przesłuchiwały moich współpracowników, węszyły godzinami, aż w końcu złożą wniosek o umorzenie śledztwa z powodu braku możliwości wskazania zabójcy.

– Uważam, że wyjaśnienie okoliczności morderstwa nie wymaga jakichś nadzwyczajnych umiejętności. Idę o zakład z panem, że w ciągu tygodnia zabójca zostanie zatrzymany.

– Nie mam tej pewności.

– Chciałbym coś panu powiedzieć, lecz nie będzie to...

– No, co takiego? – przerwał gwałtownie Block generałowi.

– Denatka, proszę mnie właściwie zrozumieć, panna Iwetta, mówiąc językiem moich ludzi, nie była czysta. Od dawna moi oficerowie deptali jej po piętach.

Block zdrętwiał. Po krótkim namyśle spytał:

– To znaczy, że jeszcze komuś służyła?

– Proszę nie wymagać ode mnie, abym...

– Za kogo pan mnie bierzesz?!

Szef Abewu już nie chciał się sprzeciwiać ministrowi, lecz nie oznaczało to, że wyjawi mu wszystko, co służby specjalne

zebrały o Iwetcie. Jej teczka była trochę grubsza niż teczka Blocka, z czego szef Kancelarii Prezydenta nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Po powrocie z Ameryki zaczęła nosić płaszcz na dwóch ramionach. Inaczej mówiąc, pracowała dla nas i dla Wuja Sama. Rzecz prawie normalna wśród sekretarek i asystentek szefów instytucji centralnych. U nas i wszędzie na świecie większość agentów bywa lokowana przy gabinetach najwyższych władz.

Cholera jasna, dlaczego dotąd nikt mi tego nie powiedział?

– pomyślał Block.

– Jezusie Nazareński, z kim ja pracuję!

– Później zainteresowali się nią inni – dokończył generał tajemniczym głosem.

– Ruscy – rzucił minister pewny swoich racji. Od wielu lat Rosjanie byli obwiniani o wszystkie nieszczęścia.

– Skądże!

– Mossad?

– Wywiad izraelski raczej nie interesuje się osobkami pochodzenia nieżydowskiego. Oni mają zaufanie wyłącznie do czystej krwi.

– Może zabójady albo... Szwaby? – zgadywał Block coraz bardziej zaniepokojony, przeczesując w pamięci prezydencką kancelarię.

– Nikt z obcych.

– To kto?

– Nasi. Liderzy naszych partii i partyjek. Ci tygodniowi politykierzy.

Minister już nic nie rozumiał.

– A po co? Mamy swoje służby specjalne.

– Proszę mi wybaczyć, że nie udzielę panu ministrowi wyczerpującej odpowiedzi. I nie podpowiem żadnych wniosków.

– Co, nie masz pan zaufania do prezydenta?

Szef Abewu zachnął się i pokręcił głową.

– Zanim oficjalnie został ogłoszony termin wyborów, agencja знаła go dużo wcześniej, aby... Zagalopowałem się, przepraszam. Dokładnie w tym samym czasie panna Iwetta znalazła się w kręgu zainteresowań sprawniejszych polityków. Sekretarki prezesów innych partii były adorowane przez, nazwę to delikatnie, zamożnych i przystojnych mężczyzn. Z tą jednak różnicą, że nie przyprowadzały ich do swoich mieszkań, a jeśli szły z nimi do łóżek, to za wielką forszę i w pokojach ekskluzywnych hoteli, gdzie są albo nasi współpracownicy, albo założyliśmy pewne urzędy.

Block uciekł wzrokiem za okno. Czyżby szef Abewu wiedział o tym, że i on bywał w mieszkaniu Iwetty? Nie spytał o to, tylko się zastanawiał, czy kiedykolwiek Iwetta zagadywała go o problemy państwowe. Pewnie nie. W ogóle Iwetta mówiła mało, dużo się śmiała i jeszcze więcej pokazywała, a miała co pokazać.

– Czy wasi oficerowie systematycznie prowadzili obserwację mieszkania denatki? – spytał tonem oficjalnym.

– Proszę się nie obawiać. Dopóki ja będę szefem służb specjalnych, pewne materiały nie zostaną ujawnione.

– Słusznie pan postępujesz – pochwalił generała. – Na razie prezydent nie zastanawiał się nad zmianą kierownictwa agencji.

Szef lekko się uśmiechnął i wetknął czubek buta pod stół, żeby wyłączyć magnetofon. Block tego nie spostrzegł, w myślach analizował sytuację, w jakiej znalazła się jego partia. Centryści muszą wygrać wybory i wtedy w gabinecie szefa Abewu posadzą swojego człowieka, który dokładnie przejrzy tajne archiwa.

Warszawa, ul. Frascatti, 4 października, wczesne popołudnie

Iwetta została uduszona paskiem od szlafroka około drugiej w nocy. Przed śmiercią była w łóżku z mężczyzną. Tyle

komisarz Brumel wiedział już po kilkunastu minutach od rozpoczęcia śledztwa. Sekcja zwłok tylko potwierdziła wcześniejsze domysły policyjnego medyka. Analiza spermy przeprowadzona w pół dnia po stosunku niewiele wniosła do sprawy. Zdaniem patologa i ginekologa z zakładu medycyny sądowej po takim czasie nie można zbadać nasienia wyczerpująco. Lekarz sugerował, że partnerem Iwetty mógł być mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, nieutrzymujący regularnych kontaktów płciowych z kobietami, na pewno cierpiący z powodu zapalenia napletka. Tezę tę starał się poprzeć wynikami badań nabłonka i włosów łonowych, zebranych przez laboranta policyjnego z prześcieradła ofiary. Z medycznego punktu widzenia wskazanie zabójcy Iwetty było niemożliwe, wymagało bowiem przeprowadzenia wielu badań porównawczych przy pomocy aparatów dostępnych jedynie w laboratoriach uniwersyteckich, co dużo by kosztowało.

Analiza odcisków palców też nie zatrzymała na dłużej uwagi komisarza. Na klamkach, poręczy fotela, butelce po koniaku, szklankach było tyle śladów, że Brumel dał sobie spokój z ich porównywaniem. Właściwie nie zdobył niczego, co wskazałoby drogę postępowania. I to było najgorsze. Miał niemałe doświadczenie w odnajdywaniu morderców, wiedział więc, że z sytuacji, w jakiej się znalazł, są tylko dwa wyjścia: albo sprawę umorzyć, albo czekać na coś, co przypadkowo doprowadzi go do zabójcy. Lecz Brumel nie lubił ani przegrywać, ani czekać. Naczelnik wydziału dał mu tydzień na wskazanie dusiciela.

– Pryncypał ocipiał – powiedział do lekarza. – On chciałby, abym zapudłował pierwszego z brzegu delikwenta. Dla niego najważniejszy jest wskaźnik wykrywalności.

– I w końcu, żeby policja wyszła z twarzą, tak właśnie postąpisz.

– Kpisz ze mnie, doktorku?

– Zmuszą cię do tego.

– Kto? Naczelnik może?

– Najpierw zmuszą twojego szefa, później on ciebie przysusi, a ty nie będziesz miał innego wyjścia. W tej sprawie mój nos węszy hecę polityczną, jeśli nawet było to pospolite zabójstwo – dodał półgłosem lekarz. Po zastanowieniu przypomniał komisarzowi: – Panna Iwetta wspięła się za wysoko, jak to się powiada, na drabinę władzy. Być może była pospolitą kurwą, ale ty będziesz musiał dowieść, że została napadnięta, zgwałcona i ukatrupiona przez wroga politycznego rządzących.

Z pewnością ma rację, zgodził się wmyślach Brumel.

– A jeśli dotrę do prawdy i okaże się, że ukatrupił ją, dajmy na to, oprych?

– Byłoby najlepiej, dla policji i w ogóle, gdybyś zapudłował pijaczinę, łajzę, urodzonego w niedzielę recydywistę, sądnego za gwałt na małodatce.

Warszawa, ul. Frascatti, 5 października, wczesny ranek

Komisarz jeszcze raz pojechał do mieszkania, gdzie zamordowano Iwetę. Zerwał plombę, drzwi otworzył wytrychem, który zawsze nosił przy kaburze służbowego pistoletu, i z pewną zazdrością zaglądał do wszystkich pomieszczeń. Chciałby mieć trzypokojowy apartament w centrum Warszawy, skąd wszędzie blisko, a nie gnieździć się z żoną i dorosłą córką w klitkach na odległym Ursynowie. Pomyślał, że doktorek nie przesadzał, gdy mówił o dodatkowych zainteresowaniach Iwetty. Bo czy uczciwą pracę w biurze można zarobić na obrazy olejne, miękkie dywany, meble lśniące i pachnące dębiną? A może Iwetta dostała spadek i w tych pokojach wystawionych oknami na park znajduje się dorobek kilku pokoleń? Przecież przy Frascatti nigdy nie żyli robociarze czy urzędnicy magistraccy, tu zawsze

stały pałacyki, wille profesorów i wziętych lekarzy, rezydencje fabrykantów, nawet wierne kopie dworów ziemian, po ostatniej wojnie odbudowane i подарowane notabłom ludowej władzy.

Brumel usiadł w fotelu przy łóżku, oparłszy głowę o poręcz rozglądał się po pokoju, lecz nic szczególnego nie zatrzymało jego wzroku. Duży obraz olejny Grassiego, fotografie oprawione w skórzane etui, wazony, kasetka z drewna mahoniowego, zegar szafkowy uczepiony ściany na wprost łóżka, pod nim telewizor i odtwarzacz płyt kompaktowych firmy Yaku-mo. Nagle zerwał się na równe nogi.

– A to co, u licha?! – Wziął w palce przewód łączący zegar z gniazdkiem elektrycznym. – Staroświecki czasomierz na prąd? – Czegoś podobnego jeszcze nie widział. Był przekonany, że zegar ma ze sto lat i co tydzień trzeba go nakręcać. Wtyczkę wyciągnął z gniazdka, a mimo to słyszał wyraźnie tykanie zegara. Czyżby tylko tarcza była podświetlana? Pewnie jest w nim żaróweczka, która zapala się wtedy, kiedy wskazówki pokazują pełne godziny, sobie wyjaśnił. Docho-dziła jedenasta, odczekał dwie minuty, ale żaróweczka się nie zapaliła. – Jak to cholerstwo działa? – Żałował, że nie przyszedł z aspirantem. Młodzi ludzie szybko odkrywają tajemnice nowoczesnej techniki. Uderzył w dłonie, jakby miał dość dedukowania, i wówczas coś zazgrzytało w skrzynce zegara. Nad łóżkiem zapaliły się dwa reflektorki, rzucające wiązki światła na poduszkę i pled. Komisarz postawił oczy w ślup, bo o czymś podobnym nie czytał nawet w najlepszych skryptach kryminalistycznych, a praktykował w Holandii. Jeszcze raz zaklaskał. Reflektorki zgasły. Klaskał raz i dwa, reflektorki się zapalały i gasły. – Za dużo niewiadomych – stwierdził, rozglądając się po sypialni niby zwyczajnej, a jednak sekretnej. Zrobiło mu się gorąco, zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, rozluźnił krawat, chwilę rozważał, od czego

zacząć rewizję. Nie miał zezwolenia prokuratora, ale kto się dowie, że Brumel przeszukiwał mieszkanie Iwetty?

Najpierw zajrzał pod łóżko i do bieliźniarki, lecz oprócz fiolki po butobarbitalu niczego nie znalazł. Później obejrzał reflektorki i ramy obrazów, ale i one były zwyczajne. W szafce przy drzwiach leżały albumy ze zdjęciami, wycinki z gazet, bibeloty, opakowania po czekoladkach. To nie interesowało policjanta. Wspiął się na palcach i ostrożnie uchylił drzwiczki zegara. Nad mechanizmem stała kamera z napisem Seyko, wycelowana obiektywem w górną część łóżka. Z zachwytem przypatrywał się drobnemu cudu nowoczesnej techniki optycznej, był przekonany, że taka kamera pracuje bezszelstnie. Wewnątrz pewnie jest urządzenie do automatycznego pomiaru światła, zsynchronizowane z przesłoną również regulowaną automatycznie. Jeśli jest tak jak się domyślam, to kamera umożliwi natychmiastowe przegrywanie zarejestrowanych kadrów i oglądanie ich na ekranie telewizora lub zapisywanie ich na płycie kompaktowej. Badawczym okiem spojrzał na łóżko. Zrozumiał, że z wysokości zegara można filmować tylko to, co się dzieje przed ścianą. A co trzeba zrobić, aby uruchomić kamerę, nie ruszając się z łóżka? Gdyby do stolika był przytwierdzony kontakt albo leżał na nim pilot, albo innego rodzaju czujnik elektroniczny, sprawa byłaby jasna. Myśląc nad tym Brumel znowu klasnął w dłoń, reflektorki obudziły się, klasnął ponownie, a one zaczęły rozlewać strugę jasności po całym łóżku, jeszcze raz uderzył dłonią o dłoń i żarówki zgasły.

Na półce pod telewizorem stały etui z płytami, ponumerowane od 1 do 42, obok leżał notesik oprawiony w sztuczną skórę. Dotąd notes nie interesował Brumela, ale skoro wszystko go zaskakuje, postanowił przejrzeć zapiski. Na każdej stronie był numer: 1 – amb. Bonecke, 2 – gen. Brachmański, 3 – min. Reykowski. Czyżby ten sam sekretarz stanu,

który jest przywódcą ludowców? pomyślał, usiłując przypomnieć sobie znienawidzoną twarz ministra. Po chwili dalej przewracał kartki i głośno wyczytywał nazwiska: – Block, Kleszcz, znowu Block, Brach., pos. Pilnik, Sadowski, amb. Bonecke, Block, Zygmunt, Reykowski. Toż na tych kartkach jest cała śmietanka polityczna!

Płytkę 27 wetknął do kieszeni odtwarzacza, wrócił na fotel i zaczął manipulować pilotem. Gdy ekran telewizora rozjaśniał, Brumel zobaczył to, czego się domyślał, a co wydawało mu się nieprawdopodobne. Przez co najmniej pół godziny widział plecy, nogi, łokcie, głowę, słyszał prośalny i rozkazujący, dziękczynny i służalczy głos człowieka, który zniszczył jego karierę. Gdybym skopiował płytę, zaniósł mu i zażądał powrotu do służby bezpieczeństwa? Mając nóż na gardle, przyjąłby mnie nawet do głębokiego wywiadu, rzekł w myślach. Miałbym stanowisko i pieniądze.

– Teraz przede mną nie obronisz się, sukinsynie – powiedział i rzucił płytę na łóżko.

Z półki pod telewizorem brał kolejno płyty, wkładał je do odtwarzacza i tylko oglądał początkowe kadry. Na wszystkich była prawie ta sama sceneria: butelka z koniakiem marki Franklin, pękate kieliszki, przytłumiona muzyka z syntetyzatora i Iwetta w tanecznym geście zrzucająca z siebie bluzkę, spodnie i rajstopy. Brumel nie mógł powstrzymać się od chichotu, gdy spoglądał na absztyfikantów mocujących się z guziczkami koszul, wciągających brzuchy, zawstydzonych swoją niezgrabnością. Po kwadransie poczuł się znużony. Jak długo można się przypatrywać sflaczałym brzuchom czy nogom niby okorowane scyzorykiem patyczki? Umiejętności Iwetty wydawały mu się ograniczone. Oglądał filmy erotyczne, orientował się więc, ile potrafią łóżkowe gwiazdki. Już wyciągnął rękę, aby wyłączyć telewizor, gdy na ekranie zjawił się Kotkowiak. Tego Brumel nie przewidział. O byłym pro-

kuratorze generalnym wiedział tyle, że próbował się dobrać do skóry ministrów i polityków.

Iwetta: – Masz już, kochany staruszk, wszystkie papierki?

Kotkowiak: – Większość.

Iwetta: – Czego ci brakuje?

Kotkowiak: – Musisz się dowiedzieć, czy brat Reykowskiego pracuje w Independence Bank w miejscowości Encino w Kalifornii. Jeśli tak, to na czym polegały jego powiązania z DLF Finance? Zapamiętasz, dzieciaczku?

Iwetta strzeliła długim rechotem, przypominając mu, że jak dotąd tak i dalej powinien być spokojny. Pamięć do obcych słów ma niezłą, nauczyła się wyłuskiwać z długich i nudnych rozmów tylko to, co interesuje jej zlecniodawców. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby spała robotę.

Kotkowiak: – Odkąd mi cię polecono, przyznaję, nie zawiodłem się ani razu. Jesteś mistrzynią w swoim fachu. Dobra szkoła.

Iwetta: – Mój Jay jest gotów pojechać osobiście do Kalifornii, pod warunkiem że staruszek zapłaci mu żywą gotóweczką.

Kotkowiak: – Słowa mu nie wystarczą? Muszę mieć dokumenty. Najpóźniej za miesiąc.

Iwetta: – Czy to już będzie wszystko, czego ci brakuje?

Kotkowiak: – Tak przypuszczam.

Iwetta: – Zdążysz przed wyborami?

Kotkowiak: – Przy twojej, dzieciaczku, pomocy... powinienem.

Iwetta: – A nie obawiasz się Reykowskiego? On ma długie łapy, dzielny staruszek.

Kotkowiak: – W tym kraju ja mam najdłuższe ręce. Pamiętaj, że Reykowski jest nam bardzo potrzebny. Od niego zależy, kto zostanie głową państwa i czy znajdziemy przy tej głowie swoje miejsca.

Iwetta: – Zamknę oczy i jakoś go zniosę. Ale jeśli ty, staryszku, nie skorygujesz...?

Kotkowiak: – Słowa prokuratora generalnego ci nie wystarczą, mała kurewko?

Iwetta przygarnęła go do siebie. Brumel znowu widział plecy i słyszał muzykę tłumioną forsownym oddechem Kotkowiaka. Wyłączył telewizor. O czym oni rozmawiali? się zastanawiał. Przypomniwał sobie, że na początku września Kotkowiak przesłuchiwał policjantów, ale w jakiej sprawie, tego nie wiedział. Co mnie, do kurwy nędzy, obchodzi polityka!

Zegar odezwał się przytłumionym basem, komisarz najpierw spojrzał na swego patka, później podniósł oczy na cyferblat zegara szafkowego. Oba wskazywały dokładnie tę samą godzinę. O wpół do pierwszej Brumel musi być w komendzie. Przed wyjściem chciał jeszcze sprawdzić płytę oznaczoną numerem 42, ostatnią na półce pod telewizorem. Spodziewał się, że tą drogą uzyska przynajmniej część odpowiedzi na pytanie o dusiciela Iwetty.

W notesie pod numerem 42 było samo nazwisko: Cyganik. Któż to? Kiedyś Brumel pamiętał nazwiska wszystkich ministrów, ich zastępców, sekretarzy, generałów, ambasadorów, konsulów, komendantów wojewódzkich. Od sześciu lat nawet nie stara się wiedzieć, kto jest kim. Ministrowie zmieniają się co kilka miesięcy, a ich zastępcy są do siebie tak podobni, że pewnie i premier nie wie, z którym rozmawia. Co drugi nosi zdziczałą brodę, wąsy niby-Piłsudski, za długie włosy, każdy obiecuje, grozi i szybko znika z życia publicznego, aby za kilka tygodni pojawić się jako przedsiębiorca czy dyplomata.

Gdy Brumel wetknął płytę 42 do kieszeni odtwarzacza, na ekranie telewizora ukazała się ogorzała twarz mężczyzny najwyżej pięćdziesięcioletniego z wyraźnie zaznaczonymi zmarszczkami na wysokim czole. Czyżby tak wyglądał ów

Cyganik? Komisarz pierwszy raz widział tę twarz, nie przypominała mu nikogo spośród znanych osób ani nie była interesująca. Mężczyzna siedział na łóżku z nogami podciągniętymi pod brodę i bawił się złotym krzyżykiem na grubym łańcuszku, jakby się zastanawiał, jaką wartość ma to, co trzyma w palcach. Wtem z głębi mieszkania ukuł go rozdrażniony głos Iwetty. Brumel rozumiał tylko niektóre słowa. Domyślał się, że Cyganik nie mieszka w stolicy, do Warszawy przyjechał z prowincji w celach handlowych, zaś w domu Iwetty znalazł się nierozmyślnie. Jednak musi być coś, co ich łączy, uważał policjant.

– Moja dola, panie biznesmen – rzuciła Iwetta głosem stanowczym i wyciągnęła rękę do Cyganika, który nadal bawił się łańcuszkiem.

– Dostaniesz, ale najpierw... – wskazał głową miejsce obok siebie na łóżku.

– Nie jestem dziwką!

– A kim, słodziutka? Może polską Matą Hari?

– Licz się ze słowami, parchu!

– Delikatnie, panienko w kwiecie wieku. Za dużo wiem o tobie, prawda? A na pewno nie chciałybyś mieć bużki pokancerowanej.

– Pamiętaj, że każdy kij ma dwa końce – ostrzegła go, stając się nad sobą panować.

– To z podziękowaniem od pana Anttiego – powiedział cynicznym tonem i ułożył łańcuszek na poduszce. – Musiałaś być nadzwyczajna, skoro nawet mnie, parcha, jak powiadasz, prosił, abym dał ci to świedelko.

Policzki Iwetty lekko zadrgały, pojawił się na nich chciwy uśmieszek. Gdy podniosła głowę na mężczyznę, komisarz dostrzegł groszki łez w kącikach jej oczu.

– Krzyżyk musi być wysadzany brylancikami z kolekcji Jana van Settena – dodał Cyganik kpiąco. – Pewnie nawet

Jay nie wynagradza cię aż tak sowicie. Farbowani Jankesi są skąpi jak... Żydzi. Coś niecoś o tym wiem. – Wyciągnął rękę w geście pojednawczym.

Iwetta usiadła na brzegu łóżka tyłem do kamery. Brumel czekał na jej odpowiedź, padły jakieś niezrozumiałe słowa, które pewnie nie miały większego znaczenia. A to, co nastąpiło kilka minut później, gdy nacieszyła się krzyżykiem, było kolejną wersją erotycznych fantazji asystentki sekretarza generalnego Ruchu Centrum. Komisarz wyłączył telewizor, wstał z fotela niezadowolony i ruszył w stronę drzwi.

– To jest robota dla bezpieczeństwa – mruknął. Czasem mówił sam do siebie, a jeżeli głośno wypowiadał jakiś sąd, to po długim zastanowieniu.

Każdą sprawę zwykle analizował z wielu stron, na różne sposoby, z nadzieją na rychłe wnioski, których nie przedstawiał zwierzchnikom póty, póki nie był przekonany, że ma rację. Szedł wolno i myślał, który spośród trzydziestu jeden dżentelmenów udusił Iwettę. Cyganika wykluczył. Gdyby on był mordercą, płyta oznaczona numerem 42 nie stałaby na półce pod telewizorem, pomyślał. A może specjalnie ją tam ustawił, żeby wykluczyć siebie z grona podejrzanych?

Komisarz wrócił do mieszkania i porównał zapiski w notesie: wszystkie litery były kuliste, naniesione kobiecą ręką. Tak pisała Iwetta.

Warszawa, ul. Frascatti, 5 października, wczesne przedpołudnie

Nim Brumel podszedł do dozorczy, zajrzał do skrzynki na listy, ale oprócz folderów i ulotek niczego w niej nie było.

– Ja tam nic nie wiem – odezwał się mężczyzna, zmiatający piasek ze schodów.

– O nic nie pytałem – powiedział komisarz. – Skoro pan zaczął, to porozmawiajmy. Jak długo jest pan gospodarzem domu?

- Trzydzieści sześć lat.
- I nigdy nic pan nie widział? Czy to możliwe, żeby nie interesował się pan życiem sąsiadów?
- Mnie płacą za to, coby na korytarzu było czysto. To taka kamienica, co lepiej nic nie słyszeć i nie widzieć.
- Słusznie. Czy znał pan ojca panny Iwetty?
- Musowo – odrzekł zdumiony, że Brumel pyta go o człowieka, którego nazwisko pojawiało się w gazetach.
- Zwykle Iwetta wracała do domu piechotą czy przyjeżdżała samochodem?
- Rozmaicie.
- A we wtorek, w dniu poprzedzającym jej śmierć?
- Dozorca oparł się na trzonku szczotki, czapkę przesunął na czoło, wyglądał na zmieszanego.
- Co mnie obchodzi, z kim się szlaja?
- Słusznie, zgodził się z nim Brumel i pomyślał o swojej córce. Ludzie jak już urobią sobie opinię o kimś, pozostają przy niej na zawsze. Wyjął z kieszeni paczkę cameli.
- Zapalimy? – Wiedział, że papierosy rozwiązują języki.
- Dozorca odtajał natychmiast.
- Dopóki żył jej ojciec, było inaczej. Co tu dużo gadać, panie szanowny, ona od małego zadawała się z takimi różnymi. Toć córka nie byle kogo. Mam rację? Ile to razy ja musiał udawać, co nic nie widzę. Jakby moja tak się lumpowała... Panie, ja... Pan byś pozwolił, żeby rodzona córka kurwiła się z kim popadnie?
- Znał pan tych mężczyzn, którzy... – poprawił się – z którymi wracała do domu?
- Kto ogląda telewizję, musi ich znać.
- Aktorzy? Dziennikarze?
- Dozorca zaprzeczył powolnym ruchem głowy.
- A wtedy kto u niej był?
- Znaczą się, z wtorku na środę?

- W nocy?
 - Jaka tam noc. Ona wróciła... było dobrze po dziesiątej.
 - Piechotą? Sama?
 - Nie chciałby ja... Mogę się mylić.
 - A z kim? – naciskał komisarz coraz bardziej przekonany, że dozorca wie dużo więcej niż chce powiedzieć.
 - Podług mnie z tym, co jest za ministra sprawiedliwości.
 - Z Reykowskim?
 - Długo u niej nie siedział. Z godzinkę najwyżej. Auto całutki czas stało przed kamienicą.
 - Jakiej było marki?
 - Pewnie rządowe.
 - Czy pan by je poznał?
- Dozorca się zawahał.
- Numeru rejestracyjnego ja nie zapamiętał. To była musi lancia albo coś podobnego. Kto do niej przyjeżdżał – podniósł oczy wysoko – to tylko takim autem, że i pan nie miałby za co kupić. A rząd płaci.

Brumel zdawał sobie sprawę z tego, że grono podejrzanych o uduszenie Iwetty z każdą godziną będzie mniejsze. Na pewno powinien przesłuchać wszystkich, których uchwyciło oko kamery ukrytej w zegarze. Wielu odmówi złożenia zeznań, sporo będzie wymuszało na jego szefie zmianę śledczego, znajdą się nawet tacy, którzy wynajmą prywatnych detektywów i będą straszyli Brumela albo dociekali na własną rękę. Wszystko po to, aby dochodzenie popłatać. Był pewny co do tego, że niejeden przeanalizuje jego biografię i będzie się domagał wyjaśnień, dlaczego tę sprawę prowadzi nie młody policjant, a oficer z milicyjną przeszłością. Dlatego porozmawia ze wszystkimi politykami i urzędnikami bez względu na ich funkcje w państwie, nawet z posłami, ale mordercę wskaże dopiero wówczas, kiedy dojdzie do wniosku, że ma nie łatwe do zakwestionowania poszlaki, lecz dowody nie do podważenia.

– Goście Iwetty sami kierowali samochodami czy mieli szoferów?

– Jeden raz nie było kierowcy. Nawet pamiętam numer, bo to było ciekawe, panie szanowny. Lancia, FEA3406, a tak ufajdolona, że wstyd. Mam brata ciotecznego w Zielonejgórze, on czasem przyjeżdża do Warszawy po towar, już żem myślał, co on.

Komisarz uśmiechnął się do dozorczy wymuszenie. Cóż, i to będzie musiał sprawdzić, a może przede wszystkim to. Nie daj Boże, żeby samochód należał do któregoś spośród nowych ministrów. Wtedy dochodzenie przejmie Abewu i tak je zapłaci, że morderca długo będzie czuł się bezpieczny.

Warszawa, ul. Nowolipie, 5 października, południe

Ledwie wrócił do swego pokoju w komendzie, gdy odezwał się wewnętrzny telefon na jego biurku, jakby ktoś tylko czekał, kiedy Brumel zamknie za sobą drzwi, podniósł słuchawkę i stanąwszy prawie na baczność przedstawił się:

– Komisarz Brumel, słucham.

– Gdzieś był tyle godzin? – Usłyszał podniesiony głos naczelnika. – Dwa razy dzwonili z Kancelarii Prezydenta. W komendzie głównej taki ruch jakby wszyscy dostali sraczki. Co z tą sekretarką?

Czyli miałem rację, cieszył się Brumel. Dusiciel jest w pobliżu najwyższych władz państwa i już stara się zatuszować sprawę. Jeśli mam rację, myślał, to dusicielem nie jest zawodowy, lecz przypadkowy morderca, a taki szybko się zdradzi.

– Szefie, może jeszcze dziś potrafię powiedzieć coś więcej o sprawcy. Najpierw muszę się skontaktować z miejską w Zielonejgórze.

– Kogo chcesz szukać na prowincji? Zabójca musi tu być.

– Dostałem cynk.

– Jaki?

– Powiedzmy: sugestywny. Wprawdzie dotyczący innego zdarzenia, może jednak mieć powiązania z tą sprawą.

– Czyżby jeszcze jakieś nowe odkrycia związane z Kotkowiakiem? – spytał naczelnik mniej urzędowym tonem.

– Chyba szkoda twego czasu, komisarzu, ale nie zabraniam. Osobiście nie widzę związku obu spraw.

– Dam znać – powiedział Brumel zdecydowanie.

– Uważaj na siebie. Bezpieka próbuje nas wyręczyć.

– Tego też się spodziewałem.

Zielonagóra, ul. Wąska, 5 października, południe

Na biurku przed Syskim leżały cztery rozbebeszone teczki, nadkomisarz jakby bez większego zainteresowania przeglądał nagromadzone w nich papiery. Zachowywał się tak zawsze, gdy poszukiwał morderców i prawie zawsze udawało mu się dość szczegółowo odtworzyć przebieg zdarzenia, ale tym razem miał wątpliwości, czy zebrane odciski palców, fotografie śladów butów, pojedyncze włosy, a nawet wyniki z laboratorium krwi doprowadzą go do celu. Spodziewał się, że sąsiedzi Cyganika powiedzą więcej, ale nie wszyscy mu pomagają, a młodszy zachowują się tak, jakby się kogoś bali.

Daniel Sateck chciał wiedzieć, ilu było zabójców, skąd pochodzą, czy wcześniej znali ofiary, w jaki sposób dostali się do willi, skoro dostępu do drzwi broniły rottweilery i urządzenia elektroniczne najnowszej generacji.

– Mam dowody na to, że morderców musiało być kilku – stwierdził policjant bez przekonania i nadal wpatrywał się w fotografie.

– Czyli więcej niż dwóch.

– Kilku – powtórzył Syski.

– A jakie są te dowody?

Tym razem lekarz sądowy podszedł do sprawy poważnie, co ostatnio nieczęsto się zdarzało i sporządził dokładny opis zwłok. Nie wszystkie spostrzeżenia wydawały się policjantowi godne uwagi albo możliwe do przyjęcia bez dodatkowych wyjaśnień, ale przecież anatomopatolog nie studiował kryminologii szczegółowej, a swoje opinie sformułował na podstawie tego, co widział na stole.

– Jaką krzepę musieli mieć mordercy, jeśli odważyli się zaatakować byłego boksera wagi ciężkiej? – Syski powtórzył pytanie, które zadał mu rano aspirant.

– Mięśnie wyczynowca, który przestaje uprawiać sport, najzwyczajniej flaczeją. Francuski biolog Lamarck dowodził, że narządy nieużywane ulegają zanikowi – wtrącił się do rozmowy lekarz.

– Sugerujesz, że wśród morderców musiał być przynajmniej jeden facet o budowie atletycznej?

Danielowi zabłyśły oczy.

– Być może dawny rywal Cyganika z ringu – powiedział na poły do siebie. – Może chodzi o jakiś przegrany pojedynek? Wśród ludzi o niskim ilorazie inteligencji obowiązuje zasada wyrównywania rachunków.

– To da się sprawdzić. Zawsze co trzy głowy, to nie jedna. Dziękuję wam za ofiarną pomoc. – Syski uświadomił sobie, że kpi z przyjaciół i oni o tym wiedzą.

– Coś za coś – rzekł lekarz, wskazując Satecka policjantowi.

– Prasa chciałaby wiedzieć, jaki był przebieg zdarzenia.

– Pan nie zna prasy, doktorze. Ja opowiem hipotezę, a redaktor opisze to jako wstępny wynik śledztwa i szukaj wiatru w polu. Wszystko, panowie, tylko nie to. Wódkę wam postawię, ale w tej sprawie dajcie mi święty spokój.

– Obiecuję, że póki nie znajdziesz zabójców, nie pisnę słowem. Przecież nie jestem adeptem. Dobrze wiem, co robisz i jak daleko wolno mi się posunąć.

– Słowo redaktora – rzucił rozbawiony lekarz.

Syski zrobił upartą minę. Sateck dobrze ją znał, lecz tym razem pomylił się, bo oto policjant odchrząknął i się odezwał:

– Żebyście wiedzieli, że wszystko, o czym przeczytałem w protokole sekcji zwłok, co spostrzegł aspirant i potwierdził fotograf, układa się w logiczny ciąg zdarzeń, z wyjątkiem jednego. Ciągle nie wiem, ilu było delikwentów i jak się dostali do domu.

– Mówiłeś, że kilku – przypomniał mu Sateck.

– To przypuszczenie.

Lekarz machnął ręką na ukos i już w drzwiach powiedział, że wraca do prosektorium przyszpitalnego, gdzie może mówić co chce i nikt nie zadaje mu pytań. Do wieczora musi przeprowadzić pięć planowanych sekcji zwłok i dwie obdukcje sądowe.

– Nie zanudzisz się, doktorku – rzucił do niego policjant.

– Nic nie powiesz? Potrzebuję materiał na reportaż. Sprzedaż gazety leci na łeb, na szyję. Taki tekst... – Sateck spojrzał na Syskiego z nadzieją.

– Materiał będziesz miał z rozprawy sądowej.

– Kiedy? Za rok najwcześniej? Przecież tej sprawy nie rozwikłasz do Wielkanocy. Być może nigdy jej nie ukończysz.

W myślach Syski przyznał mu rację. Już prawie tydzień krąży wokół willi i nic. Diabli wezmą wakacje, na które wybiera się z żoną.

– Cyganik został uderzony czymś ciężkim w tył głowy, prawdopodobnie którymś z tych metalowych krzyży, jakie były w jego willi – powiedział przez ramię i jeszcze raz sięgnął po protokół z sekcji. – Cios, prawdopodobnie zadany w przedpokoju na dole, nie zwałił go z nóg. Lekko oszołomiony rzucił się do ucieczki, lecz nie na dwór, a po schodach na piętro, gdzie w gabinecie miał dwie fuzje. Na chodniku i poręczy moi ludzie znaleźli ślady krwi, a na

mahoniowej ścianie pozostały plamy po zakrwawionych palcach. Tu napastnicy zadali ofierze osiem ciosów szerokim nożem: pięcioma rozharatali podbrzusze, trzema przebili prawe płuco, przeponę i wątrobę. Na schodach Cyganik już się nie bronił, może próbował zasłonić twarz. Mimo to przecięli mu śliniankę, zranili prawe oko i skórę na skroni.

– Domyślam się, że przyczyną śmierci nie było wykrwawienie – wtrącił Sateck, starając się w swojej wyobraźni inscenizować owo zdarzenie.

– Doktor też tak sądzi. Nim jednak nastąpił zgon, ktoś zdzielił Cyganika w głowę mosiężnym krzyżem. Zamroczonego, krwawiącego, jeszcze na schodach napastnicy skrępowali sznurem i przenieśli do pokoju na dywan.

– Facet kona, a oni podrzynają mu gardło. Dlaczego to zrobili? Czyżby obawiali się, że przeżyje i ich rozpozna?

– Pewnie nie o to chodziło – odrzekł Syski powoli, jakby się nad czymś zastanawiał. – Drugą ofiarą został chłopak. Ze słuchawkami na uszach młodzieniec mógł słuchać muzyki w swoim pokoju na piętrze. Mordercy związali mu ręce i czymś masywnym walili po głowie. Chłopak mógł krzyczeć.

– Pytałeś sąsiadów, czy coś słyszeli?

– Nic, jakby mieszkali za lasem.

– Wychodzą z założenia, że najlepiej się nie wtrącać

– Skrępowanego chłopca mordercy znieśli do salonu, położyli na dywanie obok Cyganika i od obu czegoś się domagali. Być może chodziło im o pieniądze, a może o coś zupełnie innego, na przykład związanego z jakimś rytuałem. Chłopak był gapowaty, cierpiał z powodu zwyrodnienia dłoni i stóp, poza słuchaniem muzyki rockowej nie miał żadnych zainteresowań. Mordercy pewnie sądzili, że Cyganik, widząc męki siostrzeńca, wszystko im powie. Tam, w pokoju na dywa-

nie, bardzo silnie odgięli głowę chłopaka do tyłu. Kilka razy próbowali poderżnąć mu gardło. Albo chłopak się wyrwał, albo nóż był tępy. Doktor pisze, że dopiero za czwartym razem przecięli mięśnie szyi, gardła i przełyku. Chłopak zmarł z powodu wykrwawienia.

– Gdzie w tym czasie była Cyganikowa?

– Podobnie jak pokój siostrzeńca, sypialnia jest wyłożona płytkami dźwiękochłonnymi. Już w kilku domach widziałem, że osoby majątkne, które mają nastoletnie dzieci, w ten sposób izolują się od niespodziewanych podglądaczy. Zapewne Cyganikowa leżała na łóżku w sypialni i jadła grejpfruty.

– Grejpfruty?

– Grejpfruty – powtórzył Syski. – Mimo wytłumienia pokoi, mogła usłyszeć wołanie siostrzeńca, wysunęła się więc z sypialni. Też została trzepnięta w głowę, chyba nawet tym samym krzyżem co Cyganik. Doktor twierdzi, że to spowodowało powstanie rozległych sińców na żuchwie i w górnej części nasady nosa. Jeden ze sprawców chwycił ją za gardło, jeszcze raz rąbnął krzyżem, przebijając czaszkę w okolicy ciemieniowo-skroniowej. Kobieta natychmiast straciła przytomność i pewnie dlatego nie została skrupowana.

Sateck wstał, pochylony, z oczami wbitymi w podłogę, chodził po pokoju. Dlaczego mordercy wybrali Cyganików i tak ich męczyli? – się zastanawiał. Kim byli?

– Nie rozumiem, co miały oznaczać krzyże wycięte na czołach męczenników.

Syski rozciągnął ręce bezradnie. Bał się przyznać, że zaczyna wierzyć w to, co mu powiedział aspirant: w mord rytualny satanistów.

– Z czym ci się kojarzy czarna msza?

– Jeśli się nie mylę, oznacza ona przeciwieństwo mszy katolickiej. To nabożeństwo, chyba znane wyłącznie w kościele satanistycznym, podobno ma być największym bluźnier-

stwem wobec chrześcijan. Mistrzem ceremonii zawsze jest były ksiądz. Dobrze mówię?

Policjant skinął głową i powiedział, że ofiarą satanistów najczęściej padają przechrzty lub młodzi neofici wiary katolickiej. Tacy niszczą wszystko, co człowiek tworzy, odrzucają wartości zbudowane na fundamencie religii. Najgroźniejsi są młodzi inteligenci, których często przepełnia opętanie. Oni otwarcie przyznają się do nienawiści i bez skrupułów niszczą wszelki porządek.

– Kto wymyślił tezę z satanistami?

– To nie jest teza, to jedna z domniemyanych wersji. Zasugerował mi ją Araszkiewicz. Podobno dwa, trzy lata temu pojawiła się w Zielonejgórze grupa czcicieli szatana.

– Nic o tym nie wiem, a powinienem – prychnął Daniel, robiąc wielkie oczy.

Zielonagóra, ul. Strzelecka, 5 października, wczesne popołudnie

Kilka minut po pierwszej byli w pałacyku zamienionym na hotel z restauracją, nadkomisarz spytał o gospodarza Gwardii. Recepcjonistka wskazała mu ciemny korytarzyk i palnęła, że kierownik na pewno jest w pokoju rachuby, bo zawsze w porze poobiedniej przelicza pieniądze. Dawniej policyjny klub sportowy utrzymywała warszawska centrala, w każdym mieście wojewódzkim był taki klub, ale od kilku lat brakuje pieniędzy prawie na wszystko. Policjanci powinni mieć nowy sprzęt, jeździć szybkimi samochodami, doskonalić strzelanie do tarczy, ćwiczyć zapasy i karate, gimnastykować się w dobrze wyposażonej sali. Może kiedyś tak będzie, dziś każdy w policji liczy na siebie i swoje szczęście. Komendant wojewódzki nie likwidował klubu, lecz i specjalnie nie pomagał sportowcom, którzy mimo braku pomocy reprezentowali policję na wszelkich zawodach. Strzelcy jakoś sami sobie radzili, a byli wśród nich

mistrzowie świata, nawet dwóch medalistów olimpijskich. Gimnastycy akrobatyczni również. Ponieważ bokserzy niczego nie potrafili, to przed południem sprząтали pokoje, a wieczorami trenowali w pobliskiej sali. Gdyby nie hotelik, w którym zatrzymywali się jedynie krajowi goście, klub pewnie przestałby istnieć.

– Dlaczego nie zwracacie się o pomoc do prywatnych mecenasów? – spytał Sateck. – Drużyna koszykarska Zastalu funkcjonuje dlatego, że firmy do niej dopłacają. Podobnie jest z piłkarzami Lechii i tenisistami stołowymi. Koszykarki AZS również oddały się w opiekę majętnemu miłośnikowi albo wysokich dziewcząt, albo piłki koszykowej.

– Ostatni, któren nas wspomagał, na piwo do Abrahama poszedł.

Chociaż Sateck był przyzwyczajony do języka ulicy i knajpek młodzieżowych, nie zrozumiał kierownika, mimo to rzekł:

– Wróci.

– Na Sąd Ostateczny. Wszyscy kiedyś staniam przed tym jedynym sądem sprawiedliwym. Jak mówi Pismo Święte, Jezus przyjdzie w chwale, aby żywych i umarłych sądzić.

Syski strzelił oczyma do Satecka. Wszystkiego mógł się spodziewać, lecz nie tego, że w klubie policyjnym usłyszy słowa ewangeliczne. Dostrzegł także krzyż zawieszony nad drzwiami i oplątany pajęczyną wyblakły obrazek między oknami.

– Kto was wspomaga? – spytał, aby zmienić temat rozmowy.

– Wspomagał – powiedział kierownik z naciskiem, unosząc palec wskazujący. – Świętej pamięci Cyganik Tomasz.

– Cyganik? – Syski i Sateck odezwali się równocześnie.

– Nu. Miesiąc w miesiąc płacił na sekcję bokserską. On u nas też boksował.

– W jakiej wadze? – Syski nie musiał udawać laika, jednak wolał postępować tak, jakby pierwszy raz słyszał o boksie.

– W półciężkiej. Żeb nie skłamać, kopyto miał jak Gołota. Nu, trochu za delikatny był. W tej wadze inteligencja przeszkadza.

– Kiedy zakończył karierę?

Gospodarz klubu wyjął z szuflady zniszczony album. Miał w nim zapisane wszystkie sukcesy i porażki gwardzistów, wklejone zdjęcia mistrzów, tabele rekordów, ważniejsze artykuły prasowe i listy od kibiców.

– Tak naprawdę to Cyganik nie boksuje od... będzie już ze dwadzieścia kilka lat. Nu, a mógł jeszcze długo tłuc się o mistrza kraju. O, mógł. Wycofał się po tym, jak Lizaka znokautował.

Żaden nigdy nie interesował się boksem. Syski traktował sport jak grę w brydża, Sateck nieco wiedział o lekkiej atletyce i tenisie ziemnym. Ku ich zadowoleniu gospodarz kontynuował:

– Ja żem odkrył Lizaka. Śmigły, szparki, panowie. A jakiż talent! Żeb on chciał trenować... medal na olimpiadzie mурowany. Raz, na mistrzostwach Polski, na punkty z Gortatem wygrał. To, jakby on pojechał do Monachium, czy złota by nie przywiózł?

– Pewnie tak – skinął głową Syski. – Powiada pan, że Cyganik dał wciry Lizakowi?

– I to jeszcze jakie. Nu, panie, mistrza znokautować? Żeb któren z Legii albo Gryfa, ale Tomasz?

– Dlaczego Cyganik wycofał się z ringu?

Gospodarz zacisnął usta, schylił głowę, milczał długo. Później wstał, podszedł do okna i po namyśle rzekł cicho, jakby zdradzał jakąś tajemnicę:

– Mojaż wina. Tylko mojaż... Ja nie powinien na to pozwolić. Nu, chciał ja pokazać Lizakowi, co ma za robotu się wziąć. On chłał. Bożesz ty mój, jak on chłał. Nie ma niczego

gorszego od wody w sporcie. – Gospodarz błdził oczyma po pucharach półkami wspinających się z podłogi na sufit. Wyjął papierosy z szuflady, zapalił i znowu umilkł.

Syski chętnie usłyszałby parę słów wyjaśnienia. Zaczął więc, licząc na to, że go sprowokuje do wypowiedzi:

– Cyganik nie pił, nie palił, prawda? Pewnie niedostatek talentu nadrabiał pracą?

Gospodarz podniósł na niego oziębiające spojrzenie.

– Akurat były u nas mistrzostwa regionu: Poznań, Szczecin, Wrocław i Zielonagóra, same kluby gwardyjskie, po dwóch zawodników w każdej wadze. Do półciężkiej wstawił ja Lizaka i Cyganika. Oba do finału doszli. Lizak był pewny, Cyganik... Miał chłop szczęście, że Pilnika ze Szczecina lekarz nie dopuścił do walki. Panowie, w sporcie połowa medali bierze się z przypadku i szczęścia... Nu, sędzia woła zawodników na ring. Lizaka nie ma. Lecę ja do szatni, a on, padlec, jeszcze trzyma kieliszek w łapie. Chuchnij! Brr.

– Nie powinien zostać dopuszczony do zawodów – wtrącił Sateck.

– Stanęli na ringu. Lizak rozluźniony, nawet postawy nie przyjął. Cyganik skoncentrowany. Pierwsze uderzenie, bach-bach, Lizak wziął ciosy na rękawice, drugie na lewą żuchwę, trzecie i nokaut jak ta lala.

Sateck spozjrzał na Syskiego, nie wiedział, co powiedzieć, ale spytał:

– Nie miał pan wyrzutów sumienia?

– Na dwa lata jego zawiesili. Dla takiego zawodnika jak Lizak to koniec kariery. Zrozumieć – zrozumiał, ale co z tego? Dzień w dzień przychodził do klubu, trenował, wszyscy widzieli, co jest najlepszy. Panie redaktorze, żeb on w Legii boksował, nikt słóweczkiem by nie pisał... Nu, jak jemu kara minęła, to akurat Gwardia spadła do trzeciej ligi. I tak Lizak się skończył.

– Jeszcze pan nie wyjaśnił, dlaczego Cyganik wycofał się z uprawiania sportu – przypomniał mu nadkomisarz.

– Dla ludzi inteligentnych golf jest, tenis, pływanie, bilard, a nie boks, ot co. Na tym mamony się nie robi, chyba że ma się talent Pietrzykowskiego. E, i Piotr wielki szmał na czym innym zrobił. Tomasz fach miał, głowę na karku, to i interesami się zajął. Ostatnio nawet, jak w klubie kasa pusta, chłopaków brał i robotę im dawał.

– A czy Lizak również u niego pracował?

– Jeden dzień... trzy dni chłał. Inny by go pogonił, Tomasz nie. Nu, to był człowiek z sercem. I tak go...

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Syski już w drzwiach spytał o mieszkanie Lizaka.

– Widział ja jego na Lisiej. Gdzie skład węgla. Jak przyczepę nawali, to na flachę dostanie. Berbelucha go wykończy. Czystej wody talent. Mógł być mistrz olimpijski, żeb nie chłał.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 5 października, późne popołudnie

Dyrektor Muzeum Środkowego Nadodrza, którego Syski poprosił o wykonanie ekspertyzy obrazów olejnych znajdujących się w willi Cyganika, potwierdził ich autentyczność. Zastrzegł się wprawdzie, że jest to opinia wstępna skonsultowana tylko z doktor Nahorską-Ghanen, wymagająca konsultacji z co najmniej jeszcze jednym konserwatorem sztuki, jednak może być dołączona do akt sprawy. W jaki sposób i kiedy Cyganik został właścicielem tych obrazów, tego Much nawet się nie domyślał.

– Kogo ma pan, że się tak wyrażę, na swoim celowniku?

– Gdybym wiedział, kogo postawić przed sądem, nie prosiłbym pana o współpracę – przyznał się nadkomisarz szczerze.

– Żadnych podejrzanych? Trzy trupy ludzkie, dwa zwierzęce, opróżniony sejf...

– Kto panu powiedział o sejfie? – przerwał dyrektorowi Syski, dostrzegając w jego oczach błysk zdziwienia.

Nastąpiła długa cisza, która trwała z pół minuty.

– Prawdopodobnie pan – odparł niepewnie Much. – Och nie! Powtarzam za gazetą. Nawet mnie to zastanowiło, przyznam się panu. Skoro sejf był otwarty, to ktoś musiał znać kombinację cyfr.

O tym Syski dotąd nie pomyślał. A kto, oprócz Cyganika, wiedział, jak się dostać do sejfu? Cyganikowa i siostrzeniec? Ich nadkomisarz musiał wykluczyć. Na pewno nie był to też żaden kasiarz zielonogórski, stwierdził w myślach. Kasiarze są zbyt odpowiedzialni, aby pod bokiem miejscowej policji łamać zobowiązania, które podjęli honorowo. Mordercy musieli więc wynająć specjalistę z innego miasta.

– Jeszcze jedno mnie zastanawia.

– Co takiego? – Syskiego rozstrajała dociekliwość amatorów. Przekonał się jednak wiele razy, że nieprofesjonaliści zadają genialne pytania.

– W jaki sposób mordercy dostali się do willi, jeśli na podwórku warowały psiska, specjalnie przeszkolone w Niemczech?

– Kto to panu powiedział?

– Pan niedokładnie czyta gazetę – odparł tryumfująco Much. – Ja dzień zaczynam od przejrzenia prasy regionalnej. Wszyscy moi współpracownicy o tym wiedzą i dlatego żaden nie odważy się zaskoczyć mnie byle pogłoską.

Zielonagóra, ul. Wąska, 5 października, późne popołudnie

W drodze powrotnej do komendy Syski kupił oba dzienniki regionalne. W *Ekspresie* nie było nawet słowa o prowadzonym śledztwie, na stronie piątej *Zielonogórskiej* znalazł wzmiankę o psach. Dowiedział się z niej, że willi pilnowały czteroletnie rottweilery Propst i Lares, przeszkolone w ośrod-

ku dla psów policji kryminalnej pod Stuttgartem. Policjanci z patrolu znaleźli je martwe w ogrodzie, z pianą na pyskach. Psy zostały otrute sarinem, substancją łatwą do uzyskania nawet w szkolnym laboratorium.

– Kto ci dał te rewelacje, Daniel? – rzucił do słuchawki nadkomisarz z wściekłością.

– Zaprzecz, że nie mają nic wspólnego z prawdą.

Syski nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze wczoraj rano długo prosił weterynarza, aby przyspieszył analizy chemiczne, lecz lekarz tylko wydał usta i rozciągnął ręce bezsilnie. Podobno laboranci nie umieli określić pełnego składu mikstury podanej psom.

– Jeżeli było inaczej, zaraz wszystko odszczekam – rzekł Sateck z nutą satysfakcji w głosie. – Jeżeli natomiast mam rację, postawisz mi piwo i udostępnisz materiały, o które cię poproszę.

– Za kwadrans możemy się spotkać w Ratuszowej – zaproponował policjant ugodowo.

W podręcznym spisie najczęściej używanych trucizn sarin nie występował, toteż Syski jeszcze raz poprosił weterynarza, aby mu cokolwiek opowiedział o substancji, która spowodowała śmierć obu psów. Lekarz przyznał się ze wstydem, że w swojej praktyce nigdy nie miał do czynienia z trucizną paralityczno-drgawkową i odesłał go do chemików wojskowych.

Etat fotografa policyjnego zajmował Leopold Dunajewski, który po szkole oficerskiej wojsk chemicznych pracował w zamaskowanej fabryce chemikaliów pod Warszawą. Tam zatrął się wodzianem chloru i został odprawiony na rentę, a ponieważ był za młody do tego, aby tylko spacerować po parku, zajął się fotografią. Podczas dorocznej wystawy Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego Dunajewskiego wypatrzył zastępcę komendanta miejskiej policji, którego żona

również otrzymała nagrodę za zdjęcia i przyjął go do pracy w laboratorium.

– Sarin jest bojowym środkiem chemicznym, wyprodukowanym pod koniec wojny światowej w Niemczech, ale wtedy nie został użyty – powiedział fotograf. – W latach dziewięćdziesiątych ludzie Sadama wytruli nim Kurdów w Iraku.

– Gaz?

– Występuje jako bezwonna i bezbarwna ciecz, łatwa do mieszania z wodą. Na organizm działa rażąco przez drogi oddechowe, błony śluzowe i skórę. Atakuje system nerwowy. Objawia się wymiotami i konwulsjami. U ludzi śmierć następuje po kilku minutach, u zwierząt natychmiast.

Syski przypomniał sobie, że obaj policjanci z patrolu dzielnicowego najpierw wymiotowali, później skarżyli się na bóle żołądka, a oczy mieli podrażnione.

– Właśnie tak działa sarin – potwierdził Dunajewski.

Zielonagóra, ul. Wąska, 6 października, ranek

Poseł Pilnik zalecał zastępcy komendanta, aby śledztwo szybko zamknąć. Co już Syski zebrał i ustalił, musi wystarczyć prokuratorowi do napisania wniosku o umorzenie sprawy z powodu niemożliwości wskazania winnego.

– Doszły mnie również słuchy, że nadkomisarz chce przesłuchać Jacka Lichaja, wiceszefa mojej partii. Z punktu widzenia prawa jest to możliwe, ale czy na pewno słuszne i potrzebne?

– Musimy zebrać jak najwięcej dowodów – tłumaczył podinspektor.

– Pan uważa, że polityk pokroju Lichaja może mieć coś wspólnego z morderstwem?

– Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Poseł uśmiechnął się blade.

– Potrzebny panu rozgłos?

– Z zebranych dotąd materiałów wynika, że denat nie miał dużo znajomych. Chcielibyśmy jak najwięcej dowiedzieć się o jego przeszłości. Lichaj jest jedną z nielicznych osób, która może dać nam pewne wskazówki. Oczywiście że nikt nie posadzi Lichaja na ławie oskarżonych. Byłoby to...

– Co tu dużo gadać, komendancie – przerwał mu poseł. – Powiem w zaufaniu, jak najlepszemu przyjacielowi, ale nikomu ani słoweczka. Dostałem poufne polecenie, aby przekonać pana, że sprawę trzeba natychmiast zamknąć. Wymaga tego racja stanu.

Pilnik nie zdradził, kto mu wydał takie polecenie, a zastępca komendanta nie miał odwagi ciągnąć go za język. Domyślał się, że ktoś wysoko postawiony w Porozumieniu Obywatelskim podjął taką decyzję i do tego celu wykorzystał prowincjonalnego posła. Podinspektor nie znał się na polityce, jednak zdawał sobie sprawę z tego, ile znaczy rozmowa z Pilnikiem. Póki wojewoda jest z partii koalicyjnej, nie nastąpią żadne zmiany w komendzie miejskiej. Po wyborach może być różnie i co wtedy?

– Postaram się nie nadawać rozgłosu sprawie, panie posle. Gdyby jednak Syski wpadł na jakiś trop, nie potrafię go zatrzymać.

– Pan nie potrafi? – Pilnik uniósł znacząco brwi. – Po to zajmuje pan ten przestronny pokój, żeby mieć rękę na pulsie i podejmować słuszne decyzje.

Było jeszcze coś, o czym poseł nie chciał powiedzieć. Jak poprzednią, tak i obecną jego kampanię wyborczą opłacała wytwórnia wódek, w połowie należąca do Cyganika. Fabryka rozpoczynała produkcję tequilli na rynek krajowy, a jeśli się uda, w co poseł nie wątpił, to i do Skandynawii. Plastik przygotował etykiety z wizerunkiem Jacka Lichaja, który, takie krążyły pogłoski, dzień rozpoczyna od naporstka tequilli. Gdyby się wydało, że Lichaj jest zamieszany w sprawę Cyga-

nika, kto wie, czy nie wycofałby się z umowy. Bez pieniędzy fabryki Pilnik nie ma szans w boju o miejsce w nowym sejmie. A chciał być, czego nigdy nie ukrywał, również wojewodą albo marszałkiem.

Dziesięć minut później Syski wszedł do pokoju zastępcy komendanta. Podinspektor często wzywał go nagle, nigdy nie rozkazywał jak poprzednik, a częstował kawą, przekonywał lub prosił. Później się okazywało, że pryncypał zapomniał o prośbie albo natychmiast zmieniał swoje decyzje. Im człowiek starszy, nawet o pięć minut, tym mądrzejszy, tłumaczył sobie nadkomisarz. A zresztą kiedy prokurator sporządzi ten cholerny akt oskarżenia, będzie już po wyborach. Może Porozumienie Obywatelskie je przegra?

– Niech pan robi swoje, tylko bez rozgłosu – zdecydował zastępca komendanta.

Zielonagóra, ul. Lisia, 6 października, prawie południe

Przed składem opałowym stało sześć ciężarówek z przyczepami, kierowcy grali w karty lub drzemali w kabinach. Na zeschniętej trawie pod klonem siedzieli w kukki i leżeli obdarci, brudni, nieogoleni mężczyźni, kopiąc papierosy. Syski zajrzał do biura składu, porozmawiał z kierownikiem, który najpierw wziął go za klienta, gotów spełnić każde życzenie, a kiedy zrozumiał, z kim ma do czynienia, poczęstował go herbatą, ale na pytanie o Lizaka jednak nie od razu odpowiedział.

– Pełno tu się kręci rozmaitych obszczymurków. Da pan na najtańsze wino, w dziesięć minut załadują przyczepę węgla. Ot doczekaliśmy czasów, kiedy trudniej o klienta niż o ładowacza.

– Szukam boksera.

– Był jeden taki, alem go już dawno nie widziała – wtrąciła się do rozmowy kasjerka.

– Pamięta pani, jak wyglądał?
– Normalnie, bynajmniej. Może nos miał jakiś taki... zwichrowany.

– A! – parsknął kierownik i zaraz pożałował tego. – Ten z gwiazdeczką pod limem? Kryminalista, drogi panie.

– Miałam na myśli kogoś zupełnie innego. Od pewnego czasu już go nie widuję. Pewnie przeniósł się na Chynów. Tam bynajmniej łatwiej o klienta.

Kierowcy ciężarówek nie palili się do rozmowy z policjantem. Na pytania odpowiadali, ale niewiele wynikało z ich krótkich i lakonicznych zdań. Nadkomisarz poszedł więc pod klon.

– Który skoczy po piwo? – spytał. Zachowując ton powagi, wyjął z kieszeni kilka banknotów.

Żaden się nie podniósł, chociaż spragnione oczy ładowaczy zabłysnęły radością. Syski stanął przed mężczyzną w polatanych dżinsach.

– Ilu was jest? – Policzył do ośmiu. – Kup dziewięć flaszek. Za resztę mogą być popularne czy klubowe.

– Hrabia, kurwa – rzucił ktoś ze środka, a pozostali uderzyli w śmiech.

– Jaki hrabia? Cyna – powiedział ten, któremu Syski kazał iść po piwo.

– Cyna-nie-cyna, klient zawsze ma rację.

– Jedzie od niego jak z kibla w ulu.

– Odsuń to gównu, Leliwa.

Policjant usiadł na kamieniu i czekał, kiedy zamilkną. Co drugi miał wytatuowane kropki pod oczami, gwiazdki albo paski na skroniach, rysunki na palcach, a niektórzy nawet na wierzchu dłoni. Gdyby ich zaprowadzić do galerii plastyków i kazać zdjąć z grzbietów śmierzące łachy, mogliby być żywą wystawą twórczości więziennej.

– Dobrze, dobrze, szanowni panowie – odezwał się, gdy ucichli.

– Zabawiliście się, a teraz na mnie kolej. Jestem policjantem.

- A nie mówiłem, co śmierdziel?
- Z kryminalnej.
- Lepsza sztuka – zagwizdał pierwszy z brzegu.
- Niucham za bokserem.
- To se długo poniuchasz.
- Pomożecie? – spytał ugodowo.
- Za ile?
- Za browarek.
- W dupę se wsadź – powiedział ten z paskiem na prawej skroni i przewrócił się na drugi bok. – Z cynami i dziwkami nie gadam.
- Nie musisz. On – Syski pokazał na faceta dłubiącego za pałą w uchu – ma inne zdanie. Znasz boksera, Leliwa?
- Mężczyzna ociężałe uniósł głowę.
- Którego, szefie?
- Lizaka.
- Leliwa spojrzał spode łba.
- Może znam. Może nie.
- Chłopaki, jest świeży browarek ! – krzyknął ten, któremu Syski kazał iść po piwo do sklepu.
- Najpierw wszystko o bokserze. Na browarek trzeba zapracować.
- Leliwa przełknął głośno ślinę. Inni podnieśli spragnione oczy na policjanta, gotowi natychmiast odpowiadać na pytania, byle pozwolił im wziąć butelki w dłonie. Rozchylili spieczzone wargi, ukazując kikuty pożółkłych zębów.
- Bokser, szefie... – zaczął Leliwa i urwał jakby się bał, że ujawni rozstrzygającą o życiu tajemnicę.
- Jego tutaj nie ma – pośpieszył z informacją sąsiad Leliwy, także szczerząc bezzębne dziąsła.
- Tyle się domyślałam. A gdzie jest?
- W tym, no, kurwa... Pod Warszawą. Wille dla burżujów, gadają, buduje. – Leliwa wyciągnął rękę po flaszkę.

– Zarobiłeś na browarek. – Syski zerwał kapsel z drugiej butelki. – Kto następny?

– Ze dwa, trzy tygodnie będzie, jak przyjechał czarny. Mówią, co prawdziwy Cygan i zabrał boksera. Jeszcze dwóch z nim wziął.

– Dokąd?

– Na budowę – odrzekł jednym tchem ten, którego Syski posłał po piwo. – Bokser gadał, co gdzieś pod Warszawą stawiają rezydencję jakiemuś, co śpi na forsie.

– Nie jakiemuś, kurwa, ino temu co był za premiera – wyjaśnił mężczyzna, który dotychczas nie okazywał zainteresowania policjantem. – W Jachrance, jak się jedzie z Warszawy na Pułtusk. Jest Jabłonna? Jest. Potem Legionowo. No i dalej po lewej będzie Jachranka.

– Widać, coś, Pierdun, chodził do szkoły – roześmiał się Leliwa, odrywając na chwilę usta od butelki.

– To moje rodzinne strony. Mnie Cygan też korcił, cobym jechał. Po jakiego wała? Na piwo to ja, kurwa, i tu se zarobię.

– Dobra, dobra, przestańcie pierdolić. Pić się chce, panie cyna – odezwał się ten z paskiem na skroni.

Syski podał każdemu po butelce jubilata, sam zapalił papierosa i obserwował, z jaką chciwością mężczyźni ciągną piwo. Zazdrościł im, że aż tak potrafią się przyssać do flaszek.

– Wziął se boksera, bo go znał. Mnie weźmie? Albo ciebie, Leliwa? Jego? A po kiego chuja? Żebyśmy mu biedy narobili? Na takiej budowie trza się znać. I zapierdalać lepiej jak na swoim. – Facet nazywany Pierdunem mówił do rzeczy. Syski jeszcze mu nie przerywał, choć denerwował go język ubarwiony pustymi słowami. – Oni się kumplowali. Bokser, jakby tylko chciał, to Cygan by mu załatwił taką fuchę, że szkoda gadać. U siebie. Co dla niego dać robotę, jak on bogatszy od Rockefellera.

Nadkomisarz zająrzył Pierdunowi prosto w oczy.

– Bokser pojechał? – spytał z niedowierzaniem.

Pierdun skłonił głowę z szacunkiem.

– Jemu wszędzie dobrze. Wiosną nie było go z miesiąć. Jak wrócił, to gadał, co rządził w obstawie Cygana. Pochlał i komuś przypierdolił. Za to Cygan wyjechał go z obstawy. No teraz... Ten Cygan, nie ma co, kawał chuja, ale ludzki chłop.

– I tak, kurwa, skończył – dodał smętnie Leliwa.

– A ci dwaj, którzy pojechali z bokserem...?

– Docent. Złamany chuj. Do roboty ma lewe graby, ale yeti albo jeszcze cwańszy zamek otworzyć... on, kurwa jebana, pierwszy. No, prawdziwy docent. Zyzio, jakbyś mu pan kazał zadziabac swoją starą... Kiblował. E, sierota z sierocińca.

– Co jeszcze? – Syski miał przed oczyma pokój w willi na Kwiatowym. – Gdzie się trzeba wychować, żeby poderżnąć aż trzy gardła?

– Kurę na zupe to ja bym, kurwa jebana, zaciachał – pochwalił się Leliwa. – Świniaka może też, ale musiałbym być, kurwa, pod dobrą datą.

– Trochę mało się dowiedziałem.

– Mało? Za jedno piwo na łebka, kurwa, chciałeś jeszcze coś?

Nadkomisarz zrozumiał, że niczego więcej nie usłyszy. O czym ładowacze pamiętali, powiedzieli. Wyjął z portfela jeszcze dwa banknoty i kazał Leliwie iść po piwo do sklepu.

– Panowie, jest robota dla dwóch chętnych! – krzyknął kierowca ciężarówki.

– Nie ma głupich – odrzekł ten z paskiem na skroni. – Panowie jeszcze wypiją po browarku, puszczą dymka i dziś fajrant.

Zielonagóra, ul. Krawiecka, 7 października, noc

Wczesny wieczór i noc komisarz Brumel spędził w hotelu Pod Wieżą, wciśniętym między pudełka starych kamie-

niczek wokół ratusza w centrum starej Zielonejgóry. Nie spodziewał się, że są jeszcze takie hotele, gdzie panuje cisza jak w śródleśnej chacie smolarza. Wieczorem telefonował do Edwarda Czernika, pamiętał go z czasów, gdy jako student skakał wzwyż. Nikt nie podnosił słuchawki, spytał więc recepcjonistkę, czy z Krawieckiej daleko na Ptasia. Nie umiała mu odpowiedzieć, ale zaproponowała, aby porozmawiał z kierownikiem hotelu, który przez wiele lat był nauczycielem wychowania fizycznego.

– Czernika uczyłem w liceum pedagogicznym. W Polsce wygrywał z wszystkimi. Najprawdziwszy talent! W nogach zamiast mięśni miał sprężyny. Z olimpiady w Tokio powinien był przywieźć medal. Nie wyszło – powiedział kierownik markotnie.

– Zdarza się – rzekł Brumel, jakby również usprawiedliwiał Czernika.

– Musieli go Ruscy czymś podtruć.

– Jeśli dobrze pamiętam, to Czernik nie zakwalifikował się do wąskiego finału.

– Może to był przypadek?

– A kto wygrał skok wzwyż, pamięta pan?

– Rusek – natychmiast odparł kierownik. – Drugi był Thomas, trzeci Rambo. Czwarty znowu Rusek, piąty Drecoll z Niemiec. Ósme punktowane miejsce wyskakał Idriss z Czadu. Edek był dopiero na dziewiątej pozycji. Pan może go zna?

Brumel westchnął, po czym rzekł:

– W tamtych latach trzech skoczków: Edek, Sobotta i ja, rywalizowało o dwa miejsca w reprezentacji.

– Pan skakał w jednym bucie – powiedział kierownik, mrużąc oczy jakby nie wszystko sobie przypominał. – Czy jeszcze pan pamięta, kto w Zielonejgórze w siedemdziesiątym pierwszym na mityngu winobraniowym ustanowił rekord Polski?

– Czernik. Ja byłem drugi.

– To pan jest Brumel.

Zrobiło mu się przyjemnie. Nie przeczuwał, że w czyjejkolwiek pamięci ugrzęźnie jego nazwisko.

– Co Edek porabia?

– Do niedawna trenował lekkoatletów w Emiratach Arabskich. Podobno już wrócił. U nas był zwyczajnym nauczycielem, a tam... Panie, taki sportowiec, wicemistrz świata i nie było go stać na porządne auto. Uczniowie mieli volkswageny, a on telepał się w moskwiczu – powiedział z naciskiem na ostatnie słowo kierownik. – Póki zdobywał medale, wszyscy nosili go na rękach. Zapraszali na spotkania, przyznawali medale, pisały gazety. Gdy zakończył karierę, mieszkania dla niego zabrakło.

– To przykre – rzekł, myśląc w duchu, że w identycznej sytuacji było wielu znakomitych sportowców. – A jeszcze bardziej przykre, iż współczesna młodzież nie garnie się do lekkiej atletyki.

– Był u nas jeden, bogaty i dawał na sport. To go wykończyli. Nawet nie wiadomo kto. Policja prowadzi śledztwo, ale, panie, mijają tygodnie i coraz ciszej o mordzie.

Zielonagóra, ul. Podgórna, 7 października, wczesne przedpołudnie

Wypoczęty, zjadł tanie śniadanie w hotelowej restauracji, spytał kierownika o najkrótszą drogę do Urzędu Miasta i wyszedł na rynek. Wąskie uliczki wokół ratusza przypominały mu centrum Krakowa, w którym się wychował i do którego uciekał na każde wakacje. Nigdy nie polubił Warszawy, a Ursynów, gdzie mieszkał, nazywał betonową wsią.

Ratuszowy zegar wybił ósmą. Brumel odciągnął rękaw kurtki: na jego omedze również była ósma. Zegarek dostał od komendanta głównego trzydzieści lat temu. Był już pod-

porucznikiem po studiach socjologicznych, ale jeszcze uczył się tajemnic kryminalistyki i w przeciwieństwie do swoich kolegów z wydziału długo analizował każdą sytuację podejrzanego, zastanawiał się, a nawet sprawdzał zeznania najbardziej wiarygodnych świadków. Pewnie dlatego pół roku po zakończeniu śledztwa dostał do analizy materiały dotyczące morderstwa w hoteliku teatralnym. Naczelnik wydziału polecił mu przygotowanie raportu o umorzenie śledztwa, a Brumel je przestudiował i doszedł do wniosku, że zabójcą warszawskiego aktora Zygmunta Herrmanna, kuzyna profesora prawa, który miał grać Hamleta gościnnie w Starym Teatrze, był jego rywal do tej roli. Podczas ponownego przesłuchania artysta zmienił poprzednie zeznanie, ale nie przyznał się do zabójstwa, wtedy Brumel odczytał mu fragment z *Hamleta*. Naczelnik wydziału jeszcze nie wierzył młodemu oficerowi, lecz gdy Brumel zapowiedział, że przeprowadzi wizję lokalną w hoteliku, aktor szlochając opowiedział, w jaki sposób sporządził sarin i otruił rywala. Dwa tygodnie później komendant główny wezwał Brumela do swego gabinetu, wręczył mu pozłacanego patka i klucze do mieszkania na Ursynowie. Po roku dał się namówić na przejście do kontrwywiadu i gdyby nie owrzodzenie rogówki, które dopadło go w trzecim roku pracy, pewnie nigdy nie uwolniłby się od szpiclowania. Cieszył się wtedy, że jest chory, chociaż mogło się to skończyć ślepotą.

Alejką wzdłuż strzeżonego parkingu, na którym stały drogie samochody z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi, doszedł do placu Matejki, gdzie płyty farby obłaziły ze ścian secesyjnych domów.

– Przeniesiony na Podgórną – odrzekła szorstkim głosem portierka w pakownym biurowcu Urzędu Miasta, którą spytał o wydział komunikacji.

– Nie znam miasta – przyznał się.

– Tam – pokazała głową na pomarańczowy budynek po przeciwnej stronie ulicy.

Nawet jej nie podziękował.

– Proszę czekać w kolejce – skarciła go sekretarka naczelnika wydziału.

Bez sprzeciwu wyszedł na korytarz, zapalił camela, a paniusia w skórzanej kurtce i kapeluszu milcząco wskazała tabliczkę na ścianie nad jego głową i powiedziała, że nie ma zamiaru prześmierdnąć dymem. Przeprosił ją, papierosa zgasił na podeszwie buta. Do sekretariatu wydziału wchodzili petenci i jak on skarceni wycofywali się na korytarz. Kolejka robiła się coraz dłuższa; Brumel stał pokornie przed drzwiami z pół godziny.

Kiedy wreszcie wszedł do pokoju pełnego dymu, naczelnik nawet nie oderwał głowy znad papierów:

– Słucham.

Komisarz położył legitymację policyjną na biurku, naczelnik poderwał się, wypuszczając długopis z dłoni. Najpierw zaniemówił, a po ułamku sekundy zaczerwieniony odezwał się innym tonem:

– Nie spodziewałem się. Pan służbowo, więc nie trzeba było stać w kolejce. Tu co drugi przychodzi po zwolnienie z podatku celnego. Przepraszam, wypije pan kawę?

Brumel nie lubił czołobitnych urzędników. Gdyby przyszedł do naczelnika prywatnie, zapewne musiałby długo wyjaśniać, o załatwienie jakiej sprawy prosi, pomyślał. Legitymacja policyjna zmiękcza najbardziej bezdusznych biurokratów.

– Chciałbym dostać wszelkie dane o właścicielu granatowej lancii FEA3406.

– Żaden problem. Pan będzie uprzejmy spocząć – naczelnik wskazał mu przybrudzony fotel przy stoliku pod oknem i przez interkom polecił sekretarce: – Dwie kawy i niech tu przyjdzie inspektor z rejestracyjnego.

Może po minucie drzwi się cicho rozchyliły, stanął w nich młody mężczyzna w przyciemnionych okularach, jakie noszą muzycy młodzieżowi, z wypielęgnowaną brodą.

– Ile czasu zajmie panu odnalezienie kartoteki lancii FEA3406? – spytał naczelnik. Założył ręce do tyłu i spacerował po pokoju. – Dziesięć minut wystarczy?

Sekretarka nie zdążyła zaparzyć kawy, gdy drzwi ponownie się rozchyliły i ten sam młody mężczyzna podał naczelnikowi arkusz kremowego papieru.

– Mówiłem panu, że chodzi o lancję, nie?! – wrzasnął naczelnik i zrobił się czerwony na twarzy. – Po co mi karta volkswagena?

Młodzieniec uśmiechnął się uszczypliwie.

– Numer FEA3406 dotyczy czerwonego volkswagena – wyjaśnił inspektor, nie przerywając żucia gumy.

– Ma być lancja.

– Niestety, pod tym numerem jest zarejestrowany volkswagen – powtórzył, nic sobie nie robiąc z uwagi naczelnika.

– Nieporządek, kolego, w waszej dokumentacji.

– Kartę tego samochodu założył pan osobiście, kiedy jeszcze nie był szefem wydziału.

Naczelnik spiekł raka.

Komisarz wyciągnął rękę po kartę. Przepisał do notesu informacje o samochodzie. Nawet nie prosił o wyjaśnienie niezgodności danych.

– Myślę, że wszystko jest w porządku – dodał.

– W porządku? A marka i kolor? – zdumiał się naczelnik. – Przecież pan mówił, że chodzi o granatową lancję.

– Chyba pomyłka. W każdym razie jeszcze raz sprawdzę notatki. Przy okazji postaram się dowiedzieć, czy właściciel samochodu podrobił dokumenty, a jeśli tak, to dla czego to zrobił. – Brumel wstał, podał rękę najpierw naczelnikowi, później młodzieńcowi i chwycił za klamkę, gdy sekretarka

wniosła na tacy dwie filiżanki kawy. – Dziękuję – powiedział bardziej do niej niż do naczelnika i wyszedł na korytarz.

Rozwahał, czy najpierw zameldować się w komendzie policji i w obecności jakiegoś posterunkowego prosić Cyganika o złożenie wyjaśnień, czy od razu jechać na osiedle Kwiatowe. To pierwsze byłoby zgodne z regulaminem. A zresztą i tak będę musiał współpracować z policją zielonogorską, stwierdził i wszedł do taksówki.

Zielonagóra, os. Kwiatowe, 7 października, południe

Co kilka minut na biurku Syskiego odzywał się telefon. Dyrektor Much poinformował go o uzupełnionym protokole wyceny obrazów. Po nim telefonował dyrektor urzędu celnego. Dzwonił też Daniel z pytaniem o dodatkowy protokół sekcji zwłok. A gdy w ciągu pół godziny telefon odezwał się czwarty raz, policjant z ociąganiem podniósł słuchawkę.

– Panie nadkomisarzu – usłyszał starczy głos – koło domu Cyganika kręci się mężczyzna w średnim wieku.

– Kto mówi? – spytał, wciskając klawisze dyktafonu.

– Ja mieszkam u córki chwilowo. Jakaśmy nie tak dawno rozmawiali o Cyganiku, na parkingu, pan dał mi swoją wizytówkę i powiedział, że gdybym coś zauważył, to mam natychmiast dzwonić.

– Pan był nauczycielem, dyrektorem szkoły – przypomniał sobie starca, który podgląda przez lornetkę mieszkańców osiedla na Kwiatowym. – Czy potrafi pan opisać tego mężczyznę?

Po chwili, jakby się nad czymś zastanawiał, starzec powiedział:

– Postawny, nie jest wyższy od pana, może mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Przyjechał białym oplem Taxi Zachód, numer boczny 1098. O, teraz wszedł do ogrodu jakby czegoś szukał.

– Proszę go obserwować – rzucił do słuchawki Syski. – Zraz tam będę.

Nie zważając na zepsutą sygnalizację świetlną ani na znaki drogowe, pędził w kierunku ogrodu botanicznego, przy którym było rondo i wjazd na nowe osiedla willowe. Kim jest intruz? Zastanawiał się nadkomisarz. Pewnie nie ma on nic wspólnego z morderstwem, a przyjechał z daleka w odwiedziny, nieświadomy tego, że Cyganik nie żyje. A może to inspektor skarbowy albo agent firmy ubezpieczeniowej?

Zatrzymał škodę za rogiem ulicy. Bramka była otwarta, ostrożnie wszedł na podwórko, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Dopiero tu zdał sobie sprawę z tego, że złamał regulamin, bo nikomu w komendzie nie powiedział, dokąd się wybiera.

– Policja! – rzucił zdecydowanie do mężczyzny idącego mu na spotkanie. – Stać! – Obcy zatrzymał się, lekko uniósł ręce i rozstawił nogi. – Co pan tu robi?

Mężczyzna prychnął.

– Rozglądam się.

– Proszę wyjąć dowód osobisty, ale, ostrzegam, mam odbezpieczoną broń.

– Komisarz Brumel ze stołecznej.

Syski znieruchomiał na moment. Czyżby centrala już przejęła dochodzenie? Dlaczego szef nic nie powiedział? Pewnie ukrył to, żeby nie robić mi przykrości.

– Przecież my się znamy. Wiele lat temu razem byliśmy w Holandii na szkoleniu – przypomniał mu się komisarz. – Długo będziesz tak mnie trzymał na środku ogrodu?

Wszystkiego mógł się spodziewać, lecz nie spotkania z Brumelem w takim miejscu. Od powrotu z Antwerpii nawet przez telefon nie rozmawiał z żadnym uczestnikiem kursu. Splunął pod nogi troszkę zawstydzony i powiedział przepraszająco:

– Zbłądziłem się.

– Przeciwnie. Gdybyśmy żyli w innym czasie, przedstawiłbym cię do odznaczenia państwowego albo zgłosił wniosek o awans na wyższe stanowisko służbowe – roześmiał się Brumel, wyciągając dłoń do Syskiego.

– Kto często podskakuje, rzadko się wybija – powtórzył nadkomisarz zdanie swego szefa przekonany, że to nie on wymyślił.

W drodze powrotnej do komendy Brumel wytłumaczył mu, po co przyjechał do Zielonejgóry. A gdy znaleźli się w forticy policji przy ulicy Wąską, zwanej Łubianką, wyjął z dyplomatki zdjęcia przedstawiające Cyganika na łóżku w pokoju Iwetty. Syski przypatrywał im się chwilę, po czym powiedział:

– Ten facet nie żyje. On, jego żona i siostrzeniec żony zostali zamordowani. Właśnie roztrząsam tę sprawę. Chyba będziemy musieli połączyć siły.

Brumel pokręcił głową.

– Chyba nie – rzekł wyniośle i dodał już innym tonem: – Ja jestem w lepszej sytuacji, bo uznam Cyganika za mordercę Iwetty i złożę wniosek o umorzenie śledztwa. Nie tylko mojego pryncypała taki finał ucieszy.

– Na pewno on udusił?

– Gdyby Iwetta była zwyczajną sekretarką, nikt by się nie zastanawiał, dlaczego została zamordowana. Ładna, młoda kobieta, może współpracująca z obcymi służbami za pieniądze na fatałaszkę. Zresztą nie ona jedna. Ale ona była na etacie asystentki sekretarza Ruchu Centrum. I pewnie dużo wiedziała, być może nawet aż za dużo.

– Zgoda, Iwetta siedziała przy korycie pełnym informacji. Co wspólnego z wielką polityką miał Cyganik? – Roześmiał się i zaraz wyjaśnił, dlaczego tak spytał: – Ani lokalny polityk. Ani nawet kandydat na radnego. Ani zabijaka. Ani mal-

wersant finansowy. Spokojny ciulacz wykorzystujący okazję do robienia wielkich interesów.

– Cyganik był ostatni w kolejce do oskarżenia. Dziś są takie czasy, że najlepiej sprawy kończyć szybko i nie zadawać za dużo pytań. Powinienem, na przykład, zaciekawić się, dlaczego tablice rejestracyjne volkswagena zawiesił na lancyi.

– Może taka moda. Gdyby ciebie było stać na lancy, pewnie też znalazłbyś sto sposobów złamania prawa.

Brumel wzbraniająco machnął ręką.

– Nie zazdroszczę ci – rzekł i uśmiechnął się krzywo. – Kogoś musisz oskarżyć i pewnie oskarżysz. Przypuszczalnie nadepniesz komuś na odciski.

Syski westchnął głośno.

– Na razie poszukuję co najmniej trzech facetów: jeżdżącego wiśniowym peugeotem, lancyą albo volkswagenem, Zygmunta Herrmanna i boksera o nazwisku Lizak. Tego ostatniego zapewne odnajdę w Jachrance. Herrmann jest, domyślam się, krewnym, a może nawet synem profesora Herrmanna. Też powinienem do niego trafić. Kto jeździ wiśniowym peugeotem, lancyą albo volkswagenem – nadkomisarz rozciągnął ręce – nie wiem.

– Zacząłbym od tego ostatniego – zasugerował mu Brumel. – Numery silnika i podwozia zdobędziesz w wydziale komunikacji. Właścicielem auta powinien być Tomasz Cyganik.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem.

Syski zagwizdał i poskrobał się po głowie.

– Jednak zacznę od boksera.

Warszawa, ul. Nowolipie, 8 października, ranek

Socha jak większość urzędników dzień zaczynał od *Wyborczej*. Gdy Brumel wszedł do jego pokoju, odsunął gazetę

na brzeg biurka, wskazał mu krzesło przy stole i oparł łokcie o blat. Wyglądał na takiego, który nie dobiera słów.

– Z czym wróciłeś?

– Złożę wniosek o umorzenie albo zawieszenie śledztwa. Delikwent, którego podejrzewałem o zabójstwo Iwetty, zielonogórski milioner Tomasz Cyganik, o dość zagadkowym pochodzeniu, od trzech tygodni wacha kwiatki od spodu. Nie tylko on, bo i jego żona, i jeszcze wychowanek.

Bębniąc palcami po blacie, podinspektor spytał:

– Żadnego związku z naszą sprawą?

– Tego nie da się wykluczyć. Póki Zielonagóra nie wpadnie na jakiś sensowny trop, my nie zrobimy ani jednego kroku. Oni chcą szukać mordercy pod naszym bokiem, wśród osóbek wysoko ustawionych. Podejrzewają... Zgadnij.

Socha uśmiechnął się oczyma i zaraz przybrał poważną minę. Nawet w obecności Brumela starał się zachowywać służbowo, chociaż wiele lat spędzili w jednym pokoju, składając sobie życzenia imieninowe, wspomagając się wzajemnie, mimo to nie byli przyjaciółmi, a tylko dobrymi kolegami.

– Dam głowę, że śledztwo prowadzi prowincjonalny wazniak – rzucił głosem ironicznym Socha. Chociaż sam pochodził z jakiejś miejsciny koło Łodzi, uważał się za zasiedziałego warszawiaka.

– Prowincjonalny, oczywiście. – Brumel chciał zaprotestować, ale się rozmyślił. Niech mu będzie, że wszystko poza Warszawą jest gorsze.

– Ci nowi, w przeciwieństwie do nas, starych policjantów, dedukują zupełnie inaczej. Czy ty zaraz po szkole miałbyś odwagę przesłuchiwać ministra albo sekretarza? Co ja gadam! Trząsłbyś się przed byle biuralistą. Jeśli już który by cię wpuścił do swego gabinetu, to czułbyś się jak aresztowany. Nie zdarzyło się nigdy, żeby urzędnik rządowy czy partyjny

stanął przed sądem powszechnym, na przykład, za postrzelenie myśliwego. A były takie wypadki i obaj o tym dobrze wiemy. Towarzysze pili i strzelali najpierw na wiwat, później do drzew, czasem i do siebie. Myśmy tak mataczyli i przeciągali dochodzenie, że ogłupiali sędziowie wsadzali do mamra niewinnych ludzi. Nie do pomyślenia w tamtym czasie było skazanie towarzysza.

– Czy chrześcijański polityk jest zdolny zamordować swoją kochankę?

Brumel wzruszył ramionami. Wcale nie myślał o politykach, przypomniał mu się aktor, kuzyn ministra kultury, którego trzydzieści lat temu doprowadził przed sąd w Krakowie. Pewnie już odsiedział swoje i gra podrzędne role w peryferyjnym teatrze? Podczas rozprawy to kpił z sędziego, to śpiewał głosem błagającego o przebaczenie grzesznika, to groźnie obiecywał zemstę, a w dniu ogłoszenia wyroku udawał księdza. Komisarz zapamiętał również jego źle ociosane czoło i szeroki, rozplaszczony nochal. Jak się on nazywał?

– W gruncie rzeczy nasze dedukowanie ogranicza stary sposób myślenia – powiedział z naciskiem Socha.

– Uważasz, że Iwetta, Kotkowiak... – Brumel zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie, kto jeszcze zginął w ostatnich miesiącach – żona ambasadora Lelity i jej kochanek poszli do nieba jedynie dlatego, że mieli powiązania z politykami?

Naczelnik nie odpowiedział, tylko zerknął na zegarek i uznał, że już dość długo rozmawiał z komisarzem.

– Zaraz napisz wniosek o umorzenie śledztwa – polecił. – Mam dla ciebie nową robotę. A może chcesz dziś odpocząć? Aha, do wniosku dołącz kompakt.

– Jakie?

– Te, które znalazłeś w sypialni denatki.

Warszawa, ul. Frascatti, 8 października, wczesne przedpołudnie

Ale w sypialni Iwetty już nie było płyt DVD. Nikt poza komisarzem nie miał klucza do mieszkania zamordowanej, jak i nikt oprócz naczelnika wydziału i komendanta stołecznego nie wiedział, że Brumel wykrył płyty na regale. Usiadł w fotelu i rozmyślał, kto go uprzedził. Żałował, że nie przeniósł kompaktów do komendy. Ktoś jednak musiał wiedzieć, że Iwetta nagrywała spotkania. Sochę wykluczył. Czyżby komendant? Dociekliwym wzrokiem szukał śladów czyjejkolwiek obecności w mieszkaniu, którego zakamarki już znał na pamięć, jakby w nim żył od dawna. Nic nie wskazywało na to, że ktoś obcy otworzył drzwi przy pomocy wytrycha, mimo to zaglądał do szaf, wysuwał szuflady, przetrząsał pawlacze. Żadnego śladu cudzej obecności, pomyślał z niejakim żalem i schylił się, aby zawiązać sznurowadło: tuż przy czubku buta, między barwnymi nitkami dywanu tkwiła przydeptana grudka gliny. A jednak ktoś wszedł do mieszkania i to nie kilka dni temu, ale może wczoraj albo pod osłoną nocy. Wyprostował się i jeszcze raz przeszedł wzrokiem po dywanie, lecz niczego nie znalazł. Teraz jego pytające spojrzenie sięgało zegara uczeplonego ściany. Miniaturowa kamera seiko miała obiektyw wycelowany w środek łóżka. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy był tu pierwszy raz, tylko na półce nie było ani płyt kompaktowych, ani notesiku oprawionego w skórę. I żadnego śladu włamania. Tego, który dostał się do mieszkania, powinienem się obawiać, pomyślał.

Przed domem dozorca zmiatał jesienne liście z chodnika. Brumel spytał go, kto wchodził do mieszkania na pierwszym piętrze.

– Taż zaplombowane.

– Nikt tu się nie kręcił? Nie zatrzymywał się żaden samochód?

Dozorca pokręcił głową przecząco.

– Może ktoś pytał o pannę...? – Komisarz przeciął ręką powietrze. Miał dość gimnastyki słownej. – Na pewno nikogo obcego pan nie widział?

– Taż... jak Boga kocham – dozorca przycisnął dłoń do piersi, ale zaraz spuścił wzrok na chodnik. – Nikoguško.

Komisarz zauważył zmianę w jego głosie.

– Pan kłamie – powiedział i odszedł przekonany, że jednak coś się wydarzyło.

W kawiarence Czytelnika, do której ostatnio rzadko zaglądał, zamówił tylko herbatę i rozważał, kto go uprzedził. Płyty musiał wykraść ktoś bardzo zainteresowany tym, co zawierały, ale kto? Na papierowej serwetce starał się odtworzyć nazwiska wpisane do notesu Iwetty. Był przekonany, że żaden spośród trzydziestu jeden mężczyzn, których stanowiska, tytuły czy godności zapamiętał, w ciągu ostatnich dni i nocy nie wszedł do mieszkania denatki. Ten, kto otworzył drzwi, nie naruszając plomby, nie mógł być amatorem ani przypadkowym rabusem. Dziś sprawa wydawała mu się bardziej zagmatwana niż wczoraj, kiedy rozmawiał z Syskim w Zielonejgórze. Czy w tej sytuacji powinienem napisać wniosek o umorzenie śledztwa? Może się wstrzymać albo rozpocząć dochodzenie w gabinetach ministerialnych? Ale który polityk zechce rozmawiać bez nakazu prokuratora? A czy po śmierci Kotkowiaka znajdzie się choć jeden prokurator, który podpisze taki nakaz?

Warszawa, ul. Wiejska, 8 października, wczesne popołudnie

– Ty tutaj?! – Gonwicki zauważył Brumela i po chwili sunąc z uniesionymi rękami ku jego stolikowi wołał: – Ludzie, świat się przewraca! Gliniarz czyta książki!

– Zawsze stróże porządku byli pierwszymi i najwierniejszymi czytelnikami twoich wierszy – odgryzł się Brumel.

– Nie, mój drogi. Pierwszymi byli cenzorzy – z nutą zadowolenia dodał poeta.

Poznali się kilkanaście lat temu w Zakopanem. Komisarz zapamiętał, że miało to miejsce w Lipowym Dworze, gdzie zajmowali sąsiednie pokoje. Popołudniowe klekotanie maszyny do pisania za ścianą denerwowało Brumela, więc mimo przekropnej jesieni zaraz po śniadaniu wychodził na dwór i wracał dopiero w porze obiadu. Żona Brumela wiedziała, kim jest Gonwicki i pewnie dlatego udawała, że niczego nie słyszy. Któregoś popołudnia przemoknięty wrócił do pensjonatu, gdy na korytarzu zdejmował kurtkę, Gonwicki ochrypniętym głosem spytał, dlaczego chodzi po deszczu. Odparł wściekle, że gdyby niektórzy goście Lipowego Dworu przestrzegali zwyczajów, nie musiałyby moknąć. Poeta pewnie nie zrozumiał, co Brumel miał na myśli, ale nie poprosił o wyjaśnienie. Przy kolacji podszedł do niego i powiedział, że od kilku dni kreślił, pisał i nie umiał wybrnąć z labiryntu, w którym znalazł się razem z bohaterami swojego poematu. Wtedy na korytarzu, dostrzegając Brumela, znalazł wyjście.

Na powitanie pisarz wyciągnął rękę do komisarza. Brumel ją uściśnął i natychmiast odsunął krzesło, ale Gonwicki nie usiadł przy jego stoliku, lecz poszukującymi oczami rozglądał się po sali.

– Czy już masz mordercę? – spytał konfidencjonalnie poeta.

– Mordercę? Czyjego? – Brumel udał, że nie wie, o co pyta Gonwicki.

– Tej słodziutkiej Iwetki. Kurewki na usługach partii Bloka. Kretyna, którego duch w za krótkich gaciach krąży po pałacu prezydenckim.

– Nie zajmuję się tą sprawą – skłamał komisarz i zaraz tego pożałował. Skoro Gonwicki także wie o uduszeniu Iwetki, to może byłoby lepiej, gdybym pociągnął go za język, pomyślał. Ileż razy w ten prosty sposób policjanci uzupełniali swoje wiadomości o przestępcach!

– Polityka jest obrzydliwa. Sztuka, stary, wyłącznie czysta sztuka wzbogaca człowieka. – Poeta pochylił się nad jego ramieniem. – Mam zamiar na koniec napisać powieść z wątkiem kryminalnym. Szukam tematu.

– Nie nadaję się na bohatera.

– Zdradzisz mi kilka szczegółów z intymnego życia Iwetki. Zapewniam cię, stary, że nikomu nie ujawnię źródła. Przecież mnie znasz i wiesz, że kto jak kto, ale ja potrafię wsadzić mordę w kubek. – Gonwicki ściągnął brwi, wydał usta, przybierając tajemniczy wyraz twarzy. – Teraz takie czasy, stary, że trzeba pisać troszkę pod publiczkę. Mam wydawcę. Będą tłumaczenia na języki obce. Ja zarobię i tobie coś skapnie.

– Nie zajmuję się tą sprawą.

– Bez picu, komisarzu. Nie znam się na prowadzeniu śledztwa, ale mam uszy i kumów w policji – mrugnął porozumiewawczo. – Co mówi Reykowski? Przyznaje się, że tego ją wyruchał tej nocy, a później...? – Poeta zacisnął palce na swojej szyi, przechylił głowę na bok, stulił oczy, wysunął język i zacharczał jak konający.

Brumel mógł powiedzieć, że chce spokojnie dotrwać do końca roku. W przeciwieństwie do młodych, którzy tylko czekają, kiedy będą mogli przejść na emeryturę policyjną, on postanowił dotrwać do urzędowego wieku. Na złość tym, którzy go zdegradowali do stopnia komisarza i tym, którzy podczas weryfikacji z niego kpili.

– Na razie nic z tego, mistrzu. Za trzy miesiące, jak będę zasłużonym emerytem, zapraszam na rozmowę.

Do kawiarni weszła zgrabna dziewczyna, włosy miała rozsypane na ramiona, spódniczkę do połowy ud, a nogi stawiała jak modelka na pokazie mody w Mariotcie. Gonwicki wyprostował się, objął ją wzrokiem i nim Brumel zdążył otworzyć usta, poety już nie było przy jego stoliku.

Szybkimi krokami sunął ku niej z rozciągniętymi rękami, wołając:

– Ludzie, świat się przewraca! Kurwa też czyta książki!

Warszawa, park Ujazdowski, 8 października, późne popołudnie

Zastanawiał się, kto powiedział Gonwickiemu, że on prowadzi dochodzenie. Jeśli poeta wie aż tyle, to dziennikarze muszą wiedzieć jeszcze więcej, a politycy znają najdrobniejsze szczegóły. Z nikim na ten temat nie rozmawiał, nawet nie przyznał się żonie, po co był w Zielonejgórze. Zresztą żona nigdy go nie spytała, czym się zajmuje. Rozumiała, że świat jej męża jest zamknięty dla ludzi z zewnątrz.

Słońce przeciskało się między gmaszyskami obstępującymi plac Trzech Krzyży, było bardzo ciepło jak na początek października. Po deszczowym i chłodnym lecie zawsze jest długa i ciepła jesień. Gdy na przystanku zatrzymał się autobus pośpieszny, nie wsiadł do niego, bo nie miał biletu, a kiosk przed instytutem dla głuchoniemych był zamknięty. Zdecydował, że wróci na plac Bankowy, idąc będzie miał pół godziny na przeanalizowanie, kto w komendzie nie potrafi utrzymać języka za zębami.

Z wszystkich pór roku najbardziej lubił jesień, a szczególnie szelest miedzianych liści pod butami. Kiedy córka była mała, w niedzielę jeździł z nią do lasu i razem zbierali mieniące się wszystkimi barwami tęczy liście, które suszyli między w starymi gazetami. Pomyślał, że jako emeryt też będzie chodził do parku i zbierał kolorowe liście. A jeśli córka pozwoli mi od czasu do czasu zajmować się wnuczkiem, wtedy zawsze...

– Komisarz Brumel?

Nim zdążył oderwać oczy od ziemi, dwie pary rąk chwyciły go za ramiona. Czuł, że za chwilę wydarzy się coś, czego nigdy nie doświadczył, a o czym jedynie słyszał i czytał.

– Tylko bez krzyku, pierdzielu.

Te dwie pary gwałtownych rąk przydużyły jego dłonie do pośladków i związały je rzemieniem tak mocno, że aż zaszkowyczał z bólu. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, co w takiej sytuacji należy mówić. Tłumaczyć, prosić o litość czy zasłaniać się chorobą?

– Dawaj gnoja!

Na skraju parku między klonami Brumel dostrzegł granatową lancę, za kierownicą siedział mężczyzna, którego już gdzieś widział. Zrozumiał, że nie ma najmniejszej szansy, posłusznie więc wsunął się do samochodu i czekał, co się będzie działo. Pewnie mnie nie ukatrupią? przeleciało mu przez myśl. Kątem oka zerknął na faceta z krótką brodą po prawej stronie.

– Powiedzcie, panowie – zaczął potulnie, ale ten, który siedział za kierownicą przerwał mu głosem zdecydowanym:

– Zamknij japę. – Mężczyźnie z brodą rozkazał: – Utul go, bo sam nie zamknie pyska.

Jeszcze przez chwileczkę Brumel widział drzewa, gdy opary eteru wkręciły mu się do nosa, bezbronny zapadał się do studni, a liście coraz bardziej przeźroczyste unosiły się nad jego rozwichrzoną czupryną.

Jachranka, os. Pod Lasem, 9 października, ranek

Wreszcie Syski zgodził się, aby Sateck towarzyszył mu w wypadzie po Lizaka. Nadkomisarz nigdy nie był w Jachrance, Sateck również nie znał okolic prawobrzeżnej Warszawy, ale zapamiętał ośrodek statystyków, w którym centralne urzędy często organizowały konferencje dla dziennikarzy. Co godzinę zmieniali się za kierownicą škody, bo całą noc wiatr zacinął deszczem w szyby, a rano było mgliście i chłodno. Jeszcze przed Legionowem zdecydowali, że nie będą prosili o pomoc policjantów z komisariatu, lecz sami poszukają

budowy. Gdy wjechali do Jachranki, po obu stronach drogi mieli kilka ogrodzonych placów, na których stały rusztowania i przyzmy cegieł. Zrozumieli, że bez pomocy kogokolwiek spośród mieszkańców przedmieścia nie trafią do Lizaka.

Weszli do sklepu, gdzie Sateck spytał o willę byłego premiera.

– Gdyby taki tu mieszkał, by się wiedziało – odparł mężczyzna w skórzanej kurtce, robiąc wielkie oczy. – Na pewno ma dom w Jachrance?

– A o jakiego premiera chodzi? – zaciekała się właścicielka sklepu. – Lichaja?

– Coś ty! Lichaj był za ministra.

– Może o tego, co go zabili w samochodzie?

Mężczyzna w kurtce puknął się w czoło.

– Rzeczywiście powstał problem. W ciągu ostatnich lat mieliśmy kilkunastu premierów – śmiejąc się, potwierdził Sateck.

– Aż kilkunastu? – z niedowierzaniem spytał mężczyzna w kurtce. Próbował ich policzyć, załamując palce: – Mazowiecki, Pawlak, Olszewski, Suchocka... Bielecki, Oleksy, Cimoszewicz, Buzek... Miller... Kaczor. Jeszcze ten, no...

– Nas interesuje dom Sadowskiego – przerwał mu Sateck. Kobieta zrobiła pytającą minę.

– Był taki premier?

– Ten, który zemdlał w Strasburgu.

– Zgadza się. On tu, mówią, czasem przyjeżdża na budowę.

– Ogorzała twarz mężczyzny w skórzanej kurtce się rozpromieniła. – Panowie z gazety? Można wiedzieć, z jakiej?

– Z policji – odezwał się zimnym głosem Syski.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy na nadkomisarza.

– Tam – podszedł do okna i pokazał drogę przebijającą ścianę lasu sosnowego – jest asfaltówka. Nowusieńka. Trzeba nią jechać do samiusieńkiego końca. Na polanie będzie

osiedle. Który dom Sadowskiego, jak Boga kocham, nie wiem. A ty? – zwrócił się do właścicielki sklepu.

Kobieta wydeła usta, przekrzywiła głowę, a po chwili namysłu tylko wzruszyła ramionami.

To nie były zwyczajne domki, jakich wiele widzieli wzdłuż drogi. To pałacyki! Po obu stronach asfaltówki stały najnowsze modele volkswagenów, fordów, mercedesów, lancii, toyot, peugeotów, saabów. Płoty obiegające pałacyki w niczym nie przypominały Syskiemu ogrodzeń drucianych czy drewnianych, były wymyślone przez artystów i wykute przez mistrzów. Za nimi trzęsły się na wietrze tuje, jodły, sosny, świerki, cisy, modrzewie, cyprisy. Na wystrzyżonych dywanikach trawy sterczały grzybki lamp, taczki załadowane kruszywem i gipsowe krasnale. W oknach nie było firanek, tylko żaluzje albo witraże. I żywego ducha, jakby te pałacyki zostały postawione wyłącznie po to, aby przekonać świat do talentu polskich majstrów. W milczeniu jechali wzdłuż żywopłotów, sycąc wzrok cudenkami nowoczesnej architektury. Gdyby nawet Syski zatrzymał skodę na poboczu, a Sateck nacisnął klawisz pierwszego z brzegu domofonu, nikt nie wyszedłby z pałacyku. W każdą furtkę była wycelowana kamera.

– Gdzieś tu musi stać chata Sadowskiego – powiedział Syski, zdając sobie sprawę z tego, że jednak bez czyjejkolwiek pomocy nie trafi do celu. Ale kogo spytać, jeśli osiedle wygląda jak bezludna wyspa na Morzu Ochockim?

Z bocznej uliczki wytoczył się peugeot.

– Lichaj! – krzyknął Sateck, szybko odpiął pas bezpieczeństwa i się pochylił.

Syski przyhamował, ale nie zatrzymał szkody.

– Zapamiętaj numer rejestracyjny: WX B7388. Peugeot koloru śliwkowego. Metalik – dodał.

Sateck wyprostował się, teraz i on widział coraz mniejszego peugeota na płycie bocznego lusterka.

– Tym samym samochodem Lichaj przyjechał na pogrzeb Cyganika – zbędnie przypomniał Syskiemu.

Asfaltówka nagle się urwała, na wyboistej drodze leżały worki po cemencie, skruszone cegły, połamane deski. Policjant starał się tak obracać kierownicą, aby koła samochodu omijały kałuże i koleiny wypełnione błotem.

– Tam są ludzie. – Sateck wypatrzył mężczyzn wspinających się po rusztowaniu na dach. – Spytałem ich o Sadowskiego.

– A jeśli to właśnie jest jego dom? I na drabinie siedzi Lizak?

– Coś wymyślę na poczekaniu.

Robotnicy nie wiedzieli, który dom należy do byłego premiera. Słyszeli, że mieszkańcami osiedla na polanie są ministrowie, przemysłowcy, korespondenci zagraniczni, szefowie przedstawicielstw dyplomatycznych. Na przykład w willi po przeciwnej stronie drogi mieszka minister sprawiedliwości, obok niego były szef Kancelarii Prezydenta, a za skrzyżowaniem jest rezydencja jakiegoś dyrektora, który codziennie każe sobie przywozić kolację z restauracji hotelu Bristol.

– Twierdzą, że facet ze spłaszczonym nosem pracuje na końcu uliczki – powiedział Sateck po powrocie do samochodu. – Pewnie Lizak, bo nikt więcej podobny do boksera nie wałęsa się wieczorem po osiedlu.

Policjant przekręcił kluczyk w stacyjce, škoda wolno ruszyła, odprowadzana wzrokiem robotników, którzy z wysokości rusztowania najlepiej widzieli, co się dzieje na polanie.

– Teraz moja kolej. Zatrzymam auto na skraju lasu i przejdę się powąchać, czym pachnie budowa. Ty czekaj w środku. Gdybym długo nie wracał, powiedzmy, pół godziny, pędź do komendy stołecznej i daj znać komisarzowi Brumelowi. On będzie wiedział, co robić. Czasem nie próbuj iść mi na odsiecz – ostrzegł Satecka.

Jachranka, os. Pod Lasem, 9 października, rano

Syski pomyślał, że jeśli dostanie się na podwórko nie przez furtkę, a od strony lasu, nikt go nie zauważy. Za pałacikiem stał na warcie wysoki płot, może jeszcze wyższy niż parkan wzdłuż drogi. Przykucnął za krzakiem dzikiego bzu i nasłuchiwał. Wiatr ustał, ale deszcz ciągle siąpił. W pałacyku zalegała cisza, jakby nikogo nie było za drzwiami. Policjant zerknął na zegarek: dochodziła ósma. Pewnie jeszcze śpią? A ilu ich tam jest? Z jednym bokserem poradzę sobie, ale jeśli będzie dwóch albo i więcej mężczyzn, silnych, bezwzględnych, może jeszcze na rauszu, przegram, rozważa.

Przy pomocy drąga wspiał się na płot, zeskoczył w zeschnięte zarośla i ukrył się za kopczykiem żwiru, na którym stał szaflik po zaprawie murarskiej. Odczekał chwilę, bo wydawało mu się, że ktoś wyszedł na ganek. Skierował wzrok w stronę škody, widział Daniela śledzącego jego skradanie się i czuł, że go zachęca do tego, aby odważnie wdarł się do pałacyku. Pochylony przebiegł przez podwórze, przykucnął pod oknem i znowu nasłuchiwał. Nie słyszał żadnych głosów, tylko deszcz mżył nieprzyjemnie i z dachu kapła woda na blachę. Przez lekko uchylone okienko zajrzał do piwnicy. W ciemności niczego nie widział. Oparty o ścianę zastanawiał się, czy otworzyć cicho drzwi i jak kot wśliznąć się do pałacyku, czy też nacisnąć klamkę mocno i krzyknąć: policja!

Drzwi nie były zamknięte na klucz, nawet nie zaskrzypiały, gdy za sobą je zamykał. Na chwilę oparł się plecami o futrynę i wstrzymał powietrze w płucach, słyszał głos spikera radiowego, ale nic więcej, jakby w domu nikogo nie było, a ten, który wyszedł ostatni, zapomniał wyłączyć radio. Zrobił sześć drobnych kroków i gdy stanął w progu, coś ciężkiego spadło na jego kark. Nie zdążył się odwrócić, żeby sprawdzić, co to było.

– Mamy gościa – usłyszał za sobą.

– Dawaj go tu!

Syski nie bronił się, bo i nie miał żadnej szansy. Popchnięty, wpadł do kuchni, z której było widać kopczyk żwiru, za nim wysoki płot, krzak dzikiego bzu i las. Trzech mężczyzn w powalanych wapnem spodniach i koszulach siedziało na ławce zbitej z nieheblowanych desek, każdy dzierżył po butelce piwa w dłoni. Czwarty leżał na macie słomianej, czoło miał podrapane, nos gruby i spłaszczony, pod nim wyraziste, spękane wargi. Mocno zarysowana szczeka mogła świadczyć o jego twardym charakterze. Bokser, Lizak, przeleciało Syskiemu przez myśl.

– Czego dusza potrzebuje? – spytał bokser jakby bez zainteresowania. Usiadł na macie, podkurczając nogi.

Przez chwilę policjant zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę. Gdyby bokser był sam, miałbym jakąś szansę. Nie uwierzą, że jestem z zakładu elektrycznego albo z nadzoru budowlanego. To może roześmiać się i palnąć jakieś niewinne głupstwo?

– Robie obok, gdzie rusztowanie – powiedział ze śpiewnym akcentem i dodał: – O, jutro kończu stroić kominek. Pomyślał ja, nie, co może... najdzie sie jaka robota... A czyj to dom, ha?

Bokser najpierw zmierzył go lekceważącym wzrokiem, a później roześmiał się w głos:

– Nie picuj, glancuś, z wieży kościelnej.

– *Jej Bohu...* – Syski zacisnął prawą dłoń i uderzył się kułakiem w mostek, aż zadudniło. – Chłopaki, będzie dla mnie jaka fucha? Nie, to se ide.

– Jeszcze nikt ci nie powiedział, że tu nie stawia się kominków?

Tego Syski nie wiedział. Był przekonany, że w pałacykach zawsze są kominki, barki, sauny, garaże z wrotami na fotokomórki, kamery.

– Nie będzie dla mnie roboty, to mocno przepraszam, jak to się mówi, i se ide. W moim fachu nie jest tak źle, no czas to pieniondz – powiedział przekonany, że nawet przy pomocy Daniela nikogo nie zatrzyma. Ale przynajmniej wie, gdzie szukać Lizaka. Obrócił się do wyjścia.

– *Kudy?* – Ten, który stał w sieni, wepchnął go do kuchni.
– Kabel, bez dwóch zdań. Ja bym go... – urwał i pociągnął palcem po swojej szyi.

Bokser podniósł się, ręce po łokcie utopił w kieszeniach spodni i stał na szeroko rozstawionych nogach, nic nie mówiąc. Żaden mięsień na twarzy Syskiego nie zadrżał. Mam dwa wyjścia: przyznać się, po co przyjechałem, a wtedy może być ze mną tak, jak pokazał ten półgłówek, albo dalej udawać zduna zza Buga.

– Nu, jakżesz wam udowodnić, co stroju ja kominki, ha? Będzie robota? Nie, to se ide szukać – i zaczął się wycofywać.

– Wolnego, koleś. – Lizak zastawił sobą drzwi. Do mężczyzny siedzącego na skraju ławki rzucił: – Zobacz jego kieszenie.

Nadkomisarz nie miał przy sobie niczego, co by go mogło zdekonspirować. Spokojnie unióśł ręce, dłonie splótł na głowie pozwalając, aby rewizor zaglądał do wszystkich kieszeni.

– Święty.

– A na zduna od kominków to ty nie wyglądasz, brachu.

– Dać mu kopa w dupę i po ptakach – proponował ten, który przetrząsał kieszenie Syskiego.

– A ty...? – Bokser zwrócił się do gogusia w koszuli rozdartej na ramieniu. Dostrzegłszy zakłopotanie w jego oczach, powiedział: – Obejrzyj jego łapki. Zdun, gada. Ty też robisz z cegłami. Jak nie masz kaca. – Roześmiał się ironicznie.

– Ubol.

Jeśli któryś wyjdzie na ganek i zobaczy auto, w nim Daniela, na pewno nie przekonam boksera, że jestem zdunem. Jeszcze mam jakąś szansę, myślał policjant. Może Daniel odjechał?

– Nu, co zrobić, chłopaki, żeb wy mnie uwierzyli? Muruje kominki i z tego żyje. Jest robota, to dobrze. Nie ma, nu, *tożę charaszo*. Gdzie indziej najdzie sie zlecenie.

– Zamknij mordusie – powiedział Lizak. Mężczyźnie, który kiwał się na skraju ławki, kazał wziąć jedną z tych linek, które leżały w kącie. – Zwiąż go. Tylko jak chłop. Wróci Jacek, to powie, co dalej i...

– Ja bym go... – przerwał mu ten w rozdartej na ramieniu koszuli.

– Tyś, patafon, nie od myślenia. – Lizak obejrzał węzły na rękach nadkomisarza. – Na dół z nim!

Warszawa, ul. Nowolipie, 9 października, wczesne przedpołudnie

Sateck jeszcze raz sprawdził zegarek. Waruje w szkodzie ponad pół godziny, diabli go biorą, a Syski nie wraca. Wejść do pałacyku i o cokolwiek spytać, na przykład o to, czy ktoś ma do sprzedania nowe volvo albo gdzie mieszka Sadowski. Może policjant potrzebuje jego pomocy? Ale zaraz przypomniał sobie, że nadkomisarz zabronił mu wysiadania z samochodu. Jeśli nie wróci w ciągu pół godziny, Sateck ma natychmiast pędzić do komendy stołecznej. Zapуścił więc silnik, nie zapiąwszy pasów bezpieczeństwa ruszył powoli skrajem drogi. Wydawało mu się, że ktoś barczysty stoi za oknem w pałacyku i obserwuje polanę. Może jednak tu czekać? Przecież Syski nie jest gminnym posterunkowym i tak łatwo nie da się przyskrzynić. Nacisnął na pedał hamulca, ale koła škody ugrzęzły w błocie. Jednak pójdę tam, popytam, zdecydował i otworzył drzwi auta. Nie mogę tego zrobić, powiedział w myślach i się cofnął. Bo jeżeli w domu jest kilku

facetów, na nic się zda moja odsiecz. I nawet nikt nie będzie wiedział, gdzie nas szukać.

Jak piorunem trafić do komendy stołecznej? Gdyby orientował się w Warszawie, tak jak zna każdy zakamarek Zielonejgóry, wybrałby najkrótszą drogę albo zatrzymał się przed najbliższym komisariatem policji i przez telefon porozumiał się z Brumelem. Sateck wiedział, gdzie w centrum stolicy są państwowe urzędy, redakcje ważniejszych gazet, restauracje i hotele. Rozumiał również tyle, że musi przedostać się na drugi brzeg Wisły, dojechać do Marszałkowskiej, na rondzie skręcić w prawo. Gdzieś w okolicy placu Bankowego powinien spytać o dawny pałac Mostowskich.

Nawet się nie spodziewał, że tak szybko trafi do gmaszyska stołecznej policji przy ulicy Nowolipie. Dyżurny, gdy Sateck zapytał o Brumela, kazał mu usiąść na ławce i czekać. Trwało to długo, bo starszy posterunkowy kilka razy wystukiwał numer telefonu komisarza, lecz nikt nie podnosił słuchawki.

– Pewnie jeszcze go nie ma – rzekł, rozkładając ręce policjant. – Niech pan przyjdzie za godzinkę.

– Czy wchodził do budynku?

Dyżurny przyznał się, że nie wie, jak wygląda Brumel. Zna komendanta i jego obu zastępców, naczelników wydziałów, kolegów, ale tych wszystkich komisarzy, którzy paradują w cywilnych ciuchach, nawet nie próbuje zapamiętać. Sateck zapalił papierosa i czekał cierpliwie. Co chwilę ktoś podchodził do dyżurnego policjanta, prosił go o pomoc, płakał, domagał się widzenia z komendantem. W ciągu piętnastu minut Sateck naliczył osiem osób, które zostały okradzione, zgwałcone, pobite, postraszone.

– Proszę pana, dłużej nie mogę czekać. Natychmiast muszę się wiedzieć z komisarzem Brumelem – powiedział do starszego posterunkowego, gdy na moment

przed dyżurką zrobiło się luźniej. Pokazał mu legitymację dziennikarską. – Sprawa dotyczy pańskiego kolegi, również policjanta.

– Niech się pan skontaktuje z szefem związkowców.

– Po co mi związkowiec? Chodzi o życie policjanta! – podniósł głos. – Zaraz niech pan mnie połączy z bezpośrednim przełożonym Brumela.

Starszy posterunkowy zawahał się, ale po namyśle podniósł słuchawkę telefonu i powiedział:

– Jest tu gość, twierdzi, że ma pilną sprawę do komisarza Brumela, a ja nie wiem... Mówi, że skoro nie można z komisarzem, to z panem musi rozmawiać. – Natychmiast odłożył słuchawkę na widełki i wytłumaczył Sateckowi, jak dojść do sekretariatu wydziału.

Na pierwszym piętrze w końcu mrocznego korytarza był pokój naczelnika i Sateck trafił tam bez pytania. Gdy wszedł do kancelarii i się przedstawił, sekretarka milcząco wskazała mu drzwi obite wytartą skórą.

– Podinspektor Socha – przedstawił się policjant. – Jestem przełożonym komisarza Brumela. Pan z Zielonejgóry?

Sateck od razu przystąpił do rzeczy.

– Kto upoważnił was do wchodzenia na teren warszawski, bez naszej wiedzy i zgody? – naskoczył na niego naczelnik.

– Bawicie się w podchody jak skauci na biwaku? Partyzantka? Panu mogę wybaczyć, dziennikarze zawsze byli, są i będą narwani, ale nie jemu...

– Dobrze, dobrze, po wszystkim może pan złożyć skargę nawet bezpośrednio w gabinecie ministra – przerwał mu Sateck.

Socha już innym głosem powiedział jakby tylko do siebie:

– Jasna cholera, gdzie jest ten Brumel? Od dwóch dni nie przychodzi do roboty. Baluje albo znowu wdepnął w jakieś gówno i nie umie z niego wyleźć? Gdyby nie był moim...

Sateck powtórnie przerwał naczelnikowi, naprędce opowiedział, jak było na śródleśnej polanie w Jachrance i dodał, ale zdecydowanie, że Syski jest policjantem kutym na cztery nogi i bez powodu nie nastawia głowy. A sprawa, jak się domyśla, jest i kryminalna, i polityczna, i międzynarodowa, i obyczajowa, i tylko sam Pan Bóg wie, jaka jeszcze. Przypuszczalnie sięga ludzi wyniesionych na najwyższe szczeble drabiny władz.

– Kurwa! Coście...? Wchodzimy do akcji – rzucił podinspektor. Przycisnął klawisz interkomu. – Szóstka, wyjazd!

Jachranka, os. Pod Lasem, 9 października, wczesne przedpołudnie

Syski wierzył, że długo nie będzie leżał w niewygodnej pozycji na posadzce. Na pewno Daniel podejmie właściwą decyzję. Zresztą wyklarował mu, jak ma się zachować, jeśli on nie wyjdzie z pałacyku w ciągu pół godziny. Tylko czy Daniel zastanie Brumela w komendzie stołecznej i czy komisarz da wiarę jego słowom? Przecież go nie zna. Najwyżej zatelefonuje do Zielonejgóry i sprawdzi. Jednak powinienem dać znać Brumelowi, że wchodzę na jego teren, zrozumiał w poniewczasie.

Z parteru dochodziły go głosy facetów oszołomionych piwem, którzy śpiewali i śmiali się, ale nie z niego. Dlaczego nie pracują? Przecież mają tyle roboty. Może oni nie zostali wynajęci do budowy domu? Ukryli się. A przed kim?

Stracił poczucie czasu. Gdyby nie miał rąk i nóg skrępowanych linką ze sztucznej włókniny, starałby się wymknąć z uwięzienia. Leży na prawym boku jak worek zawilgoczonego zboża i jedyne co może, to przewalić się na lewy bok, lecz to także wymaga niemałego starania. Naprężył mięśnie karku, najpierw położył się na plecach, wyczuwając pod sobą kilka ostrych, wbijających się w skórę kamyków, potem zrobił jeszcze jeden zamach i padł ciężko na drugi bok. Zdawał

sobie sprawę, że czymś powinien przeciąć linkę krępującą ręce. W półmroku widział tylko rozwarte okienko, przez które wślizgiwał się snopek światła. Był pewny, że obok niego leżą kawałeczki szkła albo resztki żwiru. Gdyby uwolnił nogi z pęta, mógłby dreptać po posadzce i szukać czegoś ostrego. Nagle wstrzymał oddech, bo wydawało mu się, że słyszy warkot samochodu wymijającego błotniste doły obok pałacyku. Głowę odwrócił w stronę okienka, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nie mogła to być škoda ani osobowy volkswagen. Czyżby Brumel ze swoimi chłopakami? A może Lichaj przyjechał na budowę i zaraz zejdzie z bokserem do piwnicy? Odczekał kilka minut, nie słysząc żadnego warkotu ani kroków, postanowił wyswobodzić ręce z węzła, były jednak zbyt mocno skrępowane, a linka, gdy go naprężał, wpijała się w skórę na przegubach dłoni, ale Syski nie rezygnował. Jeżeli sam się nie uwolni, to jedyną jego nadzieją pozostaje Daniel. Ile to już minęło godzin? Nie mógł spojrzeć na zegarek, a deszczowa pogoda sprawiała, że wszystkie pory dnia były do siebie podobne.

Odpychając się naprzemian nogami i barkiem niby ślimak przesunął się pod okienko, gdzie było jaśniej. Miał nadzieję, że z tamtego miejsca dojrzy coś ostrego na posadzce i przecnie węzły. Ku jego radości piła tarczowa stała oparta o ścianę. Nie zważając na to, że piła może się zsunąć na posadzkę i narobić hałasu, podniósł nogi, wziął ją między kolana, z niemałym wysiłkiem uniósł głowę i ramiona, a linką, którą miał związane ręce, tak długo pocierał, aż poczuł, że włókna zaczynają pękać. Zziajany, mokry od potu już na nic nie zważał, tylko zahaczał linką o zęby piły i szarpał. Trwało to może z pół godziny, zanim zdołał uwolnić ręce z pęta. Z wyswobodzeniem nóg nie miał trudności.

Teraz zostało mu już tylko jedno: przez okienko bezszelestnie wysunąć się na podwórko. Dwa rozłupane pustaki oparł

o ścianę i na nich stanął, ale okienko było za wąskie, żeby szeroki w ramionach mężczyzna przez nie się prześliznął. Próbował różnych sposobów. Nigdy nie udało mu się przepchać obu ramion równocześnie. Stanął na rękach jak gimnastyk, rozsypane po posadzce kamyczki piły go w dłonie, nie zważał na tę niewygodę, tylko opierał nogi o ścianę i powoli przesuwał je ku okienku. Gdy stopy już miał na parapecie, najpierw lewą, później prawą ręką oparł się o pustaki, a nogami rozwartymi jak nożyce uczepił się framugi. Rozumiał, że musi zrobić jakiś jeden zdecydowany ruch, aby wydostać się z piwnicy. I wtedy przekonał się, że w takiej sytuacji ciało jest najmądrzejsze. To ono wskazało Syskiemu, jak ma postępować.

Gdy pokaleczony, spocony wywłókł się na podwórko, przykucnął pod ścianą i nasłuchiwał. Z pałacyku nadal dochodził go śpiew zapijaczonych mężczyzn. Podciągnął rękaw kurtki: jedenasta szesnaście. Dopiero? Ale zaraz się ucieszył, że był uwięziony tylko nieco ponad trzy godziny.

Daniel odjechał, stwierdził, nie mając mu tego za złe. Tak się przecież umówili.

Do pierwszych sosen było kilkanaście metrów, pochylony powinien je pokonać błyskawicznie, lecz przed tym skokiem musi troszkę odpocząć.

Jachranka, os. Pod Lasem, 9 października, zaraz południe

– Mogą być uzbrojeni – ostrzegł policjantów szef grupy szybkiego reagowania, kiedy dwadzieścia po jedenastej ich biały volkswagen transporter zatrzymał się na skraju polany. Kilkadzieciąt metrów za nimi pozostały dwa samochody osobowe ze znakami policyjnymi.

Sateck wskazał pałacyk, wytłumaczył, jak wygląda Syski i powiedział, że dostał się na podwórze przez płot od strony lasu. Czy w pałacyku przebywa kilka osób i czy jest wśród nich bokser, tego nie wiedział.

– Jestem pewien, że Lichaj jeszcze nie wrócił. Kiedyśmy tu wjeżdżali prawie cztery godziny temu, Lichaj odjeżdżał śliwkowym peugeotem WXB7388 – przypomniał sobie.

Na razie ta informacja nie miała żadnego znaczenia, mimo to szef grupy powtórzył ją naczelnikowi wydziału.

– Kiedy pan czekał na nadkomisarza w skodzie, czy nikt nie wychodził z domu? Nie otwierał okna?

Sateck ściągnął brwi, po chwili zastanowienia skinął głową, co miało oznaczać, że rozumie sens pytań policjanta.

– W parę minut po tym, jak nadkomisarz dostał się do środka, drzwi się otworzyły. Widziałem dżentelmena w kracastej koszuli, cajgowych portkach i gumiakach. Chyba mnie nie zauważył? Później, gdy odjeżdżałem škodą do komendy, wydawało mi się, że ktoś stoi za oknem i obserwuje drogę.

– Czy dżentelmen w kracastej koszuli był wysoki, tęgi?

Na to pytanie Sateck nie umiał odpowiedzieć.

– Wariant szósty z modyfikacją. Są pytania? – szef grupy zwrócił się do policjantów. Nikt się nie odezwał. – Wykonać!

– Nie interesuje pana, jak wygląda nadkomisarz Syski?

– Syski?... A, ten prowincjonalny pałkarz? – roześmiał się szef chyba po raz pierwszy. – Lichota na glinianych nogach.

Sateck przemilczał jego uwagę. Z portfela wyjął kolorową fotografię i podał policjantowi.

– Przyjaciele – szef grupy pokazał fotografię policjantom – z tym bohaterem obchodźcie się ostrożniej niż z jajeczkiem wielkanocnym.

Jachranka, os. Pod Lasem, 9 października, południe

Robotnicy tyrający na budowie sąsiedniej willi nawet nie zauważyli, jak czterej mężczyźni w czarnych kombinezonach i kominiarkach przeskoczyli przez płot od strony lasu. A oni, na przygiętych nogach, pochyleni do ziemi jakby dźwigali na

swoich grzbietach Bóg wie ile kilogramów, bezgłośnie obiegli pałacyk. I dopiero gdy znaleźli się przed gankiem, przylgnęli do ściany. Dwaj pozostający w tyle wydostali pistolety z kabur, a dwaj inni natarli na drzwi z taką siłą, że w ułamku sekundy wyłamali je razem z zawiasami.

– Policja! Nie ruszać się! – krzyknął na chybił-trafił szef grupy.

Mężczyźni, siedzący na ławie i podłodze w kuchni nawet nie opuścili rąk, w których trzymali butelki z piwem. Może po trzydziestu sekundach cała piątka już stała przy ścianie z rękami skrępowanymi plastikowymi kajdankami. Byli tak zaskoczeni tym, co się stało, że żaden nie próbował protestować.

– Lizak, który to? – Szef grupy uniósł pytająco brwi.

Ani jeden szczegół w wyrazie twarzy boksera nie ukrywał jego wewnętrznego zaniepokojenia. Bez słowa zniósł powolne spojrzenie policjanta.

– Lizak? – jeszcze raz spytał szef, podchodząc do boksera.

– Ja, a bo co?

– Gdzie więzień?

Bokser uśmiechnął się krzywo, jakby nie zrozumiał. Szef wyjaśnił, kim jest Syski i wolno powtórzył pytanie, mimo to bokser nabrał wody w usta, a wzrok przeniósł za okno. Nie spodziewany cios w żołądek wygiął go w kabłąk, aż zajęczał.

– Gdzie jest nadkomisarz?

– W piwnicy – wymamrotał bokser, krzywiąc się z bólu.

Dwaj policjanci zbiegli po schodach. Drzwi do piwnicy były zamknięte na kłódkę, zerwali ją przy pomocy łomiku. Stojąc w progu, oświetlali latarką pomieszczenie: obok piły widzieli rozcięte pęta, a pod rozwartym na oścież okienkiem dwa rozłupane pustaki. Zrozumieli, że Syski wydostał się z uwięzienia.

– Zrobił was w zająca, papudraki – powiedział szef grupy do aresztantów i pomyślał, że Syski wcale nie jest prowin-

cyjnym gliniarzem, skoro bez niczyjej pomocy prysnął z piwnicznej ciupy. Radionadajnik o mocy pięćdziesięciu miliwatów, jakim często bawią się harcerze, odpiął z pasa i zameldował do mikrofonu o zakończeniu akcji. – Kto was wynajął? – rzucił do kajdaniarzy zadowolony, że wszystko trwało najwyżej pięć minut. Żaden nie odpowiedział na jego pytanie. – Do kogo należy budowa?

– Nie wiem – odparł bokser, posyłając ostrzegawcze spojrzenie pozostałym kumplom.

– Ty też nie wiesz? – Szef grupy podszedł do faceta w rozdartej na ramieniu koszuli. – I ty nie wiesz? – Kolejno pytał wszystkich, ale żaden nie odpowiedział. – Idziemy – rzucił, przypinając radionadajnik do pasa.

– Boso? – Lizak pokazał oczyma na swoje gołe nogi.

– Jeszcze nie ma mrozu. Nie przeziębisz się – skwitował jego prośbę policjant.

Na drodze przed bramką stała biała furgonetka. Kierowca wcisnął klawisz na pulpicie sterowniczym i drzwi się rozsunęły. Powoli nadjeżdżały, omijając bajorka, dwa granatowe samochody osobowe ze znakami policyjnymi na bokach. Kiedy się zatrzymały za volkswagenem, z pierwszego wysiadł Syski, przyciskając dłonie do przemoczonego ubrania. Gdy bokser go zobaczył, stanął jak piorunem rażony.

– Możesz mnie dotknąć – odezwał się nadkomisarz. – Nie jestem duchem, Lizak. Czyżbym się mylił? Lizak, prawda? Były bokser wagi półciężkiej ciężkiej w Gwardii?

Bokser przesłał mu kpiący uśmiech.

Warszawa, ul. Nowolipie, 10 października, rano

Brumelowa, kobieta szczupła, o włosach posiwiałych naturalnie, mówiła ze spokojem, dobierając proste w znaczeniu słowa. Powiedziała, że jeśli mąż musiał nagle wyjechać do odległej miejscowości, co dawniej zdarzało się często,

a ostatnio sporadycznie, jej nie uprzedzał, po prostu jechał i dopiero stamtąd telefonował.

– Córka, pytana w szkole o miejsce pracy ojca, odpowiadała: w administracji. On nawet swoim rodzicom nie powiedział, czym się zajmuje. W domu o jego zajęciu nigdy nie rozmawialiśmy. Mąż po prostu pracował i przynosił pieniądze.

Zaraz po pracy w redakcji kryminałów wydawnictwa książkowego Brumelowa wracała do domu, sprzątała, gotowała, prała, prasowała. Jeszcze w Krakowie pogodziła się z tym, że nie o wszystkim, co dotyczy zajęcia mężczyzny, nawet bliska kobieta powinna wiedzieć. Ale jej instynkt funkcjonował genialnie. Nie zdarzyło się, aby tuż po powrocie męża do domu spytała go, gdzie był. Dopiero wieczorem zerknęła na jego twarz i wiedziała, czy jest zadowolony z siebie lub co go dręczy. Dziwiła się córce, która jeszcze jako osoba dorosła lubiła zadawać Brumelowi pytania dotyczące policji, a on wił się niby zaskroniec w akwariium, błądził oczyma po ścianach, coś odpowiadał, lecz tylko tyle, aby nie za dużo ujawnić.

– Nigdzie go nie posyłałem – przyznał się Socha, starając się niczego nie ukrywać przed Brumelową. – Po powrocie z Zielonejgóry nawet ze mną długo nie rozmawiał. Jak to on, w kilku zdaniach zdał mi relację i wyszedł z pokoju.

– Domyślałam się, że mąż poszukuje zabójcy sekretarki Ruchu Centrum.

– Co pani małżonek w tej sprawie mógł zrobić, już zrobił. W zasadzie śledztwo powinno zostać umorzone... Tylko dlatego, że za trzy miesiące mąż skończy służbę w policji i przejdzie na emeryturę, nie dostawał nowych zadań. Tym, o którym pani wspomniała, miał zakończyć swoją pracę.

– Nigdy nie przyszedłbym do pana, gdyby nie moje spostrzeżenie sprzed kilku dni. Jeszcze przed wyjazdem męża do Zielonejgóry, gdy przez park wracałam do domu, zawsze

spotykałam tego samego mężczyznę. Uważnie mi się przyglądał, powiedziałabym, że miało to charakter wręcz ostentacyjnego zainteresowania moją osobą.

– Uważa to pani za nienormalne? – Socha przesłał jej chytry uśmiech. – Przecież jest pani atrakcyjną kobietą.

– Po pierwsze, jestem babcią. Po drugie, on nie patrzył na mnie jak mężczyzna na interesującą go kobietę.

– Czy się odzywał?

– Podnosił głowę i uderzał mnie wzrokiem. W jego oczach było szyderstwo. Gdyby się odezwał, to pierwsze zdanie brzmiałoby mniej więcej tak: Mam nad tobą władzę, skrzywdzę cię, jeśli...

– Potrafi pani go opisać? – przerwał jej podinspektor nie rozumiejąc, co Brumelowa ma na myśli.

– Starałam się go ignorować, może więc nie wszystkie charakterystyczne cechy dostrzegłam. Na pewno miał krótką brodę. W młodości musiał uprawiać sport.

– Prawie każdy mężczyzna w czasach chłopięcych ganiał za piłką, pływał czy boksował. – Socha był przekonany, że Brumelowa zbędnie się niepokoi o męża. A czy jego żona, gdyby na noc nie wrócił do domu, szukałaby go u znajomych? O tak, zadzwoniłaby nawet do komendanta głównego. Uśmiechnął się pod nosem zadowolony. – Ja, na przykład, trenowałem kolarstwo, a pani mąż skakał wzwyż. Był mistrzem czy wice-mistrzem Polski w tej dyscyplinie.

– Lustrator z parku miał nos w charakterystyczny dla bokserów sposób spłaszczony. – Palcem wskazującym przycisnęła czubek swego nosa, chcąc tym odruchem jeszcze bardziej uzasadnić spostrzeżenie. – Może nie był bokserem, może kiedyś uległ wypadkowi.

– Ile razy pani go widziała?

– Codziennie przez ostatni tydzień. Zawsze spotykałam go o tej samej porze.

– Powiedziała pani, że miał krótką brodę, a jakiego był wzrostu? – spytał Socha, coraz bardziej zainteresowany jej uwagami.

– Średniego. Używając języka komunikatów policyjnych powinienam powiedzieć, że był to mężczyzna o krępej budowie ciała, włosach jasnych, lekko falowanych. Twarz miał raczej okrągłą, cerę różową. Wyraźnie zaznaczone zatoki czołowe. Znak szczególny... już mówiłam: spłaszczony nos. Wiek z wyglądu: powyżej pięćdziesiątki.

– Wczoraj też go pani widziała?

Najpierw pokręciła przecząco głową, później odparła głosem zdecydowanym:

– Ani wczoraj, ani przedwczoraj go nie spotkałam i właśnie to wzbudziło we mnie niepokój.

Policjant ściągnął brwi, przez chwilę trwał pogrążony w myślach, nie tylko że nie wiedział, co ma jej odrzec, ale i jaką podjąć decyzję, a przecież coś powinien postanowić.

– Gdyby mąż wrócił na noc, pewnie nie wyciągałabym żadnych wniosków z moich obserwacji – mówiła dalej Brumelowa, zarażając naczelnika swoim niepokojem. – Rozumiem, że każdy policjant ma obowiązek dochowania tajemnicy i nie o wszystkim nawet z żoną może rozmawiać. Chociaż, proszę mi wierzyć, większość policjantowych dobrze wie, czym aktualnie zajmują się ich mężowie.

– Możliwe – zamruczał Socha.

– Nigdy tym się nie przejmowałam, a teraz boję się o męża.

Twarz naczelnika przybrała poważny wyraz.

– Być może ma to jakiś związek z uduszeniem sekretarki z Ruchu Centrum – rzekł ze spokojem. – Od początku tłumaczyłem pani mężowi, aby za bardzo nie angażował się w to śledztwo. Po co szaleć, skoro niebawem przecho-

dzi na emeryturę? Ponadto akurat ta sprawa, o czym mąż wiedział, jeśli zostanie wyjaśniona, nie wymknie się z tego gmachu.

Z reklamówki, którą Brumelowa trzymała na kolanach, wyciągnęła skórzaną torebkę, z niej wyjęła białą kopertę bez adresu odbiorcy i położyła ją na biurku przed Sochą.

– To znalazłam w naszej skrytce na listy. Na kopercie są ślady moich palców. Mąż nic nie wie o jej istnieniu.

Przez bibułę naczelnik wyjął z koperty seledynową kartkę, zapisaną pismem komputerowym. Założył okulary i czytał: „Powinien pan przesłuchać ministra sprawiedliwości. Wystarczy zadać mu dwa pytania. 1. Czy po bankiecie w ambasadzie odwiózł Iwettę do jej domu? 2. O której godzinie wyszedł z mieszkania Iwetty, co tam robił i czy pił koniak marki Franklin? Powodzenia.” Socha zdjął okulary, położył je na gazecie, przymrużywszy oczy zastanawiał się, czy Brumelowa zna treść listu.

– Wiem wszystko – powiedziała, odgadując jego pytanie.

– Pewnie sam zajmę się tą sprawą. W połowie roku też zostanę emerytem, więc...

– Będzie panu bardzo trudno trafić do autora listu – stwierdziła ze znajomością rzeczy. – Gdyby zechciał pan skorzystać z mojej pomocy, to proszę szukać kogoś, kto dysponuje komputerem z niestandardowym edytorem tekstów angel writer 3.2 buik 400. I kto ma drukarkę atramentową hp dek-sjet 940c. Niemal wszyscy autorzy przysyłają do wydawnictwa swoje prace przepisane na komputerowej maszynie, stąd moja wiedza o technikach cyfrowych.

– Przeszukam wszystkie sekretariaty ministerialne, partyjne, związkowe...

– Edytor angel writer 3.2 jest popularny w Skandynawii, szczególnie w Finlandii – przerwała naczelnikowi. – Od czasu wybicia się na popularność autorów powieści skandynaw-

skich, od mieszkających tam tłumaczy otrzymuję przekłady na polski sporządzone właśnie przy pomocy tego programu.

Warszawa, ul. Nowolipie, 9 października, południe

Zastępca komendanta stołecznego policji z rękami założonymi do tyłu krążył wokół stołu, przy którym siedział Socha. Wszystko, co proponował naczelnik, przyjął do wiadomości, lecz niczego nie chciał zaaprobować.

– Szeffie, niech się pan skontaktuje z komendantem głównym. Jego decyzji nawet minister sprawiedliwości nie podważy.

– Przecież i pan dobrze wie, że nikt w tej sprawie nie podejmie żadnej decyzji.

Sześć dni temu naczelnik przekonywał Brumela, aby zrezygnował z poszukiwania dusiciela Iwetty w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jeśli on tam nawet jest, to się śmieje z policji, bo wie, że nikt nie odważy się go oskarżyć o morderstwo. Teraz zastępca komendanta to samo tłumaczył podinspektorowi, a on chociaż wszystko rozumiał, nie umiał się zgodzić z radami zwierzchnika.

– Czy to oznacza, że minister jest bezkarny?

– Nie minister, lecz poseł, kolego. Poseł – zaakcentował zastępca komendanta. – Gdyby Reykowski był tylko ministrem, poradzilibyśmy sobie. Gdyby w dodatku był ministrem bezpartyjnym albo z życiorysem lewicowym, już by go prokurator maglował. Lecz to jest i poseł, i minister, i, jak słyszę, kandydat na premiera rządu nowej koalicji. On albo Sadowski.

Naczelnik zdawał sobie sprawę z tego, że Reykowskiego chroni immunitet poselski. Ale czy temu samemu prawu podlega urzędnik państwowy w randze sekretarza stanu, który również jest posłem? A którędy biegnie granica między obowiązkami posła i ministra? Ponadto, uważał, na razie

nikt nie oskarża Reykowskiego. Chodzi wyłącznie o to, aby minister odpowiedział na pytania, od których zależy wybór drogi śledztwa.

– Mogą być dwa wyjścia z tej karkołomnej sytuacji – powiedział zastępca komendanta, cedząc słowa. – Oba bardzo pogmatwane.

– Nie chcę być niegrzeczny, generale. Pan ma tylko jedno wyjście – osadził go Socha.

– Jakież? – zaniepokoił się zastępca komendanta i wcale nie był wytrącony z równowagi.

– Poprosić prokuratora, aby wystąpił do sejmu o uchylenie immunitetu Reykowskiego. On musi złożyć wyjaśnienia.

– Sądzi pan, że jest to możliwe?

– Jak w banku.

– W tej kadencji jeszcze się nie zdarzyło, aby posłowie oddali swego kolegę w ręce Temidy. Prokurator Kotkowiak złożył czternaście wniosków o czasowe uchylenie immunitetu i co z tego? – spytał zastępca komendanta. Nie czekając na odpowiedź, rzekł: – Kto ma władzę w gminie, boi się najwyższej proboszcza, że wytknie go z ambony. A kto ma władzę w państwie, czuje się bezkarny. – Po pauzie dodał: – Iluż posłów siada za kierownicą po pijaku, powoduje wypadki, po prostu kpi z naszego prawa...

– ... które ci panowie sami uchwalają – dokończył Socha wściekły.

Zastępca komendanta tkwił w przekonaniu, że jedynie prokurator generalny mógłby coś zrobić, jeśli nadal byłby nim Kotkowiak. Cóż, zginął w katastrofie drogowej, której przyczyny, mimo upływu prawie czterech tygodni, nikt nie potrafi podać. Profesor za dużo się dowiedział i był zbyt solidny, a takiego rządzący nie aprobują. Pierwszym zastępcą prokuratora jest Wilczek, partyjny kolega Lichaja, ale teraz on nawet palcem nie kiwnie, aby przyspieszyć wyjaśnienie

okoliczności tragedii. Wszyscy w parlamencie i rządzie wiedzą o tym, że Wilczek liczy na to, iż minister sprawiedliwości zgłosi jego kandydaturę na urząd prokuratora generalnego.

– To mamy milczeć? – Socha wstał od stołu, wyjął paczkę camelów z wewnętrznej kieszeni marynarki i mimo że komendant zabronił palenia papierosów w gabinetach, naczelnik zaciągnął się dymem. – Nie żyje ambasadorowa. We własnym mieszkaniu została uduszona asystentka szefa partii. Policjant przepadł bez wieści... A my, kurwa, nic?

Zastępca komendanta machnął ręką z przyganą.

– Ja wykonuję rozkazy.

– Pan, generale, boi się o swoje stanowisko w policji. Rozumiem. Ja nie, najwyżej przestanę być naczelnikiem najważniejszego wydziału. Zresztą już niedługo mnie tu nie będzie.

Generał przygryzł wąsy.

– Obowiązkiem policji jest postępować zgodnie z prawem – przypomniał mu, jakby miał przed sobą aspiranta, a nie starego wyjadacza. – Nie jesteśmy ani obok, ani nad prawem.

Naczelnik wstał ociężale, podszedł do zastępcy komendanta i, patrząc mu w oczy, rzekł:

– Dobiorę się do Reykowskiego.

Warszawa, ul. Wspólna, 10 października, popołudnie

Bardzo młody dyrektor gabinetu wprowadził Sochę do pokoju, w którym stały kopiarki i kazał mu poczekać, aż minister wróci z jakiegoś zebrania, które ma się skończyć przed siedemnastą. Siedząc w fotelu naczelnik błędził oczyma po ścianach oblepionych sztucznymi stiukami i myślał, że dostanie się do gmachu ministerstwa wcale nie jest trudne. Zaraz po wyjściu z gabinetu swego szefa poprosił o połączenie z sekretarzem Reykowskiego. Telefonistka uprzedziła go, że słuchawkę podniesie dyrektor gabinetu. Socha przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego chce rozmawiać z mi-

nistrem. Dyrektor bez komentarza poprosił, aby poczekał przy telefonie na odpowiedź, ponieważ musi się skontaktować ze zwierzchnikiem. Nie będzie to trwało długo. Socha włączył stoper. Po czterech minutach dyrektor odezwał się ponownie.

– Dziś o godzinie siedemnastej minister jest do pana dyspozycji.

Naczelnik zerknął na zegarek: za minutę będzie siedemnasta. Nie zdążył opuścić rękawa marynarki, gdy rozwarły się drzwi, stanął w nich dyrektor gabinetu, odchrząknął i suchym głosem powiedział:

– Pan minister czeka.

Szpakowaty mężczyzna w granatowym garniturze, który siedział za gigantycznym biurkiem, podniósł głowę znad papierów. Raczej drobną ręką wskazał policjantowi miejsce przy stole, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że czuje się pewnie i oczekuje szacunku.

– Mam dla pana osiem minut. Proszę je należycie wykorzystać – odezwał się chłodno i włączył stoper.

– Jestem podinspektorem w komendzie stołecznej, naczelnikiem wydziału do spraw zabójstw – Socha starał się postępować zgodnie z regulaminem. – Dwa dni temu zaginął policjant, mój podwładny i kolega. Prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa pewnej kobiety.

– Czy mam z tą sprawą coś wspólnego?

– Żona zaginionego policjanta znalazła list anonimowego nadawcy w swojej skrytce. Jest w nim wymienione pańskie nazwisko.

Po takiej informacji Reykowski wyrzuciłby każdego z gabinetu, lecz nie teraz, kiedy jego partia żyje wyborami. Nie pozwolił ani jednemu mięśniowi swojej twarzy, aby drgnął, zdradzając jego zakłopotanie. Przesławszy naczelnikowi chłodny uśmiech, tłumaczył:

– Jako poseł, o czym pan musi wiedzieć, jestem chroniony immunitetem. Jako członek rządu powinienem zakomunikować premierowi o tym, że policja stawia mnie wśród podejrzanych.

– Na razie nie jest pan podejrzany – szybko wyjaśnił Socha.

– Sądzę, że pańscy przełożeni dopełnili wszelkich formalności – ciągnął z przekonaniem minister. – Nie mam nic do ukrycia. Byłbym rad, gdyby społeczeństwo zostało poinformowane o wszystkim, co mnie dotyczy. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, ile wyrządzają krzywdy osobom zajmującym publiczne stanowiska, obwiniając je bezpodstawnie. W którejś gazecie przeczytałem, że mam coś wspólnego ze śmiercią Kotkowiaka. – Minister roześmiał się zjadliwie. – Nie dziwię się prasie prowincjonalnej, skoro stołeczna policja również stawia mi podobne zarzuty.

Naczelnik zignorował to stwierdzenie.

– Odpowie pan na moje pytania? – spytał i wyjął z kieszeni notes, w którym po rozmowie z Brumelową zanotował swoje uwagi.

– Jeżeli zadowolę pana – zastrzegł się Reykowski.

Socha czuł się trochę niepewnie, mimo to przytaknął ze zrozumieniem.

– Czy po bankiecie w ambasadzie odwiózł pan sekretarkę Ruchu Centrum do jej domu?

– O kim pan mówi?

– O Iwecie – powiedział najspokojniej Socha, zważając na to, aby pytania były precyzyjne.

– Moja sekretarka, pani Kurczab-Czartoryska, ma na imię Matylda.

– Spytałem o sekretarkę Ruchu Centrum, często spełniającą funkcję asystentki sekretarza generalnego tej partii.

– Nie należę do tego ugrupowania. Kieruję Powszechnym Stronnictwem Ludowym, najpoważniejszą partią centrolewicową w środowisku wiejskim.

– Czy był pan na bankiecie w ambasadzie?
– To mój polityczny obowiązek.
– I rozmawiał pan z sekretarką Ruchu Centrum?
– Przykro mi, panie podinspektorze, że nie potrafię udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Rozmawiałem z żonami wielu polityków. Czy była wśród nich kobieta, o którą pan spytał, nie wiem.

Naczelnik wyjął z aktówki kolorową fotografię Iwetty, wykonaną podczas bankietu przez jego znajomego z ochrony ambasady i położył ją stole przed ministrem.

– Ładna kobieta, ale ja, niestety, jej nie znam – oświadczył Reykowski, odsuwając demonstracyjnie zdjęcie od siebie.

– Na pewno?

Minister wciągnął powietrze głęboko przez nos i je wypuścił z sykiem przez usta.

– Przygotował pan jeszcze inne pytania?

Socha był przekonany, że dalsza rozmowa z Reykowskim nie ma sensu. Odsunął krzesło od stołu, ale jeszcze nie wstał, tylko powiedział:

– Owszem, mam, lecz, w przeciwieństwie do już zadanych, dziś nie oczekuję na nie odpowiedzi.

– Chciałbym, żeby wszystko zostało wyjaśnione. Jako minister sprawiedliwości mam obowiązek dbać o porządek. Jeśli ktokolwiek w naszym kraju zostanie skrzywdzony przez prawo, rychło poddam się do dymisji.

Naczelnik wcale nie był tego pewien. Teraz się podniósł, z notesu wydarł kartkę, na której były spisane pytania i położył ją na biurku ministra.

– Na pierwsze pytanie jeszcze pan nie odpowiedział. – Czuając na sobie pogardliwe spojrzenie Reykowskiego, odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Ledwie policjant zamknął za sobą drzwi, minister sięgnął po kartkę. Najpierw pobieżnie przebiegł wzrokiem wszystko

co na niej napisano, a później, śmiejąc się, przeczytał na głos drugie pytanie:

– „O której godzinie wyszedł pan z mieszkania Iwetty, co pan tam robił i czy pił koniak marki Franklin?”

Jachranka, laszek przy drodze, 10 października, wczesny wieczór

Zastępca komendanta zatrzymał służbową lancję na poboczu wyasfaltowanej drogi, wzdłuż której, mimo mroku wczesnego wieczoru i wilgotnego chłodu, stali skuleni ludzie. Chociaż od ośmiu miesięcy generał mieszkał w willi na śródleśnym osiedlu, spośród zgromadzonych nikogo nie znał, domyślał się, że są to mieszkańcy starej Jachranki.

– Co tu zaszło? – spytał mężczyznę w kolejarskim mundurze.

– Zabitego zdybali – odrzekł kolejarz i głową wskazał policjantów między drzewami w świetle reflektorów samochodowych.

– Kto znalazł?

Kolejarz nie odpowiedział i spojrzał na sąsiada w skórzanej kurtce, oczekując pomocy z jego strony, lecz on tylko wzruszył ramionami.

– Kim jest ten zabity?

I na to pytanie kolejarz nie odpowiedział.

Zastępca komendanta najpierw włączył światła postojowe, dokładnie zaciągnął hamulec ręczny, zablokował kierownicę, sprawdził, czy wszystkie okna są zamknięte i dopiero wtedy wysiadł z lancii. W każdym człowieku widział oprycha, nożownika, dusiciela czy rabusia. Lekko pochylony, z rękoma założonymi do tyłu, szedł ścieżką między sosnami do miejsca wskazanego przez światło reflektorów.

– Nie wchodzić!

– Jestem policjantem – rzucił zdecydowanie do posterunkowego, który zagroził mu drogę.

– Nareszcie. Z Wyszkowa? – zaciekał się policjant i podniósł gałąź sosny, aby zastępca komendanta nie schylał głowy.

Nieboszczyk już był nakryty płachtą z szarej folii, spod której wystawały nogi w czarnych skarpetkach i pantoflach. Takich butów nie można kupić w żadnym sklepie, noszą je tylko wyżsi rangą policjanci. Generał zwrócił na nie uwagę i pomyślał, że mimo surowego zakazu, jaki sam podpisał zaraz po wprowadzeniu nowego fasonu mundurów, policjanci nadal sprzedają służbową odzież.

– Komu przytrafiło się to nieszczęście? – spytał, bezmyślnie wpatrując się w podeszwy pantofli na nogach nieboszczyka.

Nikt nie zareagował na jego pytanie, więc je powtórzył, tym razem trącając w ramię znanego mu aspiranta z posterunku w Jachrance. Policjant odparł niedbale:

– A chuj to wie. Przyjadą kutasy z kryminalnego... może ustalą od ręki, może... – podniósł oczy na zastępcę komendanta i zamarł w przestachu. Dopiero po chwili, przeprosiwszy, że go nie poznał, zaczął tłumaczyć: – O szóstej posterunkowy, co pełni służbę popołudniową, został powiadomiony o znalezieniu zwłok. Natychmiast mnie wezwał, mojego zastępcę i dał znać do Wyszkowa.

– Długo czekacie?

– Będzie dobra godzina.

– Lekarza też jeszcze nie było – stwierdził generał, lekko poirytowany i, wskazawszy głową zwłoki, spytał: – Ktoś z Jachranki?

– Przeszukałem kieszenie denata, żeby ustalić, kim jest, bo może ma tu rodzinę, ale żadnych dokumentów – odparł aspirant. – O, nareszcie jadą z Wyszkowa – pokazał na niebieskie światło na dachu radiowozu, który zbliżał się od strony osiedla.

Dziesięć minut później ciemności rozjaśniły dwa przenośne reflektory, ustawione na policyjnym volkswagenie. Przy-

ciskając rękami czapki do głów, żeby nie zahaczyć o gałęzie sosen, trzej policjanci torowali drogę cywilowi w białym kitlu. Gdy zatrzymali się przy zwłokach, lekarz przywitał się z generałem jak ze starym znajomym i spytał szeptem, czy zna zmarłego.

– Mieszkam prawie w pobliżu. Przejeżdżałem obok, zobaczyłem zbiegowisko i...

Lekarz już go nie słuchał, zrobił krok do przodu, torbę postawił przy ramieniu nieboszczyka i poprosił aspiranta, aby podszedł do niego z latarką. Gdy strumień światła padł tam, gdzie była głowa zmarłego, lekarz uniósł folię i nagle się wyprostował.

– Panie generale! – zawołał, pochylając się nad zwłokami ponownie.

– Tak, słucham, doktorze. – Zastępca komendanta zrobił trzy kroki i również się schylił. Milczał, czując na sobie badawcze spojrzenie lekarza, aż w końcu wydusił: – Poznaję go.

– Brumel.

Generałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

– Dwa dni temu zaginął – powiedział może do lekarza, a może tylko do siebie. W zeszłym roku rzucił palenie, ale teraz poprosił aspiranta o papierosa.

Lekarz kazał policjantowi, aby oświetlił głowę zmarłego. Na twarzy nieboszczyka nie dostrzegł żadnych ran, zadrapań czy stłuczeń, za to na szyi był szeroki ślad. Przyjrzał mu się dokładnie.

– Kość gnykowa złamana prawdopodobnie przy pomocy paska. To mogło być przyczyną śmierci. Zabójca musiał mieć porządną krzepę.

– Kiedy nastąpił zgon, panie doktorze?

Z torby lekarz wyjął cieniutką jak mały palec latarkę i strzelił promykiem pod powieki nieboszczyka.

– Dwie, trzy godziny temu. Dokładnie określe to w pro-sektorium.

– Co pan jeszcze zauważył? – dociekał zastępca komendanta. Chciał już wiedzieć jak najwięcej, aby ubiec Sochę.

– Jest za ciemno, panie generale. I zimno – rzekł bezbarwnie lekarz. – Nie chcę niczego sugerować.

– To znaczy...?

– W podobny sposób, czyli przy pomocy paska, została uduszona sekretarka Ruchu Centrum, znana jako Iwetta. Dochodzenie prowadził właśnie komisarz Brumel.

– Przypadek czy zbieg okoliczności?

Warszawa, ul. Nowolipie, 11 października, ranek

Następnego dnia punktualnie o ósmej Brumelowa weszła do gabinetu zastępcy komendanta, miała na sobie czarny kapelusik, czarny płaszcz i kozaczki z czarnego zamszu. Ubrała się tak nie tyle na znak żałoby po zamordowanym mężu, o czym wiedział generał, co z przyzwyczajenia. Jej córka również ubierała się ekstrawagancko, preferując odzież w kolorze czarnym i białym.

– Proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia. – Zastępca komendanta pamiętał komisarza jak przez mgłę, ale teraz starał się dowieść Brumelowej, że go cenił za wiedzę i doświadczenie. – Znajdziemy mordercę. Być może już go mamy. Bez pomocy pani potrwa do dłużej. Chciałbym, aby pani – podał wdowie sześć zdjęć, na których byli sami mężczyźni z twarzami poobijanymi – przyjrzała się tym fotografiom.

– Rozumiem – szepnęła i ze spokojem rozłożyła zdjęcia na stole. Nim generał dokończył myśl, z zestawu wybrała jedną fotografię. – Oto mężczyzna, którego widziałam na ławce w parku. Wzrost średni, krępa budowa ciała, włosy jasne, twarz okrągła, wyraźne zatoki czołowe. Znak szczególny –

wzięła fotografię lewą ręką i palcem prawej dłoni pokazała spłaszczony nos.

– Nie pomyliła się pani?

– Nie – odparła przez zaciśnięte zęby.

– Jest pani gotowa to samo wskazać przed sądem?

– Tak – powiedziała twardo. – Boję się tylko własnego sumienia.

– Jak już wspominałem wczoraj wieczorem przez telefon, organizacją pogrzebu zajęła się policja. Jednego dotąd nie ustaliłem – mówiąc to generał prowadził Brumelową do drzwi. – Czy pochówek ma mieć charakter świecki, czy religijny? Wolałbym, aby nasz kapelan znalazł zajęcie. To na koszt policji, proszę pani.

– Jemu to obojętne. Córce i mnie... również. Wam... nie.

Warszawa, ul. Nowolipie, 11 października, wczesne przedpołudnie

Socha długo przekonywał zastępcę komendanta, że jeszcze rzecznik nie powinien zwoływać konferencji prasowej, bo na razie policja niewiele wie o mordercy. Lizak ma mocne alibi. Pytany, odpowiada logicznie.

– Ciągłe brak punktu zaczepienia. Mówiąc zwyczajnie: nie możemy wydostać się z dołka startowego.

– Po co go pytać? Mamy winowajcę i już.

– Jest pan przekonany, że Lizak udusił komisarza? Na pewno on to zrobił?

– Brumelowa go rozpoznała – zastępca komendanta świadomie zniżył ton głosu. – To powinno sądowni wystarczyć.

– Jeśli Lizak nie przyzna się do zabójstwa, a na razie, jak twierdzi nadkomisarz Syski, wszystkiemu zaprzecza, będzie proces poszlakowy. Taki proces może się zakończyć uniewinnieniem podejrzanego, bo prawo działa na jego korzyść. Generale, aby Lizaka postawić przed sądem, musimy zdobyć

wiarygodne dowody jego winy. W przeciwnym razie ośmieszmy policję.

Zastępca komendanta wstał zza biurka i spacerował po dywanie z głową uniesioną wysoko. Jak większość zwierzchników w policji nie lubił podwładnych pewnych siebie lub mających odmienne niż on zdanie.

– Pamięta pan, o której godzinie został zatrzymany Lizak?
– spytał Socha, jakby chciał sprawdzić, czy generał zwraca uwagę na szczegóły.

– Jakoś... W południe.

– Powiedzmy, że była dwunasta.

– Powiedzmy.

Socha przytaknął i ze stołu, przy którym siedział, wziął kopię protokołu sekcji zwłok Brumela.

– Komisarz został zamordowany o siedemnastej trzydzięści. I nie w lesie pod Jachranką. Gdzie, tego jeszcze nie ustaliliśmy, prawda? Ale obaj wiemy, że pół godziny wcześniej ja – powiedział z naciskiem Socha – rozmawiałem z Reykowskim między innymi w sprawie zaginięcia Brumela.

Zastępca komendanta zmrużył oczy, podszedł do stołu i pochyliwszy się nad naczelnikiem spytał:

– Co pan sugeruje?

– To samo, czego pan, generale, się domyśla i nie ma odwagi powiedzieć.

Warszawa, ul. Powstańców Warszawy, 11 października, wieczór

W noclegowni komendy stołecznej przy Sierakowskiego obowiązywał porządek policyjny, czego Syski nie lubił, toteż spał tam tylko wtedy, gdy nie było miejsca w innym hotelu. Dawniej zatrzymywał się w Domu Turysty, ostatnio nocował w Domu Nauczyciela, ale teraz posłuchał Satecka i nie żałuje. Syrena to przyzwoity hotel, niedrogi, stojący prawie w centrum Warszawy i jakby na uboczu zgiełku wielkiego miasta.

Przeważnie śpią w nim urzędnicy wyżej postawieni w administracji regionalnej, którzy przyjeżdżają do stolicy po to, aby załatwić sprawy służbowe. Bogatsi wybierają pokoje w nowoczesnych hotelach, gdzie tacy policjanci jak Syski nie mają czego szukać.

Przed wieczorem Sateck wymknął się do znajomych, wróci przed północą, aby się wyspać i rano, gdy Syski będzie ponownie przesłuchiwał Lizaka, mu towarzyszyć. Pierwotnie zamierzał napisać tylko dłuższy reportaż do sobotnio-niedzielnej gazety, po południu pochwalił się nadkomisarzowi, że zebrał materiał do swojej pierwszej książki reporterskiej.

– Nie pytałeś mnie o zgodę – zgrzytnął zębami policjant.

– Bardziej jest mi potrzebna twoja pomoc niż zezwolenie – odparł Sateck.

W nie za wielkiej restauracji hotelowej było kilkoro gości, Syski nikogo nie znał, więc zajął miejsce przy stoliku w pobliżu estradki dla orkiestry. Od wyjazdu z Zielonejgóry nie pił dobrej, mocnej herbaty, a był namiętym herbaciarzem. Najpierw zamówił filiżankę liptona bez cukru i cytryny, później poprosił o coś ciepłego na kolację. Nie powiedział co, mimo to kelner skłonił się i rzekł:

– Służę szanownemu panu.

Może po pięciu minutach stał przed nim talerz, na którym był płatek łososia, kilka frytek, surówka z kiszzonej kapusty i papryki, plasterki ogórka, strąk fasolki szparagowej i trzy oliwki. Syski mało nie parsknął śmiechem, kiedy to policzył. Przedszkolacy dostają większe porcje na śniadanie, a on przecież nie jest chuchrem.

Jadł powoli, dokładnie przeżuając każdy kęs, do powrotu Satecka miał dużo czasu i nigdzie się nie spieszył. Podium dla orkiestry jeszcze było puste, ale z głośników za estradką wymykała się przytłumiona muzyka. Gdyby ktokolwiek spy-

tał go o tytuły utworów, nie odpowiedziałby, chociaż lubił te nowomodne melodie.

– Pozwoli pan, że się przysiędę.

Nadkomisarz otrząsnął się z zamyślenia, podniósł oczy na mężczyznę ze staranną, krótką brodą, który już siedział na wprost niego. Miał zamiar protestować, bo w restauracji było wiele wolnych miejsc, lecz nim przełknął kęs ryby, nieznajomy spytał go tonem zabarwionym pewnością siebie, o brzmieniu głosu księdza:

– Nadkomisarz Syski, nieprawdaż?

– Ajuści – odparł policjant trochę lekceważąco. Pedzio, pomyślał o nim. – Z kim mam obowiązek...?

– Powiedzmy, że nazywam się Jan Stanisław Kowalski. Mówi to coś panu? – spytał brodacze i odpowiedział: – Pewnie nie. Mogę być Jan Maria Kowalski albo minister Reykowski czy sekretarz stanu Block. Dla pana te nazwiska są bez znaczenia, nieprawdaż?

Syski nie odłożył widelców, udając spokojnego notował w pamięci wszystkie ruchy nieznajomego. Intrygował go opanowany, melodyjny głos, właściwy dla absolwenta seminarium duchownego.

– Pan zapewne domyśla się, w jakim celu przybyłem. Nie oczekuję odpowiedzi. – Brodacze tylko na moment złożył dłonie, a Syski to zauważył. – Mój przyjaciel i chlebobawca bardzo prosi, aby pan przestał zajmować się Cyganikiem. To na razie serdeczna prośba.

Nie tego się spodziewał. Zdrętwiał. Brodacze to spostrzegł, ale jeszcze nie dał mu do zrozumienia, że jego chlebobawca czuje się dyktatorem najbliższego świata, tylko ciągnął dalej:

– Ta sprawa pana nadkomisarza przerasta. Dlatego sugeruję, aby uznał pan za niemożliwe wykrycie złoczyńców. Lub złożył wniosek o zawieszenie śledztwa. Pański przełożony to

zrozumie. Zapewniam, że nowy prokurator generalny nie będzie naciskał na policję.

– Braciszku, czy kim tam jesteś, zjeżdżaj – rzucił Syski. Starzał się nie odrywać oczu od talerza i nie podnosić głosu.

Brodacz uśmiechnął się z sarkazmem.

– Panie nadkomisarzu, proszę w tej chwili nie podejmować decyzji. Spożyje pan wieczerzę, wróci do pokoju i w ciszy przemyśli swoje położenie. Gdyby potrzebował pan porady, to – nie odwracając się, brodaczk wskazał głową dwóch mężczyzn przy bufecie, którzy rozmawiali z kelnerem – proszę liczyć na moich przyjaciół.

I Syski zrozumiał, że znalazł się w potrzasku.

– Czy jeszcze coś ma mi pan do zakomunikowania?

– Gdyby, w co nie wierzę, powiadomił pan stołeczną policję o naszej rozmowie, na nic to się zda. Zanim zareagują, będzie po wszystkim, a pan ma przecież czarującą żonę, więc lepiej do niej wracać. W czarnym kapelusiku nie byłoby jej do twarzy, nieprawdaż? – roześmiał się nieznajomy. – Niech pan ściga złodziejasków pustych butelek po piwie, węszy za włamywaczami do kiosków z gazetami czy poszukuje gminnych kurokradów.

– A jeśli nie dostosuję się do pańskich wskazań?

– To nie są moje wskazania, panie nadkomisarzu. Ja, jak już zaznaczyłem, mam chlebobawcę. Najzwyczajniej w świecie jestem człowiekiem do wynajęcia. Tylko to potrafię, nieprawdaż.

Syski starał się rozmowę obrócić w żarty, aby brodaczk choć pisał słowo o tym, kto go wynajął. Był to jednak zawodowiec.

– Szanowny pan sobie życzy? – spytał kelner. W jego zachowaniu nic nie wskazywało na to, że jest w znowie z brodaczkem.

– Dla mojego gościa mała kawa – odrzekł ze sztucznym uśmiechem policjant. – Dla mnie jeszcze jedna herbata bez cytryny.

Nieznajomy odsunął krzesło, oparł się mocno o poręcz, nogę założył na nogę i palcami lewej ręki zaczął wystukiwać rytm o blat stolika, prawą zaś wsadził pod marynarkę. Syski domyślał się, co brodacze tam ma. Jego trzydziestka ósemka leżała pod koszulą w pokoju hotelowym. Zresztą nigdy jej nie używał, pewnie zabrakłoby mu odwagi, żeby wycelować do człowieka i pociągnąć za spust. Ale również odsunął swoje krzesło od stolika, też nogę założył na nogę, lewą rękę położył na blacie, a prawą rękę wetknął pod marynarkę i uśmiechnął się niby głupek na wykładzie profesora filozofii.

– Gdybym nie posłuchał rady...?

– Gdyby pan nadkomisarz, mimo przyjacielskiej prośby mojego chlebodawcy, kontynuował śledztwo i usiłował nadać sprawie rozgłos przy pomocy pióra redaktora Satecka... – urwał brodacze, wałnął pięścią w blat, aż mu oczy zaszyły krwią, ale po chwili się uspokoił i dokończył myśl: – Nie doczeka na pierwszą wypłatę emerytury.

– Nie wygląda pan kolega na kadrowca z komendy głównej – prychnął Syski.

– Czyżby nie chciał pan jadać smacznych obiadków swojej cudownej żony? Chodzić z nią na spacer? Doskonalić swój angielski? Woli pan wachać kwiatuszki od spodu? Jak komisarz Brumel?

Przecież ten gość mi grozi, powiedział w myślach Syski i spojrzał nie na brodacza, który znowu uśmiechał się cynicznie, lecz na facetów przy bufecie. Patrzyli w jego stronę, dając mu do zrozumienia, że znalazł się w klatce i nie ma wyboru.

– Wiele lat temu w królewskim mieście Krakowie Brumel wsadził mnie do mamra. Byłem winny, nie zaprzeczam, ale młody i głupi. I byłem nadzieją królewskiego teatru, kandydatem na polskiego Laurencja Oliviera. Brumel o tym wiedział, a mimo to zniszczył moją karierę na scenie. Ja docze-

kam dnia wolności i odpłacę się panu identyczną monetą, ostrzegałem go w listach. W Warszawie też go ostrzegałem. Nie posłuchał, to one – brodacze położyły smukłe dłonie na stoliku – musiały zacisnąć pasek na jego szyi. Niech mi Pan sprawiedliwy wybaczy – rzekł śpiewnie i uniósł oczy ku sufitowi jakby się modlił.

– W identyczny sposób została uduszona Iwetta – powiedział dramatycznym szeptem Syski, po czym dodał bezwiednie: – Dusiciel.

– Z zawodu aktor dramatyczny – roześmiał się brodacze głupkowato. – Pojawiający się i znikający Hamlet. „Świat wyszedł z orbit – i mnież to los srogi każe prostować jego błędne drogi.”

Warszawa, ul. Powstańców Warszawy, 12 października, poranek

To, co Sateck usłyszał o ministrach, posłach, senatorach i niewiele mniej znaczących politykach opozycji, kruszyło jego dotychczasowe przekonanie o prawości osób rządzących państwem. Zdawał sobie sprawę, że wielka polityka jest grą najczęściej niezrozumiałą przez ludzi zwyczajnych, do których i siebie zaliczał.

Jeśli nazwisko polityka nie jest powtarzane choćby szeptem czy wymieniane na pierwszych stronach gazet, przestaje się on liczyć jako kandydat do najwyższych urzędów. Politycy wiedzą, że są dostrzegani wyłącznie ci, którzy bez litości gromią swoich przeciwników. Tylko tacy wdrapują się na szczyty władzy i wtedy ich zwolennicy są zadowoleni.

– Obserwuj zachowania innych, ale nigdy ich nie naśladow, bo źle na tym wyjdiesz – całkiem poważnie podsumował swoje rozważania Sateck.

Syski spojrzał na niego ze zdumieniem. Nie pamiętał, aby Sateck kiedykolwiek mówił takim językiem.

Nigdy, wyłączając pierwsze lata powojenne, nie zaginęło w Polsce tyle osób, ile ostatnio. Już odnalezienie i zidentyfikowanie zwłok policja uważa za swój sukces. O ujawnieniu bandziorów na ogół decydują nie prokuratorzy, lecz politycy powiązani z przestępcami. Starsi dziennikarze, jeśli nawet wiedzą więcej niż policjanci, a przeważnie tak jest, starają się milczeć. Usiłują walczyć jedynie bardzo młodzi, początkujący i naiwni reporterzy. I oni także przepadają bez wieści. Zmasakrowane ciało aplikanta, który w *Ekspressie Zachodnim* przedstawił domniemany sposób, w jaki wicemarszałek stał się właścicielem niemałego domu nad jeziorem Sławskim, dopiero po dwóch tygodniach zostało znalezione w piwnicy zamkniętego akademika uniwersytetu.

– Tu hula szajka międzynarodowa – powiedział z naciśkiem Sateck. – Nie będę zaskoczony, jeśli zabójcy Cyganika zaczniesz szukać w Berlinie. I może dowiesz się wtedy, że jest nim kuzyn zastępcy prokuratora generalnego.

– Cóż, nie z wszystkimi twoimi wnioskami potrafię się zgodzić, ale na pewno też masz dużo racji. – Syski był przekonany, że taka odpowiedź powinna zadowolić Satecką, lecz dziennikarz ani myślał o powrocie do swego pokoju. – Jeszcze przez chwilę posłuchaj mnie uważnie.

Sateck nie słuchał, przeciął ręką powietrze i mówił głosem ożywionym:

– Zapewne słyszałeś o uduszeniu Iwetty, córeczki jakiegoś kacyka ze starego układu. Musisz pamiętać również i to, że Brumel, kiedy był w Zielonej Górze, prowadził dochodzenie związane właśnie z tym mordem. Ale nie wiesz tego, co ona wiedziała o ministrze sprawiedliwości. Cała Warszawa powtarza, że ta jego powojenna opozycja, to pic na wodę. Profesor Reykowski był na usługach naszego i obcych wywiadów. Bezpieka ma takie dowody, jakich tuzin najlepszych adwokatów nie jest w stanie podważyć... Procesu w sprawie

zabójstwa pięknej sekretarki nie będzie. Nawet nie będzie końca dochodzenia, bo ludzie, którzy cokolwiek wiedzą, boją się gadać. Iwecie wysnęło się kilka niepotrzebnych słów i... Pan świeci nad jej duszą. – Sateck złożył dłonie jak do modlitwy i uniósł oczy niby ksiądz. – A lancia z Kotkowiakiem, sądzisz, przypadkowo wyleciała w powietrze?

– Za dużo wypieś.

– Jestem za trzeźwy. Gdybyś dowiedział się tyle, ile dotarło do mnie w ciągu jednego wieczoru, zapiliś się na amen w pierwszej z brzegu knajpie.

– A co takiego usłyszałeś, że aż tak cię zdenerwowało? – spytał Syski z trochę udawaną powagą.

Sateck zawahał się z odpowiedzią, lecz po chwili zrozumiał, że będzie mu lżej, kiedy wszystko z siebie wyrzuci.

– Dziewczyna, mówię o Iwecie, została uduszona we własnym mieszkaniu. Policjant, czyli Brumel, który po nitce doszedł do kłębka, również przy czyjejs pomocy przeniósł się na łono Abrahama. Prokurator udaje, że szuka winnego. Policjanci pozamykali się w komendach. Gazety też milczą, a niby są niezależne i z byle gówna potrafią zrobić sensację. W tej sprawie milczą, bo redaktorzy naczelni dzienników boją się o swoje stołki. Bo jeśli ludowcy posadzą pana Reykowskiego w fotelu premiera, to polecą głowy nie tylko gorliwych prokuratorów i policjantów, ale i szefów tak zwanych niezależnych gazet.

– Przesadzasz – powiedział Syski wbrew sobie. O tym samym myślał, ale nie Reykowskiego miał na uwadze, lecz Sadowskiego.

– Oglądałem filmy. Zrobione ukrytą kamerą w mieszkaniu Iwetty. Kto i w jaki sposób je zrobił, tego nikt nie wie. Są tam takie sceny, że gwiazdy pornosów wysiadają w eliminacjach. Czy wyobrażasz sobie Reykowskiego, sflaczałego pierdziela z cud-dziewczyną w łóżku, jak stara się być jarym amantem?

A Blocka? A Kleszcza? A...? Chyba każdy minister, co drugi poseł i senator koalicji był w łóżku pięknej Iwetty.

– „Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli” – wtrącił przysłówiem Syski.

– Iwetta robiła to nie dla forsy. Wśród jej gości nie było ani jednego fagasa związanego z poprzednim systemem. Byli, już ci mówiłem, tylko nowi ministrowie, parlamentarzyści, liderzy partyjek ze środka i prawej strony.

– Prosta konkluzja: ateistka grzeszyła z chrześcijanami – roześmiał się Syski, zupełnie zapominając o przestrodze brodacza z restauracji. – Iwetta знаła siódme przykazanie, a oni piąte.

– Brak dowodów. Prawdopodobnie był to jeden ze stu sposobów zdobywania poufnych informacji. Na czyje polecenie?

– Po pauzie Sateck rzekł smutno: – Teraz nikt niczego się nie dowie. Był jeden, Brumel, ale on już nic nie powie.

– Żeby dojść do takich wniosków, wcale nie trzeba skończyć studiów prawniczych i akademii policyjnej.

Sateck nie był tego pewien.

– Może tak, może nie. Iwettą niech się martwią warszawskie gliny. Nas interesuje Cyganik. – Podniósł oczy na kolegę, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że coś wie.

– Nadawaj.

– To, co za moment powiem, powinno cię zainteresować. Mianowicie gościem Iwetty był także Tomasz Cyganik. Tak zwana warszawka bez trudu zidentyfikowała wszystkich jej gogusiów, z wyłączeniem jednego. Cyganika.

– Kto ci powiedział?

– Mówiłem już, że widziałem filmy i jak moi przyjaciele zrywałem boki ze śmiechu, kiedy suchotnicy i wielkie brzuchy, łyse pały i ramole popisywali się witalnością. To były superkomediotragedie.

Syski machnął ręką lekceważąco.

– Przyznałeś się, że rozpoznałeś Cyganika?

Sateck zaprzeczył ruchem głowy. Wstał, ale zaraz usiadł na brzegu łóżka i starał się opowiedzieć dokładnie to, co widział na ekranie.

– Cyganik zapłacił jej złotym krzyżykiem, z brylancikami, na grubym łańcuchu...

– Z iloma brylancikami?

– Nie zdążyłem policzyć – odpowiedział, ale zaraz zdał sobie sprawę z tego, że Syski nie spytał bez powodu. – Mogło ich być nie więcej jak piętnaście.

– Czy ogniwka łańcuszka miała kształt owalny?

– Jeśli za chwilę mnie spytasz o próbę złota...

– To bardzo ważne. Były owalne?

– Ogniwka każdego łańcuszka są owalne.

– Te też? – spytał policjant, zdjawszy łańcuszek z przegubu lewej ręki. – Pamiątka z urlopu w Grecji.

– Te są wyraźnie kanciaste.

– Spytałem dlatego, że łańcuszek podobny do tego, jak opisałeś, niedawno widziałem w Świecku. – Syski umilkł, zgarbił się i przymknął oczy. Zapamiętał wszystko, co się znajdowało w pokoju kierownika zmiany urzędu celnego, jakby to było wczoraj. Stał przed nim mieszek z brązowej skóry, najpierw zajrzał do środka i wyjął sygnet oznaczony literami TC, a potem zawartość wysypał na biurko. Milcząc przypatrywał się agatom wciśniętym między lekko rozchyłone skrzydełka pierścionków, granatom jak ziarenka pieprzu wgniecionym w płatki kolczyków, wisiorkom z jantarami, perełkami i zamkniętymi w nich portrecikami, obrączkom z wygrawerowanymi imionami. Wszystko mu się podobało, ale najbardziej papierośnica, na której pruski orzeł krążył nad budowlą przypominającą żagański pałac Bironów i Talleyrandów. Chciałby mieć takie pudełeczko tylko po to, aby cieszyć nim oczy. Na wprost niego siedział Zygmunt Her-

rmann. Syski wziął łańcuszek do ręki i spytał, skąd go ma. Kupiłem w Poznaniu, odparł Herrmann krótko i dalej skubał paznokcie. Papierośnicę też pan kupił?

– Wysłuchaj mnie do końca – przerwał ciszę Sateck. – Cyganik, nim wślizgnął się pod pled do Iwetty, dodał, że krzyżyk z łańcuszkiem jest prezentem od pana Antiego. Antiego.

– Któż to?

– Nazwisko włoskie albo estońskie czy fińskie.

Syski potarł podbródek, wstał, krążąc schylony po pokoju, starał się uporządkować wiedzę swoją i Daniela. Już nie chciał zajmować się przyczynami śmierci Brumela. Brodatego dusiciela, który przysiadł się do jego stolika w restauracji, nie znajdzie, bo pewnie brodę miał sztuczną, śpiewną mowę wyuczoną i nie był zakonnikiem, lecz aktorem, a zresztą jest to sprawa stołecznej policji. Teraz, skoro dowiedział się aż tak dużo na temat Cyganika, musi naszkicować nową hipotezę. Gdyby już wiedział, co łączyło sekretarkę centrystów z zielonogórskim milionerem, byłoby mu łatwiej snuć rozważania.

– Czy twoi znajomi zechcą pokazać mi ten film?

Sateck po namyśle odrzekł:

– Chyba nie będą mieli nic przeciw twojej prośbie. Jeśli by jednak odmówili, plastycznie opiszę ci to, co widziałem. Każdy dziennikarz jest trochę artystą, może wyobraźnię ma mniej wybujałą niż powieściopisarz, bo przywykł opierać się na faktach, lecz jak mało kto ma poczucie odpowiedzialności za dobór słów.

Warszawa, ul. Nowolipie, 12 października, wczesne przedpołudnie

Może od godziny Syski stał przy grafiku komputerowym, pokazywał mu palcem i tłumaczył, co musi zmienić, aby portret brodacza, który przy kolacji dosiadł się do stolika w restauracji hotelu Syrena, był dokładny jak zdjęcie w pasz-

porcie. Zapamiętał marmurowe oczy, wciśnięte pod gęste brwi, czoło ociosane niestaranie i gładkie, malutkie uszy do połowy przykryte oszronionymi włosami. Wydawało mu się, że brodacze miał nos krótszy i szeroki niby bokser wagi ciężkiej, policzki wydatne, ale kiedy grafik pociągnął linie zgodnie z jego wskazaniem, skrzywił twarz i gniewnie syknął przez zaciśnięte zęby.

– To nie jest podobizna brodacza. Tamten facet miał coś takiego w oczach... że...

– Tamten facet, panie nadkomisarzu, nie był naturalnym brodaczem – powiedział grafik z przekonaniem, że w ten sposób pomoże Syskiemu. – Goguś, który nauczył się sztuki charakterystyki. To musiał być aktor.

– Gdy mówił, palcami wskazującymi obu rąk dotykał wąsów – przypominał sobie Syski.

– Jestem ciekaw, jak on wygląda bez brody – powiedział Socha, sugerując grafikowi, aby sporządził wizerunek poszukiwanego faceta przy pomocy zwykłego ołówka.

Ale żaden portret nie zadowolił Syskiego. Wstyd mu było się przyznać, lecz dopiero teraz zrozumiał, jak trudno jest wyjmować znamiona, atrybuty, nawet najoczywistsze sygnały z zakamarków pamięci. Nigdy nie wierzył, że człowiek, który widział swego prześladowcę, bywa wystraszony i jeszcze jakiś czas po tym ma pustkę w głowie.

– Po głosie rozpoznałbym go szybciej niż na podstawie portretu pamięciowego – oznajmił Sosze, który wcale nie był zaskoczony tym, że Syski nie potrafi opisać brodacza. Jemu przytrafiło się coś podobnego wiele razy.

– Głos również mógł być kształcony. Doświadczenie podpowiada mi, że trzeba go szukać wśród aktorów. W garderobach baletów, za kulisami teatrów, a nawet w kawiarniach czy...

– W kawiarniach? – Socha przerwał grafikowi. – Brumel zachodził do kawiarni Czytelnika. Lubił obserwować zacho-

wanie literatów. Może nie tyle samych pisarzy, co ich otoczenia. Z wykształcenia był socjologiem, to i nie dziwota, że miał takie hobby.

– Wasza sprawa, gdzie będziecie szperali. Ja, jeśli kolega naczelnik pozwoli, jestem gotów porozmawiać z panią Brumelową. Być może przy jej pomocy ustalę rzeczywisty portret tego, który mnie straszył – powiedział Syski, zbierając się do wyjścia. – Najpierw chciałbym skończyć rozmowę z Lizakiem i albo go wypuścić, albo zabrać do Zielonejgóry. Pewnie jednak najlepiej zrobię, jeśli całe śledztwo zacznę od początku.

Socha pokiwał głową z aprobatą. Gdy Syski wyszedł z pokoju, poprosił grafika, aby zostawił mu obie wersje portretu i wszystkie szkice robocze.

– Dam je analitykowi. Niech przygotuje rysopis psychologiczny – postanowił. – Na tej podstawie i po wyjaśnieniach Brumelowej pan stworzy trzecią wersję wizerunku brodacza.

Jeszcze grafik nie zamknął za sobą drzwi, a Socha już wysunął szufladę biurka, wyjął z niej raport, jaki na jego polecenie sporządził aspirant z sekcji obserwacji. Nawet nie starał się o zezwolenie prokuratora – doskonale wiedział, że bez zgody sądu takiego papierka nie dostanie – mimo to kazał założyć podsłuch w pokojach Syskiego i Satecka. Nie powiedział o tym dyrektorowi hotelu ani szefowi komendy stołecznej. Gdyby jednak tą drogą zdobył informacje istotne w sprawie zabójstwa Brumela, prokurator najwyżej pogroziłby mu palcem, a zastępca komendanta zrugął jak święty Michał diabła na weselu.

– O osobistą rozmowę prosi asystent prezesa telewizji publicznej – oznajmiła mu sekretarka przez interkom.

– Wszelkich informacji udziela rzecznik prasowy komendanta.

– Wiem, szefie, lecz on okrutnie nalega.

– Nie po to pani tam siedzi, aby każdy miał do mnie dostęp. Trzeba zachowywać się stanowczo, a nie jak wdowa na plaży. No, niech pani wyjątkowo łączy. – Gdy usłyszał asystenta, ostrzegł go, że nie odpowie na żadne pytanie. – Obowiązuje mnie regulamin wewnętrzny służby – dodał usprawiedliwiająco.

– Dziś rano anonimowy rozmówca zawiadomił sekretariat mojego prezesa, że wszedł w posiadanie sześciu filmów, wykonanych na DVD w mieszkaniu sekretarki Ruchu Centrum. Powiedział, że jeśli telewizja spełni jego oczekiwania, a są one, niestety, wygórowane, to kompakty przekaże do wykorzystania.

Czubkiem buta nadkomisarz natychmiast włączył dyktafon i palcem lewej dłoni wcisnął klawisz interkomu. Następnie zakrył ręką mikrofon słuchawki i polecił sekretarce, aby natychmiast skontaktowała się z dyżurnym inżynierem w sekcji łączności.

– Niech sprawdzi numer telefonu, z którym pani mnie połączyła. Postaram się jak najdłużej być na linii – wyjaśnił jednym tchem. Następnie oderwał dłoń od słuchawki, odchrząknął kilka razy, jakby coś uwięzło mu w gardle i spytał: – Jakie oczekiwania miał na myśli ten wasz rozmówca, że potrzebujecie pomocy policji?

Zamiast odpowiedzi usłyszał pytanie:

– Ile prawdy jest w tym, że asystentka Kleszcza o imieniu Iwetta jakiś czas temu została uduszona w swoim mieszkaniu przy Frascatti?

– Pan nie odpowiedział na moje pytanie. Jakież więc oczekiwania miał na myśli rozmówca? – powtórzył Socha ostrzej.

– Za chwileczkę. Najpierw niech pan odpowie na moje pytanie.

– W tej sprawie powinien pan skontaktować się z rzecznikiem prasowym komendanta stołecznego.

- Właśnie odesłał mnie do pana.
- Musiałbym to... – urwał, lecz po kilku sekundach powiedział: – Nie zaprzeczam i nie potwierdzam, że prowadzimy śledztwo. Nic więcej nie powiem.
- Wystarczy. A wracając do pańskiego pytania, to oczekiwania naszego rozmówcy wiążą się z pieniędzmi.
- Dużo chce?
- Półtora tysiąca eurów.
- A-ma-tor!
- Trzeba je przekazać na konto stowarzyszenia Pomoc. Dówód wpłaty wetknąć za szybę okienka na poczcie przy Świętokrzyskiej, gdzie się odbiera listy polecone. W ciągu dnia obiecywał dostarczyć klucz do skrytki, w której leżą kompaktki.
- Sekretarka bezszelestnie wsunęła się do pokoju naczelnika, na biurku położyła karteczkę z numerem centrali telefonicznej telewizji i jak aktorka mimiczna kilkoma ruchami rąk wyjaśniła, że jest to ten numer, z którym został połączony jego aparat.
- Czy kierownictwo telewizji podjęło decyzję?
- Naturalnie.
- Jaką?
- Po tym, co i pan potwierdził, prezes poleci spełnić żądanie kontrahenta.
- Gdzie i o której godzinie zamierzacie wpłacić gotówkę? – Socha przywołał ręką sekretarkę. – Wolałbym, aby to miało miejsce właśnie na poczcie głównej za dwie godziny.
- Będzie to możliwe – zapewnił go asystent prezesa.
- Domyślam się, że pan osobiście mówił z... – chwilę zastanawiał się nad tym, jak nazwać rozmówcę asystenta – z nieznanym kontrahentem. Czy był stanowczy? Może się jąkał albo zachowywał jakoś tak...?
- Musiał skończyć studia aktorskie lub seminarium duchowne. Z taką dykcją znalazłby pracę w naszej redakcji ka-

tolickiej – orzekł asystent prezesa ironicznie. – Jeśli pan sobie życzy, prześlę nagranie do przesłuchania. My, podobnie jak policja, rejestrujemy wszystkie rozmowy. Na wszelki wypadek, niestety.

Warszawa, Aleje Ujazdowskie, 12 października, przedpołudnie

Syski uwierzył bokserowi. W trakcie przesłuchania w komendzie stołecznej zadał mu tyle pytań, że nawet człowiek bardzo inteligentny, wykształcony, sprytny, dałby się złapać na łgarstwie.

– Nic mi nie wychodziło, panie władzo, to potrzebowałem pomocy. Ale nie od Tomka. Było mi głupio. On miał wszystko, a ja nic – przyznał się Lizak bez wstydu. – Wolałem wyciągnąć rękę do obcego. Zresztą Lichaj mi nie dawał na krzywy ryj, on płacił za robotę.

– Cyganik wyboksował willę, auta, firmę i kosztowności – ni to spytał, ni stwierdził z rozmysłem Syski.

– Jak wyboksował? – Uderzył w śmiech Lizak. – W Polsce na boksie można stracić zęby, rozum i kolegów. Tylko jednemu się udało.

– Pietrzykowskiemu.

– Co Kulej ma z tego, że był najlepszy na trzech olimpiadach? A Walasek...? A Grudzień...?

Socha i Syski przyznali mu rację w myślach.

– Czy Lizak pisnął, jak Cyganik został bogaczem?

– Na to pytanie odpowiem ci na pewno. Kiedy? Tego nie wiem, ale odpowiem. – W głosie Syskiego, jeszcze parę minut temu pełnym rezygnacji, brzmiał niczym nieuzasadniony entuzjazm. – Miałem wziąć urlop. Nic z tego. Od jutra przestaję szukać morderców, a zaczynam być policjantem skarbowym. Myślę, że u finansistów zdobędę odpowiedź na twoje pytanie. I na moje: kto go zabił?

– Oraz dlaczego?

– Takiej pewności nie mam.

Daniel zatrzymał się i odwrócił.

– O co chodzi?

– Po raz pierwszy widzę ciemnowiśniową lancję.

– WXB7838?

– Wiśniowym peugeotem jeździ Lichaj. WXB7388. Na pierwszy rzut oka tabliczki rejestracyjne tego auta i auta Lichaja są identyczne.

– Przypadek – skwitował Syski i, niczego nie tłumacząc, wskazał głową krępy gmach Prokuratury Generalnej. – Za godzinę spotkamy się na parkingu przed hotelem. Mam nadzieję, że do tego czasu zdołasz wypożyczyć interesujące nas płytki.

Warszawa, ul. Barska, 12 października, południe

Nadkomisarz umówił się z Wilczkiem na spotkanie. Nieśmiało wszedł do sekretariatu pierwszego zastępcy prokuratora generalnego, jeszcze bardziej płochliwy otworzył drzwi do jego gabinetu i zanim usiadł w fotelu, wysypał z siebie wszystkie kurtuazyjne zdania, jakie wypadało wygłosić przed kolegą ze studiów, który miał rangę podsekretnarza stanu.

Dwa miesiące po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Wrocławskim obaj spotkali się w Zielonej Górze i zamieszkali w sublokatorskich pokojach domku przy ulicy Wiejskiej, którego właścicielką była wdowa po kimś z bezpieki. Syski szybko wdział na siebie mundur oficera śledczego, Wilczek wolno wspinał się po drabinie kariery prokuratorskiej. W trudnej do wyjaśnienia sytuacji jego żona spowodowała wypadek i zmarła w drodze do szpitala. Cztery miesiące później poprowadził do ołtarza dużo młodszą od siebie wnuczkę prokuratora Herrmanna, którą nie wiadomo dlaczego dziadek wysłał na aplikację prokuratorską do Żagania. Tydzień przed drugim ożenkiem Wilczek wstąpił do Porozumienia Obywatelskiego, a dwa dni po ślubie został szefem proku-

ratury okręgowej. Podczas kolacji garstki zielonogórskich demokratów z Sadowskim, wtedy premierem skłóconego rządu, stanął w obronie jego koncepcji. Miesiąc później siedział za biurkiem w gabinecie pierwszego zastępcy prokuratora generalnego. Z trzypokoikowego mieszkania na osiedlu Słonecznym w Zielonejgórze przeniósł się do willi na Mydlarskiej na warszawskim Aninie. Podobno, ale o tym Syski dowiedział się w Klubie Dziennikarza, gdzie oddzielenie prawdy od fałszu było tak samo niemożliwe jak odróżnienie publicysty od kapusia, willę kupił dziadek drugiej żony Wilczka na początku lat pięćdziesiątych od rodziny kogoś, kogo wcześniej oskarżył o, jak to się wtedy tłumaczyło, próbę obalenia ustroju przemocą.

Wilczek wyjął z barku dwie kryształowe szklanki i napełnił je whisky prawie do połowy.

– No to siup.

– No to siup – powtórzył Syski. – Nalej mi jeszcze jedną dawkę – postawił pustą szklankę na stoliku, rozpiął marynarkę i podszedł do okna. Chciał, ale nie miał odwagi spytać, komu Wilczek zawdzięcza błyskawiczną karierę: żonie, jej dziadkowi czy może komuś innemu, kogo nazwiska się nie wymienia? Z góry dostrzegł lśniąca wiśniowym lakierem lancję, na którą zwrócił uwagę Daniel. – WXB7838 – na głos odczytał znaki rejestracyjne.

– Pewnie ci się podoba? – spytał Wilczek zadowolony i nagle jakby zdrętwiał. Co odpowie, jeśli Syski zacznie wypytywać o auto? Może już wie, kto jest jego właścicielem? Zrobiło mu się gorąco. Otarł ręką czoło. – Osobliwie mocna whisky – powiedział i włączył wentylator, który stał na biurku. – Co tym razem sprowadza cię do stolicy?

Przez chwilę cisza panowała w gabinecie. Syski zastanawiał się, jak odpowiedzieć na jego pytanie, aby nie wyjść na prowincjonalnego patafiana.

- Byłeś na urlopie? Gdzie? Z kim? – wyręczył go Wilczek.
- Na urlop najczęściej jeżdżę w Sudety i wyłącznie z żoną. W tym roku wyjątkowo wybieramy się do Czech, ale pewnie nic z tego nie będzie.
- A to dlaczego? – spytał Wilczek jakby ze zmartwieniem w głosie.
- Ze względu na...
- Sprawę Kotkowiaka jutro przejmie komenda główna.
- W willi na osiedlu Kwiatowym została wymordowana rodzina Cyganików...
- A coś obito mi się o uszy. – Wilczek uciekł wzrokiem na okno.
- ... dlatego zatrzymałem Zygmunta Herrmanna – dokończył Syski. – Nie wiedziałem, że jest bratem twojej żony, czyli twoim szwagrem.
- Jak nie wybieramy sobie rodziców, tak i nie wybieramy szwagrów.
- Syski przytaknął. Nie dał poznać po sobie, że nareszcie uzyskał potwierdzenie tego, czego się domyślał, a czego nikt nie chciał poświadczyć.
- Zygmunt Herrmann został zwolniony z aresztu prewencyjnego. – Patrząc koledze w oczy, Syski dodał: – Na twoje polecenie.
- Skąd ta pewność? Widziałeś jakieś pismo z moim podpisem?
- Jestem policjantem kryminalnym.
- Wilczek drżącą ręką podniósł szklankę i odwrócił się plecami do nadkomisarza.

Zielonagóra, ul. Wąska, 13 października, ranek

Pryncypał pewnie zechce ze mną rozmawiać o tym, co ustaliłem w Warszawie. Szefa w zasadzie nie interesują codzienne sprawy mojego wydziału, ale niekiedy prosi o do-

kumenty przed złożeniem ich w prokuraturze i wtedy wtyka swoje trzy grosze. W gruncie rzeczy kółko się zamyka, powiem, choć na razie niewiele mam do przedstawienia, bo nie zebrałem żadnych oświadczeń, zeznań czy dowodów winy na piśmie, to formalność do załatwienia przez początkującego aspiranta. Najważniejsze, że wreszcie domyślam się, komu zależało na wysłaniu Cyganików do świętego Piotra. Idąc długim korytarzem Syski miał dużo czasu, żeby wyobrazić sobie, jak zareaguje zastępca komendanta, gdy usłyszy nazwisko podejrzanego.

– Prosiłżeś o urlop.

– Taki miałem zamiar, szefie, lecz teraz, po tym co ustaliłem w stolicy, muszę skorygować prywatne plany. Żona trochę mi truje – zachnął się – ale pewnie zgodzi się na wczasy w zimie.

– Nie masz powodu cokolwiek zmieniać w swoim kalendarzu. Żyjemy w kraju demokratycznym, gdzie każdy może robić to, co uważa za słuszne. To było: po pierwsze. Po drugie: termin twojego urlopu został zatwierdzony przez komendanta i jakiegokolwiek zmiany nie wchodzi w rachubę. – Podinspektor mówił to zza biurka, ze wzrokiem ślizgającym się po frankach, zyrandolu, nawijając krawat na palec.

– Nie przypuszczałem, że sprawa Cyganików będzie taka trudna. Doprowadzę ją do finału i dopiero wtedy...

– Już nie prowadzisz tej sprawy.

– Wolne żarty. Ja...? – Syski przez chwilę wyglądał jak balon, który lada moment pęknie z wielkim hukiem. – Zostałem odsunięty od zabójstw w willi, zgoda. A dlaczego?

– Z regulaminu służby policyjnej nie wynika, aby przełożony miał obowiązek tłumaczyć się przed podwładnym.

Syski oniemiał na moment. Podinspektor nigdy nie zachowywał się w jego obecności tak, jakby znali się tylko z odpraw u komendanta. Nawet nie przyszło mu na myśl, że w czasie

jego pobytu w Warszawie coś mogło się zmienić w zasadach prowadzenia śledztw, a tego szczególnie. Nieźle mu odbiło, pomyślał i powiedział zdecydowanie:

– Doprowadzę sprawę Cyganików do końca, bo już wszystko wiem. Prawie wszystko – poprawił się.

– Oto twoja karta urlopowa – zastępca komendanta przesunął dokument na skraj biurka. – Spotkamy się za dwa miesiące.

Syski przebiegł wzrokiem treść karty.

– Nie prosiłem o podwójny urlop – zachrypiał z goryczą i oparł się o drzwi. – Czym sobie zasłużyłem na dwumiesięczne nicnierobienie? – warknął rozdrażniony.

Podinspektor wytrzymał jego spojrzenie.

– Nazbierało ci się za soboty i niedziele. Kadrowiec odnotowuje każdy dzień ponadnormatywnej pracy policjanta – tłumaczył zastępca spokojnie, akcentując trzy ostatnie słowa. – Coś jeszcze, nadkomisarzu? – spytał ze sztuczną wyższością.

– Tak.

– Byle szybko.

Ale Syski ugryzł się w język i zamiast wyrzucić z siebie to, co go przed chwilą ukłuło pod serce, powiedział:

– Gdyby jednak moja pomoc w sprawie Cyganików była niezbędna, jestem gotów do natychmiastowego przerwania urlopu.

Podinspektor pokiwał głową.

– Wezmę to pod uwagę. Jestem jednak przekonany, że twoja ofiarność będzie zbędna.

Syski dźgnął oczyma zastępcę komendanta tak mocno i celnie, że podinspektor natychmiast spąsował i odwrócił się do niego plecami, jakby coś musiał ukryć. Chciał mu jeszcze powiedzieć, że się zeszmacił, ale uznał to określenie za zbyt łagodne w stosunku do tego, jak się zachował jego zwierzchnik.

– Czy dziś rano telefonował zastępca prokuratora generalnego? – spytał sekretarkę takim głosem, jakby spodziewał się pilnej informacji od Wilczka.

Nie odrywając wzroku od klawiatury komputera, na której przepisywała jakieś pismo urzędowe oznaczone klauzulą tajności, pokręciła głową. Gdy Syski westchnął niezadowolony, powiedziała:

– Ale wczoraj szef konferował z... – zerknęła na kartkę – prokuratorem Wilczkiem. Zaraz po tej rozmowie wezwał kadrowca. Była dokładnie piętnasta, kiedy kazał szukać pana nadkomisarza po całej Warszawie. Naiwny, zapomniał, że znalezienie igły w stogu siana jest możliwe. Zresztą nie pierwszy raz – dodała porozumiewawczo.

– Podinspektor jest moim szefem i zawsze ma rację, proszę pani – podkreślił Syski, co ona przyjęła bez zastrzeżeń, aczkolwiek uśmiechając się dwuznacznie.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 13 października, wczesny wieczór

Do domu Syski wrócił z bukietem złocistych chryzantem, ale nie powiedział żonie, że przez dwa miesiące będzie miał aż za dużo wolnego czasu. Wstydził się przyznać do porażki.

– Coś cię gryzie? – zauważyła po późnym obiedzie.

– Staram się uporządkować wyniki śledztwa – skłamał. – Pewnie gdzieś się zaplątałem.

– Nawet święty Franciszek nie był doskonały – westchnęła głęboko i objęła go współczującym spojrzeniem. Zawsze, ilekroć miał jakieś kłopoty, żona wyczuwała to natychmiast, jakby tkwiła w każdej jego cząsteczce.

Aż do wieczoru leżał na wersalce i udawał zmordowanego, w rzeczywistości zastanawiał się, jak jej powiedzieć, że pierwszy raz w życiu został odsunięty od śledztwa i wysłany na przymusowy urlop.

Sateck, gdy następnego dnia dowiedział się o tym w Klubie Dziennikarza, poradził mu, aby nie rezygnował. Czy morderstwo na Kwiatowym ma związek z uduszeniem Iwetty?

– Nie chodzi o przyczyny zabójstwa. Ważniejsze jest nazwisko zbrodniarza i kiedy ich zaciachał.

– W dzień, co ja mówię! w ciągu godziny czy kilkunastu minut wszystko dałoby się wyjaśnić. Pod jednym warunkiem.

– Zawsze pojawia się jakiś jeden warunek. Najtrudniej go spełnić, bo najczęściej nie od ciebie on zależy. Nasze życie byłoby prostsze i przyjemniejsze, gdyby nie ten jeden jakiś warunek.

– Tak w ogóle to trudno ci zaprzeczyć. Co do mnie...

– Jaki jest ten jeden warunek, od którego zależy twoje powodzenie? – spytał z wyższością w głosie Sateck. – Chodzi o tryumf dobra nad złem?

Syski przymrużył oczy i wolno, prawie sylabizując, powiedział:

– Wszystko może być jasne, pod warunkiem że mój kolega ze studiów, obecnie pierwszy zastępca prokuratora generalnego, zechce gadać.

Sateck spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Przedwczoraj byłeś u niego i, wydawało mi się, nie miał żadnych oporów.

– A wczoraj rano zostałem odsunięty od sprawy, w którą, na razie jest to wyłącznie moje przypuszczenie, są wpłątane osoby nie tylko z lokalnego świecznika. – I dopiero teraz opowiedział, jak naprawdę wyglądało spotkanie z Wilczkiem. Nie ukrywał niczego, nawet tego, że prokurator był spięty, pocił się, spoglądał na zegarek, umykał wzrokiem za okno, gdy pytania dotyczyły jego spraw prywatnych. – Zaproponowałem mi przejście do Interpolu albo do grupy specjalnej w ramach prokuratury. Kto włada językiem angielskim, mówił, nie powinien się obawiać o pozbawienie go zajęcia.

Sateck dopił czwarty kufel i uniesioną lewą ręką dał znak kelnerce, żeby przyniosła mu jeszcze jedno piwo. Z jego twarzy nie zginął pełen sceptycyzmu grymas.

– A czy rozumiesz, w jaki sposób zwyczajny nauczycielczak, mam na myśli Cyganika, stał się majątnym obywatelem Zielonejgóry? Majątnym i, wyszło po śmierci, najbardziej tajemniczym parweniusem?

Pytania Satecka już nie interesowały Syskiego. Przyszło mu do głowy, że powinien porozmawiać z doktorem Muchem, lecz tym razem nie o obrazach z willi Cyganika, ale o pierwszej żonie Wilczka. Dlaczego prokurator nigdy nie domagał się od policji, aby bez względu na powikłania ustaliła, w jakich okolicznościach Wilczkowa spowodowała wypadek drogowy? Nie miał pewności co do tego, czy Wilczkowa pracowała w muzeum jako zastępczyni Mucha, czy jako kierowniczką działu sztuki dawnej, ale to przecież zaraz można sprawdzić w archiwum gazety.

– Na słówko, panie Boruta – zaczął emerytowanego dziennikarza, prawie od pół wieku co tydzień piszącego do gazety „Donosy z Winnicy”, którego prawdziwego nazwiska już nikt nie pamiętał.

– Kto był zastępcą dyrektora Muzeum Środkowego Nadodrza przed doktorem Cyferblumem?

– Postawisz setę? – spytał felietonista i nim Syski zdążył otworzyć usta, zawołał na kelnerkę, aby mu przyniosła wódkę. – Prokuratorowa.

Syski zapamiętał krotocwilną twarz Wilczkowej, gdy chyba na rok przed wypadkiem zaprosiła go do winiarni pod ratuszem; wtedy z demonstracyjną radością mu się chwaliła, że jest pierwszą zielonogórzanką, która dostała stypendium badawcze rządu fińskiego i wyjeżdża do Tampere. Nie orientowała się, gdzie to miasto leży ani jak się tam dostać. Gdy może miesiąc później wpadł na nią na deptaku przed hote-

lem Śródmiejskim i ciekaw wrażeń z Finlandii zaprosił do winiarni, wykreśliła się jakąś nagłą sprawą w domu. Swoje zaproszenie ponowił przy okazji spotkania w księgarni, lecz i wtedy miała coś pilniejszego do załatwienia, a kilka dni później dowiedział się z gazety, że zawiozła do Tampere wystawę malarstwa dawnego ze zbiorów Muzeum Środkowego Nadodrza.

– Z jakiego kraju pochodzą części do dekodeków, które montuje Finpol, firma Cyganika?

– Z Finlandii – odparł Sateck zaskoczony jego pytaniem. – A jaki to ma związek z Wilczkiem?

– Jeszcze nie wiem.

Zielonagóra, ul. Trasa Północna, 14 października, bardzo wczesne południe

Nareszcie nadkomisarz zaprowadził swoją škodę do warsztatu. Dawno powinien to zrobić, lecz ciągle wypadało mu coś ważniejszego do załatwienia. Dowcipny mechanik, któremu ufał bardziej niż niejednemu policjantowi w swoim wydziale, zajrzał pod maskę i aż zagwizdał.

– Za ile mam przyjść? – spytał Syski.

– Pan pewnie chciałby jutro rano odebrać auto.

– Dziś przed wieczorem – rzucił i już go nie było w warsztacie.

Po dwudziestu minutach jazdy Syski wysiadł z zatłoczonego autobusu; gdy spytał o drogę do Finpolu, młodzieniec w skórzanej kurtce najpierw długo mu się przypatrywał, jakby był nie z tej ziemi, później podniósł głowę i pokazał niemo na kolorowe logo uczezione ściany. Syski nie przypuszczał, że montownia dekodeków zajmuje halę, w której niedawno była fabryka dźwigów budowlanych.

– Jeszcze rok temu przyjmowali każdego. Teraz roboty pan nie znajdzie w Finpolu, choćby miał pan złote ręce i stopień

naukowy doktora habilitowanego nauk technicznych w zakresie informatyki – oznajmił mu młodzieniec ze znajomością rzeczy.

– Pełne nasycenie rynku? – Udawał dyletanta, co przychodziło mu bez trudu.

Młodzieniec pokręcił głową.

– Zainteresowanie dekoderni jest ogromne. Zakład nie nadąza. Gdyby hala była pięć razy większa, ludzie tyrali na trzy zmiany przez cały tydzień, to i tak ani jeden dekoderni Finpolu nie dostałby się na polski rynek.

– Dlaczego? – Tym razem Syski naprawdę nie rozumiał, o czym mówi młodzieniec.

– W Zielonejgórce je montujemy, ładujemy do kontenerów i wysyłamy do Tampere w Finlandii. Stamtąd z etykietką „Made in Finland/Suomi” płyną statkami na wszystkie kontynenty. Najwięcej do Ameryki Południowej.

– Przecież z Polski bliżej na kontynent południowoamerykański.

– Gdyby dekodery były ładowane na statki w Gdyni, hurtownicy wywachałoby, że nie są to produkty fińskie. Na świecie liczy się jakość, ale i, a może przede wszystkim, marka.

Syskiemu przyszło do głowy, że zanim wejdzie za bramę, dostanie się na rozmowę z księgowym czy z naczelnym inżynierem, powinien przepytac młodzieńca, bo pewnie powie mu więcej niż niejeden znajomy Cyganika.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to montownia jest przedsiębiorstwem mieszanym rodzaju *joint venture*.

– Części, gotowe podzespoły, nawet kartony dostarczają fabryki Attiego Hywarinena z Finlandii i Rosji. Do niego należy czterdzieści dziewięć procent Finpolu. Pozostałe udziały miał Polak Tomasz Cyganik.

– Miał, czyli już je sprzedał? – spytał z udanym zaciekawieniem. – Pewnie nieźle zarobił.

– Na dębową trumnę.

– Co pan powiedział? – Syski popisowo grał rolę, którą sobie wyznaczył.

– Jakies dwa tygodnie temu wykończyli Cyganika. Na amen. Jak baranowi poderżnęli gardło. Nie pomogły fotokomórki, superalarmy, blokady, drzwi pancerne, nawet szkolne rottweilery.

– Mówi pan...?

– Nie czytał pan w gazecie?

– Czy wiadomo, kto to zrobił?

Młodzieniec nie wyglądał na takiego, który udaje przerażonego; mimo upływu czasu musiał być istotnie wstrząśnięty zdarzeniem na osiedlu Kwiatowym.

– A czy zostało oficjalnie wyjaśnione, co rzeczywiście spowodowało wybuch w samochodzie, którym jechał prokurator Kotkowiak? – spytał ku zaskoczeniu Syskiego. – Słyszałem wypowiedź kierowcy w radiu. Zwierzała się pasażerka. Biegli wydali opinię. Co jeszcze trzeba, żeby padła odpowiedź na zasadnicze pytanie?

– Kotkowiak... to wielka polityka – zasugerował po krótkim namyśle policjant.

– Cyganik to również polityka, tyle że z innej półki. I również wielka, wszak dotyczyła wielkich pieniędzy.

Syski przygryzł wargi. Takiego stwierdzenia nie oczekiwał. Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

– Ten Fin, Hywarinen, tak? w jaki sposób zawiązał firmę z Cyganikiem?

Młodzieniec najpierw wzruszył ramionami, później odparł, nie podejrzewając podstępu w pytaniu policjanta:

– Ludzie, nawet prości, potrafią rozwiązać bardzo skomplikowane krzyżówki rodzinne. Podobno żona Hywarinena jest kuzynką teścia Cyganika. A Rebeka, nim został jego teściem, był ubekiem. Którego mój dziadek za dobrze pa-

mięta. Przez niego cztery lata siedział we Wronkach z wyrokiem śmierci.

Nie jesteś byle kim, młodzieńcze. Pewnie mógłbyś mi więcej powiedzieć o Cyganiku, gdybym cię przydusił? Syski już miał na końcu języka pytanie o związek młodzieńca z Finpolem, gdy usłyszał za sobą:

– Pan nadkomisarz tu?

Obejrzał się i zaklął wściekle. Dyrektor Much!

– Pan z policji? – zachnął się młodzieniec. – Pewnie nie grozi mi kryminał. Zresztą nic takiego nie powiedziałem.

– Pan pracuje w Finpolu jako kto?

– Jestem jednym z dwóch głównych inżynierów – odrzekł już innym tonem młodzieniec.

– Główny inżynier jeździ do pracy miejskim autobusem? Nie mercedesem z bajerami albo granatową lanią z klimatyzowaną kabiną? – ironizował raczej niż dopytywał się Syski.

– Cyganik był skąpy. Płacił tyle, ile wynosiła przeciętna pensja w branży elektronicznej. Raz w roku, zawsze przed Bożym Narodzeniem, całej załodze dawał prezenty. Nie uznawał imienin czy urodzin.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 14 października, wczesne przedpołudnie

Słońce przebiło się przez przedpołudniowe chmury. Syski miał dużo czasu, dlatego postanowił wrócić do centrum miasta piechotą. Idąc ulicą Sulechowską w rozpiętej kurtce, z rękoma założonymi do tyłu, jakby się wybrał na spacer, analizował to, co mu powiedział inżynier. Do coraz większej grupy osób, którymi się interesował, dołączył teścia Cyganika. Wiedział o nim bardzo mało, prawie nic. Uzmysłowił sobie, że najpierw powinien poznać życiorys Rebeki, ale nie ten, który zastępca komendanta gryzmolił własnoręcznie,

lecz taki, który tkwi między pożółkłymi aktami Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Był na alei Niepodległości, dawniej reprezentacyjnej ulicy ocienionej lipami, kilka lat temu zamienionej na deptak, skąd wszędzie można się dostać w ciągu paru minut. Paryż zachwyca Polami Elizejskimi, Nowy Jork szczyli się Wall Street, Łódź wabi Piotrkowską, najdłuższą ulicą w środkowej Europie, a Zielonagóra ma aleję Niepodległości z kafejkami, barami, galeriami, butikami, gwarną dzień i noc.

Lecz teraz Syski nie dostrzegął uroku alei, pochylony maszerował pewnym krokiem i zachodził w głowę, w jaki sposób zdobyć informacje o teściu Cyganika. Wszedł do budynku redakcji *Gazety Zielonogórskiej*, gdzie chyba od początku świata był Klub Dziennikarza, i stamtąd zadzwonił do aspiranta. Nie spytał go, jak sobie radzi, tylko polecił, aby sprawdził, czy teczka personalna Rebeki jeszcze jest w magazynku działu kadr, czy już leży w Archiwum Państwowym. Po kwadransie odezwał się Araszkiewicz:

– U nas nikt nie ma pojęcia, gdzie są ubeckie kwity.

Syski nie wierzył. Przecież ci, którzy byli ubekami, jeszcze żyją i czasem są im potrzebne świadectwa pracy albo inne dokumenty z tamtych lat. Kadrowiec komendy musi wiedzieć, gdzie szukać papierów. Ale pomyślał, że już nieliczni historycy zajmują się powojennymi dziejami Środkowego Nadodrza. Ci, którzy roztrząsają wydarzenia sprzed pół wieku, rzadko podpierają się dokumentami źródłowymi, jakby im nie ufali, częściej natomiast przepytują żywych świadków.

– Czy kadrowiec cokolwiek wie o Rebecie?

– Gdy pułkownik Rebeka był zastępcą komendanta, panie nadkomisarzu – zaakcentował aspirant – mamusia naszego kadrowca siusiała w pieluszkę.

Zawstydził się, bo i on, policjant po pięćdziesiątce, wie tyle o bohaterach czasów postalinowskich, ile usłyszał od ojca

i przeczytał w książkach. A kadrowiec jest przecież od niego dużo młodszy.

– Radzę zorganizować ekspedycję do Archiwum Państwowego – podpowiedział aspirant. – Jego szefem jest germanista z wykształcenia, historyk z zamiłowania, żaganianin z urodzenia. W dodatku gawędziarz i ...

– Dość tej zachwalanki – przerwał mu twardo Syski. – Jak się on nazywa?

– Słyszał pan o profesorze Gardockim?

– Henryku? – spytał, aby się upewnić, że aspirant ma na myśli człowieka, z którego pomocy policja często korzystała.

– Henryk Piotr. Był promotorem mojej pracy magisterskiej.

Syski miał w głowie już co innego, mimo to spytał:

– Jak się panu pracuje pod bezpośrednim nadzorem zastępcy komendanta?

– Szef kazał mi przygotować wniosek do prokuratury o zawieszenie śledztwa w sprawie Cyganików. Od rana męczę się nad uzasadnieniem. Nic logicznego nie przychodzi mi do głowy.

– Coś pan wymyśli – rzucił Syski cierpko i wyłączył komórkę.

Grzmotnął pięścią w ścianę, bo nagle postanowił, że nawet za cenę zwolnienia z policji rozwiąże zagadkę śmierci Cyganików. Jeszcze nie wie, w jaki sposób, ale pewnie to, co mu powie Gardocki, wskaże drogę do morderców.

Zadzwoił do Archiwum Państwowego, jak mu podpowiedział aspirant, przedstawił się sekretarce i bez żadnych wyjaśnień poprosił o połączenie z dyrektorem.

– Wykluczone – powiedziała stanowczym głosem. – Jeśli ma pan sprawę służbową, proszę kontaktować się z wicedyrektorem naszej placówki.

– Nadkomisarz Syski z wydziału kryminalnego – przedstawił się jeszcze raz.

– Zrozumiałam. Nazwisko pana nadkomisarza nie jest mi obce. Mój mążzonek również pracuje przy Wąskiej, dawniej Partyzantów. Wracając do prośby to chciałam wytłumaczyć, ale pan nie dał mi dojść do głosu, że dyrektor Gardocki wykorzystuje zaległy urlop. O ile wiem, to odpoczywa na niby czyli, w pocie czoła pracuje nad nową książką.

– *Dammit...* – zaklął po angielsku i zaraz przeprosił sekretarkę. Po namyśle spytał, czy profesor wyjechał z miasta.

– Zabronił mi udzielać jakichkolwiek informacji – przyznała się, ale zaraz dodała: – Jego adres znajdzie pan w książce telefonicznej.

Zielonagóra, ul. Jedności, 14 października, późne popołudnie

Sateck miał się dowiedzieć, do kogo wcześniej należała działka na Kwiatowym i kiedy Cyganik postawił na niej swoją willę. Zajął mu to prawie cztery godziny, bo pełna wdzięku urzędniczka w wydziale budownictwa, którą poprosił o pomoc, najpierw posłała go do biura geodezji, później do architekta miejskiego, w końcu do notariatu, a tam się okazało, że uzyskanie takich informacji bez zgody sądu nie jest możliwe. Starał się wszelkimi sposobami przekonać do siebie notariuszkę, lecz ona była nieustępliwa.

– Pan redaktor wie, co to jest tajemnica zawodowa.

– Nikt się nie dowie.

– Pan się dowie i wykorzysta informację w swojej publikacji. Może ani jeden czytelnik nie zwróci na nią uwagi, albo, czego się obawiam, ten fragment pańskiego tekstu stanie się podstawą analiz służb specjalnych – powiedziała, starannie dobierając słowa. – Jeśli nie w ciągu najbliższego roku, to za dwa czy pięć lat sprawa Cyganików znajdzie się na wokandzie sądu. Są ofiary, muszą więc być i sprawcy. Może sąd przepro-

wadzi proces poszlakowy? Wskazanie winowajcy nie będzie łatwe, a ukaranie wręcz niemożliwe. Zapewne sąd przesłucha wszystkich świadków, w tym i informatorkę – pokazała palcem na siebie – i się okaże, że notariuszka naruszyła ustawę o notariacie. Najłagodniejszą karą może być utrata zaufania klientów. Może też być pozbawienie prawa wykonywania zawodu.

Nie chciał przyznać jej racji, choć zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie tak Izba Notarialna powinna postąpić. Cóż jemu kto zrobi? Dziennikarz jest tym lepszy, im więcej ujawni faktów.

– Kto mi powie, czy kiedykolwiek Cyganik sporządził testament?

– Adwokat.

– Miał osobistego adwokata?

Skinęła głową, uśmiechając się kusząco. Sateck pomyślał, że wcale nie jest taka, za jaką ją wziął przed paroma minutami, gdy nie chciała odpowiadać na pytania.

– Zmusza mnie pani do zgadywania. – Nie spuszczał wzroku z jej pulchnych, ładnie ukształtowanych ust i perfekcyjnie podcieniowanych oczu. – Czy ów adwokat jest mi znany?

– Tak – odpowiedziała z drapieżnym uśmiechem.

– Mężczyzna?

Tym razem mrugnęła.

– Jak się nazywa?

– Jeden spośród naszych posłów.

– Jest pani zręczniejsza niż najlepsza nauczycielka – stwierdził.

– O Boże, Boże, co za człowiek – westchnęła kokieterycznie.

Podniósł się z niezbyt wygodnego krzesła, torbę przerzucił przez ramię, zrobił krok w stronę drzwi.

– Zająłem pani aż pół godziny – powiedział przepraszająco i dodał ciepło: – Spróbuję się odwdziżyć.

– Byle nie na łamach gazety. – Również wstała. Podeszła do niego i wyciągnęła dłoń na pożegnanie. Uniósł ją lekko, pochylił się i musnął delikatnie wargami, a wtedy notariuszka dygnęła niby studentka pierwszego roku prawa.

Zielonagóra, ul. Bohaterów Westerplatte, 14 października, późne popołudnie

Pięć minut później był w wieżowcu, wjechał windą na pierwsze piętro, gdzie obok siedziby regionalnego Porozumienia Obywatelskiego mieściło się biuro poselskie Marka Pilnika. Wszedł do niewielkiego, zadymionego pokoju, asystentka powitała go nadskakująco, jakby był dobrym znajomym lub częstym gościem posła i spytała, czy się napije kawy.

– Ależ pani nakopciła – zmierzył ją niby karcąco.

– Niewiele palę, a w miejscach publicznych w ogóle – protestowała. – To mój szef nie umie żyć bez papierosa.

– I pani się nie jeży? – spytał, ale nie czekał na odpowiedź. Zajrzał do sąsiedniego pokoju. Na biurku stał laptop marki Fujitsu & Siemens z wbudowaną drukarką, na pierwszy rzut oka identyczny jak ten w sekretariacie. W popielniczce tlił się papieros. Przez poręcz fotela była przerzucona granatowa jesionka, na niej leżał kapelusz.

– Ostatnio nie mam szczęścia. Co przyjdę do biura... nie zastaję posła. Czyżby mnie unikał?

– Pan Pilnik musiał nagle wyjść. Klient, z którym był umówiony, poprosił o wcześniejsze spotkanie. – Piękna asystentka kłamała po partacku. – Od czasu do czasu, żeby nie wypaść z zawodu, pan Pilnik bierze mniej czasochłonne sprawy sądowe lub stara się pomóc młodszym kolegom. Kiedyś przestanie być posłem i będzie musiał wrócić do palestry.

Sateck był przekonany, że Pilnik nie wyszedł z wieżowca, lecz czmychnął do biura Porozumienia Obywatelskiego bądź ukrył się w toalecie i czeka na sygnał asystentki. No to sobie poczeka choćby godzinę, zdecydował.

Kurtkę powiesił na gwoździu wystającym z boku regału, rozsiadł się w fotelu przy stoliku i poprosił asystentkę, aby ugościła go kawą. Podpatrywał, jak zareaguje na jego życzenie. Bo może powie, że zabrakło wody w czajniku albo musi wyjść do kuchni, żeby umyć filiżanki? Wyjdzie z biura, ale najpierw pobiegnie do Pilnika zdać mu sprawę. A ona podniosła się zza biurka, obciągnęła granatową minispódniczkę, pod którą miała czerwone pończochy lub rajstopy, podeszła do kredensiku, gdzie stał ekspres, filiżankę postawiła na spodeczku i napełniła ją parującą kawą.

– Pije pan z mlekiem czy czarną?

– Nie lubię mleka w żadnej postaci – odrzekł niezadowolony. Jeśli Pilnik rzeczywiście musiał nagle wyjść, to by zostawił jesionkę w biurze? Jeszcze raz zajrzał do drugiego pokoju.

– Przygotowuję tekst o samochodach senatorów i posłów – wymyślił na poczekaniu. – Proszę mi powiedzieć, czym jeździ pan Pilnik?

Nagle asystentka strzeliła śmiechem.

– To pan nie wie? – Musiał mieć dziwną minę. – W czwartek wieczorem poseł zostawił lancję na parkingu przed dworcem. Dzień później wrócił z Warszawy i zamiast samochodu znalazł list. Od piątku poseł z konieczności zapoznaje się z warunkami funkcjonowania komunikacji miejskiej. Nareszcie wie, jaki tłok jest w autobusach.

Sateck nie słuchał trajlowania asystentki przerywanego pustym śmiechem, chociaż kiwał głową jakby się z nią zgadzał. Coraz bardziej był przekonany, że poseł nie poszedł na wcześniejsze spotkanie z klientem, lecz ostrzeżony przed nim

gdzieś prysnął. Nie miał wątpliwości, kto ostrzegł Pilnika. Mimo to spytał:

– Czy przed moim przyjściem ktoś dzwonił do pośła, na przykład notariuszka?

Asystentka znieruchomiła i zaniemówiła, lecz tylko na kilka sekund.

– Do pośła ustawicznie ktoś telefonuje. Jak nie na komórkę to na ten – pokazała ręką telefon na biurku i szybko odwróciła się plecami do Satecka.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 15 października, wczesne popołudnie

O pierwszej trzydzieści mieli się spotkać w Klubie Dziennikarza. Syski przyszedł punktualnie, już wypił dwa piwa i przeczytał *Zielonogórską* od deski do deski, nawet zgłodził, a Satecka jeszcze nie było. To mu się nigdy nie zdarzało, stwierdził i sprawdził w pokoju na drugim piętrze, czy Daniel powiedział swoim kolegom w dziale, o której godzinie wróci do redakcji. Brodacz w kraciastej koszuli, który siedział przy komputerze najbliżej drzwi, burknął opryskliwie, że starsi dziennikarze nigdy nie tłumaczą się przed młodszymi. Co innego początkujący: ci muszą usprawiedliwić każdą swoją nieobecność. Policjant i dziennikarz niewiele się między sobą różnią, pomyślał Syski. Najpierw mają przeczucie, później stawiają hipotezy i robią wszystko, aby dowieść, że są blisko prawdy absolutnej. Lepszy jest ten, który ma więcej szczęścia, choćby nie liczył się z opinią i parciem polityków. Póki wygrywają z poszlakami, ich nazwiska są wymawiane z szacunkiem niemal jak imiona błogosławionych. Gdy przegrywają, wtedy dowiadują się, ilu mieli prawdziwych przyjaciół.

– Postaw setę. – Rozmyślenia Syskiego przerwał Boruta. Zawsze w porze obiadowej stary felietonista przychodził do

klubu. Poklepywany jowialnie przez młodszych, do północy szwendał się między stolikami. Nikt nie miał w sobie tyle odwagi, aby mu powiedzieć: jesteś już zbyt stary.

– Nic za darmo, panie redaktorze.

– Mam zarobić?

– Rebeka. Czy panu to nazwisko z czymś się kojarzy? – spytał Syski wprost.

Stary skinął głową, usiadł ciężko na krześle, wyciągnął prawą rękę po papierosa, lewą zaś pokazał na zapalniczkę.

– Nie ciągnij mnie za język, bo ode mnie niewiele się dowiesz – odparł spokojnie, wypuszczając dym przez nos.

– Pan nie cierpi policjantów.

– Bardzo was lubię, chłopaki. – Boruta zdjął okulary, założył je, znowu zdjął, jakby sprawdzał, czy Syski jest sam, czy z kimś, kogo dotąd nie poznał. – Gdybym nie trafił do dziennikarstwa, też byłbym gliniarzem.

– To dlaczego nie chce pan mówić o Rebecce?

– Mam swoje powody.

– Rozumiem. A mógłbym je poznać?

– Po co?

– Z ciekawości, co przegapiłem.

Boruta zastanawiał się przez chwilę.

– Gdy zostałem czcigodnym emerytem, miałem ochotę napisać wspomnienia. Kupiłem skrzynkę wody, ryżę papieru, usiadłem przy biurku pod oknem w małym pokoju i natychmiast napisałem: Jedynym skurwysynem, jakiego się bałem w redakcji, był Rebeka. Bez niego wszyscy ludzie byliby szczęśliwi, a świat lepszy. Te dwa zdania dźwigałem na grzbiecie czterdzieści lat. Gdy je zapisałem, było mi lżej, nalałem więc szklanę wody i wygulgałem ją duszkiem. Potem drugą, trzecią... Gdy wytrzeźwiałem, dotarło do mnie, że nic więcej nie mam do powiedzenia. – Lewą rękę położył na stoliku: mały palec był ucięty do połowy, serdeczny odarty

z paznokcia, wskazujący koślawy, a kciuk przygięty. – Czy o tym miałem napisać?

– Rebeka?

Boruta skinął głową z wyrazem twarzy, który można by uznać za dobroduszny.

– Pewnie już zarobiłem na setę?

Syski zawołał kelnerkę.

Zielonagóra, ul. Wyścigowa, 15 października, późne popołudnie

Z piętnaście minut Sateck ślęczał nad najświeższym planem miasta, mimo to nie wiedział, gdzie jest ulica Wyścigowa. Sekretarka redaktora naczelnego, która w podobnych sytuacjach zawsze myślała dorzecznie, tym razem nie umiała mu pomóc. Pytał kolegów, lecz i oni wzruszali ramionami albo robili wielkie oczy. Wyścigowa? Nikt nie słyszał o takiej ulicy. Po omacku każdy mógł go zaprowadzić na Dworcową, Wrocławską czy Szosę Kisielińską. Dopiero ochroniarz, uważany za stukniętego mrukliwego wierszokletę, doradził mu, aby wsiadł do zerówki, autobusu krążącego wokół miejskimi zaułkami, i spytał kierowcę, którędy najbliżej na Wyścigową, bo to musi być tycia uliczka na Raculce.

Nie spodziewał się, że daleko za akademikami uniwersytetu, odwróconymi plecami do lasu, będą się wygrzewały w jesiennym słońcu wille i pałacyki, a szeroka, wyłożona bezbarwnymi płytami ulica nosiła nazwę Wyścigowej. Tu powinna być Ażurowa albo Dziurawa. Najpierw długo cmo-kał z zachwytu, potem nacisnął guziczek domofonu, przedstawił się wyraźnie i gdy usłyszał zgrzyt zamka w drzwiach, mocno pociągnął za gałkę.

Przywitał go mężczyzna tęgi, na krótkich nogach, nieogolony, o jeszcze bujnej czuprynie, posiwiatej jedynie na skroniach, w za dużej bonżurce.

– Henryk Piotr Gardocki – powiedział zimnym głosem.
– Jestem w zastępstwie mego znajomego, nadkomisarza Syskiego, który z urzędu prowadzi sprawę morderstwa w willi Cyganika – mówił Sateck, wchodząc za profesorem do domu. – Kolega Syski zamierzał osobiście prosić pana o rozmowę, niestety, wczoraj po południu złamał nogę.

– Dwa razy na wyciągu leżałem.

– Stało się to na przejściu dla pieszych koło aresztu – kontynuował Sateck, aby zyskać na czasie. – To najbardziej niebezpieczne miejsce w mieście. Nie ma dnia, aby nie zdarzył się tam wypadek. Kolega Syski wracał zamyślony do domu i pewnie zamiast zatrzymać się, sprawdzić, czy pali się zielone światło, wtargnął prosto pod samochód.

Pokój Gardockiego pachniał zatęchłymi antykami. Stare książki złożonymi i tłoczonymi grzbietami wspinały się po półkach szaf ku sufitowi. Na biurku, przykrytym wypłowiałym sukniem, stał otwarty laptop, obok z jednej strony przyciśnięte kryształową popielniczką leżały pożółkłe rękopisy, z drugiej sterczał telefon na korbkę i siedmioramienny świecznik, na pierwszy rzut oka posrebrzany lub srebrny. Pokój wyglądał jak studio teatralne albo galeria, a nie pracownia archiwisty.

– Czego pan redaktor ode mnie oczekuje?

– Pomocy z zakresu historii – odpowiedział Sateck. Nie takiego pytania się spodziewał. – Na co dzień zajmuję się publicystyką sądową...

– Pańskie nazwisko nie jest mi obce.

– W zabarykadowanej willi na osiedlu Kwiatowym została wymordowana trzyosobowa rodzina Tomasza Cyganika.

– Czytałem w gazecie.

– Policja ciągle szuka zabójcy.

– Nie mam z tym nic wspólnego ani jako dyrektor archiwum, ani jako germanista i specjalista z zakresu historii regionalnej.

Sateck postanowił na razie nie liczyć się z uwagami Gardockiego. Zajawszy miejsce w fotelu pod oknem, ciągnął dalej:

– Śledztwo rozpoczął nadkomisarz Syski, który, jak już panu wspomniałem, wczoraj wpadł pod samochód. – A jeśli profesor zaraz zacieka się, dlaczego ja przychodzę do niego, a nie ktoś z podwładnych Syskiego? Zerknął ukosem na Gardockiego, który nie zważał na takie szczegóły. Profesor wyglądał tak, jakby myślami był obecny poza pokojem. – Wyłączając żonę i jej chromego siostrzeńca, Cyganik nie miał bliskiej rodziny. Przynajmniej policja do takiej nie dotarła. Niewiele wiadomo o jego pochodzeniu, dzieciństwie, nawet o kontaktach z przyjaciółmi. Jedno jest natomiast pewne: pozostawił po sobie ogromny majątek. Jak go zdobył, skoro przez większość życia był zwyczajnym nauczycielem? I kiedy?... Komu przypadnie willa? Komu montownia dekoratorów, hurtownie i pozostała fortuna?

– Jeśli testamentu nie zdążył sporządzić, z mocy prawa legalnym dziedzicem zostanie skarb państwa.

Nie chciałbym podlegać takiemu szefowi. Trudny facet. Zajęty przede wszystkim sobą i swoimi problemami, pomyślał Sateck.

– Zasady dziedziczenia majątku szeroko omawia podręcznik profesora Herrmanna.

Jaki antypatyczny! Mimo to Sateck kontynuował:

– Na pogrzebie nie było nikogo z rodziny żony Cyganika. Nie została powiadomiona, bo nie znalazł się ani jeden człowiek w mieście, który wie, kogo zawiadomić. Ale, i to jest pytanie, na które policja ciągle szuka odpowiedzi: gdzie przebywa siostra Cyganikowej? Może istnieje dalsza rodzina: wuj, ciotka, kuzyni i kuzynki?

Mięśnie twarzy Gardockiego zadrgały.

– Panie redaktorze, a co ja z tym wspólnego mam? – spytał głosem mocnym. – Nie obcowałem...

Sateck podniósł rękę, dając znak profesorowi, że jeszcze nie skończył.

– Chodzi o dostęp do akt dawnego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Nie ma ich w komendzie policji, pewnie więc znajdują się w Archiwum Państwowym.

– O ile wiem, to większość tego rodzaju dokumentów została utajniona i przekazana do archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nasza placówka może mieć kopie czy drugorzędne papiery. Jednak po odpowiedzi na to pytanie do mego zastępcy radzę się zwrócić.

Sateck zeszytywniał, jakby dostał cios między oczy.

– Sądziłem, że nadkomisarz wytłumaczył panu, dlaczego...

– Z nadkomisarzem nie miałem przyjemności rozmawiać – warknął profesor przez zaciśnięte zęby.

– Przepraszam, nastąpiło nieporozumienie. Moja wina. Powinienem zacząć z innej strony – tłumaczył się Sateck, wściekły na Syskiego. – Teściem Cyganika był Jan Rebeka. Pułkownik Rebeka. Niewiele o nim wiem, poza tym że przez sześć lat zajmował stanowisko pierwszego zastępcy komendanta wojewódzkiego do spraw bezpieczeństwa. Przypuszczałem, że w archiwum są jakieś dokumenty, na podstawie których policja dotrze do rodziny Rebeki. A do pańskiego zastępcy ani nadkomisarz, ani ja nie zwróciliśmy się o przysługę tylko dlatego, że nie chcieliśmy nadawać sprawie rozgłosu.

Profesor nagle poderwał głowę i uśmiechnął się lekko pod nosem.

– O czymś zupełnie innym myślałem. Już miałem zamiar wyprosić pana z mojego domu.

– I pan by to zrobił?

– Naturalnie. – Gardocki jeszcze raz się uśmiechnął przepraszająco. Pokazał na regalik stojący za fotelem, przy któ-

rym tkwił Sateck. – Niech pan główkę Diany przyciśnie. – Gdy Sateck zrobił, o co go profesor poprosił, zza książek wysunęła się butelka martella. – A teraz niech pan naleje sobie. I mnie.

Profesor wypił koniak jednym haustem, pewnie żeby mu się lepiej mówiło albo na odświeżenie pamięci, i gdy tylko zapaliło się czerwone światełko dyktafonu, zaczął opowiadać.

Zielonagóra, ul Wyciągowa, 15 października, późne popołudnie

– Ojciec, chociaż miał nazwisko o polskim brzmieniu, pisane jednak jako Gardotzky, rasowym Prusakiem był, synem organisty ze stołecznego kościoła świętego Bernarda. A w matuli, również berliniance z urodzenia, polska krew kipiała. Z takiego pomieszania genów najczęściej geniusze lub odmieńcy się rodzą. Toteż kiedy w 1937 roku na bożym świecie się pojawiłem, od razu byłem karłowaty, krępy i wielkogłowy. Do tego stopnia niepodobny do normalnych kuzynów, że dziadek ze wstydu się rozpił, babka zaś modliła się, aby dobry Wszechmogący do siebie mnie zabrał. Widocznie już wtedy Wszechmogący w stosunku do mnie konkretne plany miał, bo babki nie wysłuchał. W rok po moim urodzeniu ojciec dostał posadę nauczyciela muzyki i organisty w odległym od Berlina o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów Żaganiu. Nie tylko posadę, lecz i mieszkanie w całkiem porządnej dzielnicy, dziś można osiedlem willowym ją nazwać. Matula nie pracowała, to znaczy gotowała, modliła się i mnie na przyzwoitego obywatela wychowywała. Coś się matuli jednak musiało w głowie pomieszać, bo przy ojcu mówiła do mnie po niemiecku, a kiedy go w domu nie było, tylko po polsku.

Tyle wstępu powinno panu wystarczyć. Co to jest wojna, w Wielki Piątek 1942 roku się dowiedziałem. Tego dnia najpierw listonoszka zapukała do drzwi, z twarzą bez wyrazu

do kuchni weszła i matuli coś podpisać kazała, potem matula zdrętwiała i jak pomnik księżnej Doroty Talleyrand-Périgord w przypałacowym parku długo stała na środku kuchni, jeszcze później takim płaczem wystrzeliła, jakiego wcześniej nie słyszałem, a na koniec do mnie krzyknęła, że już nigdy więcej ojca nie zobaczę. Ojca, pierwszy raz tak go nazwała. Przedtem mówiła: tatuś wraca, tatusiowi zanieś, tatusiowi nie przeszkadzaj, co tam u tatusia? Wtedy, w Wielki Piątek, musiało mnie to wszystko niewiele interesować, bo nie spytałem, dlaczego ojca nie zobaczę. Dopiero po wielu dniach rówieśnicy uświadomili mnie na podwórku, że jako półsierota mam prawo do zapomogi z Pomocy Zimowej.

W połowie lutego 1945 roku wszystkie drogi z Żagania w kierunku Nowogrodu, Iłowy, Bolesławca były zakorkowane. Kobiety stare, młode, panny, w ciąży, z dziećmi na rękach domy porzuciły i pchając wózki wyładowane poduchami, talerzami, słoikami, dźwigając walizy, paki, skrzynki przed siebie uciekały. Ruskich się bały. Iwan – to jedno słowo wywoływało większą grozę wśród kobiet niż naloty bombowców, choroba czy głód.

Tej psychozie jedna kobieta się nie poddała. Moja matula. Została w Żaganiu.

Gdy pierwszy Iwan do naszej kuchni wpadł, było to przed wieczorem w połowie lutego, nie wystraszyła się, tylko mokre dłonie w fartuch wytarła i pokazała mu miejsce przy stole, nakarmiła i w ojcową koszulę go przebrała. Komentowemu wojennemu, kapitanowi Kalininowi, kazała wydać zaświadczenie, że Polką jest. Nie Gardotzky, jak w niemieckich papierach było, lecz Gardocka. W magistracie trafiali się niedowiarkowie. Gardocka? Co to za nazwisko? Bardziej polskie niż Skoczek, matula pierwszemu burmistrzowi wytłumaczyła.

Tylko jednego mężczyzny przekonać nie umiała, a to już z pół roku po Poczdamie było. Nie wiedziała, kim on jest, ale rozumiała, że od niego zależy jej i mój los. Swoją życiorys mu opowiedziała, niczego nie tając. Szwabka, mimo to mówił. Niemiecka kurwa. Wyruchać i do obozu! Wtedy matka mnie kazała *Prawdy Polaków spod znaku Rodła* deklamować. Gdy i tego za mało było, uklękła przed nim jak przed Jezusem na krzyżu w kościele świętych Piotra i Pawła, do którego każdej niedzieli na sumę chodziliśmy, bo tam ojciec organistą był, ręce złożyła i pełnym głosem *Wierzę w Boga Ojca* wyrecytowała.

Tak pierwszy raz zetknąłem się z Rebeką.

Później, kiedy został szefem powiatowego Ube, mimo dzieciennego rozumu dokładniej go poznałem. Jego i prokuratora Herrmanna. Największych złodziei, jacy w Żaganiu mieszkali, ale o tym za chwilę. Z Jurkiem Herrmannem, dziś profesorem prawa na Uniwersytecie Warszawskim, po piwnicach zrujnowanych kamienic się szwendałem. A z Reginką, najmłodszą Rebeczanką, do jednej klasy chodziłem. Rebekowie jeszcze bliźnięta mieli, co się z nimi stało, nie wiem. Mieszkała u nich Sonia, bratanica Rebeki, której ojciec podobno gdzieś za granicą był, ale ona mnie najmniej interesowała. Póki Rebeka nie awansował do Zielonejgóry, niby braciszek pilnujący cnoty siostry z Reginką nawet w kinie bywałem. Reginka przychodziła do mojego domu, ja do niej. Wspólnie się bawiliśmy, jedliśmy i lekcje odrabialiśmy. W domu Rebeków widziałem obrazy olejne, srebrne noże, widelce, łyżki, popielnice, świeczniki i ani mi przez myśl nie przeszło, że mogą to być skarby Bironów i Talleyrandów. W każdej wiosce przez Polaków zajętej, mieścinie, wszędzie szabrownicy buszowali, ale nie wszędzie było tyle dobra, ile w piwnicach na Dolnym Śląsku. Skąd ten majątek? Na to niby proste pytanie do dziś nikt nie potrafi odpowiedzieć. Dawniej, jak

w Szwajcarii, Austrii, Francji czy zachodnich Niemczech jego prawowici właściciele, konserwatorzy, opiekunowie żyli, sprawa wydawała się jasna, ale wtedy świat podzielony był i w stanie zimnej wojny. Wschód Zachodowi nie dowierzał. I odwrotnie.

W jaki więc sposób skarby w Żaganiu się znalazły, pewnie pan chciałby wiedzieć. Teorii kilka jest. Według jednej, do zwolenników której i ja się zaliczam, w podziemnych przejściach pałacu i mniejszych budowli skrzynie z majątkiem Pruskiej Biblioteki Państwowej, ewakuowanej z Berlina jeszcze przed 1944 rokiem, mogły zostać ukryte. Są dowody na to, że na długo przed końcem wojny zbiory biblioteczne przewiezione zostały do zamku Książ pod Wałbrzychem, a w 1943 roku do klasztoru w Krzeszowie koło Kamiennej Góry. W drewnianych skrzyniach oprócz ksiąg znajdowały się manuskrypty Mozarta, Beethovena, Mendelssohna, Haydna, Schuberta, Brahmsa. Nie wydaje się logiczne, aby organizator ewakuacji, niejaki doktor Wilhelm Poewe, całą bibliotekę w jednym miejscu ukrył. Zresztą, gdy po wojnie skarb z klasztoru do Berlina powrócił, okazało się, że wielu skrzyń brakuje. Część zbiorów, prawdopodobnie większa, ale o mniejszej wartości archiwalnej, w innych miejscach musiała zostać ukryta, może nawet w Żaganiu. Jeszcze przed wywiezieniem biblioteki z Berlina jej pracownicy dokładny spis zabytków, pakowanych do skrzyń, sporządzili. Dyrektor Hugo Krüss otrzymał oryginał, a kopię przechowywać miał organizator ewakuacji doktor Poewe. I pewnie zaraz po wojnie odnalazłaby się kompletna biblioteka, gdyby nie to, że w kwietniu dyrektor Krüss popełnił samobójstwo, a w sierpniu w Sachsenhausen, przez Rosjan na obóz dla nazistów zamienionym, doktor Poewe przepadł. Ponieważ nie zachował się spis, trudno ustalić, co do Berlina nie powróciło. Brakuje na pewno niektórych rękopisów Haydna, Wagnera, Liszta, Straussa.

Do niedawna wśród zaginionych wymieniano młodzieńcze manuskrypty Jana Sibeliusa. W biuletynie fundacji Pruskie Dobra Kultury czytałem, że w 1993 roku podczas wykonania *Sagi* Sibeliusa w Helsinkach, urządzono wystawę rękopisów kompozytora, tam pokazywane były między innymi uważane za zaginione manuskrypty z biblioteki berlińskiej. Ich właścicielem jest mieszkaniec Tampere, ożeniony z Polką, Sonią Rebeką, noszący nazwisko, dobrze je sobie do głowy wbiłem, Antti Hywarinen.

Zielonagóra, ul. Wyścigowa, 15 października, wczesny wieczór

Sateck wyłączył dyktafon, nie był zadowolony, ledwie zapisał pół kartki w notesie, zainteresowało go jedynie to, co Gardocki powiedział na końcu. Antti Hywarinen – dałby sobie uciąć język, że już słyszał o kimś takim, lecz nie pamiętał gdzie i kiedy?

– Mam! – klasnął w dłonie, ale nie przyznał się, że u przyjaciół w Warszawie oglądał amatorski filmik z Cyganikiem i Iwetą. Upominek od Anttiego, jakoś tak oznajmił Cyganik i nim nagi wśliznął się pod pled, na szyi Iwetty zawiesił złoty łańcuszek z krzyżykiem. Do tej pory Sateck sądził, że Antti oznacza nazwisko Włocha, Estończyka albo Węgra. – Czy Antti Hywarinen ożenił się z Sonią, bratanicą... Rebeki?

Profesor przytaknął.

– Gdy z nakazem pracy i dyplomem magistra filologii niemieckiej do Zielonejgóry przyjechałem, Reginka już była żoną Cyganika. Nie o wszystkim wypadało mi z nią rozmawiać. Pan rozumie... Do Soni wracając, talent wokalny na pewno miała. Musiała go mieć, jeśli zaraz po studiach do Operetki Warszawskiej angaż dostała. Tam ją wypatrzył Hywarinen, który oprócz tego że *attaché* handlowym ambasadą fińskiej był, w pięknych kobietach i muzyce się kochał. To normalne wśród ludzi zamożnych i o umysłach ścisłych.

Proszę zwrócić uwagę, kto do naszej filharmonii na koncerty chodzi. Matematycy z uniwersytetu, informatycy, lekarze, rzadziej humaniści. A artyści w ogóle.

– Tak – zgodził się z nim Sateck troszkę zawstydzony. Już nie pamięta, kiedy ostatni raz był na koncercie symfonicznym. Teraz chciał spytać, czy Sonia odwiedzała stryja w Zielonejgórze, lecz Gardocki go uprzedził:

Sonia żoną obcokrajowca została, a Rebeka zaraz stanowisko stracił. W milicji, wojsku, służbie bezpieczeństwa, pewnie i gdzieś jeszcze osoby, których bliscy mieszkali za granicą, nie mogły zatrudniane być – przypominał. – Niech pan nie myśli, że Rebeka na tym źle wyszedł. On nigdy nie przegrywał. Pełną emeryturę dostał, domek przy Wiśniowej zachował.

Nareszcie coś się układa w logiczny ciąg zdarzeń, powiedział Sateck w myślach.

Zielonagóra, ul. Wazów, 16 października, wczesne popołudnie

Minęła druga, za pół godziny Sateck musi być w redakcji. Z polikliniki na aleję Niepodległości trzeba iść co najmniej piętnaście minut. Usiadł przy łóżku nadkomisarza i od razu spytał, co wie o Anttim Hywarinenie.

– Chyba pierwszy raz słyszę. Nie, zaraz! – Syski przypominał sobie, że wczoraj przed bramą Finpolu inżynier wymienił to nazwisko. – Hywarinen ma połowę akcji montowni dekodeków.

- Prawie połowę.
- I związany z rodziną teścia Cyganika.
- Ciepło, ciepło.
- To znaczy ożeniony z kuzynką Rebeki. Ponoć artystką.
- Zgadza się.
- Czy Gardocki go zna?

W kilku zdaniach Sateck streścił to, czego się dowiedział od profesora. Przypuszczał, że Syski podzieli jego opinię o roz-

ległej wiedzy archiwisty, która może być przydatna reporterowi zajmującemu się odkryciami historycznymi, ale trudna do wykorzystania przez policjanta szukającego mordercy. Co nadkomisarza z wydziału kryminalnego obchodzi dzieje biblioteki pruskiej albo poplątane losy rodziny Gardockiego czy Rebeki?

– Hywarinen może stanowić mocne ogniwo w tym łańcuchu – bardziej stwierdził niż spytał Syski.

Sateck uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Jakim łańcuchu? O ile wiem, to Fin nigdy nie był w Zielonej Górze.

– Żeby postawić domek, trzeba mieć dużo pieniędzy. Cyganik jako nauczyciel zarabiał niewiele, a jaką willę wystawił! Miał obrazy, złoto i co tam jeszcze człowiek stworzył, a Bóg zatwierdził.

– Przecież boksował w Gwardii. Jako kadrowicz wyjeżdżał na turnieje zagraniczne. Zdobywał medale, dostawał nagrody i premie.

– Pamiętasz, co powiedział Lizak? Aby być bogatym, trzeba mieć talent Pietrzykowskiego, tupet Walaska, szczęście Kuleja.

– Teść... albo dziadek... mu pomógł – nie ustępował Sateck.

– A skąd emerytowany teść miał pieniądze? Mój ojciec jest emerytem i ledwie mu wystarcza od pierwszego do ostatniego, a ma spartańskie wymagania.

– Kogoś albo coś okradł.

– Nie przypominam sobie, aby w ostatnich latach ktokolwiek obrabował bank, muzeum, jubilera i nie wpadł w ręce milicji lub policji.

Sateck głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią. Fiat, którym zięć kustosza Muzeum Środkowego Nadodrza wioził średniowieczne ryciny do antykwariatu w Opolu, uderzył

w drzewo pod Głogowem i wtedy się wydało, że kustosz jest złodziejem.

Zielonagóra, ul. Wyścigowa, 16 października, wczesne popołudnie

– Wczoraj pan profesor przedstawił mi historię księgozbioru berlińskiego. A co się stało z dziełami sztuki gromadzonymi w pałacu żagańskim przez Bironów i Talleyrandów? – spytał Sateck.

Profesor sięgnął po skoroszyt, który leżał obok komputera.

– Tego, jak i następnych pytań, dotyczących związku Rebecki ze skarbami się spodziewałem. Związek jest – uprzedził. – I pewnie zechce pan, abym wyjaśnił, jak to się stało, że doktor Herrmann, już przed wojną znany prokurator warszawski, w 1945 roku w Żaganiu się znalazł. Nie profesora Jerzego Herrmanna na myśli mam, tego od prawa spadkowego, mniej więcej mojego rówieśnika, lecz jego ojca. Wszystko wyłożę pod dwoma warunkami.

Chodzi mu o pieniądze, pomyślał Sateck. Wiem, ile kosztuje książka, chleb czy średniej klasy samochód. Nigdy nie kupowałem informacji. Mimo to spytał, czego oczekuje profesor.

– Po pierwsze, nie będzie pan notował.

– Zgoda. – Sateck bez dyskusji schował notes do torby. – Jakie jest drugie zastrzeżenie?

– W żadnym tekście mojego nazwiska czy funkcji pan nie wymieni. Czytelnik nie może się domyślać źródła informacji.

– W takim razie, w jaki sposób...?

– Czy moje warunki pan przyjmuje? – Gardocki odsunął skoroszyt na skraj biurka, wstał, podszedł do drzwi.

Gotów mnie wyrzucić, pomyślał Sateck i powiedział z rezygnacją:

– Nie mam innego wyjścia.

Profesor wrócił na swoje miejsce, jakby nic się nie stało ponownie rozłożył skoroszyt na biurku. Kątem oka zerkał na Satecka i przewracał równiutko ułożone błękitne kartki, oznaczone literami alfabetu w prawym górnym rogu.

– W 1990 roku zupełnie przypadkowo na niezwyklej wartości dokumenty trafiłem. Wymienione w nich było to, co się składa na skarb żagański. Jest pan pierwszą osobą, której tę informację przekazuję. Aczkolwiek niechętnie to robię, mniemam jednak, że wykorzysta ją pan odpowiednio, ani mnie, ani mojej rodziny nie krzywdząc – zaznaczył wyraźnie i zrobił przerwę jakby oczekiwał potwierdzenia. – Po tym, co się stało z Cyganikami, mam obawy, czy słusznie postępuję.

– Niebezpiecznie jest tylko tam, gdzie na człowieka dybają pokusy.

Profesor skinął głową.

– Na zlecenie hrabiego Wellczecka, pełnomocnika Pawła Bosona Marii Archambault Louis de Talleyranda-Périgorda, szczegółowe spisy dóbr żagańskich zostały sporządzone. Za cztery miliony ówczesnych marek Trzecia Rzesza była gotowa kupić lenno tronowe Talleyrandów, ale hrabia domagał się zapłaty we frankach francuskich. Z tego powodu do zawarcia kontraktu nie dochodziło. A pod koniec 1944 roku, kiedy Niemcy bitwę po bitwie przegrywały, te sprawy już nikomu w głowie nie były. Przed zajęciem lewego skrzydła pałacu na szpital wojenny i obóz dla internowanych Włochów, historyk sztuki z Hamburga, doktor Plambeck ostatni protokół inwentaryzacji podpisał. W załączniku doktor wspomina o dobrach ukrytych w piwnicach pałaców w Żaganiu, Kliczkowie koło Bolesławca i w Borowinie pod Szprotawą. Z protokołu wynika, że w skrzyniach złożone zostały numizmaty, porcelana, srebra, broń biała i myśliwska. Z ram wyjęte obrazy olejne Bruegla, van Dycka, Rembrandta, Canaletta, Velasqueza i jeszcze

kilkunastu mniej znanych malarzy w innych skrzyniach się znajdowały. W jeszcze innych były listy i rękopisy jednego z Humboldtów, Wagnera, Mozarta. Kolekcję pałacową Plambeck oszacował na cztery miliony marek w złocie, czyli tyle ile ziemia i budynki Talleyrandów warte były.

– Czy Plambeck wymienił również rękopisy Sibeliusa?

– Z całą pewnością w tej części zbioru berlińskiego, który znalazł schronienie na Dolnym Śląsku, może nawet na ziemi żagańskiej, rękopisy Sibeliusa się znajdowały. I bezpośrednio stąd, co pana szczególnie interesuje, musiały się dostać w ręce Hywarinena.

– W takim razie co się stało z majątkiem Talleyrandów?

– zaciekał się Sateck coraz bardziej zainteresowany opowieścią archiwisty.

– W lutym i marcu 1945 roku misje zachodnie zajmowały się ekshumowaniem ciał alianckich pilotów, nad Dolnym Śląskiem przez Niemców zestrzelonych. Nie można wykluczyć, że za zgodą władz radzieckich przedstawiciele misji penetrowali eksterytorialny obszar lenna żagańskiego Talleyrandów, jeszcze wtedy należący do Francji. Ekshumowali ciała i być może pałacyki plądrowali. To by wyjaśniało sposób, w jaki część kolekcji żagańskiej przedostała się do muzeów zachodnioeuropejskich.

– Mówi pan: część? To znaczy, że coś zostało w Żaganiu?

Profesor oderwał wzrok od skoroszytu, spoglądając na Daniela kiwał głową, jakby wiedział o czymś, czego nie może ujawnić.

– W tamtym, powojennym mieście szabrowników było wielu. Jak niespodziewanie zjawiali się, tak i niespodziewanie znikali. Niewielu znało się na rzeczach naprawdę cennych. Obrazy, broń białą czy rękopisy mam na myśli. Nie znał się na tym Rebeka, ale był szefem powiatowym Ube i współpracował, jeśli to tak można nazwać, z prokuratorem Herr-

mannem, a ten nieźle orientował się, co i jaką wartość przedstawia. Podwładni Rebeki węszyli i plądrowali, Herrmann oceniał i decydował. W ten sposób, niestety brak dowodów, prokurator i szef bezpieki zgromadzili majątek zapewniający ich rodzinom beztrudne życie. W 1950 roku Rebeka do Zielonejgóry awansował, a Herrmann do Warszawy wrócił. Na początku bardzo ostrożni byli i nie kłuli sąsiadów w oczy swoim bogactwem. Dopiero później...

– ... pozbywali się... To by wyjaśniało, w jaki sposób Cyganik zdobył pieniądze na budowę domu. Skąd w jego willi obrazy Graffa, Caraziego, Rimondiniego. I dlaczego przyjął postawę odludka.

Gardocki przytaknął, po chwili namysłu dodał:

– Za co życiem zapłacił.

Przynajmniej jedna sprawa została wyjaśniona, stwierdził w myślach Sateck. Pozostała najtrudniejsza: kto zamordował Cyganików. Jestem przekonany, że musi to mieć jakiś związek z przeszłością Rebeki.

– Poza panem jest jeszcze ktoś, kto wie, jakie bogactwo Rebeka wywiózł z Żagania?

– Protestuję, redaktorze – poderwał się z krzesła Gardocki. – Ja niczego nie powiedziałem. Ja się domyślam, ale na to żadnych dowodów nie mam. Ja nie wiem, ile i co Rebeka wywiózł z Żagania. Coś musiał wywieźć, co później sprzedał i za co jego zięć zbudował dom, w którym, nie ja, lecz pan powiedział, że obrazy z pałacu Talleyrandów się znalazły. – Gdy ochłonął nieco, poprosił Satecka, aby nacisnął główkę Diany. Jak przed południem, tak i teraz zza regału wysunęła się butelka martella i kieliszki. – Życzę, aby do starego Herrmanna udało się panu dostać. W Aninie przy ulicy Mydlarskiej mieszka. Jego wnuczka wyszła za mąż za byłego zielonogórzanina, który obecnie jest pierwszym zastępcą prokuratora generalnego.

– Za Wilczka? – Sateck otworzył usta zaskoczony.

– Ponadto... – zaczął profesor i urwał jakby coś chciał ukryć. Dopił koniak. – Powiem inaczej. W Niemczech, które znam na wylot, bo i ich językiem jestem przesiąknięty jak gąbka wodą w kąpieli, nielegalna organizacja pod nazwą Odessa do niedawna istniała. Krótko mówiąc: do jej zadań należało udzielanie pomocy byłym nazistom. Po upadku wschodnich Niemiec podobna organizacja wspierała byłych członków Esede i agentów Stasi. Sądzę, że identyczne stowarzyszenie w Polsce się zawiązało.

Że też na to nie wpadłem, zganił się Sateck.

– Ubecy i esbecy, którzy w 1990 roku nie zostali zweryfikowani, stracili prawo do emerytury. Czy z tego powodu gdziekolwiek protestowali?

– Zostaliby wyśmiani.

– Ale przecież nagle nie wymarli. I nie żebrzą. Kilku znam i wiem, jak im się powodzi.

– Pewnie nieźle?

– A dlaczego? – spytał Satecka jak profesor wzorowego studenta na egzaminie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, odrzekł: – Ponieważ jedynie oni tajemnice lat powojennych znają. Przypuszczam, że jedną z nich jest skarb żagański.

– Co wspólnego z tym ma stary Herrmann? Przecież wyjechał z Żagania więcej niż pół wieku temu.

– On jest mózgiem organizacji o nazwie Lancia.

– A co to takiego?

– Przed chwilą usiłowałem pana naprowadzić.

– Polska odmiana organizacji Karlshorst?

Zielonagóra, ul. Wazów, 16 października, głęboka noc

Zbliżała się północ, a Syski nie mógł zasnąć. Przejrzawszy gazety, zapalił lampkę nad łóżkiem, słuchał muzyki i znowu roztrząsał, jak to się stało, że on, taki spostrzegawczy, wpadł

pod samochód na przejściu dla pieszych. Przed nim kobieta niosła torbę z warzywami, za nim starowinka pchała wózek, wymachując skakanką dziewczynka w niebieskiej kurtce wyprzedziła go tuż przed wysepką. Przyśpieszył, bo migało zielone światło, i wtedy nagle upadł, nawet nie poczuł bólu, a noga jakby nie należała do niego.

– Bez twojej pomocy sobie nie poradzę.

Nie liczył na to, że Sateck odwiedzi go w poliklinice przed północą, chociaż był ciekawy, co Gardocki miał jeszcze do powiedzenia. O organizacji wspierającej byłych ubeków i esbeków coś słyszał, ale nie wiedział, jak się ona nazywa i kto nią kieruje. Domyślał się, że oficerowie Abewu znają wszystkie nazwiska.

– Coś ci pokażę. – Sięgnął po *Wyborczą*, która leżała na szafce przy łóżku. W dolnej części pierwszej strony, gdzie zwykle redakcja zamieszcza najświeższe informacje kryminalne, był krótki tekst pod tytułem *Udusił prokuratora*. – Przeczytaj ten kawałek.

Niechętnie Sateck wziął gazetę do ręki, pobieżnie przejrzał tekst, ale po chwili przeczytał go raz i jeszcze raz, analizując zdanie po zdaniu.

– Herrmann?

– Willa przy Mydlarskiej na Aninie. Ciało odnalazła wnuczka po dziesięciu godzinach od zgonu. W fotelu. Nic nie zginęło z willi i ani śladu włamania. Zanim zabójca dostał się do środka, wyłączył alarm.

– Uduszona Iwetta. Uduszony Brumel. Teraz uduszony teść Wilczka.

– Myślę, że wiem, kto to zrobił.

– Kto?

– Spotkałem go w restauracji hotelu Syrena, kiedy pojechaliśmy szukać Lizaka. Ty wybrałeś się do swoich znajomych, ja na kolację.

- Przedstawił ci się jako facet do wynajęcia.
- Powiedział, że jest aktorem. Miał źle ociosane czoło i spłaszczony nochal.
- I radził nie zajmować się Cyganikami?

Zielonagóra, ul. Wyścigowa, 17 października, ranek

Był ciekawy, co profesor ma jeszcze do powiedzenia, skoro wczoraj, ledwie dwie godziny po tym jak się rozstali, chciał z nim niezwłocznie rozmawiać.

– Dwa razy dzwonił Khaldocky – odezwała się wyrwana ze snu żona, gdy Daniel zapalił światło w przedpokoju.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.
- Podobno rano byłeś u niego w domu.
- Gardocki – poprawił ją. – Profesor jest szefem archiwum i znawcą niemieckich dziejów Śląska.

– Nie wypytywałam. Tyle osób ma do ciebie sprawy akurat wtedy, kiedy jesteś poza domem. Gardocki, dobrze mówię? prosił, abyś zadzwonił nawet o północy.

Nie zadzwonił, a rano pojechał do profesora.

- Mógł pan telefonować. Długo siedziałem, chyba gdzieś do trzeciej – powiedział Gardocki z przyjaznym uśmiechem.
- Bo jeszcze coś jest, co, tak przypuszczam, powinno pana zainteresować. Pierwotnie miałem inne zdanie na ten temat, dopiero dwie godziny po naszej ostatniej rozmowie... je zmieniłem. Chciałbym, aby pan dysponował pełną wiedzą o skarbie żagańskim i osobach z nim ściśle związanych.

Człowiek, który czegoś się boi, nie od razu mówi całą prawdę, stwierdził w myślach Sateck. Może ktoś nakazał profesorowi, aby milczał albo kłamał?

– Co miało wpływ na zmianę pańskiego stanowiska? – spytał otwarcie.

Profesor położył przed nim *Wyborczą* z zaznaczonym czerwonym mazakiem tekstem. Sateck nie przyznał się, że

zna tę informację. Grając rolę zaciekawionego wziął gazetę w dłonie, jeszcze raz przeczytał to, co już czytał w poliklinice.

– Nie ma dnia, abym wieczorem nie zrobił sobie prasówki, a od *Zielonogórskiej* zaczynam, taki mam zwyczaj. Jestem dyrektorem, więc na bieżąco z prasą muszę być. Podobnie było wczoraj – tłumaczył się zbytecznie Gardocki. – Szkoda mi czasu na całe teksty, raczej na tytuły uwagę zwracam. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego akurat ten tekst mnie zainteresował. Chwała Wszechmogącemu, że tak się stało. Z Jurkiem zaraz się skontaktowałem, choć już tyle lat ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Czy powiedział więcej niż podała gazeta? Na przykład, czy morderca jego ojca został schwytany?

Gardocki pokręcił głową przecząco.

– Nie orientuję się, jaką notację w dalszym badaniu będzie miało to, co za chwilę powiem.

– Pozwoli mi pan nagrywać? – Sateck wyjął dyktafon z torby, położył go na biurku i czekał.

Profesor nie odpowiedział, jakby nie usłyszał pytania. Mocno oparty plecami o poręcz krzesła przymknął oczy, było widać, że coś go dręczy.

– Mniej więcej przed miesiącem zwrócił się do mnie Tomasz.

– Jaki Tomasz?

– Cyganik, mąż Reginki Rebeki, mojej koleżanki z lat dziecięcych. Wspominałem panu.

– To pan go znał?

– Nigdy nie twierdziłem, aby mi był obcy.

Sateck spojrzał na profesora zdumiony.

– Tomasz był nieślubnym synem Herrmanna...

– Którego? – Znowu przerwał mu Sateck i zaraz się zorientował, że zbytecznie, bo Gardocki na pewno miał na myśli

prokuratora. Jerzy Herrmann, profesor prawa, jest niewiele starszy od Cyganika. – Przepraszam, już nie przeszkodzę.

– Ten związek, na myśli mam małżeństwo Tomasza z Reginką, nie z wielkiej miłości zawarty został, ale dlatego, że tak zawyrokowali obaj ojcowie. Jeszcze w Żaganiu decyzję podjęli. Prawdopodobnie chodziło o majątek, jaki zaraz po wojnie ściągnęli. Teraz powinien pan spytać, skąd Tomasz się wziął. Dlaczego on, a nie Jerzy mężem Reginki został? Otóż Jerzy przez swego dziadka na kontynuatora rodzinnej tradycji wyznaczony był, po prostu miał zostać sędzią albo prokuratorem. A że nauka go ciągnęła, czego jego ojciec nie aprobował, jeszcze jako asystent profesora Andrejewa na siebie zdany był. Wtedy stary Herrmann w jakimś domu dziecka na Zamojszczyźnie odnalazł Tomasza, swego nieślubnego syna.

Kręci jak chory z urojenia, pomyślał Sateck. Nigdy nie posądziłbym go o zmyślanie. Dotąd perorował z takim przekonaniem, że uwierzyłem w dzieje rodziny Gardockich i historię ze skarbami. A to pewnie legenda powstała w jego wyobraźni. Ale postanowił wysłuchać opowieści profesora i na razie nie wyciągać z niej żadnych wniosków. Taśmę z jego głosem zaniesie Syskiemu do przesłuchania.

– Tomasz więc z poufną prośbą do mnie się zwrócił. Zanim ją przedstawił, musiałem przysięgę złożyć.

– Czy wyjaśnił, w jakim celu ma być ta przysięga? Powiedział, co panu grozi w razie jej złamania?

Gardocki skarcił go surowym spojrzeniem.

– Człowiekiem honoru jestem. Raz danego słowa dotrzymuję. Gdyby Tomasz żył, proszę mi wierzyć, z panem na ten temat nie rozmawiałbym. Ponieważ owa zbrodnia, popełniona z takim okrucieństwem, spokoju mi nie daje... na niczym nie mogę się skupić... – Oczy mu się zaszklily. – Z myślą o pisaniu książki wziąłem urlop. Kończy się miesiąc, a ja nawet jednego zdania nie zanotowałem. Codziennie o siódmej

wstaję, po śniadaniu przy tym biurku siadam, laptop włączam, na ekran monitora się gapię i zamiast pisać, rozmyślam o tym, co z Cyganikami się stało. O siebie i żonę, panie redaktorze, się lękam.

A jednak miałem rację, ucieszył się Sateck.

– Przez kilka dni na początku września tego roku Tomasz w Warszawie był. Z kim rozmawiał, u kogo się zatrzymał, nie dociekałem, ale na pewno na Frascatti u pewnej piękności przebywał. On czasem tak sobie lubił pofolgować. Domyślałem się, że spotkanie z Jackiem Lichajem miał, bo o nim zawsze opowiadał jak o kimś, kto jest mu bardzo bliski. Brat nie wymawia tak serdecznie imienia brata, jak on o Lichaju mówił. A pan Sadowski, jakież miły, rzeczowy, piał Tomasz, premierem znowu będzie. Ludzie na stanowiskach rządowych mu imponowali. Co tu dużo kryć, pan i tak do tego dojdzie, regionalne biuro Porozumienia Obywatelskiego utrzymywał. Za jego pieniądze Marek Pilnik kampanię wyborczą do parlamentu sobie zrobił. Nie mam dowodów na to, jednak przypuszczam, że Pilnik nieźle się orientował w stanie konta Tomasza i jak swoim nim rozporządzał.

Na pagórku cmentarnym, gdzie pochowano Cyganików, był samotny Jacek Lichaj, ksiądz odszedł pierwszy, za nim sąsiedzi, a on długo stał milczący, potem złamał się w pałak i coś szeptał, nim oderwał wzrok od wilgotnego piasku, położył wieniec z białych i niebieskich kalii na mogile, przypomniał sobie Sateck.

– Tomasz do mnie zatelefonował, do domu, i spytał, czy cokolwiek przeciw temu miałbym, abyśmy u niego spotkali. Po południu nie dysponowałem wolnym czasem, więc o siódmej wieczorem się umówiliśmy. Gdy przyjechałem na osiedle Kwiatowe, przed furtką poseł Pilnik stał, jakby na mnie czekał. Proszę posłuchać i zapamiętać: Pilnik miał klucze do wszystkich zamków, bez żadnych problemów je

otwierał. Rottweilery na jego widok ogonami merdały. Tomasz zaprowadził nas do gabinetu na piętrze, gdzie w fotelu młody człowiek już siedział. Obaj, to znaczy Tomasz i poseł, inżynierem go tytułowali. Dopiero później się zorientowałem, że młodzian jest głównym inżynierem w Finpolu.

Sateck wzruszył ramionami. O montowni dekodeków coś słyszał, ale kto jest tam kim, nigdy się tym nie interesował.

– Przebiegu rozmowy ze szczegółami nie potrafię odtworzyć, bardziej interesowały mnie obrazy, które na ścianach wisiały, Grazzi, Velasquez, Caravaggio, niż to, o czym Tomasz mówił. W każdym razie pochwalił się, że jego firma wybrana została spośród wielu jako ta, która w gmachu sądu w Żaganiu ma ekspertyzę konserwatorską przeprowadzić. Przez kogo wybrana, nie ujawnił, a mnie wtedy to nie zaciekało. Teraz inaczej bym postąpił. Tylko spytałem, do czego ja, germanista i archiwista, potrzebny jestem. Na budownictwie ani na architekturze zabytkowej się nie znam. Tomasz powiedział, że chodzi o ocenę historyczną.

Sateck miał kilka pytań, notował je, aby nie przerywać monologu profesora.

– Bodaj jedynym człowiekiem na świecie jesteś, który może nam pomóc. Na posła i inżyniera pokazał, oni przytaknęli zgodnie. Jeśli potrafisz, dlaczego nie? Rzecz w tym, że musimy odnaleźć pewne skrzynie, do sekretu Tomasz mnie dopuścił. Od razu się zorientowałem, co ma na myśli, ale nie dałem tego po sobie poznać, tylko spytałem, czy mu chodzi o skarby zimą 1945 roku z pałacu Talleyrandów wywiezione. Firma pana Cyganika zbyt pochopnie przyjęła zlecenie, powiedział Pilnik. Wydawało się nam, że kolega Sobol, poseł na inżyniera pokazał, skonstruuje takie urządzenia, które bez trudu wskażą drogę do skrzyń. Niestety, proste, stosowane przez saperów wykrywacze metalu odzywały się tam, gdzie przebiegały rury centralnego ogrzewania albo wodociągo-

we, wyjaśniał poseł. Identycznie zachowywał się georadar. Czujniki elektromagnetyczne inżyniera Sobola milczały lub wprowadzały go w błąd. A nie powinny, bo w skrzyniach oprócz papierów miała być srebrna zastawa, biała broń, wyroby jubilerskie, monety. Podczas próby w pracowni czujniki zachowywały się prawidłowo. Było nam głupio, bo zleceniodawca miał dowód na to, że skrzynie zostały zamurowane we wnękach piwnicznych pod gmachem sądu, a myśmy nie umieli do nich dotrzeć. Budynek obecnego sądu panowie badali? – spytałem. Tak, potwierdzili. A może nie w obecnym, lecz w przedwojennym sądzie ziemskim skrzynie zostały ukryte? Zaskoczeni usta rozdziawili. W ich oczach czytałem, że nie rozumieją, o co pytam. I wtedy plan Żagania Tomasz na biurku rozłożył. Landesgericht w pałacyku zajmowanym obecnie przez Urząd Miasta się mieścił, przy dzisiejszym placu Słowiańskim, w odległości około dwustu metrów od pałacu.

Gardocki zamilkł. Czerwona dioda dyktafonu przygasła, gdy po pauzie kontynuował monolog, znowu się rozżarzyła.

– Do Żagania w sobotę rano pojechaliśmy. Kierowcą i pełnomocnikiem prawnym był poseł Pilnik, głównym poszukiwaczem inżynier Sobol, osobą towarzyszącą Tomasz, a ja jako ekspert. Sobota, dzień wolny od pracy, mimo to burmistrz urzędował. Poseł mu wyjaśnił, po co przyjechaliśmy, na czyje polecenie i na potwierdzenie swoich słów pokazał nakaz prokuratorski. Przez Wilczka jako pierwszego zastępcę prokuratora generalnego podpisany. Mnie to trochę zdziwiło, ale milczałem.

– Czy tam znaleźliście jakiekolwiek skrzynie?

– Z pałacu do budynku obecnego sądu, zwanego pałacykiem wdowim, prowadził korytarz, powiedział burmistrz. Albo w czasie wojny, albo zaraz po jej zakończeniu przejście zostało cementem zalane. Jeśli on by miał takie apara-

ty, jakimi inżynier dysponuje, w korytarzu skrzyń szukałby. Jaka instytucja zajmowała pałacyk wdowi do 1956 roku? Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa, ja na to. Jestem przekonany, że wszystko, burmistrz podkreślił, co było schowane w obrębie pałacyku, zostało wyszabrowane przez ubeków. Wtedy szefem powiatowym urzędu był Rebeka, a funkcję prokuratora sprawował Herrmann. Obaj powinni odpowiadać przed sądem za zniszczenia, za szabrownictwo, za przywłaszczenie cudzego mienia. Rebeka nie żyje, ale Herrmann mimo słusznego wieku powinien coś jeszcze pamiętać.

Sateck powtórzył pytanie o skrzynie. Profesor podniósł na niego oczy, pokręcił głową, najwyraźniej unikał odpowiedzi.

– Teraz lżej mi będzie na duszy – powiedział, jakby już nie miał nic do ukrycia.

Po raz trzeci Sateck zadał pytanie o skrzynie.

– Wtedy, w sobotę, w centrum Żagania nastąpiła awaria sieci energetycznej, a wszystkie superaparaty inżyniera Sobola prądem były zasilane. Do południa czekaliśmy. Koło pierwszej Tomasz zdecydował, że do poniedziałku poszukiwania przerywamy. Co w niedzielę wieczorem stało się w willi na Kwiatowym, mówić nie muszę.

Zielonagóra, ul. Trasa Północna, 17 października, przedpołudnie

Troszkę dłużej niż godzinę rozmawiał z Sobolem, jak mu doradził Syski. Inżynier tylko potwierdził to, czego Sateck już się dowiedział od Gardockiego, może bardziej drobiazgowo wyjaśnił zasady działania swoich aparatów do wykrywania produktów ze szlachetnego metalu.

– W elektronice przede wszystkim liczy się tempo zmian. Kto pierwszy wpada na genialny pomysł, ten wszystko zgarnia. Wczorajszy wynalazek dziś może zostać udosko-

nalony i opatentowany przez konkurencję. Aby utrzymać się na rynku, trzeba inwigilować konkurencję. Wszyscy tak robią.

– Finpol również?

– Kto świadomie wybrał fach informatyka i chce z tego żyć, musi być szpiegiem i złodziejem. Krać pomysły innych i tak je modyfikować, aby były doskonalsze – rzekł Sobol.

– Aparaty, przy pomocy których badałem mury w Żaganiu, wymyślili konstruktorzy z Siemensu, ale jeszcze nie zdążyli ich opatentować. Ja zarobiłem, bo od... to nie powinno pana interesować, bo dowiedziałem się, że oni je wymyślili. Daję głowę, że w Finpolu są też tacy, którzy szpiegują dla Philipsa, Nokii, Abede i setek podobnych firm.

Sateck nie lubił przemądrzałych młodych inżynierów, których roznamiętnia fizyka z wszystkimi jej przybudówkami. Gdybym wiedział, na czyje polecenie Cyganik wziął się za płądrowanie pałacyków w Żaganiu, pojechałbym do niego i domagał się odpowiedzi, pomyślał. Sobol nie zna nazwiska, o które mi chodzi, nawet nie zwrócił uwagi na nakaz prokuratorski. Bo może Wilczek nie podpisał takiego nakazu? Czy Cyganik nie mógł się posłużyć podrobionym zleceniem? Burmistrz miasta, zaskoczony najściem, mając przed sobą posła i profesora, pewnie dokładnie nie sprawdził ich papierów.

– Dostaliśmy zamówienie na poufną robotę, powiedział mi szef, to znaczy Cyganik przy obiedzie. Pomyślałem, że pewnie wojsko nie radzi sobie z czymś i wynajęło cywilną firmę. Niech pan zdobędzie najdoskonalszy instrument do badania metalu w starych murach, nakazał. Zaznaczył, że zapłaci każdą cenę.

– Zapłacił?

– Po pierwszej próbie poseł Pilnik wymyślił, aby do penetrowania wciągnąć Gardockiego. Szef nie chciał, jakby się

czegoś albo kogoś obawiał, lecz poseł naciskał. Najpóźniej za tydzień musimy mieć te skrzynie, domagał się Pilnik. Za tydzień? Przyznam się panu, że to mnie zastanowiło. Dlaczego akurat za tydzień, a nie za miesiąc czy jeszcze później?

– Gdzie jest ten instrument do prześwietlania ścian?

– Nie wiem.

– Jak to jest możliwe, aby konstruktor nie wiedział, co się stało z jego wynalazkiem? Przywiózł go pan do Zielonejgóry, ukrył w domu czy w zakładzie?

Sobol potrząsnął głową.

– Zaraz po naszym przybyciu do Żagania zostało wyłączone światło w centrum miasta. Czekałszy cztery godziny. Z gabinetu burmistrza szef, to znaczy pan Cyganik zadzwonił do zakładu energetycznego. Awaria miała zostać usunięta dopiero przed wieczorem. Profesorowi śpieszyło się na uczelnię. Szef zdecydował, że poszukiwanie przerywamy do poniedziałku. Gdy wróciliśmy do Zielonejgóry, poseł podpowiedział, abym nie wyjmował instrumentu z bagażnika. Niech go pan zostawi w samochodzie, powiedział Cyganik. Pan poseł ma garaż na fonokomórkę.

– Fonokomórka?

– Urządzenie reagujące wyłącznie na odpowiednio modulowany głos właściciela garażu. Działa podobnie jak czujnik zapachowy czy czytnik linii papilarnych.

Sateck nie czuł się zmęczony, ale miał już dość rozmowy o elektrotechnice, tym bardziej że była mu tak samo obca jak na przykład lotnictwo wojskowe. Dobrze że nie zostałem inżynierem, pocieszył się. Mój świat słów jest bardziej zrozumiały.

– Kiedy dowiedział się pan o śmierci Cyganika?

– Godziny nie pamiętam, na pewno było to w poniedziałek rano.

– I jak pan zareagował?
– Jak?... No... Idiotyczne pytanie.
– Czy wtedy zastanawiał się pan nad tym, kto go zamordował? – postanowił atakować.

– Nie.

– Co, nie?

– Nie pamiętam.

– Czy pan, inżynierze, kogoś się boi?

– Ja, proszę pana...

– Gardocki, Pilnik i pan. Jeden z was może mieć ręce umazane krwią Cyganików. W sobotę wieczorem i w niedzielę do szesnastej profesor prowadził zajęcia ze studentami zaocznymi. W niedzielę przed południem posył był na mszy, po południu miał spotkanie z wyborcami najpierw w Otyniu, potem w Przyborowie za Nową Solą.

– Ja też mam alibi.

– Gardocki na pewno był na uczelni, co potwierdzają studenci i żona, która zaraz po jego powrocie z zajęć podała mu obiad. Na pytanie, dokąd pojechał Pilnik po powrocie z Żagania, nie umiał odpowiedzieć. Może odwiózł Cyganika na osiedle Kwiatowe i wtedy...? Nie, to nie może być on. A jak pan uwolni się od podejrzenia?

Sobol patrzył na Satecka z przerażeniem w oczach. Chciał coś powiedzieć na swoją obronę, ale ze zdenerwowania tylko machnął ręką.

Zagalopowałem się, stwierdził w myślach Daniel. Tego nie wolno robić, mimo to brnął dalej:

– Daję panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Po tym czasie... – I co mu zrobić? Nie jestem prokuratorem ani śledczym. Nawet nie mam licencji prywatnego detektywa, a zachowuję się niby Lew Archer z powieści Rossa Macdonalda. – Przyznanie się do winy zawsze bywa traktowane jako okoliczność łagodząca.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 17 października, południe

Zastępca redaktora naczelnego, na co dzień mężczyzna ufny i cierpliwy, bez powodu się nie odzywał, a teraz pochyłony starał się spokojnie spacerować wzdłuż alei Niepodległości, mimo to co kilka minut spoglądał na zegarek. Jeżeli najpóźniej za trzy godziny nie wrócę do budynku, to za Chiny nie dam rady przygotować jutrzejszej gazety, pomyślał. Nawet w najtrudniejszym czasie stanu wojennego, gdy prawie o wszystkim decydowali panowie w mundurach, gazeta ukazywała się w zmniejszonej objętości, bez ogłoszeń i ze skrawkiem wiadomości sportowych, ale punktualnie. Bardziej zuchwali dziennikarze tak chytrze klecili swoje teksty, że czytelnicy znajdowali w nich nie tylko informacje o sytuacji w regionie, ale i instrukcje zachowania się wobec wojskowych. Przy kioskach ustawiały się kolejki, jakby Bóg wie czym kioskarki handlowały.

Przed wzorowo utrzymanym secesyjnym pałacym, w którym mieścił się Klub Dziennikarza i redakcja, bo drukarnia była na obrzeżach miasta, tłum gęstniał w mgnieniu oka. Policjanci zatarasowali wjazd w ulicę Bankową, od strony alei Niepodległości piorunem ogrodzili pałacyk biało-czerwoną taśmą, jakiej drogowcy używają do oznakowania reperowanej jezdni. Zamknęli też wszystkie pobliskie parkingi. Sateck spytał dlaczego, lecz starszy posterunkowy zbył go lekceważącym machnięciem ręki i zdecydowanie wskazał głową kierunek wyjazdu. Wolnego miejsca nie było przed kościółkiem ani obok domu towarowego. Dopiero na płatnym parkingu za Topazem, gdzie o porządek dbał facet w szpakowatej peruce, który nie ukrywał, że jest pedałem, udało mu się zostawić samochód. Pięć minut później Sateck był przed budynkiem redakcji. Wmieszał się w rozgadany tłum. Coś niecodziennego wydarzyło się w gazecie, zrozumiał.

– Na noże redaktory poszli w klubie. Podobnie dwóch ukatrupionych, trzeci kona – odparł brodacze z fajką między zębami, znany jako kapuś wszystkich służb specjalnych, jakie powstawały i upadały w Polsce.

– Zwariowałżeś, człowieku! – ryknął śmiechem mężczyzna w berecie. – Jakież noże? Bombe, kurza dupa, podłożyli.

– Gdzie? Kto podłożył?

– Łebki nie majo czym sie zająć i jaja se robio. Pierwszy raz to? Co rusz, kurza dupa, straszko. Po co daleko szukać? O, wczorajsza gazeta pisała, co plac przy ratuszu był zamknięty, bo gliniarze szukali bomby. Jakiś niewyrośniony kutas zadzwonił na komendę. Bombe żem podłożył. Ha, ha! Podłożył? No, różnie może być, nie? A jak wyjdzie na to, co była bomba, kurza dupa, i policja zlekceważyła ostrzeżenie, kto będzie odpowiadał?

Bomba w szkole, banku, restauracji, sklepie, pociągu, samolocie, autobusie – da się to jakoś wyjaśnić. Ale w redakcji gazety? Kto ją tam umieścił i dlaczego? Komu wadzi redakcja ani lewicowego, ani prawicowego, ani centrystycznego dziennika? – zastanawiał się Sateck. Chyba że dla zgrywy... E, cały świat współczesny jest jedną wielką bombą, która kiedyś pierdólnie i już nie będzie nikogo, kto go poskłada.

Przed biurem poselskim Sateck wpadł na zastępcę redaktora naczelnego. Powtórzył pytanie.

– Dokładnie o jedenastej odezwał się telefon bezpośredni do szefa. Sekretarka podniosła słuchawkę, jak zawsze powiedziała: Redakcja gazety, dzień dobry, słucham. Mężczyzna nie przedstawił się ani nie spytał, czy jest szef i nie poprosił o połączenie ze starym albo ze mną, tylko zniekształconym głosem powiedział, że w piwnicy została ukryta bomba. Bom-ba ste-ro-wa-na ra-diem, powtórzył dobitnie, wyraźnie dzieląc wyrazy na sylaby. Wybuch nastąpi w ciągu godziny. Sekretarka sądziła, że to żart, roześmiała się nawet, wtedy on

ją spytał, czy dobrze zrozumiała ostrzeżenie. Już nie pamięta, co mu odpowiedziała, w każdym razie facet dodał mniej więcej tak: Chcieliście mnie wykończyć, pismaki z Bożej łaski, nic z tego, bo ja wykończę was szybciej. I się rozłączył.

Co było dalej, zastępca naczelnego nie musiał tłumaczyć. A jeśli to nie żart i rzeczywiście w piwnicy jest bomba, sterowana falami radiowymi, która wybuchnie, zanim saperzy ją wykryją? Wyleci w powietrze redakcyjny pałacyk i iluś niewinnych ludzi zostanie okaleczonych.

Sateck wspiął się na palcach. Podobno podpalacze często pomagają strażakom w gaszeniu pożarów. To może i szalenie, który zaniósł bombę do piwnicy redakcyjnego pałacyku, wmieszany w tłum gapiów obserwuje ich zachowanie? I się cieszy. Kim on jest? Sateck rozglądał się na wszystkie strony, widział prukwy, ślicznotki zgrabniejsze niż modelki z okładek czasopism, brzydkie kaczątka, adonisów muskularnych, wypasionych, paniczków przemądrzałych, kudłaczy, kolejarzy, żołnierzy, ramoli wspartych o laski, starowinki bezzębne, pomarszczone, upudrowane, ale nikogo nie poznawał. Sami obcy, wyłączając kapusia wszystkich służb specjalnych. Gdybym krzyknął: jestem Daniel Sateck! Czy ktokolwiek wie, czym się zajmuję?! Pewnie setki rąk uniosłyby się nad głowy.

– Zastanawiam się, komu nadepnęliśmy na odciski – powiedział zastępca redaktora naczelnego. – Owszem, ostatnio było kilka ważnych tekstów o aferach, kradzieżach, włamaniach, malwersacjach, łapówkach. Gdy nie mieliśmy przekonania, postępowaliśmy rozważnie, nawet nie podawaliśmy inicjałów osób podejrzanym. Jeśli zarzucaliśmy sieci na szczupaki, wpadały w nie najwyżej płotki.

– Pewnie jakiś psychopata chciał się zabawić naszym kosztem – stwierdził Sateck, niewiele sobie robiąc z tego, o czym przed chwilą usłyszał. Miał inne zadanie do rozwiązania.

– Minęła druga. – Zastępca odpiął zegarek z przegubu ręki, ściskał go palcami jakby chciał zatrzymać czas. – Już zmiana popołudniowa powinna rozpocząć łamanie stron informacyjnych. Przez takiego kutaфона... – urwał, bo z budynku redakcji wyszedł dowódca grupy rozpoznania minersko-pirotechnicznego policji. – Pudło?

Policjant przekrzywił głowę, ręce uniósł do pasa i z zadowoleniem je opuścił jakby coś ciężkiego rzucił na ziemię.

Zielonagóra, ul. Wazów, 17 października, popołudnie

Jak długo trzeba ciuć, aby mieć pieniądze na chociażby fiata punto? Gdybym nie jadł, nie pił, nie palił, nie kupował gazet, nie opłacał czynszu, nie ubierał się, tylko odkładał grosz do grosza, to może po dwóch latach uskładałbym na takie auto. Dwa lata wyrzeczeń! A to przecież jeden z najtańszych samochodów. Do kurwy nędzy, kim są ci, którzy wożą się mercedesami, fordami, lanciami, oplami, balują w luksusowych hotelach, kałduny wygrzewają nie w Grecji czy Turcji, a w Tajlandii?

Syski leżał w separacie i zamiast drzemać albo słuchać radia czy przeglądać gazety, rozpamiętywał z wściekłością. Im dłużej i głębiej rozważał, tym bardziej był przekonany, że nie pasuje do świata, który jest za oknami polikliniki. Sateck też nie pasuje. Trzeba być bezlitosnym skurwysynem, draniem, zwyrodnialcem, aby czuć się w tym dobrze.

– Odkąd zajmuję stanowisko komendantki, w styczniu będzie osiem i pół roku, prawda, jeszcze żaden polityk, choćby radny miejski, nie zainteresował się problemami naszej placówki. Jakże się cieszę, że pan, człowiek wrażliwy na krzywdę słabszych, że się tak prosto wyrażę, jest pierwszy.

Syski poznał piskliwy głos szefowej polikliniki, uniósł się na łokciach, aby lepiej słyszeć, komu komendantka znowu

się podlizuje, gdy otwały się drzwi i do separatki wszedł wy-
bująły, korpulentny, świecący łysiną mężczyzna, w białym ki-
tlu narzuconym na marynarkę. Zamiast krawata miał musz-
kę w nieregularnie rozsypane kropki. Nadkomisarz jeszcze
nigdy go nie spotkał. Przyszło mu na myśl, że musi to być
ktoś z ministerstwa albo z komendy głównej odpowiedzialny
za zakłady pomocnicze policji.

– Szczęść Boże! Jak się pan ma, nadkomisarzu Syski? Polski
Herkulesie Poirot! Ha, ha, haa.

Zna moje nazwisko i rangę? Zamiast byle co odrzec, bo
pytanie było o niczym, Syski milczał ogłupiały.

– Pan poseł Pilnik wyrwał chwilę czasu ze swego napięte-
go, prawda, kalendarza, żeby na własne oczy przekonać się,
w jakich warunkach odbywamy służbę. Jestem zaszczycona
wizytą pana posła – piała komendantka.

– Noga w gipsie? Złamana? A która?

Przecież odróżnia lewą od prawej, pomyślał Syski.

– Za sześć tygodni pacjent wstanie, a za pół roku zapo-
mni o wypadku. Staramy się, prawda, jak możemy. Proszę
coś powiedzieć, panie nadkomisarzu. Byle co. Na przykład,
prawda, czy brakuje panu czegokolwiek?

– Tak.

– E, co? Nie dosłyszałam. – Komendantka nastroszyła się
jak kwoka.

– Tego, kto wymyślił separatki, wsadziłbym do krymina-
łu na ćwierć wieku, aby doświadczył samotności w czterech
białych ścianach.

– Ha, ha, haa! Dobrze, nie ma co – rechotał Pilnik.

– Takie są przepisy, panie pośle. W zakładach służby zdro-
wia resortu spraw wewnętrznych posterunkowi leżą z poste-
runkowymi, prawda, inspektorzy z inspektorami, komisarze
z komisarzami. Czy to moja wina, że tylko jeden komisarz
ma nogę w gipsie?

– Ja bym też se poleżał... tego no... z jaką sio-strzy-czką. Ha, ha, haa. – Pilnik zdecydowanie usiadł na brzegu łóżka, aż zatrzeszczało. – Nieszczęśliwy wypadek, co?

Syski zdobył się na przytaknięcie.

– Gdzie? Kiedy? Winny kierowca.

Nie wiedział dlaczego, lecz niechętnie opowiadał posłowi o tym, co się wydarzyło na przejściu dla pieszych koło aresztu. Są ludzie nieznajomi, z którymi rozmowa czasem bywa udręką.

– Oczywiście sprawca uciekł z miejsca zdarzenia – rzucił bez wątpliwości Pilnik. – Uciekł. Taka rzecz byłaby niedopuszczalna w Niem-czech. We Fran-cji. Nawet w Fin-lan-dii. Cóż – uniósł prawą rękę, głowę zadarł na komendantkę – demokracji trzeba się uczyć. U-czyć. Nasze społeczeństwo, zniewolone przez system totalitarny, nie odróżnia dobra od zła. Kościół katolicki traktuje jako ideologię z przeciwległego bieguna. – Znowu podniósł głowę, lecz tym razem nad drzwiami. – Krzyż... Dlaczego brakuje krzyża? Czyż ci bohaterscy policjanci nie cierpią jak Jezus na krzyżu?

– Jakoś dotąd... prawda... Nikt spośród pacjentów nie zwrócił na to uwagi – tłumaczyła się komendantka, to błada, to czerwona na twarzy. – Panie pośle, zaraz każę kupić tyle krzyży, ile jest sal w naszej placówce. Czy miałby pan jeszcze, prawda, jakąś uwagę? Chętnie ją wykorzystam w dalszej pracy.

Dostała kota, powiedział w myślach Syski. Ale dlaczego się płaszczy przed facetem uważającym się za mocarza?

– Wypadek miał miejsce podczas urlopu. W związku z czym nie należy się panu odszkodowanie za utracone zdrowie. Chyba że z ubezpieczenia prywatnego, pod warunkiem że wykupił pan polisę. Takie prawo. Głupie pra-wo – zaakcentował poseł. – Takie prawo trzeba zmieniać. Po to jestem w sejmie, z woli pani doktor – spojrzał na komendantkę – pana i tysięcy obywateli...

Dostałeś ledwie pół tysiąca głosów, które kupiłeś obietnicami. Przed wyborami wszyscy kandydaci obiecywali złote góry, po wyborach nawet nie pamiętają o swoich obietnicach. Syski roześmiał się cicho.

– ... aby nierozsądne prawo zastępować mądrzejszym. Póki jednak obowiązują stare przepisy, trzeba być z nimi w zgodzie. Niech pani komendant pomoże nadkomisarzowi przygotować wniosek o odszkodowanie. Moje biuro mieści się w wieżowcu przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Skoro przełożeni nie zainteresowali się podwładnym, ja jako prawnik i poseł czuję się w obowiązku sprawę załatwić, mimo że wykracza ona poza moje powinności. Co pan na to, drogi nadkomisarzu?

Dlaczego ani razu nie spojrzął mi w oczy? – zastanawiał się Syski. Mnie informuje, a mówi do ściany i patrzy przed siebie.

– Nadkomisarz Syski jest zaskoczony tym, prawda, co pan poseł zaproponował. Nie zdarzyło się jeszcze, a kieruję placówką...

– Pani komendant, czy uzna pani to za nietakt z mojej strony, jeśli teraz zadam posłowi kilka pytań? Chciałbym skorzystać z okazji – powiedział Syski.

– Mam opuścić izbę? – Uśmiechnęła się kwaśno.

– Są takie sprawy... – Gdy komendantka zamknęła drzwi, poseł natychmiast się podniósł. – Moje pytania dotyczą Cyganika.

– A co to, przesłuchanie?

– Próba zadania pytań i usłyszenia odpowiedzi.

– Czy pan wie, do kogo mówi? Informuję, że mnie chroni specjalny kanon, zwany immunitetem poselskim i nie muszę reagować na żadne zapytania.

– Zapewne był pan nie tylko doradcą prawnym Cyganika, lecz i jego zażyłym kolegą.

– Tak, tak – zaklaskał w dłonie poseł. – Łączyło nas coś więcej niż ko-le-żeń-stwo.

– Na przykład, co?

Pilnik westchnął, ciężko stawiając wielkie stopy podszedł do okna, oparł się o parapet i stanął w szerokim rozkroku.

– Tego nie da się... Tomasz był dla mnie... jak brat. Powiedziałbym tak: jak bli-żnia-czy brat. Ja jeszcze... nie potrafię...

– Współczuję panu. Pogrzebałem ojca i matkę, więc rozumiem, co to znaczy niespodziewana śmierć osób bliskich. – Wybaczcie mi, kochani rodzice, powiedział Syski w myślach, że już was pochowałem.

– Jak uczy Pismo Święte, nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego i wtedy staniemy przez Je-go obliczem

– Jeśli Cyganik był tak panu bliski, to dlaczego nie poszedł pan na jego pogrzeb?

Grobową cisza. Syski spostrzegł, że twarz Pilnika znieruchomiała. Jeszcze minuta, jedna odpowiedź, i zapłaczesz się, pośle, we własnej sieci. Ty musisz wiedzieć, mówił tylko do siebie policjant, kto wyróżnął Cyganików i na czyje polecenie.

– Osobiście nie byłem na pogrzebie, bo nie mogłem się rozerwać. Tego samego dnia jako przewodniczący delegacji sejmiku musiałem być w Finlandii – odrzekł poseł po namyśle. – Pan nie zajmuje się po-li-ty-ką i nie rozumie jej istoty. Jestem członkiem Polsko-Fińskiej Unii Międzyparlamentarnej, a to coś więcej niż... Nie byłem na pogrzebie, boję nad tym, ale nie pan, nadkomisarzu – podniósł rękę jak pewny swego zwycięstwa prokurator w sądzie – będzie mnie z tego rozliczał. Pan został odsunięty od śledztwa. Co, jeszcze komendant panu tego nie przekazał?

– Na stronie sejmowej w Internecie wisi informacja, że w Tampere spotkał się pan z jednym spośród najbogatszych Finów, Attim Hywarinenem? Czy to jest ten sam, który ma

udziały w Finpolu? Ile prawdy jest w tym, że poza plecami Cyganika prowadził pan interesy w Tampere? A w ogóle co łączy pana, Lichaja, Sadowńskiego i innych demokratów z Hywarinenem?

Pilnik próbował przewiercić go wzrokiem, tupnął obunóż i śpiesznym krokiem przemierzył separatkę.

– Taki jak ty, detektywie, to mi może... A w ogóle... – palcem wskazującym prawej ręki pociągnął po swojej szyi, wywalił język na brodę i charczał jak konający. – Ostrzegałem! – Trzasnął drzwiami, aż radio stojące na szafce zatrzeszczało.

Zielonagóra, ul. Wazów, 17 października, wieczór

Po każdym ważniejszym tekście, który ukazał się w *Zielonogórskiej* z podpisem Daniela Satecka przychodziły do redakcji listy, ich autorzy i go chwalili, i potępiali, i się puszili albo nawet mu urągali. Jedni życzyli mu jeszcze bardziej ostrego pióra, drudzy skrzywienia karku. Nigdy jednak nie zdarzyło się, aby ktokolwiek zatelefonował do jego domu i straszył żonę.

– Nie najmądrzejszy dowcip – starał się go uspokoić Syski.
– Gdybym ja przejmował się wszelkimi pogroźkami, to nawet do kibla musiałbym chodzić w towarzystwie ochroniarzy. – Postanowił, że jeszcze nic mu nie powie o Pilniku.

– To nie był dowcip, cierpiący policjancie. To była przestroga. Ten, który zadzwonił do żony, wybrał popołudnie, bo wiedział, że o tej porze jeszcze jestem w redakcji. Zanim wrócę do domu, moja żona naje się strachu. On nieźle zna rozkład mojego dnia.

– Czy masz wrogów w redakcji?

– Raczej konkurentów, rywali, antagonistów, zawistników.

– Żaden...?

Sateck pokręcił głową. Był przekonany, że nikt spośród dziennikarzy, nawet w stanie największego upojenia alkoholo-

lowego, nie odważyłby się kogokolwiek terroryzować, tym bardziej żonę kolegi. W tej grupie etyka oznacza etykę, a cytaty z kodeksu moralnego dziennikarzy jak święte obrazki wiszą na ścianach we wszystkich pokojach redaktorów.

– Możesz się wycofać. Nie podpisałeś zobowiązania i nie składałeś przysięgi.

– Twoja noga w gipsie, niby bomba w redakcji i telefon do żony, to na razie trzy historie, które mogą dotyczyć tej samej sprawy. Czyli zbrodni w willi Cyganików. Ktoś bardzo nie chce, abyśmy go zdemaskowali – powiedział Sateck. W jego głosie pobrzmiwał strach, jakiego Syski dawno nie słyszał.

– Mój policyjny nos czuje podobnie. Zaś mój rozum podpowiada, że poszlaki to tak jak czwarte miejsce na olimpiadzie: zdobyłeś punkty, ale wracasz bez medalu. Trenerzy, kibice, dziennikarze zamiast ci gratulować, pytają, dlaczego ich zawiodłeś, mimo że zrobiłeś tyle, ile mogłeś.

Sateck machnął ręką lekceważąco i uciekł wzrokiem na sufit.

– Gdy żona podniosła słuchawkę telefonu – powiedział po dłuższym zastanowieniu – usłyszała pierwsze takty *Marsza żałobnego* Chopina, po nich odezwał się męski głos, jakby dochodzący z zaświatów. Jak nie chcesz zostać wdową, to wytłumacz swemu mężulkowi, żeby zajął się czymś innym. Bardziej przydatnym ludziom. Spytała, kto mówi, lecz on nie odpowiedział. Widocznie nagrał swoje oświadczenie na taśmę. W przeciwnym razie twój mąż poleci do nieba jak lancia z prokuratorem Kotkowiakiem. Nazwisko prokuratora powtórzył dwa razy.

Gwałtownie rozwarły się drzwi do separatki. Stała w nich komendantka polikliniki.

– Odwiedziny o jedenastej w nocy? Kto tu pana, prawda, wpuścił? – naskoczyła na Satecką.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 18 października, wczesne przedpołudnie

Od dwóch tygodni redaktor naczelny leczył swoje nerki w Kołobrzegu. Jak w zeszłym roku, tak i teraz przed wyjazdem do uzdrowiska nakazał sekretarce, aby korespondencji adresowanej do niego nie odkładała na kupkę. Wszystkie koperty ma otwierać, listy czytać i decydować, które sprawy mogą poczekać do jego powrotu z sanatorium, a które muszą zostać załatwione wcześniej przez zastępców, sekretarzy i kierowników działów.

– Informujemy szefa czy sami podejmujemy decyzję? – Pierwszy zastępca lewą rękę położył na białej kopercie z wypisanym imieniem i nazwiskiem redaktora naczelnego, prawą przytrzymał złożoną na pół, pomarszczoną i pobrudzoną klejem kartkę. – Daleki jestem od tego, aby się strach, lecz sprawa wydaje mi wyjątkowo poważna – kiwając głową, starał się mówić spokojnie. – Komuś dobieramy się do dupy. Nie wiemy jeszcze komu, ale przynajmniej mamy orientację, dlaczego on trzęsie portkami.

– Jakiś zidiociały szajbus lepi anonim, a my nad tym radzimy – roześmiał się lekceważąco sekretarz redakcji.

– Czy zatem powinniśmy zignorować tę wyklejankę? – spytał pierwszy zastępca, jeszcze raz podnosząc kartkę złożoną na pół. – Może mamy ją tak potraktować, jakby była zwykłym listem do redakcji albo nigdy nie została doręczona? A jeśli szajbus rzeczywiście jest terrorystą i dotrzyma słowa?

– Od biedy gazetę można redagować nawet na ławce w parku, ale nie da się jej tam wydrukować – powiedział cierpko drugi zastępca.

– Szajbusy nie straszą anonimami. Ponadto który szajbus wie, że Sateck jest o krok od napisania, kto zabił Cyganików? Czy na ten temat z kimkolwiek rozmawiałeś? – spytał pierwszy zastępca.

– Niekiedy i dwa razy dziennie bywam w poliklinice u Syskiego – przyznał się Sateck. – Oczywiście że z nim rozmawiam. Bez jego pomocy nie ruszyłbym z miejsca. Poza Syskim...? Żona też wie, czym się zajmuję.

– Daj spokój z żoną – wtrącił sekretarz.

Sateck wymienił beznamytnie nazwiska jeszcze kilku osób, z którymi rozmawiał o Cyganiku i całej sprawie. Nikt nawet nie pomyślał, aby autorem anonimu był wicewojewoda, dyrektor muzeum albo emerytowany felietonista Boruta. Od pewnego czasu wszyscy politycy byli przyjaciółmi dziennikarzy, tak przynajmniej głosili podczas konferencji prasowych.

– Czy ktoś może powiedzieć, w jaki sposób list znalazł się w sekretariacie naczelnego? – spytała niespodziewanie kierowniczką działu politycznego, która dotąd tylko przysłuchiwała się rozmowie.

Nikt spośród siedmiu członków kolegium o tym nie pomyślał. Pierwszy zastępca wezwał sekretarkę przez interkom. Też nie wiedziała, kto przyniósł anonim. Dopiero ochroniarz wyjaśnił, że późnym wieczorem, mogła być dziesiąta, przed wejściem do budynku redakcji zatrzymała się taksówka, był to biały opel, miał numer boczny 1698. Kierowca nie zgasił silnika, jakby się śpieszył, przez uchylone okienko spytał, czy może zostawić list do redaktora naczelnego i podał przesyłkę ochroniarzowi. Powiedział też, że w roli listonosza występuje kilka razy dziennie, bo jest szybszy niż poczta.

– Znamy markę, kolor i numer boczny taksówki. Gdybyśmy przeprowadzili śledztwo na własną rękę, czy coś osiągniemy? Kierowca przecież nie musi nam powiedzieć, kto mu kazał przywieźć list do redakcji. Pewnie nawet nie pamięta, jak ten zleceniodawca wyglądał.

Pierwszy zastępca znowu nie zgadzał się z sekretarzem. Jak zawsze podczas takich spotkań zadawał dużo pytań i przy pomocy pozostałych członków kolegium starał się na

nie odpowiadać. Z wykształcenia był matematykiem, nigdy nie bagatelizował uwag zapisywanych na marginesie, analizie poddawał nawet charakter pisma korespondentów. Jego wybująca dociekliwość denerwowała szczególnie początkujących dziennikarzy.

Sateck wrócił pamięcią do pokoju Gardockiego, rozmawiał z Sobolem, przepytывał sekretarkę pośła i notariuszkę, był w muzeum i dyskutował z Muchem, furczał mu w uszach świszczący głos starca z osiedla Kwiatowego. Nagle pomyślał o Lizaku. Gdzie on jest? Podniósł się, aby zadzwonić do polikliniki i spytać Syskiego o boksera, gdy przypomniał sobie, że Lizak czeka w areszcie na rozprawę sądową.

Pierwszy zastępca jeszcze raz zajrzał do koperty, pociągnął nosem dwukrotnie, czuł zapach kleju i farby drukarskiej. Kartkę rozmarszczył przed sobą ponownie, skupiony, z palcem prawej ręki uniesionym wysoko, analizował każde zdanie: O ILE GAZETA BĘDZIE INFORMOWAŁA O CYGANIKU I NIERUCHOMOŚCIACH TO WYSA-DZI SIĘ REDAKCJĘ. O TEJ SAMEJ GODZINIE WYLECI W POWIETRZE DRUKARNIA. ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY. WSZYSTKIE MATERIAŁY ZEBRANE PRZEZ REDAKTO-RA SATECKA MAJĄ BYĆ NAM DOSTARCZONE. MIEJSCE I SPOSÓB KONTAKTU PODA SIĘ ZA 4 DNI. DO TEGO CZASU GAZETA MUSI NAPISAĆ NA PIERWSZEJ STRO-NIE ŻE CYGANIK ZAMORDOWAŁ ŻONĘ I CHŁOPAKA I POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO. NA WNIOSEK POLICJI PROKURATOR ZAWIESIŁ DOCHODZENIE. JAK TEGO WARUNKU GAZETA NIE SPEŁNI TO PRZYSTĄPI SIĘ DO AKCJI. LANCIA.

– Jeszcze ile dni potrzebujesz, aby skończyć reportaż? – Zastępca trzymał pytający wzrok na twarzy Satecka.

– Nazwiska mordercy nie znam i, pewnie gdybym je poznał, bez zgody sądu nie mogę ogłosić. Najwyżej imię, ini-

cjały, zawód. Zresztą w tej sprawie akurat nazwisko nie ma znaczenia. Istotniejsze jest to, co się dzieje na jej uboczu.

– Na przykład, co?

– Chociażby odsunięcie nadkomisarza Syskiego od śledztwa i wysłanie go na przymusowy urlop. Jego wypadek na przejściu dla pieszych przed aresztem, jeśli to naprawdę był nieszczęśliwy wypadek. Niespodziewana wizyta Pilnika w poliklinice i propozycja udzielenia Syskiemu pomocy prawnej. Nie sądzę, aby poseł postąpił tak wyłącznie dlatego, że ma dobre serce.

– Sugerujesz, że Pilnik ma mieć cokolwiek wspólnego z anonimem? – spytała kierowniczką działu politycznego głosem raczej lekceważącym. Wszyscy wiedzieli, że często towarzyszy Pilnikowi podczas jego spotkań z wyborcami i stara się opisywać je tak, jakby poseł był wzorem polityka.

Sateck poprosił pierwszego zastępcę, aby położył wyklejankę na środku stołu, a po chwili wskazując długopisem wielkie litery, mówił ze znajomością rzeczy:

– Zostały wycięte z druku ozdobnego, okolicznościowego, wykonanego na papierze kredowanym i naklejone nieporadnie, raczej w pośpiechu. Autor anonimu może być miłośnikiem sztuki, malarzem amatorem albo kolekcjonuje albumy czy katalogi wystaw, albo też jest kimś, kogo organizatorzy wystaw zapraszają na wernisaże. Albo po prostu pracuje w muzeum czy w galerii. Jest jeszcze jedna możliwość: stroi się w cudze pióra.

– Czy kogoś konkretnego masz na myśli? – zaciekał się sekretarz.

– Czuje się pewnie. Uważa, że jest bezkarny, bo zmusił prokuraturę i policję do przerwania śledztwa...

– A to prawda – wtrąciła kierowniczką działu kulturalnego, której mąż był prokuratorem w Świebodzinie.

– ... poradził sobie z policjantem, umiejętnie zatarł większość śladów. Została jeszcze gazeta, ale tej się obawia, po-

nieważ zdaje sobie sprawę, że na prasę nie ma wpływu. Nas może jedynie straszyć, szantażować czy terroryzować. I to mu się udaje.

– Dajmy na to – zachnął się sekretarz.

– Proszę kolegów – ciągnął Sateck – władzę rozumiem szeroko, głęboko, zabójca zaś siedzi, mniemam, wysoko na drabinie polityki. Może nim być również ktoś mający wpływ na władzę. Nawiasem mówiąc, córka dyrektora muzeum wyszła za prokuratora...

– Much? A to mamy autora anonimu. Doktor Much! – przerwał sekretarz Sateckowi. – Zna się na sztuce. W dodatku litery wycięte z katalogów. I córka.

– Tę hipotezę obali początkujący aspirant policji.

– Ponadto córka doktora Mucha jest żoną prokuratora wojskowego w Poznaniu – przypomniał sobie sekretarz.

Pierwszemu zastępcy naczelnego śpieszyło się na umówione spotkanie z dyrektorem Banku Lubuskiego, który obiecał mu tani kredyt na budowę domu.

– Co postanawiamy? – spytał ponaglająco.

– Mamy dwa wyjścia – powiedział drugi zastępca.

– Jakie?

– Możemy powiadomić policję, która anonim potraktuje poważnie lub go zlekceważy. W obu przypadkach będziemy musieli wydrukować tekst, o który chodzi jego autorowi.

– A jakie jest drugie wyjście?

– Wynająć dodatkowych ochroniarzy.

– I co, każdego, kto będzie wchodził do budynku, mają rewidować? Przepytywać?... Panowie, z lotnisk, gdzie służbę pełnią brygady specjalne, wyposażone w supernowoczesny sprzęt, terroryści porywają samoloty – przekonywał pierwszy zastępca. – Postąpimy tak – zdecydował błyskawicznie – jak proponuje Daniel.

– Na razie powinniśmy się poddać – powiedział Sateck z wyraźnie przegraną miną. – Jeśli nic się nie wyjaśni, będziemy musieli... wynająć ochroniarzy, którzy, niestety, będą rewidowali wszystkich naszych gości. W przeciwnym razie jeśli nie ten szajbus – pokazał na anonim – to inny debil wysadzi redakcję w powietrze.

Zielonagóra, Stary Rynek, 18 października, wczesne popołudnie

Po trzech dniach jesiennego chłodu znowu było cieplej, słońce przedzierało się zuchwale przez gałęzie lip gubiących pożółkłe liście, które wiatr natychmiast porywał i pędził po ulicach, ale Sateck tego nie widział, z kurtką narzuconą na plecy szedł wolnym krokiem i o niczym nie myślał. Gdyby ktokolwiek go zatrzymał i spytał, dokąd się wybrał w porze obiadowej, pewnie wzruszyłby ramionami. Pierwszy raz od dłuższego czasu wyszedł z redakcji bez żadnego celu.

A powinien pójść prosto do domu, wymienić uszczelki w kranach, o co żona go prosiła jeszcze we wrześniu, bo woda kapie bez potrzeby, nareszcie wysprzątać piwnicę, wyrwać zeschnięte pelargonie ze skrzynek i zrobić porządek na balkonie.

– Zamyślony nasz Herkules Poirot! – usłyszał obok siebie. – Czyżby w tym miejscu pan redaktor szukał odpowiedzi na pytanie: kto Cyganików pozbawił życia?

Podniósł głowę i stwierdził, że za szybą leżą książki, a obok stoją dwie kobiety, obie młode i urodziwe. Tą, która wyciągnęła do niego rękę, gdzieś już widział. Asystentka Pilnika, przypomniał sobie po chwili.

– Proszę poznać najmłodszą siostrę pana posła – powiedziała.

– Wiele dobrego o panu słyszałam – oświadczyła siostra Pilnika, szczerząc naprawdę ładne zęby. – Ilekroć jestem

w Zielonejgórze, zawsze zaglądam do naszej *Gazety*, żeby zobaczyć, komu pan redaktor dokopał. Lubię ten styl przekonywania. A w ogóle to jestem pod wrażeniem ostatniej pańskiej książki. Skąd w panu tyle wścibstwa? Przy najbliższej okazji poproszę o autograf – dodała zerkając na zegar ratuszowy i oznajmiła asystentce posła, że musi pędzić na uniwersytet.

Odprowadził ją wzrokiem aż do zakrętu ulicy. Nieczęsto słyszał uwagi o swoim pisaniu. Kiedy tak patrzył, jak zgrabnie stawia nogi i wabiąco kołysze biodrami to myślał, że karygodnie się zachował, bo powinien był jej podziękować za zainteresowanie książką, lecz gdy ułożył odpowiednie w tej sytuacji zdanie, zdał sobie sprawę z tego, co powiedziała między słowami i się zirytował. Jeszcze nikt nie zadrwił z niego w taki sposób.

– A ja zapraszam... – asystentka posłała wzrok w stronę galerii U Jadźki – tam. Tylko proszę nie wykręcać się brakiem czasu.

Galeria mieściła się w centrum miasta i miała wyjście do lasu, jak powiadał Boruta, ten stary felietonista, który znał wszystkie knajpki, kelnerki, anegdoty i wiedział akurat tyle, ile dziennikarz powinien wiedzieć, aby nie był głupszym od lokalnych polityków. U Jadźki nikt nie oglądał obrazów, chyba że był to turysta. Miejscowi przychodzili do galerii na tanią wódkę. Sateck również poprosił o dwie wyborowe z podwójnym sokiem grejpfrutowym.

– Za nasze spotkanie, redaktorze. – Asystentka Pilnika podniosła szklankę, spojrzała mu prosto w oczy, ale nie tak zwyczajnie, jak urzędniczka z biura poselskiego, lecz inaczej, w każdym razie on dostrzegł w tych oczach odbicie wszystkich obrazów, jakie już wisiały na przybrudzonych ścianach galerii.

– Za nasze spotkanie, pani asystentko – powiedział. Duszkiem wypił sok z wódką, jakby to był kompot. – Chciało mi się pić.

– Ja również mam pragnienie. – Także wypila do dna, a gdy przyniósł z baru jeszcze dwie szklaneczki, spytała, czy chce, aby się upiła. – Ja i bez tego jestem gotowa odpowiadać na pańskie pytania.

Ale nie odpowiadała, tylko patrzyła na niego, uśmiechała się i rzucała niewiele znaczące słowa. Przyzwyczajony do konkre-
tów, nie lubił takich sytuacji. Mógł bujać w obłokach, lecz teraz nie o to mu chodziło. Wiedział, że z tego spotkania powinien coś wynieść, ona też o tym wie i chce mu coś przekazać, dlatego zaczepiła go przed księgarnią. Zerknął na jej prawą dłoń, dostrzegł tylko pierścioneczek z jasnym oczkiem, popatrzył na palce lewej ręki, ale i tam nie zauważył obrączki. Jeszcze pan-
na czy już rozwódka? Niby nie miało to żadnego znaczenia, on jednak zwracał uwagę na stan cywilny swoich rozmówców. Kobieta żyje nie wyłącznie dla siebie, lecz aby być na służbie u mężczyzny, którego wybrała, nieświadoma tego, że rodzenie i wychowywanie dzieci wcale nie jest jej podstawowym celem. Jeśli trzydziestoletnia kobieta, zgrabna, urodziwa, samodziel-
na, nie wyszła za mąż, to albo uważa się za niezdolną do takiej służby, albo jest głupia lub nieuleczalnie chora.

– Dawno tu nie zaglądałam – przerwała milczenie i omio-
tła wzrokiem obrazy zdobiące ścianę za jego plecami. – Kilka takich rzeczy chciałabym mieć w swoim mieszkaniu. Naj-
pierw jednak powinnam mieć swoje mieszkanie.

– A nie ma pani?

– Wynajmuję mieszkanie w pobliżu – rzekła, wyraźnie da-
jąc mu do zrozumienia, że już ma dość siedzenia w galerii.
– Pan powinien je znać. – Otworzył usta, aby zaprzeczyć, gdy
ona powiedziała: – Trzy pokoje z kuchnią po Wilczkach czy
raczej Wilczków. Pewnie któregoś dnia będę musiała poszu-
kać sobie innego kąta. A może mieszkanie w Zielonejgórze
będzie mi niepotrzebne? Może mój szef zostanie ministrem.
Po co ma szukać zaufanej asystentki, skoro ja jestem?

Przytaknął i pomyślał, że ona wcale nie jest naiwna. Pan radca już lepi sobie gniazdko w Warszawie, co nikogo nie powinno dziwić, bo celem każdego polityka jest zdobycie przynajmniej Giewontu władzy. – Pilnik przecież uważa się za wytrawnego polityka – zastanawiało go jedynie to, czy poseł dlatego chce mieć władzę, aby ją po prostu mieć, czy aby przejść do historii jako ten, który dał z siebie więcej niż ukradł.

– Podziwiam pana – w ogromnych oczach asystentki zapaliła się świeczka zachwytu. – Podziwiam i zazdroszczę. – Na chwileczkę przykryła jego chłodną rękę swoją dłonią, miękką i gorącą, po czym wstała. – Zapraszam pana na dalszą część naszego spotkania do bardziej ustronnego lokalu.

Nie spytał, jakie miejsce wybrała, siedł obok niej w milczeniu, z głową uniesioną wysoko, nie przypatrywał się ludziom, którzy spieszyli się, jakby za moment miało nastąpić oberwanie chmury albo jeszcze coś bardziej dramatycznego. Szedł tak i czuł, że ona jest dumna, bo idzie obok faceta wprawdzie nie najmłodszego, ale z jakim doświadczeniem. A dokąd ona mnie prowadzi? Minęli bank, ratusz, jeszcze jeden bank, skręcili w uliczkę Kościelną.

– Tutaj mieszkam – pokazała na okna za żółtymi żaluzjami.

Zielonagóra, ul. Kościelna, 18 października, popołudnie

Pokój był pełen szkatulek inkrustowanych barwionym szkłem, puzerek z wymyślnymi zatraskami, sztucznych kwiatów, flakonów, figurek na kredensie. Sateck poczuł się tak, jakby był w galerii staroci, a nie w pokoju, w którym prokurator okręgowy oglądał telewizję, czytał gazety i donosy, pił, jadł, kłął, kochał, przyjmował gości. Z rękami założonymi do tyłu spacerował wzdłuż pomalowanych na zielono ścian i się zastanawiał, jaką wartość mają obrazy, które oglą-

da jednak z zaciekawieniem. W żadnym mieszkaniu nie widział tylu portretów, pejzaży, martwych natur. Czy dyrektor muzeum wie, że one tu wiszą? Przy najbliższej okazji spyta o to Mucha albo sam zajrzy do urzędowego spisu zabytków. Był przekonany, że są to dzieła oryginalne, malowane wiele lat temu przez sławnych mistrzów, lecz nic nie wiedział o ich autorach. Angelika Kaufmann? Gerard H. Bredemeyer?

– Tylko kopie – powiedziała asystentka Pilnika, jakby czytała w jego myślach. – Mam na imię Jagoda.

– Jadwiga.

– Ja-go-da. To nie to samo co Jadwiga. – Podała mu szklankę z płynem koloru starego złota.

Upił łyk i się skrzywił.

– Jeśli nie lubisz whisky, przygotuję coś słodsze.

– Myślałem, że to...

– Chivas – szybko wyjaśniła i znowu się roześmiała. – Niech pan redaktor klapnie na kanapie – poprosiła i przykucnęła w fotelu. – Bardzo lubię to miejsce.

Potulnie usiadł na wprost niej, pytającym wzrokiem omiótł dywan i meble, dłużej zatrzymał spojrzenie na szkatule, z której wystawało coś, co mu się kojarzyło z okiem jakiegoś aparatu optycznego. Jagoda też milczała, sącząc whisky i przypatrując mu się z ukosa. Owszem, podobała mu się, ale na razie nie zwracał na nią uwagi, jakby był zabawką wystruganą z drewna. Spotkanie przed księgarnią pewnie nie było przypadkowe, pomyślał. A po co ona mnie tu zaprosiła? Przecież nie jestem amantem czy facetem, o którym śnią przerośnięte panny.

Na stoliku leżało kilka katalogów rozmaitych wystaw dzieł sztuki, były wśród nich najświeższe, barwne, wydane na kredowanym papierze przez muzeum.

– Czy chodzi pani na wszystkie wernisaże?

– Ja-go-da.

Poprawił się natychmiast i dodał jakby znał jej odpowiedź:

– Przecież to nudy na pudy.

– Do moich obowiązków zawodowych należy zajmowanie się nawet nudnymi sprawami – odparła i puściła do niego oko. – Pan każe, sługa musi.

– To zaprosiłaś mnie również na polecenie swego pana?

– A jak uważasz? – spytała i jeszcze bardziej przekrzywiła głowę.

Dopiero teraz spostrzegł, że Jagoda nie ma na sobie ani tej błękitnej bluzki, w której była z nim w galerii U Jadźki, ani granatowej minispódniczki, ani pończoch czy rajstop. W modrym szlafrocuku, z nogami podwiniętymi pod siebie tkwi kusząco w wielkim koszu fotela, w którym jest miejsce dla dwu osób.

– Proszę dać mi rękę.

– Nic ciekawego, jestem żonaty – powiedział i wyciągnął prawą dłoń, aby pokazać jej obrączkę na serdecznym palcu.

– Lewą.

Posłusznie wyciągnął przed siebie lewą dłoń, po kilku sekundach czuł coraz cieplejszy dotyk jej miękkich palców sięgających aż przegubu i było mu przyjemnie, ale starał się nic sobie z tego nie robić. Pomyślał, że to taki kaprys samotnej, więc może biednej kobiety, która najpierw wypila dwie szklanki soku z wódką, a niedawno pół szklanki whisky. Zmrowiło go, gdy Jagoda najpierw koniuszkiem języka sięgnęła wnętrza dłoni i tkwiła w niej jakiś czas, a później tę posłuszną, wilgotną rękę przeniosła na swoje udo i prowadziła ją aż do spojenia nóg. Ale i wtedy z własnej woli nie posunął jej ani o milimetr, jakby to nie była jego dłoń. Gdyby posłał spojrzenie na jej podbrzusze, widziałby, że stara się nakazać jego palcom, żeby mierzwiły włosy i wnikały do na pewno już rozpalonego środka, lecz on patrzył na jej lekko

rozchylone usta i przymknięte oczy, słyszał coś, co mogło być prośbą szeptem. Rozumiał, że za chwilę musi przestać być zabawką z drewna. Już wychodzę, postanowił i nagle cofnął rękę jakby coś go ukuło. Nie będę się tłumaczył, tylko wstanę i wyjdę bez słowa. Albo powiem, że nie jest dziwką, ale nawet się nie poruszył. Jagoda uklękła przed nim, wygięła się w pałąk, tanecznym ruchem ramion wysunęła się ze szlafrocza, po czym falując piersiami wyciągnęła ręce za siebie, klasnęła w dłonie raz i nad kanapą zapalił się reflektorek, klasnęła drugi raz i jeszcze jeden snopek światła spadł na Satecka. Oniemiały niczego już nie rozumiał, czuł jedynie palce Jagody zbliżające się do paska przytrzymującego jego dżinsy. Nie powiedział ani słowa, gdy palce rozsunęły zamek błyskawiczny spodni, rozpięty jego koszulę i wplątały się we włosy na piersi. Ocknął się dopiero, gdy usłyszał dwa krótkie klaśnięcia, bo wtedy wydało mu się, że coś przed nim zachrobotało. Otworzył oczy, ale niczego nie widział, tylko Jagodę pochyloną przy jego udach, czuł jej gorący oddech i wiotkie palce. Osunął się na kanapę i czekał, co będzie dalej. Po chwili znowu otworzył oczy, wydawało mu się, że w pokoju jest jeszcze ktoś, kto go obserwuje z ukrycia.

Pół godziny później plaśnięciem w ręce Jagoda zgasła reflektorki, naga, przytulona najwyraźniej dziękczynnie do piersi Daniela zadawała rozmaite pytania, na które on odpowiadał lakonicznie. Nadal był przekonany, że nie są sami w tym mieszkaniu pełnym martwych postaci na obrazach olejnych. Nie słyszał żadnego szmeru, oddechu czy czegoś, co świadczy o obecności intruza. Leżąc tak na kanapie nasłuchiwał i bał się jednocześnie, bo może za chwilę otworzą się drzwi, stanie w nich facet z aparatem fotograficznym, naciśnie migawkę i to zdjęcie, na którym będzie on nagi, zanieś do redakcji albo, co gorsze, włoży do koperty i list wyśle do żony. Tego bał się najbardziej. Gdzieś

przeczytał, że jedynie ludzie nieuczciwi bronią się i atakują szantażem.

– Podoba mi się ten pomysł z włączaniem lamp – pochwalił Jagodę i wbrew jej protestowi delikatnie klasnął w dłonie. Wiązka światła uderzyła go w oczy, mimo to jeszcze raz klasnął, nad kanapą zrobiło się powtórnie jasno jak w studiu fotograficznym. Oślepiiony z obu stron uniósł ręce, aby klasnąć dwa razy krótko, ale wtedy Jagoda uszczypnęła go w pierś.

– Zgaś – nakazała głosem stanowczym.

Mimo to klasnął i zaraz usłyszał delikatne chrobotanie, jakby coś się wysuwało albo odmykało. Już odwrócił głowę w stronę kredensu, na którym stały szkatułki, puzderka, flakoniki, i podniósł się na łokciach, aby sprawdzić, co tak chrzęści, gdy Jagoda dwukrotnie plasnęła rękami, Daniel powtórzył klasnięcie, a wtedy ona uderzyła go łokciem w brzuch. Nagle poczuł, że brakuje mu powietrza, zbladł, padł na kanapę, a ona roześmiała się nienaturalnie i obsypała go przepraszającą pocałunkami.

– Pić mi się chce – powiedział.

– Mnie też. Może być whisky z wodą i lodem. Dużo.

Podniosła się niezbyt chętnie, później, stojąc nad Danielem, chwilę przypatrywała mu się wyraźnie zadowolona. Żaden mężczyzna, który leżał na tej kanapie spragniony, nie był mnie wart, stwierdziła w myślach. Facet dobry w swoim fachu jest również dobrym kochankiem.

– Zaraz coś ci powiem – rzuciła do niego, robiąc sekretną minę.

Gdy usłyszał, że Jagoda otwiera lodówkę, natychmiast zerwał się z kanapy, ale nie poszedł za nią do kuchni, tylko podniósł wieczko szkatułki ustawionej na kredensie, wyjął płytę i schował ją między gazety wystające z kieszeni kurtki. Jakby nic się nie stało, leżał na swoim miejscu z ręką wyciągniętą po szklankę. Teraz naprawdę chciało mu się pić.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 19 października, rano

Ledwie otworzył drzwi do swego pokoju w redakcji, gdy odezwał się telefon na biurku. Podniósł słuchawkę z niechęcią, bo pomyślał, że pewnie znowu jakiś zdziwaczały czytelnik przez kwadrans będzie truł o problemach, których Sateck, choćby miał władzę prezydenta czy premiera, nigdy nie rozwiąże. Ku swemu zaskoczeniu usłyszał głos Syskiego. Spytał go o samopoczucie i czy już wrócił z polikliniki do domu.

– Nie, tak wcześnie ordynator mnie puści, ale oprócz prywatnej komórki mam telefon przy łóżku – pochwalił się nadkomisarz. – Do mnie można dzwonić za pośrednictwem centrali policji, ode mnie po wybraniu numeru wyjściowego.

– Czyżbyś w nagrodę za pokorę został przeniesiony do sali dla VIP-ów?

– Od świtu we wszystkich separatkach są czynne aparaty telefoniczne dzięki... posłowi Pilnikowi. Chyba zmienię o nim opinię. Nie dość że interesuje się moim zdrowiem, to również spełnia moje zachcianki. Jeśli jeszcze raz przyjdzie z samarytańską wizytą, to pewnie nakaże komendantce, aby do każdej separatki wstawiła telewizor z pilotem... No i nie zapomni o paczuszce.

– A w niej będzie bombka – roześmiał się Sateck z przekąsem. Nie ufał ludziom, a tym bardziej politykom, którzy pojawili się nagle. O Pilniku wiedział tylko tyle, że ostatnio był doradcą prawnym Cyganika. Starał się ustalić, czym zajmował się wcześniej, lecz mimo pomocy przyjaciół w Izbie Radców Prawnych na razie było to niemożliwe.

– Usiądź mocno na krześle, bo to, co za chwilę usłyszysz, powinno cię zwalić z nóg. Gdybym, cholera... ale nie przypuszczałem, żeby dyrektor muzeum...

– Much jest w to zamieszany?

– Tego nie wiem. Wiem natomiast, dlatego kazałem ci usiąść, że... popełnił samobójstwo.

– Żartujesz. Czyżby palnął sobie w głowę z muzealnej rusznicy?

– Powiesił się.

– Kiedy? – spytał Sateck z niedowierzaniem.

– Mało tego, zostawił list pożegnalny, w którym jest coś takiego, co i ciebie zacieka.

– Codziennie wieczorem, wczoraj też, dobrze po dziesiątej kontaktuję się z policją, na wszelki wypadek. Oficer dyżurny słoweczkiem nie pisał o samobójstwie Mucha. O żadnym samobójstwie.

– Parę minut temu dzwonił Tadzio Araszkiwicz, aspirant z tytułem magistra, który podczas mojego urlopu jest najważniejszą osobą w wydziale śledztw. Powinieneś o tym wiedzieć i nie z żadnym oficerem, a z nim rozmawiać, tym bardziej że jego przyrodni brat jest kimś ważnym w Ruchu Centrum. Wracając do Mucha, doktor powiesił się, zdaniem Tadzia, około dziewiątej wieczorem. On został wezwany dopiero dziesięć minut przed północą.

– Ma to coś wspólnego z Cyganikami? Są dowody, że Much zaciachał...?

– Pędź do komendy – nie pozwolił mu dokończyć. – Tadzio uważa, że to, co dotąd zebrał na temat Mucha, przede wszystkim ciebie powinno zainteresować. A przy okazji, nie musisz odpowiadać, dlaczego twój szef jeszcze nie powiadomił policji o liście anonimowego autora? – Głos nadkomisarza zabrzmiał poważnie i karcąco.

Syski jest niesamowity, pomyślał o nim Sateck. Leży na szpitalnym łóżku, nawet nie wychodzi do toalety, a ma doskonałe rozeznanie w sprawach, które dzieją się za murami polikliniki.

– Kto ci doniósł, że mój szef dostał anonim?

– Tadzio. Ale nie mów mu o tym. Kosztowało go to trochę. Przy okazji powiem ci, kto w redakcji nie umie trzymać języka za zębami.

- Sekretarka szefa – palnął Sateck.
- Kobieta, tyle że nie osoba, którą wymienileś.

Zielonagóra, ul. Wąska, 19 października, wczesne przedpołudnie

Milcząc aspirant się zastanawiał, co powie Sateck, gdy usłyszy, w jaki sposób podszedł ochroniarkę i wyciągnął od niej informację o anonimie. Mimo krótkiego stażu w służbie kryminalnej jestem niezłym kandydatem na śledczego, pochwalił się w myślach i nie podnosząc oczu na redaktora, wysypał z torby foliowej kilka przedmiotów, które policjanci zabrali z mieszkania Mucha. Najwięcej miejsca na biurku zajmowały dwie linki tej samej grubości: krótsza miała najwyżej metr, dłuższa, z węzłem marynarskim, była zwinięta jak zaskrobiec w zaroślach.

- Tą Much miał ręce skrępowane z tyłu. - Araszkiewicz przesunął krótszą linkę na brzeg biurka, głowę zadął wysoko i zamilkł, jakby czekał na pytania. Sateck na razie milczał. Po chwili aspirant podniósł drugą linkę. - Na tej Much wisiał. A tu, gdyby pana interesowały okoliczności, są fotografie.

Sateck zapalił lampkę. W milczeniu przeglądał zdjęcia wykonane przez policyjnego fotografa jeszcze przed ściągnięciem ciała ze sznura. Tyle razy oglądał wisielców na zdjęciach i w rzeczywistości, że nie powinien odczuwać niesmaku, mimo to oddychał głęboko przez otwarte usta, a język miał suchy. Bez względu na to, z jakiego powodu umierają, wisielcy zawsze wyglądają odrażająco, przypominał sobie określenie, które kiedyś usłyszał z ust Syskiego.

- Zastanawiam się, co skusiło Mucha, wytwornego humanistę, że wybrał ten najbardziej hańbiący rodzaj śmierci? Chyba nie był chory na głowę?

- Nic o tym nie słyszałem - odparł aspirant, zaskoczony pytaniem Satecka i przygryzł wargi. Cholera, trzeba to sprawdzić, pomyślał i zapisał w notesie.

– Wielokrotnie rozważałem, co się dzieje w mózgu zdrowego na ciele mężczyzny, który wie, że za moment przestanie istnieć jako współdawca życia. Czy zastanawia się, co po nim zostanie?

A dlaczego mnie nigdy nie przyszło to do głowy? – aspirant zmarszczył czoło. Będę musiał przejrzeć trochę lektur z zakresu psychiatrii klinicznej, postanowił.

– Czy zdrowy na umyśle mężczyzna świadomie najpierw przesuwa stół na środek pokoju, ustawia na nim krzesło, zdejmuje żyrandol z sufitu i delikatnie, aby nie zbić klosza, kładzie go za drzwiami, później jeden koniec sznura przewleka przez hak, na drugim zawiązuje węzeł ratowniczy i głowę wkłada w pętlę? Następnie związuje sobie ręce, z premedytacją strąca krzesło nogami i żegna Pamelę? – Sateck pochylił się nad zdjęciem, było niedoskonałe, mimo to przez lupę przypatrywał się supłowi na rękach wisielca. – Jak on go zawiązał?

Aspirant uśmiechnął się, wyglądał na takiego, który zna wszelkie tajemnice.

– Ten rodzaj węzłów, zwany wyblinką, do niedawna był stosowany przy wiązaniu rękawic bokserskich. Aby je zawiązać prawidłowo, trzeba użyć palców obu rąk. Tak doszedłem do pierwszego wniosku: Much nie mógł sam się skrępować.

– Jaki będzie drugi wniosek?

– Na podstawie oględzin zewnętrznych ciała stwierdziłem, a lekarz ze mną się zgodził, że Much nie odebrał sobie życia dobrowolnie. Na tej linie, wykonanej z włókna stylonowego, już zawisł jego trup. Proszę mnie posłuchać: Much najpierw został uduszony przy pomocy paska, o czym świadczy złamanie kości gnykowej.

Sateck zaraz pomyślał o dusicielu grasującym w Warszawie, który ma na sumieniu Iwettę, Brumela i starego Herrmanna. Gdyby Gardocki nie opowiedział mu o tym, co robili Rebeka

i Herrmann w powojennym Żaganiu, nie dostrzegałby żadnego związku między tymi sprawami. Przypomniał sobie, co Syski mówił o mordercy w willi na osiedlu Kwiatowym: zanim poderznął gardła Cyganików, najpierw dusił swoje ofiary. Aspirant także zwrócił na to uwagę.

– Z psychologii ogólnej na studiach zapamiętałem, że ludzka psychika jest rzeczą nieodgadniętą – powiedział aspirant jakby się tłumaczył. – Much został powieszony lub, ale to hipoteza podwójnie teoretyczna, sam się powiesił, co oczywiście na podstawie zebranych dowodów trzeba wykluczyć. Gdyby jednak uznać to za samobójstwo, możemy mieć do czynienia z samobójstwem indukowanym przez środowisko ewentualnie przeżycia. W pewnych poziomach świadomości w czasie kryzysu może nastąpić identyfikowanie własnej osoby z zasłyszonym wydarzeniem.

– Kto zawiadomił policję? – Sateck się poprawił: – Kto znalazł denata?

– Najmłodsza córka Mucha mieszka w Poznaniu, jest prokuratorem cywilnym. Jej mąż pracuje w prokuraturze wojskowej. Żona Mucha prowadzi ich dom i opiekuje się dzieckiem. Co dwa tygodnie Muchowa wraca do Zielonejgóry, aby wysprzątać mieszkanie, wyprać koszule męża i coś mu ugotować na zapas. Zawsze przyjeżdża wieczorem, wczoraj spóźniła się na ostatni autobus, dlatego zięć przywiózł ją samochodem aż do Zielonejgóry. Jak mi wyjaśnił, główne drzwi mieszkania teścia były otwarte, a światła w pokojach i kuchni pogaszone. Muchowa powiedziała zgryźliwie, że dziadek, tak przy zięciu i córce mówiła o Muchu, pewnie wpadł na trop kolejnego zaginionego arcydzieła i znowu zapomniał, gdzie żyje. Żona i zięć weszli do mieszkania...

– Powiedział pan, że zanim Much zawisł na sznurze, już był nieboszczykiem – Sateck chciał uporządkować swoją wiedzę.

- Są na to dowody, jednak bez trudu można je obalić.
- Przyjmijmy takie założenie: Much został zamordowany. Czy zauważył pan ślady szamotaniny albo czegoś, co by świadczyło, że walczył o swoje życie?
- Gdy wszedłem do pokoju, pierwsze co rzuciło mi się w oczy, to butelka po wódce obok fotela. Pracownicy muzeum twierdzą, że Much, owszem, czasem zaglądał do kieliszka, lecz nie zalewał się do nieprzytomności. A jeśli pił, to nigdy sam. Szukałem kieliszka, szklanki czy czegoś podobnego. Naczynia stały w kredensie, ale w żadnym nie było kropli alkoholu. Czyżby wypił wódkę prosto z butelki?
- Albo została w niego wlana.
- Jak było naprawdę, dowiem się po sekcji. Wstępnie lekarz uznał, że Much nie był pijany, natomiast alkohol, tak jak i pan sugeruje, został w niego wlany. Gdyby takie stanowisko zajął doktor Kriger, byłbym skłonny nie polemizować. Przemawiałoby doświadczenie i wiedza. Niestety, jako lekarz sądowy wystąpił internista, któremu ja po prostu nie wierzę. – Aspirant usiadł za swoim biurkiem. Wyglądał na takiego, który wszystko wie najlepiej. – Ten, kto go udusił, jeśli przyjmiemy tę tezę, robił wszystko, aby przekonać policję, że pijany Much sam odebrał sobie życie. Mnie jednak to nie przekonuje.
- Mnie też.
- Pana nie musi. To ja prowadzę śledztwo. Pan może mieć wątpliwości, mnie wystarczy fakt. A fakt jest taki: doktor Much popełnił samobójstwo.
- Przed chwilą mówił pan co innego.
- Liczy się jednak fakt. I policyjny wskaźnik wykrywalności sprawców zdarzeń.
- Nadkomisarz Syski, panie aspirancie, często gęsto słuchał moich wypowiedzi.

Araszkiewicz spojrzał na niego z pobłażaniem, mocno oparł się plecami o poręcz krzesła, palce dłoni splótł na głowie, nogę założył na nogę.

– Więc i ja słucham podpowiedzi – rzekł wyniośle, co zabrzmiało sztucznie.

– To było uduszenie.

– Do takiej konkluzji oczywiście można dojść, gdyby nie... list pożegnalny. Ten list – aspirant wyjął z szuflady biurka białą kopertę i podał ją Sateckowi – został napisany na komputerze. Muchowa nie wie, czy jej mąż umiał pisać na komputerze, ale na pewno nie umiał obsługiwać drukarki. Twierdzi, że wszystkie swoje prace pisał piórem i dawał je do przepisania sekretarce.

– Co zapamiętała sekretarka?

– W ostatnich dniach nie przepisywała żadnego rękopisu Mucha. Ponadto drukarka, która stoi w kancelarii muzeum, to urządzenie atramentowe i dawno powinno zostać wymienione. Nasz biegły przypuszcza, że list został napisany na laptopie marki Fujitsu & Siemens z wbudowaną drukarką, na niestandardowym edytorze tekstów – Araszkiewicz otworzył notesik – angle writer 3.2 buik 400.

– Kolejny fakt na potwierdzenie mojej tezy – powiedział Sateck i rozchylił kopertę.

– Bez obawy może pan wyjąć kartkę. Nie było na niej żadnych śladów linii papilarnych.

Przecież identyczną czcionką została zaadresowana koperta do mojego szefa, stwierdził Sateck. Miał przy sobie kserokopię anonimu. Wyjął ją z torby i bez słowa położył przed aspirantem.

– Nareszcie! Czekałem, kiedy ktoś z członków kolegium zdecyduje się na oficjalny kontakt z policją. Pół miasta trąbi o liście z pogrózkami, który gazeta dostała, a kolegium pańskiego szefa nic, jakby sprawa nie istniała. Redakcja, w tym

szczególnie pan nie ułatwia mi pracy – powiedział aspirant z wyraźną goryczą w głosie. – Interesujące – wskazał oczami na adres.

– Czyżby pan aspirant, w przeciwieństwie do mnie, coś z tego zrozumiał?

– Taki sam lub bardzo podobny krój liter. O niczym to jednak nie świadczy, gdyż laptopy z wbudowaną drukarką są coraz szerzej wykorzystywane, gdyby nie treść listu. Niech pan się z nią zapozna.

Pewny siebie gliniarz, pomyślał Sateck o aspirancie. Nadkomisarzu, wracaj, bo przy Araszkiewiczzu do reszty wyłysięję. Stanąwszy przy oknie, gdzie było widniej, czytał: BEZ WZGLĘDU NA TO JAK MNIE OSĄDZICIE POSTANOWIŁEM Z WŁASNEJ WOLI ROZSTAĆ SIĘ Z BOŻYM ŚWIĄTEM PEŁNYM NIENAWIŚCI CZŁOWIEKA DO CZŁOWIEKA, NIESPRAWIEDLIWOŚCI I POGARDY DLA SŁABSZYCH. CO ZA ŻYCIE. NIE MOŻNA JEŚĆ ANI SPAĆ. NAWET MODLIĆ SIĘ NIE IDZIE. NIE PYTAJCIE KIEDY DOSZŁEM DO TAKIEJ KONKLUZJI I DLACZEGO WYBRAŁEM TAKĄ ŚMIERĆ. Tę TAJEMNICĘ ZABIERAM ZE SOBĄ DO PIEKŁA, KTÓRE ZOSTAŁO MI PRZEZ BOGA PRZEZNACZONE. TAM MUSZĘ ODPOKUTOWAĆ ZA MOJE GRZECHY. ZANIM PODJĄŁEM DECYZJĘ DŁUGO MYŚLAŁEM NAD SWOIM ŻYCIEM. DOSZŁEM DO KONKLUZJI, ŻE JESTEM ZBYTECZNY PANU BOGU NA ZIEMI. ZA MAŁO SIĘ MODLIŁEM I SZATAN MNIE SKUSIŁ. A TERAZ POSŁUCHAJCIE UWAGNIE MOJEGO WYZNANIA. JA, MUCH LEOPOLD, PRZYZNAJĘ SIĘ DO TEGO, ŻE CYGANIKA TOMASZA I JEGO ŻONĘ REGINĘ ORAZ CHŁOPAKA WŁASNORĘCZNIE POZBAWIŁEM ŻYCIA. NIE BĘDĘ OPISYWAĆ JAK TĘ ZBRODNIĘ POPEŁNIŁEM, BO PO CO KOMU WIEDZIEĆ, WYSTARCZY ŻE SIĘ PRZYZNAŁEM ŻEBY POLICJA DAŁA SPOKÓJ NIE-

WINNYM LUDZIOM. JA SPOWODOWAŁEM WYPADEK NA PRZEJŚCIU DLA PIESZYCH PRZY ULICY DĄBRÓWKI W TEN SPOSÓB, ŻE NAJECHAŁEM NA POLICJANTA SYSKIEGO, KTÓRY PROWADZI ŚLEDZTWO W SPRAWIE CYGANIKÓW. JA WPROWADZIŁEM W BŁĄD REDAKCJĘ GAZETY PRZY POMOCY TELEFONU INFORMUJĄC JĄ, ŻE W PIWNICY ZOSTAŁA UKRYTA BOMBA. JA JESTEM AUTOREM PISMA DO NACZELNEGO REDAKTORA GAZETY KTÓRE ZAWIERAŁO OSTRZEŻENIE. NIE WYSADZIŁBYM NIGDY BUDYNKU REDAKCJI BO NIE ZNAM SIĘ NA MATERIAŁACH WYBUCHOWYCH. NIC WIĘCEJ NIE MAM DO POWIEDZENIA POZA TYM ŻE-BYŚCIE WYMAZALI MOJE IMIĘ I NAZWISKO ZE SWOJEJ PAMIĘCI. ZA CHWILĘ WYPIJĘ WÓDKĘ, ZWIĄŻĘ SOBIE RĘCE I TAK JAK POSTANOWIŁEM POZBAWIĘ SIĘ ŻYCIA PRZEZ POWIESZENIE. ŻONO MOJA, NIE OPŁAKUJ MNIE, BO NIE ZASŁUŻYŁEM NA TWOJE ŁZY. DO CÓRKI I ZIĘCIA TO SAMO MÓWIĘ. WSZYSTKICH MOICH WSPÓŁRACOWNIKÓW PROSZĘ, ŻEBY CHRONILI MUZEUM. ŻEGNAM WAS I PROSZĘ O WYBACZENIE. ZOSTAŃCIE Z BOGIEM. MUCH LEOPOLD

Sateck położył list na biurku przed Araszkiewiczem. Wstał, chwilę spacerował po pokoju w milczeniu, jakby nie wiedział, co o tym myśleć.

- Zamyka pan sprawę – ni to stwierdził, ni spytał.
- Czy mając taki dowód – aspirant przykrył dłonią list – powinienem szukać jeszcze czegoś innego?

- Żadnych wątpliwości?

Policjant wzruszył ramionami.

- Liczą się fakty. Mogę myśleć inaczej, i myślę inaczej, ale w tym wypadku nie o moje myślenie chodzi. Much przyznał się do zbrodni, terroryzmu, szantażu. Wszystko wziął na siebie.

– Wierzy pan w to, że Much, człowieczek mierzący najwyżej metr siedemdziesiąt, ważący może sześćdziesiąt pięć kilo, inteligent z krwi i kości, udusił Cyganika?... Przecież razem byliśmy w Gwardii i pewnie pamięta pan, co mówił kierownik sekcji. Cyganik ćwiczył boks, był wyjątkowo sprawny fizycznie, ponadto, o czym ani słowa w liście, jak Much dostał się do willi? Rottweilery otrute, alarm wyłączony, sejf otwarty, krzyżyki, broszki, zegarki wyniesione.

– Zapewne sąd weźmie to pod uwagę – powiedział aspirant jakby nieswoim głosem.

– Much nie jest zabójcą. Much jest ofiarą. Powinien pan rozpocząć kolejne śledztwo.

– W takim razie...?

– Tak sobie głośno myślę, bo dowodów nie mam żadnych. Mordercą Cyganików, autorem telefonu do redakcji i pogroźki, zabójcą Mucha musi być ta sama osoba. Nie mam na myśli dosłownie mordercy, lecz jego czy ich zleceńodawcę. – Nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy. – Czy słyszał pan o Lancii?

– Luksusowy samochód osobowy produkcji włoskiej, często używany przez dostojników rządowych – odpowiedział aspirant zadowolony.

– Taką nazwę nosi również organizacja wspomagająca byłych ubeków, esbeków i kapusiów wydalonych z bezpieki. Na razie tyle o niej wiem. Może jeszcze jedno, ale to już bez znaczenia: na jej czele stał emerytowany prokurator Herrmann. Stał, bo w zeszłym tygodniu został uduszony w swojej willi w Aninie. Uduszony – powtórzył, wyraźnie akcentując. – Aha, to się panu może przydać, stary Herrmann i ojciec żony Cyganika dobrze się znali jeszcze z Żagania.

Aspirant z sykiem wypuścił powietrze z płuc.

– Do czasu zamknięcia śledztwa niech pan o tym nie pisze – poprosił bezdźwięcznym głosem.

– Tyle lat minęło i najlepsi detektywi nie są w stanie wskazać zabójcy Olofa Palmego. Co tam były premier małej Szwecji! Nie wiadomo, kto faktycznie strzelił do Johna Kennedy’ego. Amerykanie mają do dyspozycji uniwersyteckie katedry kryminalistyki, tysiące agentów FBI, supertechnikę kosmiczną – powiedział Sateck. – Ale dobrze byłoby, już po ogłoszeniu decyzji sądu, nie odkładać tej sprawy na półkę. Ona musi zostać wyjaśniona. I zostanie jeśli nie przez policję, to przez dziennikarza.

Warszawa, ul. Rakowiecka, 20 października, późne przedpołudnie

Naczelnik aresztu śledczego przywitał Satecka nadskakująco, jakby znał go od dawna, w rzeczywistości widzieli się może dwa czy trzy razy na konferencjach prasowych w Centralnym Zarządzie Więziennictwa. Nie miał nic przeciw spotkaniu Satecka z Lizakiem, nawet pozwolił, aby doszło do niego bez udziału strażnika.

– Czy pamięta pan boksera wagi półciężkiej o nazwisku Pilnik?

Lizak wyszczerzył zęby, później uśmiechnął się głupkowato i spytał:

– Po toś dryndał aż z Zielonki?

– Mam niewiele czasu, dlatego wolałbym, aby pan odpowiadał wyłącznie na pytania – skarcił go Sateck i zaraz tego pożałował, bo Lizak może nabrać wody w usta i co wtedy?

– Mnie to wszystko wisi jak kilo kitu u sufitu. Zechcę, to powiem. Nie zechcę, będę milczał i co mi kto zrobi? Masz jakieś dowody na to, że zakatrupił Tomka?

– Mogę panu pomóc – powiedział innym tonem Sateck.

– Nie picuj. Mnie już nawet święty Antoni nie pomoże – rzucił lekceważąco Lizak. Ale po chwili namysłu prychnął: – Pies to wszystko obsrał i tak będę kiblował. Co chcesz wiedzieć o Pilniku?

– Wszystko.

– To czemu do niego nie pójdziesz?

– Nie wiem, gdzie go szukać – skłamał.

– Nie bierz mnie pod włos. Dobra, powiem, tylko – podniósł rękę i palcem wskazującym pogroził Sateckowi – mordą w kubek. Nikt nie może się dowiedzieć, że ja – powtórzył z naciskiem – mam z tym coś wspólnego. Przysięgasz?

– A mam inne wyjście?

– Masz. Zebrać dupę w troki i iść tam, skądżeś przyjechał.

– Nie marudź, bokser, bo czas leci, a przede mną długa droga do domu. – Postanowił mówić językiem Lizaka, szło mu to z trudem. – Dostajesz cykora, co? Bo wiesz, że z Pilnika jest kawał kutasa i jeszcze by ci manto spuścił. Był i jest od ciebie silniejszy.

– Tej...

– W grabach ma takiego kopa, że ciach, ciach i z twojego nosa flak.

– Bo...

– Nie kwikniesz nawet.

Poskutkowało.

Lizak zaczął od tego, że poznał Pilnika na zgrupowaniu kadry bokserskiej juniorów w Cetniewie i przez sześć lat był jego największym rywalem w wadze półciężkiej. Nie zdarzyło się, aby gwiazdor Gwardii przegrał z Pilnikiem. Konkurentem obu bokserów był Cyganik, z tą różnicą że Tomasz ani razu nie zdobył nawet tytułu wicemistrza kraju, mimo to bywał na wszystkich zgrupowaniach i turniejach jako zawodnik rezerwowy. Podczas treningu przed meczem towarzyskim z Bułgarią w Warnie, boksujący w wadze ciężkiej Masłowski złamał sobie kciuk, na ringu więc zastąpił go Pilnik i pod koniec pierwszej rundy został znokautowany. Do kraju wrócił na noszach, po półrocznym leczeniu w klinice neurologicznej chodził bez kul, ale już nigdy nie stanął na

ringu. To przepadał na kilka dni, to odnajdywał się w jakiejś zapadłej dziurze, w dodatku był agresywny. Trener namówił go na naukę w liceum, potem na studia i ku zdziwieniu działaczy klubowych Pilnik, zawsze uważany za tępaka umysłowego, dostał dyplom magistra prawa. Gdzie mieszkał i co robił po ukończeniu studiów, Lizak nie wie. Spotkał go kilka lat temu u Cyganika. Łysy, brzuch mu wystawał ze spodni, ale krzepę w mackach miał jak dawniej. Akurat wtedy Cyganik rozglądał się za zaufanym doradcą prawnym. Pod ręką był bezrobotny Pilnik, zaproponował mu więc zajęcie i ostrzegł, że nawet koledze z ringu nie będzie folgował. Miesiąc po tym spotkaniu Pilnik był prawą ręką Cyganika, a może i jego głową.

– Mnie, dwukrotnego mistrza Polski w wadze półciężkiej, wał jeden, co rusz wyrzucał i brał do roboty. Raz, pamiętam, żem wypił, za swoje, nie za jego, rznął mnie w limo. O, żesz ty, kurwa!... Tomek nie, Tomek najwyżej pokiwał palcem albo powiedział do słuchu jak facet, co lubi porządeczek, a Pilnik... Jak Jacek Lichaj przyjechał zakładać Porozumienie Obywatelskie, to najpierw spotkali się u Tomka w chacie, wtedy Pilnik powiedział, że musi być za przewodniczącego. Inaczej nie zapisze się i już. A jak został przewodniczącym, to i zapisał się na posła.

– On to ci powiedział?

– Wtedy, na zebraniu u Cyganika, żem był za obstawę. Kto by na nich...? – Lizak znacząco puknął się w czoło.

– Jak Pilnik zachowywał się w stosunku do Cyganika?

– Ja, jakbym był na miejscu Cyganika... Ja żem mówił: Tomek, Pilnik w biały dzień cię wyrucha na stojaka i jeszcze mu za to zapłacisz. Popędź go w kibinimaty. Popędził... mnie. To żem pojechał do Lichaja, dał robotę...

– Czy słyszałeś, aby się spierali, kłócili...?

– Przy mnie każdy robił swoje i tyle.

– Z kim jeszcze Cyganik utrzymywał bardziej zażyłe stosunki?

– Jakie? – Bokser wywalił oczy.

– Kto u niego bywał? Z kim się przyjaźnił? Chodzi mi o nazwiska...

– Aa, te klocki! – Nie pozwolił dokończyć Sateckowi. – Mówili, alem tego nie widział, że czasem przyjeżdżał do niego prokurator. Jak on się nazywał? – zmrużył oczy – Ten, no, co...?

– Wilczek?

– Z nim trzymał sztamę. To też kawał skurwysyna. Jak Tomek żył...

– Czy z Sobolem również był blisko?

– Kto to taki?

– Inżynier z Finpolu.

Lizak pokręcił głową przecząco.

Warszawa, ul. Świętokrzyska, 20 października, późne przedpołudnie

Godzinę później Sateck zadzwonił do Finpolu, poprosił telefonistkę o połączenie z Sobolem, a gdy inżynier odezwał się, spytał, czy ostatnio ktoś się z nim kontaktował.

– Mam na myśli Gardockiego i Pilnika – wyjaśnił.

– Od powrotu z Żagania nie widziałem się, nie rozmawiałem ani osobiście, ani przez telefon z profesorem. Jeśli chodzi o drugą osobę, czyli poślą, to mam z nią do czynienia na co dzień. Pan Pilnik zarządza firmami Cyganika.

– Zarządza?! – wykrzyknął zaskoczony. – Na jakiej podstawie? Kto go do tego upoważnił?

– Jakies dwie godziny temu poseł powiedział mi, że jeszcze w zeszłym roku, w obecności prokuratora Wilczka i Jacka Lichaja, Cyganik sporządził testament. Cały swój majątek zapisał Porozumieniu Obywatelskiemu, a mece-

nasa Pilnika wyznaczył na prokurenta i upoważnionego zarządcę.

Chciał spytać, czy inżynier widział ten testament, ale to by i tak nic nie dało. Obalenie testamentu poświadczonego przez dwóch prawników, w tym zięcia autora podręcznika akademickiego zasad dziedziczenia, nie jest możliwe. Jeśli nawet podpis Cyganika został sfałszowany, też trudno będzie to udowodnić.

– W jaki sposób można się w tej chwili skontaktować z pośłem Pilnikiem?

– Wyłącznie przez jego biuro poselskie – odparł rezolutnie Sobol. – Gdyby zaś chciał pan rozmawiać z prokurentem Pilnikiem, proszę dzwonić do sekretariatu Finpolu.

Zielonagóra, ul. Wazów, 21 października, późne przedpołudnie

Syski również uważał, że dyrektor muzeum nie straszył redakcji bombą i nie napisał anonimu do redaktora naczelnego. Człowiek inteligentny, a za takiego miał Mucha, który całe życie chylił głowę przed wiedzą utrwaloną przez innych i pokornie akceptuje politykę rządzących, na starość nie będzie zastraszał sąsiadów.

– Większość terrorystów wywodzi się spośród ludzi chorych na nerwy albo po przeżytym załamaniu psychicznym – powtarzał Sateckowi to, o czym czytał w najnowszych podręcznikach kryminologicznych. – Pierwszą grupę tworzą tacy, którzy mają niskie wykształcenie, pracowali lub pracują jako robotnicy. Często terroryzują swoich kolegów na zebraniach związkowych, gdzie nie przebijają w słowach. Nie przyjmują żadnych uwag, a ponadto są przekonani, że tylko oni mają rację. Do drugiej grupy, mniej licznej, ale o wiele groźniejszej, należą ci, którzy pracowali i jednocześnie studiowali zaocznie. Zdobyli kwalifikacje formalne, nic więcej.

– I kroczą po trupach do władzy.

– Im się wydaje, że zasługują na to, aby społeczeństwo chyliło przed nimi głowy. Każdy z tej grupy tłumaczy mniej więcej tak: przez pięć lat byłem nikim, byle asystent mógł mnie wyśmiać, profesor zgnoić, sekretarka dziekana przepędzić. Zamiast pojechać na ryby, popić, nic nie robić, siedziałem nad skryptami. Czy po to, aby z dyplomem ukończenia studiów w kieszeni nadal być nikim? Nie, sam sobie odpowiada, przez pięć lat zakuwałem po to, aby mieć władzę w fabryce, w gminie, w państwie. Ta władza mnie się należy za wytrwałość. Jeśli nie dacie władzy dobrowolnie, to zdobędę ją siłą.

– Sądzę mimo to, że w naszym przypadku mamy do czynienia z człowiekiem inteligentnym.

– Człowiek, którego tropimy, może mieć satysfakcję z tego, że jest poszukiwany, że się o nim mówi. Nic nie znaczę, myśli, ale władzę mam większą niż wy wszyscy razem. Czyż nie może to być osoba inteligentna, lecz z odchyleniami psychicznymi? Może. Nie podłożył bomby, bo nie umiał jej zmajstrować, ale czytał w Internecie, że najprostszy ładunek wybuchowy musi mieć amonit czy dynamit, zapalnik, minutnik i akumulator oraz coś, co go rozbudzi.

Zielonagóra, pl. Powstańców Wielkopolskich, 21 października, późne popołudnie

Deszcz przestał zacinąć, wiatr już nie tarł gałęziami klonów, było chłodno, ale nie za zimno. Kierowcy taksówek nie lubili takiej pogody. Przed filharmonią ustawilo się kilkanaście wysłużonych mercedesów, między nimi peugeoty, mitsubishi, nawet ciemnogramatowa lancia. Aspirant Araszkiewicz schował się za kioskiem z gazetami, skąd nie widział numeru bocznego białego opla, który stał przy nieczynnej fontannie, był jednak przekonany, że to samochód jego szwagra. Czekał i obserwował ludzi podchodzących do kiosku, przemykających na drugą stronę ulicy, zatrzymują-

cych się przed sklepem monopolowym, wychodzących z kościoła. Dopiero kiedy się upewnił, że nikt go nie obserwuje, podniósł kołnierz kurtki i pochylony ruszył w stronę postoju taksówek, lecz nie od razu wsiadł do białego opla, jeszcze chwilę rozglądał się przy fontannie jakby na kogoś czekał.

– Przedwczoraj wieczorem, Zeniu, podrzuciłeś list do redakcji – nie pierwszy raz naskoczył na szwagra.

– Możliwe.

– To jest bardzo ważne.

– Ważne dla ciebie, Tadzik. Za to ci płacą. Mnie płacą za wożenie i milczenie. Zatem gadaj, dokąd mam cię zawieźć albo wypierdalać – rzucił surowo, ale zaraz roześmiał się i powiedział, że nie pamięta, dokąd woził listy. – Każdego dnia kogoś podrzucam, komuś robię przysługę. Ostatnio nawet dostałem zlecenie, abym kupił pampersy, bo dziecko się usrało, a matka jest sama w domu i nie ma z kim go zostawić.

– Wtedy, wieczorem, kto ci kazał zawieźć list do gazety i co mówił? Czy to był mężczyzna powyżej sześćdziesiątki? Łysielec kościsty raczej? Gdzie dał ci ten list? Koło muzeum? Przy Botanicznej?

Kierowca włączył silnik, powoli ruszył, po pięciu metrach zahamował i przekręcił kluczyk w stacyjce. Przed jego oplem stały jeszcze cztery taksówki.

– Męczysz mnie, Tadzik – westchnął niezadowolony i nastawił radio. – Przedwczoraj wieczorem na postoju przy Topazie wsiadł elegancik i kazał się zawieźć pod wskazany adres. Był rozmowny aż miło. Poskarżył się, że musi jeździć taksówką, bo mu ukradli lanię czy coś podobnego.

– Czy on dał ci list do gazety?

– Już wysiadł, ale jeszcze nie zatrzęsnał drzwi i wyjął z prawej kieszeni jesionki list, który cię interesuje. Będzie pan uprzejmy dostarczyć tę przesyłkę pod wskazany adres. To dodatkowy koszt, ja do niego. Ile? Jak za zwyczajny kurs

z pasażerem w jedną stronę. Spytał, czy mogę wystawić pokwitowanie. – Taksówkarz sięgnął po bloczek, przewrócił kilkanaście kartek i pokazał policjantowi kopię.

– Rachunek dla biura poselskiego Porozumienia Obywatelskiego?! – Aspirant nie dowierzał własnym oczom. Chwilę wpatrywał się w litery na odbitce. – Kto to był?

– Nigdy nie pytam pasażera o nazwisko.

– Znasz go, Zeniu?

Taksówkarz zaprzeczył ruchem głowy, włączył silnik opła i znowu podjechał może pięć metrów, po namyśle odezwał się kąśliwie:

– Gdybyś, Tadzik, czytał gazetę od deski do deski, a nie oglądał tytuły, wiedziałbyś, że pewnemu posłowi złodzieje gwizdnęli brykę sprzed dworca. Twoi koledzy z drogówki zablokowali wszystkie wyloty, rozpuścili wici po mieście, węższą w warsztatach, przepytują takich jak ja. I nic. Auto pewnie już dawno śmiga za wschodnią granicą. Pan poseł dostanie odszkodowanie, kupi sobie nową lancję albo coś bardziej fantastycznego.

– Powiesz mi wreszcie jego nazwisko!

– Nasz okręg reprezentuje dwunastu posłów: trzy kobiety i dziewięciu facetów. Kobiet nie biorę pod uwagę. Czterej mężczyźni jeżdżą niemieckimi wozami, trzech czeskimi, dwaj włoskimi, to znaczy już jeden, bo drugiemu ukradli lancję. Okradziony jest członkiem Porozumienia Obywatelskiego.

– Okej – powiedział aspirant jakby już wiedział, kogo taksówkarz ma na myśli.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 22 października, wczesne przedpołudnie

Sateck już wychodził ze swego pokoju, aby zdążyć do prokuratury na rozpoczynającą się za kwadrans konferencję prasową, gdy odezwał się telefon na jego biurku, wrócił więc

spod drzwi i z niechęcią podniósł słuchawkę, ale gdy usłyszał nieobcy mu głos, usiadł. Nie wiedział, kto mówi, a facet po drugiej stronie jeszcze się nie przedstawił, tylko spytał, czy redakcja nadal jest zainteresowana dochodzeniem w sprawie mordu w willi na osiedlu Kwiatowym. Sateck przytaknął i natychmiast włączył dyktafon sprzężony z telefonem.

– Z sekretnego magazynu zginął następny ładunek wybuchowy. Nie telefonowałbym do pana, gdyby nie fakt, że o istnieniu tego magazynu wiedziały dwie osoby: Cyganik i ja.

Aha, Sobol, inżynier w Finpolu, domyślił się Daniel. Na razie mu nie przerywał.

– Z Tampere, na polecenie Cyganika, w sierpniu przywożem elementy ładunków wybuchowych, były tam dwa detonatory na fale radiowe, oba do zdalnego sterowania i o dużym zasięgu. W zakładzie je zmontowałem, zabezpieczyłem i ukryłem w pudełkach po rolmopsach. W razie potrzeby miały być użyte do wysadzenia ściany w Żaganiu. Gdy pod koniec września zginęło jedno pudełko, a później pod Świebodzinem wyleciała w powietrze lancia z prokuratorem Kotkowiakiem, Cyganik przestraszył się, że będzie podejrzany o terroryzm i drugi ładunek kazał mi ukryć w szafie pancерnej tajnego magazynu. Jak już wspomniałem, poza nami dwoma nikt o tym nie wiedział. Dziś rano stwierdziłem brak drugiego pudełka.

Sateck zerknął na zegarek: minęła druga po południu. Już nie zdążę do prokuratury. Na poprzedniej konferencji też nie byłem, pożałował.

– Dlaczego dopiero teraz zebrało się panu na odwagę? Przecież...

– Nie teraz – przerwał mu Sobol. – Wykradzioną bombę można zdetonować drogą radiową nawet z odległości kilku kilometrów. Jeśli ładunek zostanie wcześniej umocowany w samochodzie, to gdy auto znajdzie się w zasięgu fal ra-

diowych, natychmiast nastąpi eksplozja. I tego się obawiam. Ktoś ostrzegął redakcję, żeby przestała zajmować się Cyganikami. Jeśli ten ktoś jednak podłożył ładunek... redakcja wyłeci w powietrze.

– Kto, wyłączając pana, miał jeszcze dostęp do magazynu?

– Sateck starał się panować nad swoim głosem.

– Wszyscy i nikt. Kompletny ładunek w pudełku po rolmopsach, zaklejony taśmą samoprzylepną, był w szafie pancерnej, a oba klucze do niej leżały w szufladzie mojego biurka, ryglowanego dodatkowo szyfrem cyfrowym. Do mojego gabinetu wchodzi się przez sekretariat, identycznie jak do gabinetu Pilnika.

– Niech pan nikomu o tym nie mówi. Nawet policji – poprosił Sateck i natychmiast zadzwonił do szefa agencji ochroniarskiej.

Zielonagóra, ul. Wąska, 22 października, prawie południe

Co zobaczył i wiedział oraz czego się domyślał aspirant opowiedział zastępcy komendanta. Mówił takim głosem, jakby nigdy nie uwierzył w to, że Much najpierw wymordował rodzinę Cyganików, a dwa tygodnie później pijany powiesił się w swoim mieszkaniu.

– Wszystko wskazuje na to, że jednak dyrektor muzeum zabił. – Zastępca podniósł się, pochylony stanął w rozkroku i zmrużył oczy. – Pan powiada, że nie, to w takim razie kto?

– Tego na razie nie wiem.

– Lekarz przecież potwierdził zgon przez powieszenie.

– Lekarz potwierdził, a ja mam wątpliwości, czy Much się powiesił.

– Od nas, kolego aspirancie, wymaga się wskazania sprawcy. I w tym konkretnym wypadku wskazujemy: Much. Przy okazji przedstawiamy powody: obrazy, które były zgromadzone w willi.

– Wątpliwe dowody.

– A list Mucha i jego przyznanie się do winy?

– Mam zbyt dużo wątpliwości, tym bardziej że z kilku źródeł doszły mnie słuchy o coraz śmielszych poczynaniach organizacji Lancia. Jest to tajny związek byłych oficerów służb bezpieczeństwa, które od powojennych czasów funkcjonowały w Polsce. Tą sprawą powinna się zająć Abewu.

– Bzdura wymyślona przez Syskiego i tego jego kumpla z gazety – rzucił głosem lekceważącym zastępca komendanta. – Gdyby Lancia naprawdę istniała, dotąd Abewu siedziałaby z założonymi rękami, uważa kolega?

– Może Lancia to tylko przykrywka dla poczynañ osób z zupełnie innego kręgu? Obwiniają rozmaitych esbeków, bo to bardzo łatwe, a w rzeczywistości załatwiają swoje sprawy.

– Pan wierzy w to, co mówi?

– Na razie analizuję to, co doszło do moich uszu i się głośno zastanawiam.

– Zanim dojdzie pan do konkluzji, proszę przygotować wniosek o umorzenie śledztwa w sprawie morderstwa na osiedlu Kwiatowym. W uzasadnieniu niech pan przytoczy coś z listu pożegnalnego Mucha i nie zapomni podać, że popełnił on samobójstwo przez powieszenie. Wprawdzie już powiadomiłem prokuraturę, że będzie musiała sprawę zawiesić z urzędu, ale pismo się podmieni. Najważniejsze, że pan, mimo braku doświadczenia, trafnie wskazał zabójcę Cyganików. Gratuluję. To się przyda przed przyszłorocznym świętem policji. Nie będzie pan wiecznie aspirantem. Czas awansować, kolego. – Zastępca uśmiechnął się pod wąsem i odprowadził Araszkiewicza do drzwi.

Po chwili spojrzał na zegarek i podniósł słuchawkę, wystukał numer biura poselskiego Porozumienia Obywatelskiego, ale nikt się nie odzywał.

– O jedenastej miał czekać na wiadomość.

Zielonagóra, Stary Rynek, 23 października, południe

Od czasu gdy Syski wpadł pod samochód na przejściu dla pieszych, Sateck czuł na sobie czyjeś spojrzenie. Na przykład wczoraj wieczorem, gdy wyszedł z redakcji do domu, dostrzegł dwóch niepokaźnych facetów w zielonym volkswagencie przed Klubem Dziennikarza. To samo auto stało rano na osiedlowym parkingu, a później w pobliżu budynku redakcji. W południe wymknął się w do galerii handlowej Ramzes, aby sprawdzić, czy ktokolwiek za nim pójdzie. Pętał się między regałami, bezmyślnie oglądał naczynia i co chwilę posyłał spojrzenie w stronę opasłego filaru, aby facetowi w brązowej kurtce, który tam stoi dać do zrozumienia, że już rozwiązał zagadkę. Nie wiedział, kto kazał go szpiegować i nie miał kogo o to spytać. Przypuszczał, że ci, którzy za nim krok w krok łążą, są wywiadowcami z prywatnego biura śledczego, a nie policjantami czy oficerami ABW. Chociaż i taką możliwość brał pod uwagę. Zdawał sobie sprawę z tego, że wie znacznie więcej niż aspirant Araszkiewicz, ba, zebrał dostatecznie dużo dowodów, aby już wskazać faktycznego, a nie domniemanego mordercę Cyganików, ale robi to dopiero wtedy, kiedy będzie przekonany, iż żaden czytelnik gazety nie podważy wyników jego śledztwa.

Z parteru poszedł na pierwsze piętro, do stoiska z ubraniami, gdzie nawet z zainteresowaniem oglądał popielatą kandyjkę. Anioł stróż zdjął z wieszaka jasny garnitur, przez chwilę się wahał, w końcu poprosił ekspedientkę, aby mu pozwoliła przymierzyć marynarkę. Gdy anioł stanął przed lustrem, Sateck czmychnął między klientów, schodami zbiegł na parter i ukrył się w przyciemnionym pasażu. Anioł w rozchełstanej kurtce wybiegł za nim, zagubiony i zdezorientowany to zapuszczał oczy w głąb lewego pasażu, gdzie wabiły konsumentów tanie bary, to przepychał się wzrokiem między samochodami odpoczywającymi na parkingu przed bankiem.

– A kuku. Tu jestem! – odezwał się krótko i szybko zza pojemnika na śmieci Sateck. – Popęłnił pan błąd. Pierwsza zasada obserwacji jaka jest?... Figuranta nie wolno spuszczać z oka nawet na ułamek sekundy – wyrecytował jak z samouczka dla surowych tajniaków. – Sądzę, że przyjmie pan moje zaproszenie na piwo do baru obok teatru? – Gdy anioł usiadł przy stoliku, Sateck spytał wprost: – Jak się zwie ten, który kazał panu za mną węszyć?

– Szef.

– To znaczy?

– Szef i już.

– Kolega nie powie koledze? Jest pan aż taki lojalny wobec swego szefa? Żaden szef nie zasługuje na naszą dożywotnią wdzięczność. Jesteśmy równi i powinniśmy sobie pomagać, czyż nie? Przecież coś nas łączy.

Anioł najpierw zaprzeczył ruchem głowy i roześmiał się z drwiną, a później z rezygnacją machnął ręką jakby rzeczywiście odnalazł brata-łatę i przyznał się, że pracuje w osławionej agencji ochroniarskiej Komendant Bis-Q, która strzeże polityków. Przy zamożniejszych parlamentarzystach ochroniarze warują całą dobę.

– Są u nas tacy filuci?

– Na przykład Pilnik. Ten gość ma tyle forsy, że w zeszłym tygodniu było go stać na opłacanie podwójnej zmiany gorili.

– A kto płaci za moją ochronę?

– Podobno redakcja – odrzekł anioł konfidencko i poprosił Sateck, aby tej informacji nikomu nie powtarzał.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 23 października, wczesne popołudnie

Podminowany Sateck wpadł do gabinetu pierwszego zastępcy redaktora naczelnego, nie zważał na sekretarkę, która go

prosiła, aby zaczekał w swoim pokoju, póki zastępca nie skończy analizy raportu ze sprzedaży gazety w ostatnim miesiącu.

– Czym sobie zasłużyłem na ochronę specjalną? – spytał uszczypliwie i grzmotnawszy pięścią w biurko, krzyknął: – Kazałeś mnie śledzić! I to komu? Zdechłym gliniarzom?!

Zastępca szefa, zawsze cierpliwy i zrównoważony, wzór idealnego zwierzchnika, najpierw ruchem ręki wskazał Sateck krzesło, potem strząsnął krople kawy z dokumentów i przez interkom poprosił sekretarkę, aby wytarła jego biurko i dopiero wtedy spytał, co go rozwścieczyło do białości. Gdy Sateck wyrzucił z siebie złość, a razem z nią wszystko co mu ujawnił anioł stróż, pierwszy zastępca poprosił do swego pokoju drugiego zastępcę i obu sekretarzy redakcji. Żaden nic nie wiedział o wynajęciu ochroniarzy.

– W takim razie kto?

Wszyscy podnieśli głowy równocześnie, ale na pytanie pierwszego zastępcy nikt nie odpowiedział.

– Anonimowy telefon o bombie. Anonimowy list do szefa. Teraz anonimowy zleceniodawca.

– Komuś wyraźnie przeszkadzamy...

– Takie nasze prawo i taki nasz obowiązek – przypomniał sekretarz zbytecznie.

– ... i pewnie dlatego będziemy musieli zamilknąć. – Drugi zastępca nie był strachliwy, ale zdawał sobie sprawę z tego, że wszędzie są ludzie, którzy po trupach zmierzają do celu. Nie ma takiej siły, która byłaby w stanie ich zatrzymać.

– Potraktujmy więc ostrzeżenia jak najpoważniej.

– Za późno nawet na ćwierć kroku wstecz. Zbyt dużo wiem, aby milczeć. Ponadto jeśli redakcja ustąpi dziś, to zawsze będzie ustępowała. Skapitulować bez boju?... A co powie-
my tym czytelnikom, którzy już tylko nam ufają? Oni chcą wiedzieć, jak się te sprawy skończą. Przecież dlatego kupują naszą, a nie konkurencyjną gazetę.

– Przesadzasz z tą wiernością czytelników – prychnął drugi zastępca. – Kupują naszą gazetę, bo się do niej przyzwyczaili.

– Jaką zatem podejmujemy decyzję? – spytał spokojnym głosem pierwszy zastępca.

– Niech Daniel już zacznie pisać reportaże. Przeczytamy je i wtedy rozstrzygniemy kolegiально. W ostateczności możemy zapłacić za teksty, a drukować ich nie musimy – powiedział sekretarz z typowo redaktorską logiką i mrugnął do drugiego zastępcy.

Zielonagóra, ul. Wazów, 23 października, wczesny wieczór

Na szafce przy łóżku stało przestarzałe radio firmy Fonica, z kikutem anteny niby ułamany bat, wysuniętej w stronę okna. Tylko Syski wiedział, że w środku tkwi miedziane wahadełko, które po trzech minutach od momentu naciśnięcia klawisza zaczyna emitować sygnały zakłócające porządek w najbliższym eterze. Dostał je od swego poprzednika, radioamatora, a właściwie wygrał w karty podczas balangi w kasyń. Nastawił radio, cicha muzyka ledwie wydostawała się z głośnika, robił tak zawsze, gdy dobrzy znajomi odwiedzali go w domu. Wtedy rozmawiał z nimi o wszystkim, bo czuł się bezpieczniej i był pewny, że nawet najczulsze mikrofony kierunkowe nie są w stanie zebrać czystego dźwięku.

– Rano gawędziłem z podinspektorem Sochą z komendy stołecznej. Gdzieś się dowiedział, że zostałem uziemiony i sam do mnie zadzwonił. – Sateck zrobił wielkie oczy, Syski to dostrzegł, więc dodał: – Z tym, który szuka dusiciela. – Sateck jeszcze nie wiedział, o kim Syski mówi. – Z naczelnikiem wydziału zabójstw stołecznej policji. W Warszawie została uduszona dziwka czy kto tam, zwana Iwetą. W podobny sposób odszedł do Doliny Jozafata mój kolega z branży komisarz Brumel. – Sateck dał mu znak głową, że już wszystko

kojarzy. – Ostatnio z pomocą dusiciela przeniósł się na łono Abrahama stary Herrmann. Przeczuwam na odległość, nie mając żadnych dowodów, że mordercą jest ta sama osoba.

Sateck wcale nie był zaskoczony tym stwierdzeniem. Z lapidarnego opisu zdarzeń w Warszawie, jaki przedstawił mu Syski, również wyciągnął taki wniosek.

– Trzymają go pod kluczem? – spytał bez wyraźnej ciekawości.

– W gruncie rzeczy same poszlaki, ale, i to nie jest bez znaczenia, brakuje mu stuprocentowego alibi.

– Czy ma cokolwiek wspólnego z Cyganikami?

– Na razie nic – odrzekł pośpiesznie Syski jakby coś ukrywał.

– Lancia we mgle – powiedział zrezygnowany Sateck. Wstał i podszedł do okna, za którym dostrzegł dwóch łapiduchów taszczących nieboszczyka do karawanu. Tego już nic nie obchodzi, pomyślał.

– Nie licz na to, że kiedykolwiek będziesz mógł napisać w swojej gazecie, kto zaszlachtował Cyganików.

– Na pewno?

– Nudząc się na tym łóżku, medytując, rozmyślając, doszedłem do wniosku, że żyjemy w czasie, kiedy nie wszystkie sprawy mogą być wyjaśnione. Tej, przyjacielu, również nie da się wytłumaczyć na trzeźwo.

Nie odwracając się od okna, jakby już pogodził się z nakazem milczenia, spytał lekko rozdrażniony:

– Czy mam rozumieć, że nawet fachman z twoim talentem tego rebusu nie rozgmatwa?

– Rozwiąże go nawet aspirancina, jeśli dostanie takie polecenie. Gdyby policji, wyłączam siebie, zależało na uchwyceniu dusiciela, przy pomocy twojej gazety, telewizji i radia tak by trąbiła, że... – Syski podniósł zaciśniętą w kułak dłoń i po chwili machnął nią zrezygnowany. – Co masz mi do po-

wiedzenia? – spytał po chwili, jakby wiedział, że Sateck przyszedł do niego nie tylko w odwiedziny.

Tyle czasu zajęło mi przepytywanie profesora, śledzenie Sobola, składanie porozrzucanych po całym mieście puzzli i teraz miałbym się poddać? Przecież sam, nie licząc odrobiny wsparcia Syskiego, prawdopodobnie doszedłem do mordercy, przekonywał się Sateck w myślach. Nie muszę podawać jego imienia i nazwiska, czytelnikom wystarczy opis mojego wędrowania, rozmawiania i poszukiwania, oni są sprytniejsi niż niejeden detektyw.

Sateck podszedł do łóżka i ręce założył do tyłu. Wyglądał jak pewny swojej racji prokurator.

– Cyganików i Mucha zamordował Marek Pilnik – oznajmił sucho.

Na Syskim nie zrobiło to wrażenia, jednak spytał:

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, kogo wskazałeś?

– Doskonale. I doskonale wiem, że gdybym kiedykolwiek chciał wymienić to nazwisko w gazecie, musiałbym przedstawić kolegium redakcyjnemu takie dowody winy pośła, których najsprytniejszy adwokat nie potrafiłby podważyć. Zdobyłem wiele oryginalnych dokumentów, ale to jeszcze za mało, aby go zapudłować. Gdyby nawet Pilnik przyznał się do morderstw, opisał je ze szczegółami, pokazał fotografie, znajdą się tacy w jego otoczeniu, którzy wsadzą go nie do kryminału, lecz do czubków. I udowodnią, że on jest szajbusem.

– Bo jest. Ma żółte papiery, a w nich ile razy i kiedy leczył się w szpitalu dla nerwowo i psychicznie chorych. Czy potrafisz wyobrazić sobie wyborców, którzy dopiero teraz dowiedzą się, na kogo głosowali?

– Na świra – westchnął Sateck.

– Wariata wybrali do sejmu. Jakbyś się czuł, gdyby to był i twój poseł? Poseł morderca?

– Może ludzie go potępiają, a może wytłumaczą, bo wariat i nie wie co robi.

– Wariat, powiedzą, takiego trzeba zamknąć w szpitalu. Ale jest ktoś, kto go wpisał na listę partyjnych kandydatów. Kto go lansował. Reklamował. Wyborcy skrytykują więc partię, która jak na ironię zwie się Obywatelską. Która po rządach przefarbowanych lewicowców stałą się nadzieją emerytów i ubogich. Partia Romana Sadowskiego musi wygrać, w przeciwnym razie ludzie stracą okruszki wiary w odmianę swego losu – zbytecznie tłumaczył Syski. – Założmy, że przed wyborami przedstawiś w gazecie wszystko, czego się domyślasz i co zdobyłeś. Przyjacielu, nieliczni ci uwierzą, liczni natomiast uznają, że prowadzisz kampanię przeciw Sadowskiemu. Zwalczasz jego ugrupowanie, ba, uznają cię za zwolennika betonowej lewicy.

Ma rację, pomyślał Sateck. Teraz będę milczał i dopiero po wyborach napiszę, kto wymordował Cyganików, ale wtedy znajdą się tacy wśród czytelników, którzy zarzucą mi świadomą manipulację. Nazwisko dusiciela znał wcześniej, powiedzą, i żeby demokratom nie psuć opinii, nie pisał słowem.

– Co gorsza, Pilnika chroni stary immunitet poselski i pewnie będzie go osłaniał nowy. – Sateck otworzył usta, ale Syski podniósł rękę, nie pozwalając mu mówić. – Wiem, wiem, nietykalność nie dotyczy spraw karnych. Tylko aby rozpocząć przeciw niemu jakiekolwiek śledztwo, trzeba na to uzyskać zgodę sejmu. Dotąd nie zdarzyło się, aby parlament wydał swego członka na pożarcie. A śledztwo przeciw Pilnikowi zostanie uznane za ośmieszenie całego ugrupowania demokratycznego.

– Kiedyś Pilnik przestanie być posłem. Albo może pod wpływem opinii publicznej sam złoży mandat.

– Do tego czasu tyle może się wydarzyć, łącznie z uśmierceniem Pilnika, że skórka nie będzie warta wyprawki.

Sateck skinął głową, bo zgadzał się z sądem Syskiego, lecz nie chciał się pogodzić z takim zakończeniem sprawy. Winny musi być ukarany nie tylko dlatego, aby stała się sprawiedliwość, lecz aby inni zastanowili się nad swoim postępowaniem.

– Zanim mi się pochwalisz, w jaki sposób doszedłeś do tego, kto jest mordercą, coś ci zdradzę. Otóż wtedy, na przejściu dla pieszych przy murze aresztu, najechała na mnie granatowa lancia FZI31EU. Za kierownicą siedział gość bardzo podobny do Pilnika, pewnie to był sam poseł. Niestety, brakuje świadków, a ja nie potrafię przedstawić takich dowodów, których żaden sąd nie zakwestionuje. Tym bardziej że trudno ustalić, kto i kiedy ukradł samochód posła z parkingu przed dworcem. Jego asystentka twierdzi, że miało to miejsce w nocy z czwartku na piątek, on natomiast podaje początek tygodnia.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie mam pojęcia, chociaż troszkę się domyślam, a dowiem się więcej, gdy wrócę do komendy i przycisnę do muru mojego szefa. Leżąc tu miałem wiele sposobności prowadzenia śledztwa na dystans. Podobnie jak ty zachodziłem w głowę, kto ukatrupił Cyganików, tyle że ja przy pomocy emerytowanych policjantów.

– Z tajemniczej Lancii?

– Oni z esbekami nie mają nic wspólnego. Są z agencji ochroniarskiej Komendant Bis-Q.

– To ci dwaj aniołowie, którzy za mną się wałęsali?

– Trochę im nie wyszło, ale się starali. Już są kiepscy.

– Nigdy na to nie wpadłem – przyznał się Sateck.

Przy pomocy ochroniarzy Syski poznał zyciorys Pilnika, na pewno wiedział więcej niż Lizak powiedział Sateckowi. Rzecz w tym, że zanim Pilnik został przyjacielem Cyganika, był w wojskowych zakładach chemicznych kolejno radcą

prawnym, ekonomistą i głównym specjalistą do spraw technicznych. Znalazł się tam w połowie lat dziewięćdziesiątych z doskonale podrobionym świadectwem pracy i żelaznym listem ministra obrony. Podpułkownik doktor Marek Pilnik, tak go tytułował minister, był wzorem oficera, toteż nikt w dyrekcji zakładów nie przypuszczał, że uciekł z psychiatryka w Gorzowie, gdzie dwa lata siedział w izolatce. Został tam osadzony po tym, jak przy pomocy piłki do metalu poderznął gardło swojej konkubinie i jej niepełnosprawnej córce. Biegli psychiatrzy oświadczyli przed sądem, że jest wyjątkowo niebezpieczny dla otoczenia i zachowuje się jak człowiek cierpiący na cyklofrenię, przyczyną czego mogło być uderzenie w głowę podczas walki bokserskiej na ringu.

– Ordynator oddziału psychiatrycznego polikliniki, którego wczoraj pytałem, czy psychoza maniakalno-depresyjna ustępuje wraz ze starzeniem się człowieka, nie zaprzeczył. Choroba psychiczna ma to do siebie, że wraca w najmniej spodziewanej sytuacji.

– To wszystko za mało, aby Pilnika posadzić na ławie oskarżonych. Zaledwie hipoteza. Niepewne poszlaki. Każdy prokurator będzie się domagał niezbitych dowodów.

– Takich dowodów nie ma i zapewne nie będzie. Dotąd nikt nie może albo nie chce poświadczyć, że owej soboty wieczorem spotkał Pilnika na osiedlu Kwiatowym. Były dyrektor szkoły, który lubi sobie poobserwować, kogoś widział w samochodzie. Gdy mu pokazałem kilka fotografii, wśród nich Pilnika, Lichaja i Lizaka, zbaraniał. Niemniej... – Syski urwał jakby poirytowany.

– Mówże – ponaglił go Sateck. – Co, niemniej?

– Rottweilery Cyganika zostały otrute sarinem, znanym również jako trylon 46, substancją wyprodukowaną podczas pierwszej wojny, na szczęście nigdy niezastosowaną, powodującą śmierć ludzi w ciągu kilkunastu sekund, a zwierzęta

uśmiercającą natychmiast. Niewielkie zapasy tego środka, wyprodukowane jeszcze przez Niemców w Brzegu Dolnym, są przechowywane w dobrze strzeżonym magazynie pod Wrocławiem. Magazyn należy do wojskowych zakładów chemicznych, w których pracował podpułkownik Pilnik. Tyle udało się ustalić chemikowi wojskowemu na rencie, zatrudnionemu w komendzie na etacie fotografika, który podobnie jak ty czasem odwiedza mnie w poliklinice.

– Czy Pilnik otruł psy?... Często bywał w willi, rottweilery więc do niego się przyzwyczyły – dedukował Sateck, pocierając podbródek. – A jak owego wieczoru dostał się do domu, gdzie superzamki i elektronika?

– Tego nawet nie próbuję przypuszczać. Wiem natomiast, że wiele lat temu, we Wrocławiu, w willi przy ulicy Chopina, poderżnął gardło swojej konkubinie i na jej czole wyciął krzyż. Identycznie torturował córkę konkubiny. Tamto morderstwo ma bogatą dokumentację.

– Na co jeszcze czekasz?

– Prosiłem Tadzia Araszkiewicza, aby przejrzał ewidencję wszystkich podejrzanych i oskarżonych o zabójstwo bez użycia broni palnej, którzy zamiast w więzieniu, siedzieli w psychiatryku. Są tam tysiące nazwisk, ale tylko jedna osoba zamęczyła swoją ofiarę w taki sposób, jak to się stało z Cyganikami.

– Pilnik?

Syski wolno kiwał głową. Nie przyznał się, że wie jeszcze o czymś, czego na razie nikomu nie może wyjawić. Dopiero po wyborach, gdy jego przewidywania się potwierdzą, pojedzie do komendy stołecznej i ustali z Sochą taktykę.

– Postaraj się zidentyfikować autora listów – poradził.

– Po tym co mi powiedziałaś, to nie będzie trudne.

– Zapomniałbym. Trzeba odebrać moją škodę z warsztatu. Pewnie już zarosła kurzem. – Syski wyjął dowód rejestracyjny z szafki i podał go Sateckowi.

– Pechowe auto.

– Dlaczego? A!... – uśmiechnął się policjant jakby zrozumiał, co Sateck miał na myśli. – Dla pewności zaprowadź ją na parking przed twoim domem i od czasu do czasu zerknij przez okno, czy jeszcze stoi.

Zielonagóra, ul. Trasa Północna, 24 października, wczesne przedpołudnie

Gdy się przedstawił i powiedział, że przyszedł po samochód Syskiego, mechanik potraktował go jak dobrego znajomego. Magia gazety, domyślił się Sateck. Gdybym był najsolidniejszym informatykiem albo marketingowcem, on nie zapraszałby mnie do pakamery, nie nadskakiwał jak zięć majątnemu teściowi, nie podsuwał filiżanki z kawą, nie interesował się zdrowiem policjanta.

– Za usługę zapłaci właściciel szkody.

– Czekałem tyle, poczekam jeszcze kilka dni. Najważniejsze, aby samochodzik sprawował się należycie. Powinien, powinien, bo mnie się nie opłaca wypuszczanie buble. Robię dłużej, za to akuratnie. Zaglądam do każdego kącika, sprawdzam wszyściuteńko. Dziś na markę trzeba długo harować, a można ją stracić natychmiast – zacierając wymazane smarem dłonie, nadskakiwał mechanik. – Z panem nadkomisarzem... to coś bardzo poważnego, bo ja... w razie czego...?

– Wypadek w pracy – odparł Sateck. Podniósł wzrok na zegar zawieszony nad amerykanką i wyciągnął rękę po kluczyki.

Rzeczywiście nic nie zgrzytało, nie pischowało, nie skrzypiało w szkodzie, pedał hamulca nie zapadał się ani za głęboko, ani nie był zbyt sztywny, a oświetlenie zostało tak uregulowane, że mimo popołudnia Sateck dokładnie widział wiązki światła mijania. Pomyślał, że najwyższy czas, aby i jego fiat dostał się w ręce solidnego fachowca.

Zielonagóra, ul. Bohaterów Westerplatte, 24 października, wczesne przedpołudnie

Na placu między Topazem a Empikiem nie było ani jednego wolnego miejsca, pojechał więc na ogromny parking za Hermesem, lecz i tam samochód stał przy samochodzie. Zdecydował, że zostawi škodę przed redakcją, skąd do biura Pilnika będzie miał najwyżej trzysta metrów.

– Nie ma – odrzekła kwaśno Jagoda, gdy spytał o posła. Nawet nie oderwała wzroku od maszyny do pisania. Nigdy tak się nie zachowywała. Czyżby się wstydziła?

– Z regulaminu pracy biura poselskiego wynika, że o tej porze – Sateck podniósł wzrok na zegar uczepiony ściany nad drzwiami – twój szef, Jagódko, przyjmuje wyborców. Czy nastąpiły jakieś zmiany w regulaminie?

– Żadnych.

– W takim razie...?

– Powiedziałam ci, że żadnych.

– Przecież dziś sejm nie obraduje.

– Nie.

– Powiesz mi, gdzie znajdę posła?

Nie dała się wodzić za nos. Wstała energicznie od komputera i głosem podniesionym spytała:

– Czego chcesz, do jasnej cholery?! Sądziś, że jak poszłam z tobą do łóżka, to możesz mną pomiatać? Nie jestem dziwką!

Zlekceważył jej uwagę.

– Zależy mi na rozmowie z posłem. Głosowałem na niego.

– Kłamstwo, pomyślał, lecz brnął dalej: – Mam prawo zadać mu kilka pytań i wysłuchać odpowiedzi.

– Jak najbardziej – odparła nieco łagodniej, ale nadal lodo-wato. – Spotkanie z posłem będzie trudne, ponieważ dziś jest w Finpolu. Jutro odbędzie się posiedzenie zarządu firmy i trzeba... rozumiesz... – uśmiechnęła się – przygotować dokumenty.

Pięć punktów dla ciebie, Jagódka. Daniel milcząco przygryzł dolną wargę.

– A czy już wiesz, że na podstawie testamentu cały majątek Cyganika jako darowizna przeszedł na rzecz Porozumienia Obywatelskiego, do którego on należał? Że stał się własnością społeczną? Taką decyzję wydał minister sprawiedliwości, wyznaczając Pilnika na prokurenta z urzędu.

Sateck nie wiedział, jakie są powinności prokurenta. Mimo to spytał, czy tę informację może podać w gazecie, oczywiście powołując się na źródło, lecz ona zaprzeczyła głową.

– Gdybym zwrócił się do posła z prośbą o komentarz?

– Tylko, na litość boską, nie wygadaj się, skąd o tym wiesz.

Przytaknął raczej z przyzwyczajenia.

– Zrozumiałe. Mam swój wywiad. – Jego spojrzenie padło na srebrzystą obudowę laptopu. – Jak się sprawuje to cudenka? Chciałbym coś takiego sobie sprawić. – Starał się przyciskać palcami klawisze tak, aby na ekranie pojawiły się wszystkie litery. – Niezwykle wrażliwy na dotyk – stwierdził, naciskając klawisz „drukuj”.

– Pod parapetem jest kosz – Jagoda wyciągnęła rękę, ale Sateck udał, że jej nie zauważył.

Zielonagóra, ul. Trasa Północna, 24 października, wczesne popołudnie

Wszystkie słupy ogłoszeniowe, witryny, tablice, gabloty, wystawy były oblepione afiszami, plakatami, zawiadomieniami, ulotkami. Kandydaci na parlamentarzystów zapraszali na spotkania wyborcze, oferowali swoją pomoc, przekonywali, że mają rację i są jeszcze lepsi od najlepszych. Gdyby pogmerać w ich życiorysach, popytać dawnych sąsiadów i znajomych, pewnie wyszłoby na jaw niemało świństw, pomyślał Sateck. Przecież wiele ohydy gromadzi się latami w każdym człowieku i nie ma ludzi absolutnie niewinnych, ale szczerze

można rozmawiać tylko z kimś, kto choć trochę wierzy w naszą szczerłość.

Gdy zatrzasnął drzwi škody, chwilę stał i wpatrywał się w neon Finpolu na dachu budynku, do którego miał zamiar wejść. Cieszył się i smucił jednocześnie, bo lubił doprowadzać sprawy do końca, ale nigdy nie miał pewności, czy racja jest wyłącznie po jego stronie. Rozumiał, że gdzie spotykają się dwie osoby, tam zazwyczaj są i dwie racje.

– Przekonamy się jeszcze raz – powiedział sam do siebie i krokiem zdecydowanym ruszył w stronę budynku.

Na końcu korytarza Sobol rozmawiał z lekko przygiętym mężczyzną, przypominającym mu księgowego. Inżynier nie wyglądał na takiego, któremu się śpieszy. Sateck uniósł rękę, tym oczywistym gestem dając mu znak, że chciałby jeszcze coś wyjaśnić, bo zbliża się do finału, lecz Sobol nagle czmychnął za drzwi. Sateck był przyzwyczajony do rozmaitych zachowań, toteż reakcja inżyniera wcale go nie zaskoczyła.

Na drzwiach sekretariatu firmy wisiała miedziana tabliczka z wyżłobionym napisem „Główny doradca mgr Marek Pilnik”. Obok musiała być jeszcze jedna tabliczka, ale została zdjęta niedawno, na co wskazywały dwie dziurki po sztyftach.

W sekretariacie, pełnym urządzeń, których Sateck nigdy nie widział i nawet nie domyślał się ich zastosowania, panienka z dredami na głowie rozmawiała przez telefon. Oparł się o ścianę i czekał, a ona nie odkładała słuchawki, kiwała głową z dezaprobatą, zaczynała zdanie i je natychmiast urywała. Mimo to gdy się przedstawił, bez słowa wskazała mu drzwi obciążone prawdziwą skórą.

Pilnik dźwignął głowę znad papierów, otworzył usta, ale się nie odezwał, z długopisem uniesionym nad biurkiem zamarł. Nagle zrobił się blady, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy. Lodowaty tkwił tak może nawet minutę, a Sateck

stał przy drzwiach i patrząc na niego widział nie małe, głęboko wciśnięte oczy, lecz wyloty luf pistoletów.

– Cieszę się, że pan redaktor znalazł czas, aby mnie odwiedzić! – wypalił Pilnik i nagle zaczął topnieć. – Nie ma co, jest pan dobry, kolego. Bardzo do-bry! Trzeba było zadzwonić, a nie fatygować się osobiście aż tutaj. Powiedziałbym: co, jak, od kiedy. Po to jestem! Ha, ha, haa.

O czym on mówi? Teraz Sateck poczuł się jak grzybiarz zagubiony w gęstym lesie o zmroku. Rozglądał się, oniemiały gmerał w myślach, bo może coś przegapił lub zlekceważył. I raptem zdecydował, że choćby Pilnik powitał go wylewnie, posadził w najgłębszym fotelu, poczęstował koniakiem, kawą, niczego nie tknie i nie wda się w żadną rozmowę, tylko wyrzuci z siebie wszystko, co ma do powiedzenia.

– Zna pan to dzieło? – Rozłożył na biurku kserokopię anonim, który dostał redaktor naczelny gazety. Patrząc mu śmiało w oczy, pokazywał palcem: – Litery zostały wycięte z katalogu wystawy obrazów starych mistrzów w Muzeum Środkowego Nadodrza. – Aby poseł nie protestował, głosem surowym dodał: – Pan był na uroczystym otwarciu wystawy, co gazeta odnotowała na stronie trzeciej.

Pilnik wydał wargi jakby sobie niczego nie przypominał i milcząco zaprzeczył ruchem głowy.

– Anonim był w tej kopercie, zaadresowanej pismem maszynowym.

Pilnik tylko wzruszył ramionami.

– A to jest kserokopia listu pożegnального, który policja znalazła w mieszkaniu dyrektora Mucha. Niech pan zwróci uwagę na krój czcionek. – Sateck położył lupę przed posłem. – Arial bywa rzadko stosowany. Times new roman...

– Co to ma zna-czyć?!

– Tu są kserokopie sześciu pism, jakie w ciągu ostatnich tygodni zostały wysłane z biura parlamentarnego Porozu-

mienia Obywatelskiego w Zielonejgórze. Z porównania kroju niektórych liter wynika, że wszystkie pisma zostały napisane nie tylko na tym samym laptopie, ale i wydrukowane na tej samej drukarce atramentowej. Nawiasem mówiąc, są w nich identyczne błędy gramatyczne i ortograficzne, co może świadczyć wyłącznie o tym, iż ich autorem jest ta sama osoba. O ile wiem, to pan lepiej pisze ręcznie niż na komputerze.

– Ani w ząb – rzucił Pilnik.

– Domyślam się, że najpierw przygotowuje pan rękopis, później asystentka go przepisuje i przedkłada panu do podpisu. – Poseł uniósł się na fotelu za biurkiem, jakby chciał coś istotnego wyjaśnić, lecz Sateck ciągnął dalej: – Asystentka przypomina sobie, że przepisywała te pisma.

– Jezusie Nazareński, o co redaktor mnie podejrzewa? – Zaśmiał się sztucznie.

– Czasem, gdy chodziło o sprawy bardzo osobiste, wystukiwał pan swoje listy na maszynie. Na tej maszynie stojącej w biurze poselskim przy ulicy Bohaterów Westerplatte.

Pilnik nie zaprzeczał, tylko patrzył na Satecka tępyim wzrokiem, jakby wszystko wokół przestało go interesować.

– A to jest oryginalna kartka z pańskiego biura, z kilkunastoma literami wydrukowanymi na tamtejszej drukarce. Ona będzie stanowiła dowód pańskiej winy. – Obok dwu kopert, listu pożegnalnego i listu do redaktora naczelnego oraz sześciu pism urzędowych Sateck położył kartkę. – Ten sam papier, ta sama maszyna, te same błędy.

Pilnik odrzucił głowę, przymknął oczy i westchnął drwiąco:

– No, no.

– Pan zawiadomił redakcję o bombie, której nie było – powiedział z naciskiem Sateck, choć nie miał na to żadnych dowodów. – Pan terroryzował redaktora naczelnego przy

pomocy anonimowego listu. Pan udusił Mucha i sfingował jego samobójstwo. I pan...

– Ha, ha, haa. Dobrze, redaktorze, nie ma co! – Szparki oczu posła się zwężyły. Nagle zeszytniał. Zbladł. Po chwili krzyknął: – Gadaj, kto cię nasłał! Magnetofon mam włączony!

– I pan... zamordował Cyganików – dokończył Sateck takim głosem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Aa...?

– A dowody w tej ostatniej sprawie przedstawi panu nadkomisarz Syski. Troszkę to potrwa, bo najpierw prokurator będzie musiał przekonać sejm, aby pozbawił pana immunitetu. Wiem, wiem, nie będzie łatwo. Porozumienie Obywatelskie stanie w obronie swego członka. Zanim to nastąpi, ja, panie jeszcze pośle, ogłoszę w gazecie, że na kilka dni przed wysadzeniem lancii prokuratora Kotkowiaka miało miejsce pewne zdarzenie, o którym Cyganik zawiadomił komendanta wojewódzkiego. Niestety, śledztwo nigdy nie zostało wszczęte.

– Co za bezczelność! – wrzasnął Pilnik.

– Po pierwsze, w połowie września z magazynu Finpolu zginał ładunek wybuchowy i detonator radiowy produkcji fińskiej. Po drugie, w dniu poprzedzającym wysadzenie lancii, wracając z posiedzenia komisji sejmowej, zatrzymał się pan U Marcina przed Poznaniem i czekał, aż prokurator Wilczek i kierowca Tadej przekroczą próg zajazdu. Gdy tylko to nastąpiło, wyszedł pan na parking, dodatkowym kluczem, który wcześniej skopiował Wilczek, otworzył pan lancję i pod tylnym siedzeniem schował paczuszkę. To nie był upominek czy coś dyskretnego dla pani Wilczkowej. To był ładunek wybuchowy. Wiedział pan, że następnego dnia rano prokurator Kotkowiak tym samym autem będzie jechał do Zielonejgóry.

– Bzdury – Pilnik spoglądając za okno próbował się uśmiechać.

– I rzeczywiście gdy następnego dnia rano lancia skręciła na szosę zielonogórską, nastąpił wybuch. Dwa dni później pewien rolnik spod Świebodzina znalazł nadajnik radiowy produkcji fińskiej na polu w pobliżu miejsca eksplozji. Tenże rolnik twierdzi, że zanim nastąpił wybuch, na poboczu drogi długo stał granatowy samochód. Są to fakty, których potwierdzenie nie wymaga wysiłku nawet z mojej strony. Zresztą uczyni to nadkomisarz Syski, myślę, że dużo precyzyjniej. Przy okazji zechce się dowiedzieć, dlaczego najechał go pan na przejściu dla pieszych koło aresztu.

Pilnik ściągnął brwi, oblizał wargi, pociągnął nosem, ale już nie kpił z Satecka.

– I co dalej, redaktorku? – spytał niespokojnie.

– Mnie interesuje odpowiedź na pytanie: dlaczego pan to zrobił? Domyślam się, że rzecz całą zaplanował Wilczek, ale wymyślił ją kto inny. Może Lichaj? – Czekał na odpowiedź pośła, lecz on milczał. – Jeśli Porozumienie wygra wybory, a na to się zanosí, Sadowski zostanie premierem, Lichaj jego zastępcą, Wilczek dostanie tekę ministra sprawiedliwości, pan zajmie gabinet prokuratora generalnego, to wszystko będzie jasne. Chociaż czy Kotkowiak naprawdę zagrażał szachrajom z waszego ugrupowania?

Pilnik oparł się ciężko o poręcz fotela, ślizgając się wzrokiem po sztucznych pelargoniiach na parapecie, powoli i długo wsuwał rękę do szuflady biurka. Sateck zrobił krok na lewą stronę i gdy poseł, cały czas wpatrzony w kwiaty, zamknął usta i starał się wycofać rękę, gwałtownie wsunął szufladę.

– Niech pan nie próbuje mnie wystraszyć albo zabić – powiedział jakby obojętnie. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że drży, a koszulę na plecach ma mokrą. – Pistolet nie jest naładowany. W nocy był tu ktoś, kto rozładował

magazynek. Zrobił to, o co go prosiłem – dodał, ale nie powiedział, w jaki sposób Sobol dostał się do szuflady biurka Pilnika, otwieranego przy pomocy tajnego szyfru.

Zielonagóra, ul. Trasa Północna, 24 października, wczesne popołudnie

Gliniarza udupilem na amen i przestał wpychać paluchy między nieswoje drzwi, pomyślał poseł. A ten kutaфон złamany, ho, ho, wie więcej niż trzeba. To też musowo dać mu do wiwatu, ale jak? Swego czasu zadzwoniłoby się do sekretarza, coś tam palnęło, że na przykład prasa usiłuje za wcześnie odkryć doniosłe projekty, istotne dla trwałości sojuszu, a chwilę później nie byłoby Satecka w redakcji. Jako niepewny ideologicznie zostałby przesunięty do redakcyjnej biblioteki. Teraz mogę zadzwonić najwyżej do redaktora naczelnego, zechce ze mną rozmawiać, to podniesie słuchawkę, a może i nie mieć dla mnie czasu. Jeśli podniesie słuchawkę, to co mu powiem?... Że dzwonię jako przyjaciel wolnej prasy i żeby wziął na muszkę Satecka, bo jest uzasadnione podejrzenie, że facet kontaktował się z pewną osobą, znaną jako Iwetta, która była zaangażowana przez obce służby specjalne? Najlepiej więc, aby natychmiast go zawiesił albo posłał na urlop. Zechce dowodów. Tajemnica, redaktorze kochany, proszę mi wierzyć... Ośmieszę się tylko, westchnął poseł niezadowolony.

Z głową pełną dziwnych pomysłów Pilnik stanął przy oknie, oparł się łokciem o parapet i pochylony zapuścił wzrok w głąb parkingu. Muszę znaleźć prosty sposób na udupienie Satecka, zdecydował. Dlaczego ten pismak wie tyle samo co policja, Abewu i wszyscy pozostali, którzy pytają o Tomasza? Co go to obchodzi? Może ktoś mu płaci? A kto...? Lewica nie. Reykowski...? Tomasz poszedł do nieba, bo przyszła jego kolej. Każdej istocie Pan Bóg wskazał drogę i porę ostatecznej rozmowy, ale nieliczni posiadli wiedzę na ten temat.

Nagle się wyprostował, jak ukłuty szpilką odskoczył od parapetu, bo dostrzegł Satecka, który wyszedł z bramy montowni i z głową uniesioną zatrzymał się na parkingu. Stał tak minutę, może dłużej, i spoglądał w okno, za którym był Pilnik, jakby go zauważył, a przecież nie mógł niczego widzieć przez dymne szyby. Gdy Sateck wsiadł do škody, poseł znowu oparł się o parapet, mimo znacznej odległości widział białą tabliczkę rejestracyjną z czarnymi literami cyframi. Numer zapisał w notesie, który zawsze miał w kieszeni marynarki i zajrzał do książki telefonicznej. Znalazł kilku Satecków, lecz tylko jeden miał imię Daniel i mieszkał na osiedlu Słonecznym. Przypuszczalnie samochód zostawia na noc przed domem. Niebieska škoda, FEA3406, powtórzył w myślach i uśmiechnął się zadowolony, że znalazł klucz do tego rozwiązania.

– Za Chiny nie wyda się, kto wysłał do nieba Kotkowiaka, Cyganików, Iwettę, Brumela i jeszcze z dziesiątkę grzeszników – powiedział Pilnik sam do siebie. – Nigdy się nie wyda.

BOMBA ROZBEBESZYŁA ŠKODĘ

Sateck był wkurzony, bo nie dość że konferencja zaczęła się z blisko półgodzinnym opóźnieniem (rzeczniczka prasowa błagała dziennikarzy, aby nie wychodzili, nie chciał więc sprawić jej przykrości), to jeszcze zastępca komendanta gędzi jak nawiedzony w sobotę.

– Pięć minut przerwy na herbatę – rzeczniczka łypnęła do niego okiem z wyższością – i przedstawimy państwu oficjalne wyniki naszego śledztwa w sprawie mordu na osiedlu Kwiatowym.

Za dwadzieścia minut Sateck musi być w poliklinice. Wczoraj zapewnił Syskiego, że na pewno zjawi się punktualnie o jedenastej, ale teraz nie z jego winy wszystko się pomieszało i choćby miał samolot, to nie będzie w dwóch miejscach. Zastanawianie się nad tym, co wybrać, nie miało sensu, bo choć słowo dane Syskiemu było ważniejsze niż konferencja, nie mógł wyjść z sali, w której zostaną oficjalnie ujawnione sensacyjne wiadomości.

Rzeczniczka jeszcze raz odezwała się do niego kąśliwie. Sateck machnął ręką, jakby już było mu wszystko jedno. Wyszedł na korytarz, uruchomił komórkę, wybrał numer centrali redakcji i niecierpliwie czekał na odezwanie się sekretarki. Trwało to najwyżej kilkanaście sekund, a jemu się wydawało, że do końca przerwy nie usłyszy jej głosu. Gdy tylko zaczęła się przedstawiać, szybko rzucił do słuchawki:

– Wyrzyj przez okno. Jeśli na podwórzu zobaczysz śliwkowego opła i w nim kierowcę, to natychmiast przywołaj go do słuchawki. – Najpewniej sekretarka poznała Satecka po głosie, bo nie spytała, kto mówi. Po chwili odezwał się dyżurujący w redakcji kierowca. – Jedź na Zacisze, do mieszkania Syskiego, tam na mnie czeka jego żona, wytłumacz, że mimo najszczerszych chęci i obietnicy o jedenastej nie mogę być

w poliklinice. Dlaczego, później jej to wyjaśnię. Do ciebie mam jeszcze jedną prośbę. O przysługę proszę.

– Jest się człowiekiem, nie, redaktorze – wtrącił kierowca takim tonem, jakby od niego zależał los całego świata.

– Czy mógłbyś na godzinkę najwyżej urwać się z redakcji?

– Jakoś się to da załatwić.

– Jak już będziesz rozmawiał z panią Syską, powiedz jej, żeby ci dała zapasowe kluczyki do samochodu. Później weź ją do opła i zawieź na moje osiedle. Na mniejszym parkingu pod topolą, tam gdzie zawsze stawiam fiata, stoi niebieska škoda. Auto należy do nadkomisarza Syskiego, którego na pewno znasz, bo wiele razy bywał w Klubie Dziennikarza. Kilka dni temu Syski prosił, abym odebrał škodę od mecha-nika i przetrzymał blisko domu – nie rozumiał, dlaczego aż tak drobiazgowo tłumaczył kierowcy. – Redakcyjnego opła zostaw przed moim domem, a škodę zawieź panią Syską do polikliniki. Za dwadzieścia minut jej mąż ma być wypisany z lecznicy. Pomóż mu usiąść na tylnym fotelu i przewieź do jego domu.

– Lepiej będzie, jak przewiozę go oplem.

– Syski ma lewą nogę po pachwinę w pancerzu gipsowym. Żeby mógł w miarę wygodnie siedzieć, wymontowałem przedni fotel w škodzie.

– Aa – ustąpił kierowca jakby zawstydzony, że się tego nie domyślił.

*

Podobnie jak pierwsza, tak i druga część konferencji rozpoczęła się z blisko półgodzinnym opóźnieniem, co rzeczniczka wytłumaczyła nieprzewidzianymi okolicznościami, a że było to kolejne, podane dziecinnie usprawiedliwienie, nikt nie dociekał prawdziwych przyczyn spóźnienia. Starsi dziennikarze zdawali sobie sprawę z tego, że w dużej sali komendy i tak niewiele się dowiedzą.

– Z przykrością informuję, że na nasze spotkanie nie przybędzie prokurator okręgowy – powiedział zastępca komendanta. Sateck wiedział o nim jedynie tyle, że do niedawna był naczelnikiem sekcji prewencji w gorzowskiej komendzie. – Być może przed zakończeniem konferencji zjawi się ktoś z prokuratury, ale to zaś jedynie moje przypuszczenie.

I podinspektor starał się klarownie przedstawić wstępną fazę śledztwa, którą prowadził Syski, usiłując dowieść dziennikarzom, że policja niczego nie zaniedbała. Większość tych informacji była znana Sateckowi, niektóre mógł nawet uzupełnić, toteż nie zapisał ani jednego zdania. Dopiero gdy policjant powiedział, że ze zbrodnią w willi na Kwiatowym wiąże się inne zdarzenie, wyjął długopis z kieszeni. Ciekawy, co zastępca komendanta ma do ujawnienia, pochylił się nad notesem. Może w tajemnicy przede mną policja prowadziła jeszcze jedno śledztwo w tej samej sprawie? pomyślał. I Syski też o niczym nie wiedział? Zerknął na Araszkiewicza, ale jego twarz niczego nie zdradzała.

– Tej strasznej zbrodni dokonał... – podinspektor zawiesił głos na chwilę – nie będę ukrywać nazwiska, bo jest to osoba znana większości dziennikarzy. Much Leopold.

Szmer przeszedł po sali.

– Jaką policja zebrała dowody?

– Zanim odpowiem na pytanie, skończę wcześniejszą myśl – rzekł, starając się mówić jak najspokojniej. – Szóstego dziesiątego Much dostał się do willi Cyganików na Kwiatowym. Tam działając z chęci zysku w bestialski sposób zamordował trzy dorosłe osoby i przywłaszczył sobie obrazy olejne oraz inne wartościowe przedmioty. Niespełna cztery tygodnie później sprawca mordu popełnił samobójstwo przez powieszenie. Zanim jednak odważył się na ten desperacki krok, przygotował list pożegnalny, w którym przyznał się

do zbrodni na Kwiatowym i do innych czynów karalnych. W zaistniałej sytuacji, zgodnie z prawem i zwyczajem, złożyłem wniosek w prokuraturze o umorzenie śledztwa. O swojej decyzji miał państwu zakomunikować prokurator okręgowy, który uzyskał zgodę zastępcy prokuratora generalnego, notabene zielonogórzanina, pewnie znanego wszystkim w tej sali, pana Wilczka, na odesłanie akt sprawy do archiwum. To było wszystko, co jako zastępca komendanta, nadzorujący pracę wydziału kryminalnego, miałem państwu do powiedzenia. Dziękuję za cierpliwość.

Reporter Radia Zachód usiłował zatrzymać podinspektora, ale on nawet nie odwrócił się, tylko wsiadł do windy i pojechał na pierwsze piętro, gdzie na końcu korytarza był jego gabinet. W tym samym czasie z drugiej windy wybiegł zdyszany pomocnik oficera dyżurnego komendy.

– Gdzie szef?! – zawołał do rzeczniczki i nie czekając na odpowiedź rzucił: – Wybuch, kurwa, w centrum miasta! Bomba rozpierdoliła Syskiego!

*

Zanim ktokolwiek zrozumiał, co się stało przed Hermesem, ogłuszony kierowca odpiął pas bezpieczeństwa i o własnych siłach wyczołgał się z rozbebeszonej szkody. Później ludzie, których eksplozja zatrzymała na ulicy mówili, że kierowca trzymał się za prawe ramię i skakał na lewej nodze, pytając o but. Dopiero następnego dnia rano, kiedy obudził się w szpitalu i zobaczył pielęgniarkę przy swoim łóżku, odezwał się nie okazując najmniejszej wdzięczności:

– Pani, czy ja żyję? – wyciągnął lewą rękę do pielęgniarki, jakby chciał ją uszczypnąć.

– Miał pan wypadek.

– Wypadek? Ja nigdy nie spowodowałem... – urwał, skrzywił się i opadł na poduszkę. Czuł piekący ból w prawym ramieniu.

– Proszę o niczym nie myśleć. Będzie dobrze – powiedziała po prostu i podniosła słuchawkę telefonu.

W sali pełnej kamer, monitorów, pulsujących aparatów, których nawet nie potrafił nazwać, oprócz niego nie było żadnego chorego. Przeraził zimna biel ścian raziła jego oczy, najpierw je przymrużył, później zacisnął. Leżąc starał się nie myśleć, ale trwało to najwyżej kilkanaście sekund. Normalny człowiek zawsze rozmyśla. O jakim wypadku mówiła pielęgniarka? Pamiętał, że postąpił dokładnie tak, jak go prosił Sateck. Nadkomisarzowi z lewą nogą w gipsowym pancerzu pomógł ułożyć się na tylnym fotelu, obok było troszkę miejsca dla Syskiej, widział w lusterku, że trzymała męża za rękę, w czasie jazdy żadne się nie odzywało, a on nie miał odwagi spytać policjanta o cokolwiek. Milczeli nawet wtedy, gdy auto wjechało w trójpasmową ulicę Bohaterów Westerplatte, niemiłosiernie zatłoczoną, na szczęście wszystkie światła sygnalizacyjne były sprawne. Kierowca opla nigdy nie prowadził škody, toteż każdy ruch kierownicy starał się wykonać ostrożnie i płynnie, żeby Syski go nie wyśmiał. Za Topazem zerknął w lusterko, włączył prawy kierunkowskaz i zwolnił pedał gazu, aby przed Hermezem skręcić w Kupiecką. Co było dalej, nie pamięta.

– Jakies skrzypienie, dudnienie, zgrzytanie? – dopytywał się Sateck, ale kierowca tylko zaprzeczył oczyma. Głowa go bolała bardziej niż obandażowane ramię. – A gdy wsiadałeś do škody przed moim domem, nikogo czy też niczego dziwnego nie zauważyłeś? Ktoś musiał cię obserwować.

Pirotechnik, który obejrzał wrak škody jeszcze na ulicy, nie umiał ustalić przyczyny zdarzenia, dopiero po dyskusji z kolegami z grupy szybkiego reagowania orzekł, że auto zostało wysadzone przy pomocy trudnego do określenia ładunku. Skoro wybuch nastąpił w czasie jazdy, to pod bagażnikiem lub w kufrze mogła być ukryta bomba o niemałej sile raže-

nia. Świadczyły o tym wybite szyby w oknach sklepów, wyrzucone gazety z kiosku, zniszczona gabłota firmy handlującej nieruchomościami, uszkodzone te auta, które również skręcały w prawo oraz ponad trzydzieści rannych osób.

– Mamy do czynienia z terrorystą, który nie jest nowicjuszem. Ponadto, na co zwracam uwagę, który znał dokładnie plan pracy kierowcy – podpowiedział szef pirotechników. – Przypuszczalnie jest on związany z gazetą, tym bardziej że już wcześniej ktoś groził wysadzeniem budynku redakcji.

Ekspert z Komendy Głównej Policji uznał hipotezę szefa pirotechników za pozbawioną logicznej wiedzy z zakresu teorii zamachu. Jego zdaniem, terrorysta umieścił nie bombę, lecz prymitywnie skonstruowany ładunek pod tylnym fotelem, dokładnie w miejscu gdzie siedział-leżał Syski. Zgadzał się z twierdzeniem pirotechnika, że sprawca wiedział, kiedy nadkomisarz opuści poliklinikę i którymi ulicami będzie wracał do domu.

– Z polikliniki na Zacisze zawsze trzeba jechać przez centrum – powiedział, mimo że miasto znał pobieżnie. – Terrorysta więc chciał i spowodować śmierć policjanta, i zakłócić ruch na głównej ulicy. Aby to osiągnąć, użył detonatora na fale radiowe, wcześniej umieściwszy go na dachu jednego z biurowców. Prawdopodobnie detonator uruchomił przy pomocy telefonu komórkowego albo podobnie działającego urządzenia, na przykład pilota.

– Dlaczego na ofiarę wybrał nadkomisarza? – zastanawiał się głośno fotograf policyjny.

– Ponieważ terrorystą jest ktoś, komu nadkomisarz wlażył za skórę – odparł pewny siebie aspirant Araszkiewicz.

– Ktoś, panie Tadeuszu, kto wie, że nadkomisarz zna prawdziwe nazwisko mordercy Cyganików i je ujawni – powiedział do niego Sateck.

Araszkiewicz się spłonił.

Późniejsze badania potwierdziły przypuszczenia policyjnego eksperta. Zdaniem biegłego z zakładu budowy i eksploatacji pojazdów Uniwersytetu Zielonogórskiego ładunek był ukryty w kufrze. W momencie wybuchu tylne fotele, na których siedzieli Syscy przypięci pasami zostały wyrwane i przesunięte do przodu o dwadzieścia osiem centymetrów. Detonator uruchomiły fale radiowe stale obecne w pobliżu skrzyżowania.

– Kiedy škoda znalazła się w zasięgu działania fal radiowych, nastąpiło zwolnienie zawleczonego zapalnika przy ładunku – tłumaczył biegły. – Podobne zdarzenie miało miejsce we wrześniu przed Świebodzinem, kiedy zginął prokurator Kotkowiak. Wtedy również ładunek został zdetonowany przy pomocy zapalnika uruchomionego przez fale radiowe.

– Jest pan pewny? – spytał oficer Abewu.

– Oba ładunki zostały umieszczone w tym identycznym miejscu, spowodowały porównywalne skutki i mogły być tak samo zrobione. I, być może, oba zostały podłożone przez tą samą osobę, która ma dostęp do detonatorów produkcji fińskiej.

*

Poharatany i poparzony, podłączony do respiratora Syski żył, ale nie odzyskał przytomności. Jego żona o nic nie pytała, jakby nie rozumiała, co się wydarzyło. Lekarz tłumaczył Sateckowi, że kobieta wyjdzie z szoku, najgorsze będą te godziny, kiedy się dowie, że jej mąż prawdopodobnie nigdy nie będzie widział i chodził na własnych nogach. Ani jednego, ani drugiego Sateck nie mógł spytać, kto jeszcze wiedział, o której godzinie škoda znajdzie się przed polikliniką. Z nikim poza kierowcą na ten temat nie rozmawiał, nawet żonie nie powiedział, że na małym parkingu przed domem stał samochód Syskiego. Telefonistka w centrali redakcji?... Nie, ona niczego nie mogła słyszeć. Nie wierzył też, aby jego te-

lefon komórkowy, przez który rozmawiał z kierowcą w przerwie konferencji, był na podłuchu.

Pomyślał o komendantce polikliniki, jej nie ufał nie dlatego, że nie cenił starych panien i kobiet zachowujących się po męsku. Po prostu: nie ufał.

– Wcześniej przychodzili tu panowie z komendy. Ostatnio jednak nikt nie pytał o nadkomisarza – zapewniła go. Po chwili dodała spieszenie jakby się tłumaczyła: – Nie licząc żony nadkomisarza, pana redaktora i posła Pilnika. Jakaż to dobrodusznia istota.

– Kto?

– Pan poseł – odparła głosem zakochanej licealistki. – Czy zna pan drugiego takiego polityka, który, jeśli osobiście nie może odwiedzić pacjenta, to dzień w dzień telefonuje i interesuje się stanem jego zdrowia? Pan poseł był gotów własnym samochodem przewieźć nadkomisarza do domu, ale złodzieje ukradli mu auto. To zbyt wielka ofiarność, powiedziałam wczoraj naprawdę wzruszona. Chcieliśmy odtransportować pacjenta naszą karetką, ale pan redaktor Sateck zapewnił mnie, że osobiście odbierze nadkomisarza o jedenastej.

*

Szklane drzwi do separatu, w której leżał Syski, były zamknięte. Gdybym poprosił pielęgniarkę o klucz, pomyślał Sateck, pewnie wbrew zakazowi pozwoliłaby mi wejść do środka. Już otworzył usta, gdy nagle uświadomił sobie, że niczego nowego nie ma mu do powiedzenia. Przecież on też wie, kto jest terrorystą i mordercą. Oparł głowę o szybę, niemo wpatrując się w pajęczynę przewodów i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co decyduje o życiu ludzi.

POSTSCRIPTUM

(TYLKO DLA WNIKLIWYCH)

Wybory wygrało Porozumienie Obywatelskie. Premierem został Roman Sadowski. Gabinet pierwszego wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych zajął Jacek Lichaj, a drugiego zastępcy i ministra spraw zagranicznych – Karol Reykowski. Do jego najważniejszego pokoju w Ministerstwie Sprawiedliwości przeniósł się Zbigniew Wilczek. Urząd prokuratora generalnego zajął Marek Pilnik. Na dyrektorkę swego gabinetu zaangażował Jagodę.

Rychło zaczęły następować zmiany w służbie zagranicznej, na przykład ambasadorem w Helsinkach została Krystyna Lichaj, w Paryżu – Jerzy Herrmann, w Dublinie – Danuta Motyl-Reykowska. Gabinet *chargé d'affaires* ambasady w Berlinie zajął profesor Gardocki pewnie nie tylko dlatego, że biegle znał język niemiecki.

Na miejsce dotychczasowych wojewodów i wicewojewodów premier, a raczej z jego upoważnienia Lichaj powołał nowe osoby, wskazane przez demokratów lub ludowców. Wojewodą lubuskim został zastępca komendanta zielonogórskiej policji, który formalnie nie należał do żadnego ugrupowania, lecz ostatnio sprzyjał obywatelom, a podczas kampanii występował jako przyjaciel Wilczka i Pilnika.

Zaraz po Nowym Roku za biurkiem dyrektora departamentu do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego w centrali policji niechętnie usiadł komendant stołeczny. Wbrew własnej woli podinspektor Socha został starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Policji. Ich miejsca zajęli młodzi inspektorzy z pomorskiej komendy.

Na życzenie Anttiiego Hywarinena inżynier Sobol został prezesem zarządu zielonogórskiego Finpolu. Mimo że nigdy

nie interesowała go polityka, po wyborach nie tylko wstąpił do Porozumienia Obywatelskiego, lecz i przewodził jego władzom regionalnym. Jego zastępczynią została Inna Lipowicz, żona prokuratora ze stopniem doktora habilitowanego.

Wszystkie wiadomości przyniósł do polikliniki Sateck.

– A co słyszać w komendzie? – spytał Syski.

– Obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego pełni obecny tu aspirant Araszkievicz, zapewne niebawem podkomisarz.

– Gratuluję, Tadeu – powiedział Syski nieszczerze. – I proszę, abyś nie rozsiadał się za moim biurkiem. Ja tam wrócę. Jak tylko zrośnie mi się podudzie, pojadę na operację do Kliniki Mikrochirurgii Oka w Szklarskiej Porębie.

– Ja, gdybym był na miejscu szefa, wybrałbym się na rentę – rzekł pewny siebie Araszkievicz.

– Póki, panie komisarzu, nie posadzę terrorysty na ławie oskarżonych, póty redaktor Sateck nie może napisać, kto zamordował Cyganików i Mucha. Zrobię więc to dla niego – powiedział Syski. – Później wskażę inne dowody winy tego, który chciał mnie wysłać do świętego Piotra, a tylko rozpieprzył moją škodę. Żal mi tego auta. Inni mieli szybsze, ładniejsze.... Na nowe, jeśli zostaną rencistą, nie będzie mnie stać.

– Weźmie szef kredyt...

– I, tak myślę, przy okazji może ktoś się zainteresuje, czy także Pilnik spowodował kraksę rządowej lancierii na drodze przed Świebodzinem.

Alfred Siatecki jest także autorem

* powieści

Jubel, Warszawa 1987, Książka i Wiedza

Gość z volkswagena, Zielona Góra 1992, Lubuska Oficyna Wydawnicza

Zmowa pułkowników, Zielona Góra 2000, Pro Libris

A jednak będzie noc poślubna, Zielona Góra 2007, Pro Libris

Psie kochanie, Tolkmicko 2010, Radwan

* zbiory opowiadań

Podzwonni ręczniacy, Warszawa 1980, Iskry

Piaszczysta ziemia, Warszawa 1985, Iskry

Przeklęte wykopki, Zielona Góra 1986, Lubuskie Towarzystwo Kultury

Podróż do piaszczystego wzgórza, Szczecin 1987, Glob

Drugie przykazanie miłości, Zielona Góra 1996, Pro Libris

Klucz do bramy, Zielona Góra 2009, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Drugi klucz do bramy, Zielona Góra 2010, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Trzeci klucz do bramy, Zielona Góra 2011, Muzeum Ziemi Lubuskiej

* bio-bibliografie i szkice

Pisarze lubuscy, Zielona Góra 1981, Lubuskie Towarzystwo Kultury

Literaci środkowego Nadodrza, Zielona Góra 1986, Lubuskie Towarzystwo Kultury

Znaki graniczne, Warszawa 1988, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Miejsce zmagania, Współcześni pisarze lubuscy, Zielona Góra 1998, Pro Libris

Miejsce zmagania, Leksykon pisarzy regionu lubuskiego, Zielona Góra 2001, Pro Libris

Na winnicy, Leksykon literatów zielonogórskich, Zielona Góra 2011, Muzeum Ziemi Lubuskiej

Więcej na www.alfred-siatecki.pl

W wypadku samochodowym pod Świebodzinem zginął prokurator generalny. Zdaniem biegłego, to nie był wypadek. W Warszawie najpierw została zamordowana piękna Iwetta, sekretarka w biurze partii opozycyjnej, a później policjant prowadzący śledztwo. W Zielonejgórze została wymordowana rodzina Cyganików. Nadkomisarz Syski próbował wyjaśnić, co łączy te zabójstwa, ale samochód, którym wracał z polikliniki wyleciał w powietrze. Trop prowadzi do osób należących do tajnej organizacji Lancia, utworzonej przez byłych pracowników służb specjalnych. Dziennikarz wskazał jednak na osoby związane z rządzącą partią.

Alfred Siatecki (www.alfred-siatecki.pl) – rodowity Lubuszanin, jest autorem m.in. powieści i opowiadań kryminalnych: „Gościa z volkswagena”, „Zmowy pułkowników” (Lubuski Wawrzyn Literacki 2000) i „Sławy po zmroku”. Jego utwory tłumaczono na jęz. białoruski, dolnołużycki, niemiecki, rumuński.

